Listopad — 1856.

KILKA SŁÓW
O EPOCE, W KTÓRÉJ ROZKWITŁA SZTUKA BYZANTYŃSKA.

Gdy spojrzymy powierzchownie na naturę a na te jéj zjawiska i jestestwa powstające i niknące w chwili, zdaje się zrazu, jakoby całe istnienie przyrody było jedynie wieczną walką wbrew sobie przeciwnych potęg, jakoby wszystkie jéj moce fizyczne biły na siebie zawiścią nieużytą, nawzajem się zagładzając i niwecząc. A jednak, gdy się nieco głębiéj rozpatrzymy w téj dziwnéj grze, nie trudno dojrzyć, że te zjawiska i potęgi nawzajem są warunkiem swojego bytu, że jedne od drugich zależą i obejść się bez siebie nie mogą. Tak przeto owe siły wszystkie i jestestwa wszystkie, na pozór tak sobie wrogie, powiązane są spólném przymierzem a zestrojone jedną harmonią, któréj się tylko duch nasz dosłuchać może. Ta walka i przeciwieństwo mocy przyrodzonych z jednéj strony, z zestrój ich i harmonie z drugiéj, są właśnie czynnikami ciągłego udoskonalenia się, coraz wyższego rozwoju całéj natury. Umiejętność

nauczywszy się czytać we wnętrzach ziemskich, przekonała się na oczy o coraz doskonalszych epokach planety naszego, o coraz wyższych stopniach rozwijających się na nim jestestw żyjących, a tém samém o coraz wyższém także udoskonaleniu się natury nieżyjącéj otaczającéj je w koło i będącéj warunkiem żywota wszelkiego. Te stopnie coraz wyższe a epoki coraz wyższéj doskonałości rodziły się wśród boleści, wśród walki a łamania się potęg przyrodzonych; ale wśród walki i łamania się brzmiała wszechwładna wszędzie obecna harmonia, bo nad światem czuwała opatrzna mądrość, a nieskończona miłość Boża.

Jeżeli atoli tak się rzecz ma na nizinach materyalnéj natury, cóż dopiéro się dzieje w duchów królestwie! Bo przecież ta natura jest jedynie chętną służebnicą jestestw duchowych, a ten świat materyi jest przecież tylko domem wychowania, który zbudował Bóg ludzkiemu rodowi, by miały gdzie tymczasowo mieszkać i wykształcać się jestestwa rozumne. Nie dziw więc, że te sprzeczności, że te odwrotne sobie potęgi robiące, kipiące w życiu ludzkiego rodu, że te jego łamania się i prace ciężkie, również są tajemną harmonią powiązane z sobą, że są sprawcami coraz wyższéj zacności, coraz wyższego uczłowieczenia się człowieka. Tak tedy każda epoka dziejowa jest zarazem wyższym stopniem prowadzącym ród ludzki pod tron jasności wiekuistéj. Bo jest prawdą niezaprzeczoną, że choć ludzki ród, podobnie jak człowiek pojedynczy, ma posagiem oddaną sobie wolną wolę i udzielność samoistną w czynnościach, toć przecież wiemy, że jak jemu tak i całemu rodowi ludzkiemu przyświeca opatrzności oko, a te same Boże wysłańce, co wodzą niebo gwiaździste, by nie przepadło w otchłaniach bezdeni, wodzą też wieki przez historyą, czuwając nad światem miłością nieskończoną.

Uważmy atoli, że lubo oddawna przeminęły one głuche, ślepe sądy o świecie, mniemające, jakoby cała historya powszechna była jedynie niecném widowiskiem szamocących się namiętności ludzkich; uważmy, że lubo oddawna spłynęły wyobrażenia, jakoby całe dzieje świata były jedynie kaprysem bezmózgłego przypadku i niby bezsercą zabawą demonicznych potęg, grających w kości o losy świata; uważmy, że lubo podobne zapatrywania już oddawna nie ostały się między ludźmi; toć przecież wątpić nie można, że i moce nie duchowe, zewnętrzne, że potęgi natury także wpływają na losy państw a charaktery epok historycznych, stając się niepośledniej wagi czynnikiem w rozwoju historyi człowieka.

Pod tym względem zaiste dzieje narodów i epok całych, podobne są ludziom pojedynczym.

Jakoż człowiek pojedynczy, ściśle mówiąc, nie jest nigdy sobą samym; on nigdy nie zdoła wyrobić do ostatka i z całą swobodą, téj właściwéj sobie istoty od urodzenia mu danéj, a różniącéj go osobném piętném od wszystkich innych ludzi. Od kolebki do skonu uderzają na niego wypadki nieprzyjazne, co przytłumiają, hamują a niekiedy i skręcają tę pierwotną jego istotę. Towarzystwo, położenie osobiste, to zbyt biedne, to zbyt świetne losy, niemoc, krzywdy ludzkie, własna krewkość ciała i wszystka ta ślepa ciżba okoliczności zewnętrznych, dławią i duszą wolny rozwój jego duchowéj natury. Tak tedy się dzieje, że człowiek choć w starości zbliżając się do grobu, nie wie czém na prawdę był i czém mógł być w życiu. A niekiedy dopiéro w saméj chwili skonu, gdy po jednym spadają niedostatki ziemskie, gdy ulecą te biedne uciechy i te biedne cierpienia doczesne, gdy wiekuistość już ochuchnie umierającego tchem swoim, wtedy niekiedy błyskawicą rozjaśni się w nim istota nieśmiertelna od Boga mu dana i ona rozpłonie w spojrzeniu, w słowach kilku i w proroczém jasnowi-

dzeniu serca. Wtedy dopiéro oblicze blade okryje się nigdy niewidzianym u niego wyrazem i wdziękiem niebiańskim cichego pokoju. Tak się tedy dzieje, że życie człowieka zewnętrzne choćby najdłuższe na tym świecie, że czynności jego od ludzi widziane nie są jeszcze objawem jego najgłębszéj istoty; tak jak mimika jego ciała, wyraz fizyonomii, muzyka jego ruchów, nie jest czystém téj istoty odbiciem. Najlepsza, najszlachetniejsza część człowieka jest zakrytą przed światem, ona samemu Bogu tylko znajoma.

Podobnie dzieje się i z żywotem państw a cechami głównych epok świata. Bo choć prawda, jakośmy dopiéro co rzekli, że potęgi natury i wypadki bezrozumnéj przyrody, mniéj mają wagi dla ludów, co są zbiorem milionów, których żywotem jest długi stuleciów szereg; jednak i temu nikt nie zaprzeczy, że klimat, że położenie plastyczne rodzinnego kraju, że urodzajność jego płynąca mlékiem i miodem, lub nieużytość natury ojczystéj, nie jest obojętną dla hartu a rozwoju duchowego ludów. Jeden z nich założył sobie mieszkanie wśród zaciszy oddalonéj od ważenia się pierwiastków świata; ów drugi znowu sąsiadując z morzem, myślą ulatuje pod obce nieba, w obce, dalekie stosunki ziemskie; jednego ludu kraj bez naturalnych granic zewsząd otwarty, bez bram i progów i ścian przyrodzonych, odpornych; a innemu znów ludowi wody i góry utworzyły naturalne okopy, za któremi jakby w twierdzy wychować się bezpiecznie może z duchowéj niemocy i t. n.

Stąd już widzieć możemy, że historya sama przez się nie jest bynajmniéj wiernym wizerunkiem ani wewnętrznéj istoty ludu, ani wnętrznego nastroju epoki historycznéj; a zatém przekonywamy się, że jeżeli pragniemy przejrzyć wskruś lud jaki lub okres jakowy, już wtedy wypada nam nietylko baczyć na jego historyą, ale należy zwrócić uwagę naszą raczéj na te pojawy,

które idą li ze samego wnętrza ducha jego, w których ta treść duchowa występuje w całéj swobodzie nieskalanéj, niezwichniętéj; słowem — wypada nam zrozumieć te dzieła duchowe, które się zrodziły w onych szczęsnych chwilach, gdy duch wznosił się nad stan swój powszedni, zwyczajny.

Takowemi dziełami są *piękności dzieła*, a takowym stanem są chwile zachwycenia w *mistrzu sztuki*, gdy go twórczy duch uniesie ponad żywot powszedni.

Wszak mistrz, wieszcz, gdy stwarza, przestaje być sobą, przestaje być tym człowiekiem zwyczajnym, bo gieniusz piękności gdy wstąpi w śmiertelnego człowieka, przeistacza go na wróżbitę rzeczy wielkich, nieśmiertelnych. Wtedy rozpłynie obłokiem świat codzienny, ziemski, ułomny — zmysły fizyczne ogłuchną, oślepną a natomiast pojawia się państwo ideałów; a roztwierają się zmysły, które nie są z tego świata. Gdy piękność się rodzi, wtedy w mistrzu, we wieszczu już przezwyciężone są one krzywdy ziemskie od natury, od ludzi, od własnych ułomności mu zadane, spadają z duszy więzy bolesne, a duch rozpina w swobodzie nieskończonéj promienne skrzydła swoje. Co się dzieje w mistrzu w chwili tworzenia dzieła sztuki, to jest i koniecznie obecne w dziele samém. I w tém dziele niema już śladu ziemskiéj biedy i tych niedostatków, idących od krzywd doczesnego żywota; w dziele sztuki świeci idea w całéj swobodzie, nieprzypylona, nieprzytłumiona, niezwichniona.

Jak tedy z dzieł sztuki zaiste poznać zdołamy, czém był mistrz, tak z nich wyczytać możesz, czém był lud tego mistrza, czém była epoka historyczna, w któréj zrodziły się te dzieła jego. Bo mistrz choćby najwyższego geniuszu, choćby był mistrzem dla wszystkich ludów, zawsze atoli jest także synem społecznego mu wieku a wykwitem własnego ludu swojego. Co więcéj,

mistrz o tyle jedynie będzie miał w sobie potęgi a siły świeżéj, twórczéj, o ile on się karmi własną ziemią swoją, o ile rozrósł tchem społecznéj mu epoki; bo inaczéj talent jego choćby najświetniejszy, osłabnie w sobie i zwichnie się i będzie żył życiem pożyczaném, przyuczoném, sztuczném.

Jeżeli powiadamy; że jaśniéj z dzieł sztuki niż z historyi zewnętrznéj poznać można, czém była najgłębsza treść każdéj epoki historycznéj i każdego ludu, toć już orzeczenie nasze nie powinno być tym trybem wzięte, jakobyśmy znaczenie a polityczną wielkość i zasługi jakiegoś narodu lub dziejowego okresu mierzyli wedle wysokości, do któréj w nim doszła sztuka piękna. Owszem wiemy dobrze, że były ludy ogromnéj wagi w dziejach ludzkich, w których sztuka zatrzymała się na poniższych doskonałości stopniach [1].

My jedynie pragniemy orzec, że cechy i właściwości sztuki, są wyrazem doskonałym treści każdego ludu, że tedy nawet rodzaj niedostatków w sztuce jego, służy do poznania wnętrznych dążności jego ducha.

Nie rozumiejmy téż, jakoby takowe orzeczenie nasze było zdaniem nowém, więc zbyt zuchwałém; wszak dwa tysiące temu lat minęło z górą, gdy Aristoteles porównywając Historyą z Poezyą, Poezyi daje pierwszeństwo, z powodu, że ona jest filozoficzniejszą, głębszą, bo przedstawia ogólnego ducha pracującego w dziejach ludzkich i maluje, czémby rzeczy stać się powinny — a Historya wprost opowiada, co się stało i działo (Arist. Poet.) A my nie posuwając się nawet do téj śmiałości orzeczenia Aristotelesa, jesteśmy tylko zdania, że sztuka każdego ludu jest najwierniejszym odgłosem jego wewnętrznego usposobienia a treści duchowéj.

---

[1]) Starzy Rzymianie są tego najdobitniejszym przykładem.

Lecz jeżeli tak jest, jeżeli dzieła sztuki są wcielonym duchem pradziadowych narodów, jeżeli z tych dzieł wyrozumieć możesz, co miały na sercu ludy od wieków pogrzebione, więc też nie dziw, że człek choć nieuczny przechadza się pełen uszanowania wśród nagromadzonych pomników starych lat, i że każdemu z nas w duszy świąteczno, gdy się rozpatrujemy w muzeach sztuki, kędy są zebrane dzieła mistrzów dawnych, owe dzieła, co są niby sejmujące posły od pomarłych czasów, od narodów, które dawno w pokoju złożyły kości swoje.

Więc też każdemu krajowi idzie na wysoką chwałę, jeżeli się dorobił takowego Muzeum sztuki! — Lecz słusznie na wyższą chwałę mu się liczyć winno, gdy te zbiory jego nie powstały przez samowolne i sztuczne nagromadzenie, przez oderwanie pomników z pierwotnych miejsc swoich, by je umieścić w przybytku późniejszemi czasy ku temu zbudowanym; lecz gdy zbiór takowy urósł samorodnie, gdy wieki z kolei na niego się składały, gdy naród cały trzymając się wiernie przez cały żywot swój jednéj i téj saméj myśli, pracą artystyczną składał cześć świątnicy najwięcéj od siebie ukochanéj; gdy żadne pokolenie nieprzeszło milczkiem po tym przybytku; gdy każda wielka epoka zostawiała w nim, jakby na zadatek a na pamiątkę po sobie, dzieło swojéj sztuki, którą utworzyła wedle właściwych uczuć swoich, wedle właściwego sobie stylu a zapatrywania się spółeczesnego jéj świata. W takowym przybytku nie widzisz samowoli, bo te pomniki jego mnożą się w nim z własnéj siły i same przez się, jak one drzewa w odwiecznéj samorodnéj puszczy bożej, które same się sieją, same rosną i bujają w konary, gałęzie, liście i kwiaty.

Wszak przybytkiem takowym, mającym dostać długim szeregom wieków, a przetrwać historyczne zmiany czasów i żywiołów zawiść, może być jedynie świątynia

Bogu poświęcona, a w któréj skrzydła wiary otulą prace znikome ludzkich rąk.

Podobnym przybytkiem a świątynią jest *Katedra Krakowska.*

Zaprawdę jeżeli kościół katedralny na Wawelu objął w przestrzeniach swoich pomniki prawiące o najważniejszych epokach Polskiéj historyi, jeżeli te pomniki w nim zamknięte, są jakby pędzlem, jakby dłutem wyrobioną kroniką dziejową; to również prawda, że z tych pómników nauczyć się możemy całéj historyi sztuki chrześciańskich wieków. Trzeba tylko troszkę otwartych oczów, troszkę ciepłéj miłości dla tego, co piękném i zacném, aby z tych pomników, grobowców, ółtarzy, rzeźb i obrazów malowanych i sklepień, wysłuchać bicie serca pokoleń, które w nich złożyły nczucia swoje.

Dziwném szczęściem się działo, że w całem pasmie historyi chrześciańskiéj, nie znajdziemy żadnéj głównéj epoki sztuki, któraby się nie przedstawiła naocznie pomnikiem w Katedrze Krakowskiéj, Nawet pobieżny pogląd przekona nas o prawdzie tego orzeczenia naszego.

Widzicie te dwie malowane postaci, tak pełne uroczystéj grozy, one to dziś mieszczą się w samotnym a cichym zakątku kościoła. Te ogromne wizerunki ś. Wojciecha i ś. Stanisława patrzą na późne pokolenia oczyma dawno upłynionych stuleciów. Bo choć na nich widać już wpływy wieków średnich, przecież te ich oblicza ciemne, brunatne, ów wyraz skamieniały, te figury ich przydłuższe a złote tło, a pozłota gruba na szatach, i fałdowanie się draperyi, a technika w wykonywaniu i ornamentyka i wiele innych cech, czynią te obrazy istném byzantyńskiém malowaniem; więc to one należą do epoki *staro-chrześciańskiéj* sztuki, wyprzedzającéj przeszło półtysiącem lat Stólecia Średnie.

Te wizerunki są więc jakoby wysłannikami owego byzantyńskiego cesarstwa, owego Konstantynopolu, co świecił i lśnił i błyszczał na Wschodzie, co lubo niemocą śmiertelną złożony, a konający przez życie całe, jednak przechowywał u siebie dobytek a skarby duchowe starożytnego klassycznego świata przez wszystkie one czasy, gdy inne ludy Europy kipiały jeszcze dziką, zamętną, choć zdrową potęgą, mającą się kiedyś wyrobić z barbarzyństwa, na zacną robotnicę około cywilizacyi i oświaty ludzkiego rodu.

Arcyważnym stopniem do téj przyszłéj kultury był ów czas, który wiekami średniemi a epoką *romantyczną* zowiemy. Jak tedy sztuka starochrześciańska stanowi piérwszy wielki okres w historyi artystycznéj ludów chrześciańskich, tak owe stulecia romantyczne stanowią drugi jéj główny okres, który atoli rozdziela się w sobie na dwie części. W pierwszéj wykwitła sztuka *romańska*, w drugiéj zaś sztuka *gotycka* wybujała całym fantastycznym urokiem swoim.

Także dziwnym a arcyszczęsnym trafem, ów styl romański tak rzadki w naszych stronach, ma w katedrze naszéj właśnie wyobraziciela swojego.

Wstąpmy do podziemnego sklepu, kędy spoczęły zwłoki króla Jana III, Kościuszki i księcia Józefa, popatrzmy się po tych łukach, sklepieniach, kolumnach i kapitelach, a obaczymy się zaiste wśród architektury, będącéj puścizną z romańskich czasów.

A sztuka gotycka! Wszak ona wyobrażona jest w katedrze wawelskiéj nietylko architekturą ale i rzeźbą, nietylko wyjawiła tutaj ogólne zarysy swoje, ale odbiła się w różnych kolejnych stopniach swojego rozwoju. Porównajmy np. grobowiec króla Łokietka z pomnikiem wielkiego Kazimierza, i znów pomnik ten z arcydziełem, które wywołało na jaw dłuto cudowne Stwosza, ku uczczeniu pamięci Kazimierza Jagiellona — a które

zaiste będzie na zawsze u nas pierwowzorem pomników gotyckich, pełnych głębokiéj romantycznéj poezyi.

Wszak średnie wieki a z niemi sztuka romantyczna przeminęła, więc gotycyzm tak śmiały i fantastyczny omdlał w sobie; więc ludy europejskie a na reju ich ziemie italskie, zwróciły się myślą i sercem do starożytności klassycznéj, więc wykwitł światu ów uroczy styl *„renesans"* [2]), stanowiąc następną epokę w dziejach sztuki. Styl ten zrodziwszy się we Włoszech w drugiéj połowie pietnastego wieku, z cudownéj ojczyzny przeszedł śnieżne Alpy i zwolna rozgospodarzył się po innych krajach Europy, i wszędzie był mile witany; bo ten styl był tak radosny, uroczy, tak młody i wiosenny! Więc on stanął też i nad Wisłą, wstąpił wcześnie do katedry naszéj i tutaj po dziś dzień świeci w tym uroczym pomniku króla Albrechta, i późniéj wystawił swą przesławną na cały kraj kaplicę Zygmuntów, nad którą już niema piękniejszéj.

Lecz co piękne i urocze, tego nie długo na świecie. Styl renesansowy zwichnięty był tytaniczną potęgą Wielkiego Michała Anioła Buonarotti, któremu mniéj chodziło o formy i przystroje architektoniczne, co wypływają ze saméj istoty budynku, jak raczéj o to, aby zuchwałą choć gienialną ręką zmuszał te formy, aby się stały wyrazem osobistego usposobienia duszy jego. Wszakoż te jego gwałty choć tak butne i harde, są zachwycające, wspaniałe, bo poszły z głębi wielkiego człowieka. Lecz wnet następcy jego, karły talentem, rzucili się jego torem: nie brakło im zuchwalstwa, ale brakło gieniuszu onego arcymistrza. Tak sztuka a zwłaszcza architektura wy-

---

[2]) Nie używamy tutaj bynajmniéj wyrazu „odrodzenia" bo rzeczywiście stylem „odrodzenia" starożytnéj sztuki, była sztuka późniejsza a mianowicie Palladiusza, Vignoli itd. różniąca się wielce od epoki sztuki, którą renesansem zowiemy.

paczyła się we Włoszech stylem *baroco*, a późniéj we Francyi zaczęła swawolić, kipieć i mizdrzyć w stylu *Rococo*. Wszak zanim do tego przyszło, widzimy jeszcze styl przejścia, co choć już kroi na one baroco, nie może przecież jeszcze zapomnieć o czasach, w których wdzięczył się renesans. Ten styl przejścia więc pięknego barokizmu, widzisz w kaplicy Wazów. Łamią się tutaj wprawdzie zuchwałe linie i powierzchnie, dziwaczą się nieco szczegóły architektoniczne, świeci się suto na marmuroch srebro, złoto, jednak mimo tego wszystkiego, jeszcze ta architektura téj kaplicy chwyta za serca, przejmuje głęboko czcią, bo jeszcze w niéj przemieszkuje sztuka wspaniałością majestatu a szlachetną grozą.

Mocniéj a mocniéj już odzywa się ten styl w pomniku króla Michała i Jana IIIgo. Przecież już w całéj mocy i oko w oko patrzy on na nas z pomnika olbrzymiego, wystawionego w hołdzie zacnemu Biskupowi Szaniawskiemu. Po obu stronach siadły dwie rzeźbione olbrzymie niewiasty w pozycyi niewygodnéj i śmiałkowatéj, w oczach ich wyrobione źrenice, a w środku medalion owalny z popiersiem Biskupa, trzymany przez jakąś postać unoszącą się na ciężkich skrzydłach, dmącą w trąbę sławy itd.— Tak jest, jest to ten styl szumny, buńczuczny, trąbiący, wabiący hałaśnie uwagę ku sobie! Choć i to prawda, że i baroko i rokoko mają téż znów znakomite zasługi i wdzięki swoje. Lecz o nich nie tutaj nam prawić!

Tuż naprzeciw kaplicy, w któréj grobowiec Szaniawskiego wyobraża nam skrzywienie się uczucia piękności, widzimy dzieło będące szlachetnym wyjawem *ostatniéj* a nam spółczesnéj epoki sztuki. Jest to pomnik Włodzimirza Potockiego, utworzony gieniuszem arcymistrza Thorwaldsena. Z téj postaci marmurowéj a tak życia pełnéj, niemćj a tak wymownéj, tak przejętéj

prawdą i naturą, a przecież idealnych uroków, widzimy, że rzeźba dzisiejsza policzyła się z zadaniem swojém, że ona jest zaprawdę zacną uczennicą starożytnéj skulptury, a jednak odetchnęła powiewem niebiańskim Wiary Zbawienia.

Lubo więc tak pobieżnie i z opuszczeniem tylu innych pomników, przeszliśmy myślą katedrę naszą, okazało się atoli, że w niéj nie brakuje żadnéj wielkiéj epoki, żadnego ważnego ogniwa Historyi sztuki ludów chrześciańskich [3]). A ta rozmaitość stylów jest zaiste rodzimą! Tu i owdzie po stolicach europejskich, stawiają się dziś różne style równocześnie obok siebie; co stąd pochodzi, że obecny świat nauczył się wszystkich architektonicznych stylów, przecież sam nie zdoła wyrobić sobie stylu właściwego; stawia się to z gotycka, to z byzantyńska, z romańska, to znów naśladuje renesans, to Greków, to Rzymian, to bazyliki. A lubo te budowania bywają i mistrzowskie, toć przecież są one raczéj owocem studiów głębokich i nauki, niż natchnienia; mniej idą z serca niż z głowy, bo należą do obcych wieków, bo są cudze. W naszéj katedrze zaś rozmaitość stylów nie jest samowolną, lecz pochodzi stąd, że je stawiały po sobie rodzące się epoki, a każda epoka stawiała wedle własnego smaku i natchnienia, nie naśladując na oślep dawnych czasów, lecz czerpiąc z siebie i z własnych najgłębszych uczuć swoich.

Nie mówmy tedy, że ten lub ów pomnik, nie nadaje się ze stylu do architektury katedry naszéj i do otocze-

---

[3]) Wprawdzie styl byzantyński był jeszcze wyprzedzony architekturą rzymskich bazylików, wiemy atoli, że on nie mógł spółcześnie okazać się w Polsce, bo on powstał w czasie, gdy jeszcze nie zawiązała się Historya polska, bo on zrodził się we Włoszech przez przerobienie budynków starorzymskich na kościoły chrześciańskie; nie wspominamy już innych powodów, które były przeszkodą rozszerzenia się tego stylu w stronach naszych.

nia swojego. Bo każdy styl jest tutaj naprawdę wieszczem swojego okresu. A kościół jest domem Bożym; rzekłbyś, że jak te pokolenia wszystkie, jak te epoki wszystkie z kolei ulatywały z ciepłéj dłoni Stwórcy, gdy przychodził ich czas pojawienia się w historyi i dokonania na Ziemi zadanéj im roboty, tak podobnie, gdy ich czas przeminął, gdy odprawiły doczesny żywot a ciężki trud swój, znów wracały z kolei do Ojca swojego, do Ojczystego domu, tuląc się do cichych a świętych jego ścian.

Widać tedy, żeśmy mieli za sobą słuszność, twierdząc, że w téj katedrze krakowskiej możnaby odbyć kurs historyi sztuki, a nawet cywilizacyi wszystkich czasów chrześciańskich. Z Wawelu rozwinąłby nam się widok obszerny, rozległy, jak cały europejski świat, jak cała przeszłość chrześciańska! Zaiste piękny to widok i uroczy z téj wawelskiéj skały — gdy nam się roztoczą Wisły błękitne wstęgi i zbożne niwy i pagóry lasem poszywane, i dworki i sioła wessołe, i domy Boże niby twierdze wiary, gdy się w dali dźwigną, jakby chmury, Bieskidów kształty harde, lub gdy niekiedy nawet zaświecą srebrem płonącém zachwałe Tatrów budowania. To widoki zaiste piękne i urocze; lecz te widoki wszystkie choć tak wdzięków i majestatu pełne, są jedynie widokiem dla doczesnych oczów naszych — gdy zaś oczy duchowe uświęcimy onemi pomnikami, co je historya jakby testamentem przechowała w katedrze naszéj, już wtedy z wawelskich wysokości obaczymy żywot oddalonych wieków, które dawno w Bogu zasnęły — dojrzymy ludy i narody dalekie, które od dawna zaszły za głęboki horyzont dziejów świata.

Byłaby to więc rzecz nielada, gdyby się kiedyś udało jasném a przeźroczystém słowem, z pomników urosłych w Katedralnéj świątnicy, wywróżyć pulsa ducho-

we każdéj wielkiéj epoki cywilizacyi. Byłaby to książka; jak myślę, i wielce użyteczna i wielce zajmująca.

Ośmielam się być zdania, że aby dosięgnąć celu tego, wypadałoby przy rozbiorze pomników będących najdobitniejszym wyrazem spółczesnego sobie historycznego okresu i stylu, podzielić sobie rzecz niby na trzy części.

W części pierwszéj należałoby choć lekkim zarysem skreślić obraz tego okresu historycznego, w którym styl, o którym mowa, się zrodził, i wykazać ogólne nastrojenie społeczności w téj epoce. W części drugiéj przyszłoby podać charakterystykę stylu artystycznego téj epoki, a razem wyjaśnić, jak to koniecznie ten a nie inny styl mógł powstać z takiego nastrojenia duchowego i z takowéj społeczności. Część trzecia nakoniec zajęłaby się badaniem, wyświecającém, jakiemi drogami styl ów dostał się w *nasze strony* i jakich doznał modyfikacyi i zmian stósownie do materyału miejscowego i do właściwości artystycznéj fantazyi w Polsce. Gdyby się przeto takowe badania powiodły, jużby ze samych zmian o modyfikacyi, którym uległy różne style na polskiéj ziemi, można odgadnąć cechy i dążności estetyczne narodu.

Przecież taka praca wymagałaby i długich pracowitych studyów nad krajem, i badań estetycznych i dziejowych, więc też usiłowania jednego człowieka wydołaćby tu nie mogły; należałoby się wielu ludziom o chęci uczciwéj, a ciepłéj miłości, a nielada nauce sprzymierzyć ku temu celowi.

Ale bądź co bądź, nie zawadzi choćby zacząć! —

Więc ośmiełam się zacząć, a zaczynam od samego początku, zatém od stylu bazantyńskiego, czyli raczéj nawet od początku tego początku, od piérwszéj części rozprawy o nim, bo od obrazu społeczności, w któréj styl takowy się zrodził.

A uważmy, byzantyńska sztuka, jest właśnie wielce znaczącą dla dziejów artystycznych w Polsce, bo jak nam wiadomo, po kościołach, kaplicach, napotykamy u nas tak często święte obrazy i wizerunki malowane byzantyńskim trybem, że je każdy już od dziecięcych lat ukochał i uczcił. A wiadomo też wszystkim, jako na wet te biedne, sąsiedne nam cerkwie galicyjskie, skromne i niewymyślne, z drzewa stawiane, gątem pokryte, udające jak tam mogą kopuły, mają przecież swoje wspaniałe a harde pierwowzory w oném świetném państwie carogrodzkiém, co dawno runęło bez śladu. Byzantyńska architektura rozeszła się po całéj Europie i po znacznéj części Azyi, lecz już najgęściéj się rozsiadła po czarnomorskich krajach i po słowiańskich ziemiach. Wszak nawet w katedrze naszéj krom onych dwóch wspomnionych obrazów, znajdujemy i inne ważne zabytki tego stylu. Przypominam n. p. obrazy malowane, choć na gotyckiém, sklepieniu, w kaplicy Śgo Krzyża; daléj ów wizerunek pana Jezusa ukrzyżowanego tak rzewnie modlitwami czczony przez Jadwigę królową, a mianowicie już tło jego z blachy srebrnéj wyrabiane co patrzy na nas tak z byzantyńska; podobnie też w zakrystyi pokazują ów sławny krzyż zwany kijowskim, co tak zdobny i strojny, tak pełen drogich kamieni, co dziwi tém mnóstwem jeźdźców i ptaszków misternie wyrabianych,—wszak i on jak się zdaje wyszedł z ręki byzantyńskiego mistrza.

W onych czasach, gdy stary, twardy Rzym trzymał jeszcze świat wszystek i wszystkie w koło ludy w nieużytém jęctwie swojém, gdy jego chwała świeciła najjaśniejszym promieniem; wtedy jeszcze Byzancyum, choć wśród cudów natury, choć pod niebem wiecznie wiosenném i wiecznie młodém, żyło życiem skromném, cichém, rzadko wspominaném od ludzi. — Wszak i nad

hardą Romą, Historya wybiła godzinę ostatecznego sądu! — Roma dopełniła powołania swojego na Ziemi, bo żelazną, bezlitosną pięścią ująwszy ludy Afryki i Azyi i Europy, wśród niesłychanych boleści i mąk, wycisnęła z ich serca dzikie natury ochoty i demony chuci surowych. — A tak mimo wiedzy przygotowała te ludy do przyjęcia nadgwiazdnych prawd wiary chrześciańskiéj. Nie dziw tedy, że Rzymskie imperium dokonawszy swojego w dziejach ludzkich, zapadło ciężką, śmiertelną niemocą i że niedługo póżniéj, jakby zniewolone natury katastrofą, jakby wodzone przez niewidome moce historyczne, ciągnęły z zapadłéj Azyi ku Europie tłumy narodów i ciągnęły gęstą ciżbą niby roje ludzkie ku Włochom, ku Rzymowi. Niby przeczuciem party duch rzymskiego państwa, uprzedzając wyroki zawieszone nad Romą — przenosi się z Italskiéj ziemi do Bizancyum. — Konstantyn W. dźwiga w niém złociste budowania, rynki, grody, pałace, kościoły; więc jakby na czarodziejskie skinienie jego, Byzancyum niegdyś głuche i opuszczone, teraz stawszy się Konstantynopolem, błysło najwyższą wspaniałością, co strojna, hard' i bogata, wznosi się całą dumą i sztuką dawnéj rzymskiéj cywilizacyi, a zarazem ubiera się w przepych sąsiedzkiego Wschodu. I słusznie przeniosła się stolica do nowego Konstantynopola, bo w Rzymie straszyło, bo po świątyniach, forach, około rozsypanych mównic dawnych, snuły się nocami niby cienie wielkich ludzi i wspomnienia wielkiéj przeszłéj historyi i starorzymskiéj wolności.

Zaledwie w świecistym Konstantynopolu rozsiadła się władza, a już zaczęły się w Azyi poruszać one czernie milionowych tłumów i ruszały przez półtora tysiąca mil, by mścić na Rzymie krzywdy wyrządzone światu i mścić Bogów zamordowanych, które niegdyś były czcią ludów przez Rzymian podbitych. Złowrogie tłuszcze zbli-

żały się ku Włochom, ku Tybrowi. Nie na długo, nie na wiele zdało się podzielenie całego imperyum na dwie ogromne połowice, ani oddanie ich pod władztwo dwóch osobnych cesarzów. Tém rozdzieleniem atoli wystąpiły na jaw poraz piérwszy owe dwa ogromne przeciwieństwa wschodniéj i zachodniéj Europy, co choć arcyważne pod względem natury, cięźéj atoli jeszcze ważą w historyi europejskich ludów. Zachód z Italską ziemią i ze Rzymem, stały się zrazu pośmiewiskiem a pastwą północnéj czerni, późniéj poszły im na dziedzictwo a własność. Lecz gdy ten Zachód, ono siedlisko odwiecznéj cywilizacyi, był płomieniem w niwecz obrócony, krwią zalany, kopytem końskiem rozniesiony i skonał pod stopami najeźdzców; Konstantynopol przeciwnie to utwierdzony położeniem geograficzném, to odporem szczęśliwym, to złotem haniebnie od śmierci się wykupując, wlókł długo jeszcze żywot swój.

Tak gród cesarski w Konstantynopolu stanął wśród najazdów jako wyspa skalna, o którą rozbijały się niby bałwany, barbarzyńskie tłumy. W nim świecił zbytek złocisty, lśniący, wykwint niesłychany; w nim mozoliła się bystrość zepsutego rozumu, by nowemi wymysłami rozdraźnić, wskrzesić obumarłe, strupiałe żądze; i znowu ten sam rozum ćwiczył się niby gimnastyką, aby szermierzyć w zagadnieniach teologiczno-filozoficznych. Bo w tém państwie nie było już myśli czerstwéj, zdrowéj, rozsądnéj, ale zchorzały mózg wykręcał się w misternych, przemądrzałych abstrakcyach, szachrując metafizyką niby kuglarz jarmarczny. A cały lud, nawet całe uliczne pospólstwo, kłóciło się zaciętym sporem o zasady wiary i filozofii; więc zawrzały stronnictwa a partye, więc gdy dowodów nie stało, mord szalony i rzeź broczyły rynki publiczne, amfiteatra i bruki miejskie. Często cesarze zapominając o godności swojéj, zchodzili z wysokości tronu i mieszali się do wrza-

wy stronnictw zajadłych; ba! niekiedy nawet opierali na jedném z nich chwiejącą powagą swoją prześladując, ścigając bezlitośnie jéj przeciwników.

Tak rozpusty bezuzdne, okrucieństwo łaknące krwi i mąk współobywateli, i owa rafinowana gimnastyka myśli, i podłość bez granic szły razem z sobą i łączyły się z przepychem zapamiętałym wschodnim, co owionął Konstantynopol od Persyi i Arabii, oczyniając mu serce, smak i myśl. Więc one czarodziejskie scenki i obrazki, z któremi tylko do twarzy bajeczkom i przypowiastkom z *Tysiąca Nocy i Jedna*, stawały się w Carogrodzie pierwiastkiem życia rzeczywistego i rządu a dworu [4]).

Do łyskotnych dziwadeł, do wymyślnych sztucznych rozkoszy, do frachów dziecinnych umizgały się ówczesne pany połowy znajomego świata! Lecz choć ich los tak był świecisty, słoneczny, przecież one kończyły często straszliwie koleje swojego żywota. Bo nie rzadko się działo, że ten co dopiero pysznił się otumaniony, okadzony obłokiem nikczemnych pochlebstw, za kilka dni uciekał cichaczem z państwa, lub z wyłupanemi oczyma a wyciętym językiem, ledwie nędzne życie unosił, albo téż

---

[4]) Tak n. p. w ogromnéj a lśniącéj sali posłuchania jednego greckich cesarzów, dźwigał się tron promieniejący, błyszczący złotem i drogim kamieniem, a przed tronem stało drzewo platanowe, wyrobione ze szczerego złota a rozwijające się w gałęzie i liście. Gdy posłowie ościennych państw stanęli w obec majestatu cesarskiego, wtedy każdy z nich, wedle przepisu, całą długością ciała swojego rzucał się twarzą na ziemię, a od tego ceremonijału zwalniała tylko niedziela, niby dzień, w którym najgłębsze hołdy oddawały się jedynie Bogu. Otóż, gdy leżące na ziemi posły, kornie czołem biły o posadzki mozajkowe, już wśród gałęzi onego drzewa, zaczęły śpiewać złote ptaszki, a u stóp jego rykły straszliwe złote lwy, a gdy powstały z podłogi zdziwione ambasadory, osłupiały widząc, że krzesło cesarskie wzniosło się wysoko nad ich głowami.

konał mizernie w ciemnicach podziemnych, wilgotnych jakiego lśniącego pałacu.

Dodajmy do tego wszystkiego jeszcze żądzę niewstrzymaną, szalejącą do zabaw publicznych, mianowicie do wyścigów wozowych, które niby chorobą umysłową rozhukały się we wszystkich głowach, we wszystkich prowincyach; dodajmy nakoniec do tego jeszcze owę najściśléj określoną hierarhią dygnitarzy i urzędów państwa, która jakby siatka żywa oplotła kraj cały, a złożymy sobie jako taki obraz czasu i ludzi, w których powstawała i rozkrzewiła się sztuka bizantyńska.

Wszak mimo tego, obraz takowy byłby zbyt ogólny, bo to państwo trwało przecież kilkanaście stuleciów, bo i ono choć mumią, choć strupiałe jednak przez sam upływ wieków zmieniało rysy twarzy, tak jako umarły w trumnie zmienia fizyonomią swoję. Ot ograniczmy się raczéj na jednéj epoce téj byzantyńskiéj historyi — a łatwo nam takową wybrać. Mając albowiem lekkim zarysem przedstawić społeczność, w któréj roztoczyła się sztuka byzantyńska, tém samem przychodzi nam mówić o czasach, w których ona urósłszy w najpotężniejszą moc, stworzyła najcelniejsze pomniki swoje, a takim czasem jest właśnie panowanie cesarza Justyniana. Jego to sprawom tedy przypatrzyć się nam wypadnie. Jednak i tutaj obraz ogólny zaiste nie wystarczyłby wcale, wolimy się więc ograniczyć skreśleniem wizerunku niektórych figur otaczających Justyniana a będących niby żywym czasem jego i uosobionym duchem jego epoki. Takowe wizerunki choć kilką słowami zrysowane, będą miały tę zaletę, iż będą wierne, bo je weźmiemy wprost z pisarzów ówczesnych, którzy patrzyli się żywemi oczyma na to, o czém tu pobieżnie wspomnimy [5]).

[5]) Główném źródłem naszém będzie **Procopius** w zbiorze: **Corpus scriptorum Historiae Byzantinae.**

Było to za panowania cesarza Leona, gdy trzech młodych parobków illyryjskich, ruszało razem z wioski ojczystéj ku cesarskiéj stolicy [6]). Na plecach zgrzebny worek, w nim kawał owsianego chleba, i kij w ręku, ot to całe ich mienie, i wyprawa w daleki świat i życie; ale zato u młodych wieśniaków wzdymało się serce bogate w nadzieje. Biéda i głód tak im dokuczyły w chacie domowéj, że już postanowili powędrować do Konstantynopola, aby w szeregach wojskowych doświadczyć szczęścia swojego. I jednemu z nich zaiste, jak obaczymy, nieźle się udało. Bo przebiegły i zwinny, lubił pojść z losem na stawki zuchwałe, przytém był to chłop barczysty, wysoki, a nakoniec natura opatrzyła go męzką urodą, co jak nam wiadomo nie zawadza nigdy w życiu. Ten chłopek młody zwał się Justinus. I doszli do Konstantynopola — Justinus zaciągnął się do gwardyi cesarskiéj.

Stało się, że niedługo póżniéj, bo za czasów Anastazyusza, Justinus ruszył na wojnę. Wczasie téj wyprawy był od naczelnego wodza Jana wtrącony do więzienia — może, iż wczémś grubo przewinił bo został skazany na gardło. I miał być stracony za dni kilka. Lecz cóż się dzieje! Wodzowi przyśniło się w nocy, jakoby przed łożem jego stanęła postać nadzwyczajnych uroków i domagała się wypuszczenia uwięzionego żołnierza. Przebudził się Jan. Z razu było mu jakoś markotno na sercu, przecież, gdy póżniéj zajaśniały promienie zarania, więc spłoszyły nocne strachy. Justinus tedy został w kaźni swojéj. Ten sam sen atoli powtórzył się i nocy następnéj. Generał teraz zatrwożył się nielada, ale wstyd go było uledz strachom, i pomyślał: że sen to nic, to mara. Więc trwał przy swojém — rozkazał nawet, aby więzień był stracony w dzień następny. Przecież takie zuchwalstwa

[6]) Procop. Arcana 6.

udają się, jak stara gadka niesie, zwykle tylko do trzeciego razu. Jakoż gdy w nocy trzeciéj, toż samo widmo stanęło przed śpiącym wodzem, gdy już teraz groźnie a obliczem i słowem surowém nakazywało uwolnienie Justyna; wtedy generał do żywego przestraszony przekonał się, że już niema żartów. Zatém skoro świt zabłysnął, otworzyły się drzwi więzienne a żołnierz wrócił do szeregów [7]).

Dalsze koleje Justyna zamkniemy w kilku słowach. Los rozkochawszy się w pięknym wojaku, wyniósł go wysoko. Ów chłopek illyryjski został trybunem, potém hrabią, potém generałem, a przed samą śmiercią cesarza Anastazyusza mianowany był wodzem gwardyi cesarskiéj.

Dziwne téż okoliczności towrzyszyły skonowi Anastazyusza! Cesarz ten ośmielił się z własnéj mocy dodać słów kilka do modlitwy. Stąd okrzyczano go za kacerza, stąd o mało co nie był ukamienowany przez pospólstwo i zaledwie uszedł z życiem. Jednak jak prawią historycy, nie uszedł zasłużonéj kary. A ponieważ sny były na porządku dziennym, czyli raczéj na porządku nocnym, więc nie dziw, że i cesarz Anastazyusz opłacił zuchwalstwo swoje złowrogim snem. Otóż w dwudziestym siódmym roku jego panowania, pojawił mu się pewnéj nocy mąż strasznego wejrzenia, trzymając zwój pergaminu w rękach i rzekł do śpiącego: „Patrz, za winy twoje wykreślam z życia twojego lat czternaście“ — i wykreślił lat czternaście i zniknął. Cesarz się budzi i zdięty trwogą przywołuje Amantiusa szambelana swojego i opowiada ten straszny sen swój. Szambelan przerażony woła: „O Wielomocny Panie, wszak i mnie w téj chwili nawiedziło okropne marzenie — śniło mi się, że zwierzę nieczyste — nierogacizna — o-

---

[7]) Procop. l. c.

gromnéj wielkości, chwyciwszy mnie za poły, powaliło na ziemię i pożarło ze szczętem". Wtedy już cesarz i szambelan złożywszy radę, nie czekają poranku, ale bez zwłoki posyłają po Proklusa; bo Proklus był z urzędu wróżbitą, więc do niego należało tłomaczenie marzeń sennych. Wróżbita słucha, kiwa głową, zachmurzył i zadumał się głęboko; nakoniec przepowiedział: iż równie i cesarza i szambelana czeka niechybnie rychła śmierć, dodając, iż oba zginą od ognia [8]).

Cesarz chcąc ujść grożącego niebezpieczeństwa, przywołał tłumy niezliczone robotników, którzy spiesznie, nagle poprowadzili mnostwo rur miedzianych z wodą po wszystkich świetlicach, komnatach, korytarzach stółecznego pałacu, aby w razie pożaru zalać w okamgnieniu szerzące się ognie. Jednak te ostrożności na nic się nie zdały. Piorun uderzył i zabił Anastazyusa.

Po śmierci jego ów szambelan Amantius niepomny na łaski doznane od nieboszczyka pana swojego, postanowił wykluczyć rodzinę cesarską od tronu, i pragnąc samowładnie gospodarzyć w państwie, umyślił wyjednać tron cesarski dla jakiegoś biednego niedołęgi, coby już był na przyszłość narzędziem bezwolném jego intryg czwanych. W tym celu zaprasza skrycie do siebie Justyna, owego dowódzcę gwardyi i złożył do rąk wiernych jego mnóstwo srebra i złota, a prosił aby datkami bogatemi zniewolił wszechmożnych gwardzistów do wyboru onego. Justinus święcie wykonał polecenie, bo nie zostawując ani grosza dla siebie, wszystko złoto i srebro rozdał gwardzistom, z tą jedynie odmianą, że je rozdał swojém imieniem i pod warunkiem, aby jego samego okrzyknęli cesarzem. Tak się stało. Justinus zasiadł na tronie.

---

[8]) porówn. *Schlosser Geschichte der Bilderstürmenden Kaiser str. 17 i 18.*

Niema się czemu dziwić, że zawiedziony Amantius żalił się i mruczał i wygadywał, więc był nie na rękę i niewygodny nowemu panu, więc go oskarżono o spisek, więc poszedł pod miecz katowski; a ów niedołężny kandydat do korony wrzucony był do więzienia i kamieniami zabity [9]).

Lubo atoli takiemi ciemnemi dróżkami Justinus dopiął się cesarstwa, przecież nie mógł dać rady trudnym powinnościom swoim; a i zapewne niełatwa naówczas była sprawa ze szaleństwem rozjuszonych stronnictw. Mówiliśmy powyżéj, jako istny zawrót myśli opadał rozumy ówczesne. Czczość w głowie, głuchota w sercu łaknęły zabaw, a mianowicie onych igrzysk w cyrkach a amfiteatrach, kędy ogromna ilość wozów na skręcenie karku pędziła z sobą na wyścigi. Ta ochota już się była zagęściła od wielu wieków; wszak Nero, a nawet inne jemu z ducha równe Cezary, wypuściwszy z serca pamięć godności swojéj, same udawały woźniców pragnąc oklasków onego ludu rzymskiego, którego się stały katami. Lubo późniejszemi czasy te pany świata nie brały osobistego udziału w igrzyskach publicznych, przecież powszechne w nich upodobanie wzmogło się prawie do obłąkania — utworzyły się korporacye uorganizowane z tych, co łożyli koszta na konie i wozy; więc były bióra, dyrektorstwa, registratury i cała hierarchia urzędników. Gdy woźnice w cyrkach odznaczali się barwami szat, więc téż im odpowiednie korporacye od tych barw przybrały nazwiska swoje. Zrazu podzieliły się na białych, czerwonych, niebieskich i zielonych; lecz gdy te dwie ostatnie stały się tak potężne, iż pochłonęły w sobie dwie pierwsze, więc zostało tylko stronnictwo zielone i niebieskie. W piérwszéj epoce zielone liczyło

---

[9]) Gibbon, Histoire de la Décadence i t. d. Wydanie Guizota t. VII str. 217.

w gronie swojém 1500 patrycyuszów a niebieskie 900 [10]). A za tymi patrycyuszami, co nielitowali wydatków, stały ciżby ich zwolenników z pospólstwa, które na oślep wykonywały skinienia swoich patronów. Złowrogi to był stan rzeczy, bo partye cyrku nabierały barwy stronnictw politycznych a zwłaszcza religijnych. Słówko jedno, wyraz, frazes, kwestya z onéj metafizyki misternéj jak tkanka pajęcza, zapalały spory na zabój. Przychodziło tedy często do walk morderczych: jakoż np. za cesarza Anastazyusa niebiescy i zieleni tak się zwarli z sobą, iż trzy tysiące trupa padło [11]). I nielepiéj się działo za Justyna. W Antiochii taki zawrotny a zajadły szał opętał zielonych, iż rzuciwszy się z wściekłością na niebieskich, wyrznęli ich prawie do nogi. Morderstwa i rozboje z Antiochii rozbiegły się po prowincyach a posoka ludzka zalała miasta i wioski. A straszno pomyślić, że najwyższa władza sama należała do jednego ze stronnictw, więc nie było miary gwałtów i krzywd. Sądy, policya, zwierzchność każda, nie rozstrzygały sporów wedle słuszności i prawa, lecz wedle tego, do jakiéj kto partyi należał.

Cesarz Justinus będąc już obciążony laty i czując niemoc swoję do rządów, przybrał sobie do rady a wyręki siostrzeńca swojego Justyniana. Lecz wypadało dać Justynianowi władzę przeważną a mianowicie dowództwo nad wojskiem, by go uczynić istotną podporą tronu. O sposobność do tego nie było trudno. Właśnie wtedy niedaleko Konstantynopola stał w miejscu obronném z armią potężną a zwycięzką Vitalinus z rodu Got; chęci jego dla cesarza były wielce podejrzane, zatém

---

[10]) Schlosser l. c. str. 19.

[11]) O tych stronnictwach prawi wyszłe niedawno pismo zajmujące Ad. Schmidt: Der Aufstand in Konstantinopel unter Kaiser Justinian Zürich 1855.

trzeba go było jakoś usunąć. Więc posłano mu zaprosiny słodkie, miluchne, pochlebne, wynosząc pod niebiosa jego zasługi, a waleczność a prawowierne zasady. Otumaniony Got dał się złudzić, opuszcza wojsko, udaje się do Konstantynopola. Justynian wraz z wujem głaszczą go jedwabnemi słówkami. Lecz niezadługo nieoględny wódz, przy stole cesarskim był przeszyty siedmnastu razami, łatwowierność swoją życiem płacąc [12]).

Został tedy Justynian wodzem naczelnym. Należało mu przeto ruszyć z wojskiem na nieprzyjaciół i zarobić na krwawe wawrzyny chwały. To prawda! Lecz jakże w tym czasie odstąpić stolicy! Podeszły wuj mógł lada kiedy umrzeć, a w takim razie przepadłby tron dla siostrzeńca. Więc bezpieczniéj było posłać do boju kogo innego na swoje miejsce. I tak się stało. Wódz naczelny Justynian został tedy w domu; przecież za to po kościołach modlił się rzewnie za powodzenie wojska; a nadto w cyrku oświadczał uroczyście ludowi, jako z całego serca pragnie, by wrogi były pobite. Przytém jednał sobie względne chęci pospólstwa, wyprawiając mu dla zabawy arcyświetne igrzyska. Tak np. na jedném i tém samém widowisku wypuścił w cyrku do walki 20 lwów i 30 lampartów. Krom tego swoił sobie też i senatorów, choć prawda, że ich życzliwość wyfrymarczał kosztem skarbu publicznego. Krótko mówiąc skończyło się na tém, iż pewnego razu dygnitarze państwa, zebrawszy się świetném gronem, stanęli przed zgrzybiałym cesarzem i upraszali, aby ukochanego siostrzanka przyjął za kolegę swojego. Stary Justinus z początku wymawiał się, o ile mógł; w końcu niedowierzając swojemu krewnemu i obawiając się o własną osobę swoję, przystał na te prośby dostojników swoich. Niedługo pó-

[12]) Procopius l. c. porów. z Gibbonem l. c.

źniéj Justinus umarł a Justynian został władzcą świata, a było to w r. 527.

Zanim o Justynianie wspomnimy, przypatrzmy się bliżéj figurom otaczającym tron jego.

Któż z nas nie słyszał o Belizaryuszu! Znamy go z opery Donizettego, znamy go z powieści Marmontella, znamy go z obrazu Gérarda, którego piękne dzieło powtórzyło się niewiedzieć ile razy na rycinach, litografiach i t. d. Na tém malowaniu widzieć możemy, jak to ów niegdyś świetny zwycięzca, sponiewierany niewdzięcznością swego pana, mając na rozkaz jego wyłupione oczy, w postaci ślepego żebraka, boso, o kiju, w łachmanach dźwiga chłopczynę przewodnika, co omdlał ukąszony od węża. Ba! wszak i Dawid zasłużył sobie na piérwsze wieńce malując (w r. 1782) Belizaryusza jako proszalnego dziadka, co wyciągając ręce do przechodzących, błaga o obol, o ów najdrobniejszy pieniążek bizantyński. Przecież gdy nie wszystko jest szczérą prawdą, co mówią romansiści, co wyśpiewują opery a malują malarze; zatém podobno nie zawadzi spytać się naszego Procopiusa o losy tego wielkiego wodza, bo on znał go bardzo dobrze i spisał nam dokładnie prozą wszystko, co widział i na co się sam patrzał.

Otóż wiemy wszyscy, że Belizaryusz rozświecił panowanie Justyniana jasnością sławy wojennéj: on rozniósł potęgę cesarza swojego po trzech częściach świata. Więc powalił nagle jakby gromem państwo Wandalów rozsiadłych szeroko po Afryce północnéj, potém zdobył Katanę, Syrakuzę i Włochy południowe, uczynił się panem Rawenny i wziął dawną stolicę świata, ów Rzym. Tak wódz zawsze zwycięzki, zawsze szczęśliwy, wracał z tryumfem z bez liku wypraw wojennych.

Tak jest, wracał „z tryumfem,“ bo ono Byzancyum spruchniałe, przypominając sobie starorzymskie czasy, rade było podłechtać swoję próżność, wyprawiając try-

bem dawnym uroczyste tryumfy. Więc odbył tryumfy Belizaryus, więc nieśli przed nim zdobycz bogatą, więc krzesła i sprzęty, naczynia złote i stosy klejnotów, i całe kupy pieniędzy i zbroje wysokiéj ceny, i prowadzili pojmanych książąt i jeńców, i było wszystko po dawnemu, z tą tylko różnicą, że jak powiada Prokop [13]), tryumfujący Belizaryusz nie stał na rydwanie tryumfalnym, lecz skromniucho szedł piechotą przez ulice, dążąc przed oblicze cesarskie. Mówią, iż pewnego razu jakiś żydek wpatrując się hardemu pochodowi, wśród łupów zabranych, poznał sprzęty święte sprawione przed półtoratysiącem lat z górą, przez Salomona do kościoła Jerozolimskiego. Te przedmioty starożytne, po zdobyciu świętego miasta, cesarz Tytus uniósł z sobą do Rzymu, a znów po długim, długim czasie barbarzyńcy rabując Rzym zabrali je z sobą, a teraz Belizaryus wydarłszy je z kolei barbarzyńcom, przywiózł do Carogrodu. Gdy Justyniana doszła wieść o tém, co ów żyd gadał, obawiał się kary Bożéj, gdyby sobie przywłaszczył owe zabytki święte, bez zwłoki więc odesłał je do Jerozolimy.

Mówiliśmy, że cesarz zazdrościwém okiem a podejrzliwém sercem patrzał na wielkiego wodza swojego. Przecież to wielce niesłusznie. Bo Belizaryuszowi ani przez myśl nie przeszło, aby na swoję korzyść obrócił sławę swoję i prace a trudy wojenne, choć mu się do tego nieraz sposobna wydarzała pora. Wszak niemało się go naprosili i nabłagali Włosi, by został ich królem; on tę ofiarowaną sobie a tak ponętną koronę, złożył u stóp pana swojego, nie dbając na krzyki włoskie, wyrzucające mu, iż woli być podnóżkiem Justyniana, niż sam królować.

Przecież, choć Belizaryus uczynił władztwo pana swojego potężne i groźne, choć mu podbił mnóstwo miast

---

[13]) Procop. de bello Vandalico II. 9.

i państwa rozległe, bogate, choć mnóstwem zwycięztw niby lśniącemi brylantami, ustroił koronę swojego cesarza, choć go wybawił często z grożącego upadku i ukracał bunty straszliwe wstrząsające tronem Justyniana, przecież to wszystko nie zdołało mu zjednać szczeréj życzliwości pana swojego. Po każdém zwycięztwie przyjmowanym był na zimno i z dumą nieużytą przez zazdrosnego Justyniana; po każdéj szczęśliwéj wyprawie, wpadał jakby w niełaskę i niby zapomnienie. Dopiéro gdy jaki naród ościenny powstał dobywając miecza, gdy strach padał na Konstantynopol; wtedy przypominano sobie Belizaryusza, wtedy kazano mu zwyciężyć i on zwyciężył; a gdy wrócił, znowu raczono go dawną jałową oziębłością. Tak całe życie tego wodza o męztwie lwiém a sercu gołębiém, było pasmem zwycięztw, przeplataném krzywdami i zniewagą. Belizaryusz był istnym bohaterem z cierpliwości i płaszczącéj się pokory!

Lecz stokroć dokuczliwszą biedą niż te niewdzięczności a zawistki Justyniana, były strapienia, których doznawał Belizaryusz w życiu swojém domowém, z powodu niecnéj małżonki swojéj Antoniny. Była to niewiasta bez czci i sromu. Od wczesnéj młodości swojéj szargała się obyczajem rozwiozłym i bezwstydnym. Namiętności jéj zapamiętałe nie miały miary. Ani téż Antonina nie weszła w siebie, gdy się stała małżonką Belizaryusza. Bezuzdna rozpusta miotała jak dawniéj tak i teraz jéj sercem; lecz choć jéj sprosność była światu jawną, choć ta zepsuta niewiasta stała się nawet w tym czasie przegniłego obyczaju przedmiotem publicznéj pogardy, choć wszyscy o tym kale a hańbie jéj prawili, jeden atoli Belizaryusz, będąc sam człowiekiem bez skazy moralnéj, wierzył upornie w zacność majaczącéj go małżonki. Tymczasem Photius własny syn Antoniny z pierwszego małżeństwa, młodzieniec słabego zdrowia

lecz pełen uczuć szlachetnych, oddawna oburzał się na bezecne prowadzenie się matki swojéj.

Stało się atoli, iż niewiasty służebne Antoniny, nie mogąc dłużéj przenieść na sobie zbrodni swojéj pani, wyjawiły Belizaryuszowi hańbę jego domu, a otrzymawszy od niego pod przysięgą zapewnienie, że ich bronić będzie od zemsty zapamiętałéj niewiasty — przyrzekły, że mu dostarczą dowodów jéj występków. I to się stało — Lecz Teodozyusz gach uciekł do Azyi. Łzy i sztuczki zwodne Antoniny przebłagały Belizaryusza, a one nieszczęsne służebnice na rozkaz jéj potajemny schwytane, rozsiekane były na drobne sztuki i wrzucone do morza.

Antonina przecież wiedząc o niechęci jaką wzbudzała w duszy własnego syna, nie szczędziła wymyślnych demonicznych środków, by mu zaprawić życie palącym jadem. Photius przywiedziony do ostateczności staje przed Belizaryuszem i nieoszczędzając już własnéj matki swojéj, odsłania haniebne jéj występki i życie zwalane ohydą namiętności i chuci. Belizaryusz do żywego dotknięty, klęka przed młodzieńcem i zaklina, aby raczéj pamiętał na powinności honoru, niż na pochodzenie swoje i wzywa go do spólnego przymierza przeciw matce jego. — Obaj tedy podniósłszy ku niebu rękę, w obec świętego ołtarza przysięgają sobie nawzajem, że się nie opuszczą, że nawzajem się bronić i wspomagać będą, i że wyświecą na jaw potworne życie Antoniny. W skutek tych ślubów wzajemnych Photius udaje się bezzwłocznie do Efezu, tam wymusza na powierniku matki swojéj oczywiste dowody jéj hańby. Uwięził jéj gacha Theodoziusa i odbiera mu bogactwa bezwstydem nabyte. Photius atoli tém postępowaniem gwałtownem, pominął formy prawne, a tak oddał wrogom swoim miecz na siebie. Belizaryusz zaś obaczywszy się z małżonką, w pierwszéj chwili gniewu kazał ją pojmać. Lecz cesa-

rzowa Teodora sama zbezczeszczona życiem występném a sprosném, ujęła się za przyjaciołką, a nawet jeszcze pośredniczyła jéj z gachem. Belizaryusz był odwołanym i na rozkazanie cesarzowéj, w jéj przytomności uścisnął małżonkę; co mu atoli bez trudności przyszło, bo on sam wzdychał od dawna do pory sposobnéj pojednania się z ukochaną żoną.

Antonina atoli choć się niby pogodziła z małżonkiem nie przebaczyła synowi. Photius dotknięty był okrutną karą, nie będąc nawet wysłuchanym. Wzięto go pod męki katowskie; tortury nieludzkie niezdołały atoli wymódz zgwałcenia przysięgi uczynionéj przed ółtarzem Belizaryuszowi. Wytrzymywał katusze najsroższe oprawców. Dwa razy udało mu się uciec i schronić się do kościołów najwyżéj od ludu czczonych, ale dwa razy nieszczęsny młodzieniec był przez siepaczów swojéj matki gwałtem oderwany od stóp ółtarzy i zawleczony w ciemne kaźnie znajdujące się pod jéj pałacem. Przecież po trzech latach powiodła mu się ucieczka ze strasznego więzienia — umknął do Jerozolimy i tam został mnichem. A Belizaryusz? — Belizaryusz tak się lękał żony swojéj, że mimo owych najświętszych przysięg swoich, nie ośmielił się ująć za młodym przyjacielem. Może tajemne męki jego duszy z niedotrzymanego mu słowa, sroższe były niż okrutne tortury, które wycierpiał nieszczęśliwy Photius [14]).

Niezadługo znowu dano generałowi dowództwo i wysłano do Persyi. I znowu Belizaryusz ocalił Wschód. — Pewnego razu atoli w obozie rozeszła się mylna wieść o śmierci Justyniana. Naczelny wódz wierząc téj pogłosce, swobodniéj niż zwykle wyraził się o panowaniu cesarza. Więc pod pozorem błahym przywołano go do Konstantynopola. Gdy Belizaryusz ze szczupłém gronem

---

[14]) Co się tyczy Photiusa, porówn. Gibbon l. c. T. VII. c. XLI 41.

swoich przyjaciół zbliżał się ku stolicy, wyprawiono cichaczem komisarzy do obozu, nakazując, aby skonfiskowali majątek jego, i postarali się o dowody jego winy. Gdy wielki wódz szedł przez ulice Carogrodu w towarzystwie tak nielicznego orszaku — lud stawał— i patrzał się w milczeniu na ten widok. I Belizaryusz pogromca ościennych państw i zbawca od wrogów, zeszedł teraz na przedmiot litości ulicznego pospólstwa! Justynian i Teodora przyjęli wodza z lodową oziębłością, a dworaki z zuchwalstwem a urąganiem. Udał się Belizaryusz do własnego pałacu, tam powitały go pustki i głuchota. Antonina unikając spotkania z nim, w pogardliwém milczeniu zamknęła się w komnatach swoich. Wieczór zapadł, Belizaryusz drżąc z lęku i boleści, rzuca się na łoże. — Prawie już noc zaległa samotność jego, gdy się pojawił przed nim sługa z pismem od cesarzowéj Teodory. Ze strachem Belizaryusz otwiera list ten i czyta: „Wiesz zapewne, żeś zasłużył na nieukontentowanie moje. Mogłabym ci kazać życie odebrać i cały majątek twoj zagrabić na skarb publiczny. Raczę atoli łaskawie uwzględnić zasługi twojéj małżonki; zostawiam ci tedy życie i część twoich skarbów, ale nakazuję, byś objawił wdzięczność małżonce swojéj, przecież nie czczemi słowami, lecz całém postępowaniem życia swojego.“

Generał przeczytawszy list ten, udał się do Antoniny, ukląkł przed nią i ucałował stopy jéj [14]).

Lecz ukończmy obrzydliwy ten wizerunek, dołączając jedynie jeszcze słów kilka o śmierci Belizaryusza. Wiele jeszcze lat przeminęło, wiele jeszcze zwycięztw uwieńczyło wawrzynem czoło carogrodzkiego wodza, gdy w samych ścianach stołecznego pałacu, zawiązał się spisek. Bo oddawna już niezadowolnienie i niechęć ogarnęły umysły. Ale zamachy się wykryły. Mnóstwo dygnitarzy

---

[14]) Gibbon l. c. XII.

uwięziono. Rozpoczęły się śledztwa. Dwóch dworzan Belizaryusza wzięci na męki zeznali, że należąc do związku, postępowali wedle polecenia swojego pana. Tak przeto mąż ten, który przez lat czterdzieści składał dowody wierności swojéj i najwyższych zasług, teraz został uwięziony w pałacu swoim i przed sąd stawiony — i odsądzony od majątku. Niedługo późniéj atoli uznano niewinność jego, wrócono mu zaszczyty i dawny stopień. Jednak po ośmiu miesiącach Belizaryusz umarł — na serce. [15]).

Mówiąc atoli o Belizaryuszu i małżonce jego Antoninie, trudno nie wspomnieć o trzeciéj figurze z onych czasów, bo o sekretarzu tego wodza. Tym sekretarzem był właśnie ów Procopius, wspomniany powyżéj jako główne źródło naszego opowiadania. Był on niby dwołakiem, a przecież niby mężem prawym, był niby lękliwym a przecież odważnym, był niby człowiekiem szczerym, a przecież mściwym. Wszak to on w dziełach swoich spisał najważniejsze sprawy ówczesnéj epoki. Naprzód skreślił historyą wypraw wojennych Belizaryusza i takową poświęcił cesarzowi; ale gdy Justyniana korciła sława generała wyświecona w tych dziełach, więc autor nie otrzymał żadnéj nadgrody. Więc Procop dworski ćwik — zgrabnie uchwycił tę stronę panowania Justyniana, która zaiste była najświetniejszą, bo opisał

---

[15]) Gibbon l. l. X. c. XLIII.

Niewiem dla czego *Sismondi* (Histoire de la chute de l' empire Romain T. I. str. 347) powtarza wieść o żebractwie Belizaryusza. Wszak nawet skonfiskowanie skarbów jego, pewnie nie pociągało za sobą żebraniny ulicznéj, o któréj prawi Sismondi. A ta bajeczka tém osobliwsza w jego dziele, gdy szanowny jego rodak Le Beau w swojéj historyi Wschodniego Państwa ks. XXXXIX wytknął długo przed panem Sismondi nieprawdę téj wieści i wraz z innymi autorami wykazał, że ona wyszła z lekkomyślnego Tzetzesa nie bardzo znakomitego pisarza żyjącego dopiéro w 12 wieku.

budynki wystawione przez tego cesarza i wynosił pod obłoki wspaniałość a mądrość jego. Liczył na sute, okazałe uznanie swojéj pracy. Lecz i tym razem nie wyszedł na swoje. — Ominęły go spodziewane dzięki hojne; snać, że Justynian jeszcze krzywo patrzał na pochwały, któremi autor obsypał Belizaryusza. Wtedy oddając Procopius wet za wet, napisał pokryjomu rodzaj pamiętników tajemnych (anecdota arcana) i w tych już nieżałując sobie i nikogo nieoszczędzając, zdarł oponę z postaci Justyniana i Teodory i wywlókł ich pamięć na ohydę potomności. Czytając te pamiętniki, myśl się wzdryga na te wizerunki jego, i odwracamy się z obrzydzeniem od onych czasów o bagnistém sercu, a radzibyśmy nie wierzyć Procopiusowi; — przecież jest rzeczą pewną, że on nie zmyślał kreśląc te obrazy. Wszak sam Montesquieu, wszak sam Gibbon wierzą tym pamiętnikom! Dla naszego celu wystarczy przytoczenie, choć w skróceniu, kilku słów jego, wyjętych ze wstępu do tych „Arcanów“. „Trwożę się myślą“ mówi Procop „czyli opisanie moje żywota Justyniana i Teodory, nie będzie się kiedyś zdawało niepodobném do prawdy; obawiam się, abym nie był uważany za bajarza niegodnego wiary, a ja przecież mówić będę o rzeczach jawnych, zaświadczonych przez ludzi, którzy dziś żyją. Wszak z drugiéj strony, niewoliła mnie jeszcze do pisania nadzieja, iż ci, którzyby kiedyś w przyszłości, również tak haniebnie panować chcieli, powezmą w tych księgach odstrach od złego, widząc, jakto historya oddaje zbrodnie na przekleństwo potomnemu światu. A przytém dufałem, iż gdyby znów kiedyś miały w dziejach nastać okropne czasy naszym podobne, wtedy nieszczęśliwi czytając historyą naszéj epoki, znaleźliby ulgę w zwém strapieniu. Bo wszyscy nieszczęściem nękani tém się zwykle pocieszają, że to nietylko na nich samych spadają srogie klęski“.

Wiemy, jak to w duchu starego Rzymu, dwa główne pracowały pierwiastki; bo gieniusz wojenny i gieniusz prawnictwa. Stary Rzymski lud był ludem żołnierzem-prawnikiem, a te dwa pierwiastki żyły w nim taką potęgą, że zrodziwszy się z onemi bliźniakami przez wilczycę wyniańczonemi, przetrwały wszystkie koleje, wszystkie jasne i ciemne epoki państwa rzymskiego, a przeniosły się nawet w późny świat byzantyński. I zaiste, jak pod Justynianem Belizaryusz jest uosobieniem gieniuszu od miecza, tak prawo znalazło pod tym cesarzem swojego wyobraziciela, a był nim głośny po wszystkie następne czasy Tribonianus.

Wszak każdy, który choćby wieścią posłyszał o umiejętności prawa, wie, że rdzenią a sercem jurisprudencyi, od półtoratysiąca lat bezmała, jest prawo rzymskie; wie, że ona gruba księga, którą „*Corpus Juris*“ zowiemy, jak jest podwaliną węgielną wszelkiego ustawodawstwa państw cywilizowanych Europy, tak jest również wyćwiką bystrości prawniczego rozumu. Więc też nikt nie może zwać się prawnikiem, kto nie skąpał ducha swego w tém arcydziele prawniczém. Otóż to Corpus Juris powstało za czasów i z rozkazania Justyniana, a za sprawą i przewodnictwem jego kanclerza Państwa (quaestor sacri palatii), Triboniana.

Tribonian był człowiekiem niesłychanéj erudycyi! bo iście strachy nas biorą na samą myśl olbrzymiéj jego uczoności; ale przytém był zachowania uprzejmego a gładkiego. Rozum jego niby piskorz zwinny, wysmykujący się ze wszelkich trudności; serce jednak jadła chciwość przedajna a łakomstwo zdziercze tak bezsumienne, iż bióro jego było niby straganem, kędy się targowano o wyroki sądowe. Więc też gdy w r. 532 wybuchł ów rokosz okropny, straszliwy, który o mało co niewywrócił tronu Justyniana, zaciekła nienawiść rozhukanego ludu rzuciła się głównie przeciw Tribonianowi. Więc ce-

sarz zniewolony będąc koniecznością, złożył go z urzędu. Tribonianus atoli należał do tych ludzi, co choć strąceni z wysoka, zawsze jakoś na nogi padną; więc też, po uśmierzeniu owego powstania, znów na wierzch wypłynął i wrócił do dostojeństw swoich i do zbierania złotych plonów swojéj jurysteryi. Taki to był człowiek, co przysłużył się europejskiéj umiejętności dziełem prawniczém, nad które nie było, ani zapewne nie będzie ważniejszego.

Powiedzmy słówkiem, jak się rzecz miała z tém Corpusem. Od czasów starorzymskich namnożyły się z koleją wieków: ustawy, przepisy i prawa bez liku i końca, — do tego jeszcze przybyły dzieła umiejętne wielkich prawników, mających cześć i wysokie zachowanie w świecie jurisprudencyi; więc niema się czemu dziwić iż te źródła prawne, spadając „jakby grzech pierworodny z pokolenia na pokolenie“, urosły w taką ilość olbrzymią, żeby było czém jak ówczas mówiono obciążyć całą gromadę wielbłądów.

Już za czasów Konstantyna W. myślano o przejrzeniu tego lasu bezdrożnego ustaw; lecz zaledwie się jęto téj roboty, ogrom niewypowiedziany materyałów odstraszył pracowników. Dopiero Justynian jakby „natchniony duchem Bożym“, taka niby jest myśl własnych jego słów, postanowił skrócić to prawodawstwo tylu stuleciów i zebrać je w jednę książkę, a tak dokonać dzieła o którém nikt dawniéj ani zamarzyć się nieośmielił.

Cesarz Justynian polecił tę pracę Tribonianowi. Niema wątpliwości, że najtrafniejby byłoby odpowiedziało temu zamiarowi dzieło systematyczne, roztaczające najgłębszą treść i niby duszę onych nieprzebranych materyałów jurisprudencyi. Jednak na taką księgę ustaw nie stać było epokę ówczesną świata, na taką pracę zdobyć się nie mógł nawet Tribonian mimo bystrości,

mimo olbrzymiéj nauki swojéj. Bo dzieło takowe wymagało twórczéj żywéj potęgi, samodzielności duchowéj, a téj nie było w przeżytém państwie byżantyńskiém, omdlewającém ze starości. Jak w sztuce pięknéj tak i w prawodawstwie, brakło wówczas już mocy rodzącéj, a na miejsce jéj celowała jedynie mechaniczna wprawa, technika; miejsce mistrzów zajęli majstrowie, a zamiast kompozycyi popisywało się wirtuozostwo w kompilowaniu. Taki téż ma charakter owe prawodawstwo Justyniana, a mianowicie najgłówniejsza część jego, bo *Digesta* (Pandekta). Tribonian zebrawszy po naszemu mówiąc, komissyą złożoną z najwyższych i najuczeńszych dygnitarzy państwa, rozdziela ją na trzy sekcye, a każdéj z tych sekcyi oddaje jeden z trzech rodzajów źródeł prawodawczych, polecając jéj wypisywanie z nich wyjątków krótkich a treści pełnych i które dopiero miały być układane w porządku różnych materyj. I szła ta robota jakby we fabryce, żwawo, ochoczo, niesprzykrzenie, a jéj duszą wszędzie i zawsze obecną, był Tribonianus, istny gracz do rzeczy takowych. Mając już gotowe wyjątki wszystkich trzech sekcyi, pospajano je wedle materyi mechanicznie, niby sztuczną mozaikę; z tą tylko różnicą, że mozaista naprzód z góry wie, jaki mu się obraz z tych drobnych kamyków jego złoży, co więcéj, że niekiedy sam bywa twórcą tego obrazu, który idealnemi oczyma przed sobą widzi; praca zaś Triboniana i spółrobotników jego, zależała od materyału zostawionego puścizną od przeszłych wieków. Cesarz naznaczył dziesięć lat na dokonanie téj pracy. Atoli energia i niesłychana zręczność a istne wirtuozostwo Triboniana, dokazały tego, iż praca dokończona była dużo wcześniéj, mimo to że trudy prawodawcze przerwane zostały na dłuższy czas owym buntem niebezpiecznym. Więc téż Justynian w radości serca swojego, unosi się pochwałami i gorącą wdzięcznością, oddając

słuszność onéj skrzętnéj czeladzi prawniczéj. A jest rzeczą wielce charakterystyczną, że cesarz arytmetycznie wylicza i niby na łokcie mierzy tę robotę, mówiąc, że trzeba było przewertować 2000 ksiąg, że trzeba było trzy miliony wierszy przeczytać i popisać 9000 wyjątków i t. d. i t. d., zanim się to dzieło złożyło [17]).

Tak tedy jak wszystkie pojawy duchowe téj epoki, tak i to Corpus juris, jest istnym i wiernym odgłosem owéj społeczności. W téj księdze, jakeśmy rzekli, nie dopatrzysz się genialności, ani twórczéj mocy, ta księga jest bezduszną kompilacyą bez wszelkiego wyższego natchnienia, bo była sklecona rzemieślniczą zręcznością, mechanizmem doskonałym. A przecież, przecież ona sprawiedliwie bywa nazywaną arcydziełem jurisprudyncyi i pomnikiem, co przetrwa wszystkie inne prace tego rodzaju! Z tego już poznać można wielkość owych prawników starego Rzymu i znaczenie głębokie ich dzieł mistrzowskich, z których Tribonian i koledzy jego pozbierali one wyjątki swoje. Lecz dość już o tym Tribonianie i o młodszéj braci jego. —

Było to jeszcze za czasów Anastazyusza cesarza', gdy pewnego razu podczas uroczystości, amfiteatr w Konstantynopolu napełnił się ludem czekającym na ulubione igrzyska i hece. Wtedy w środku Areny pojawiły się trzy dziewczątka małe. Śliczne to były dzieci! Najstarsze miało zaledwie lat siedm. Wystąpiły one ubrane zwyczajem tych, co proszą o łaskę. Gdy się zwróciły błagając ku stronie, kędy siedzieli zieleni, ich prośby przyjęto sarkaniem i pogardą; przeciwnie niebiescy okazali biednym dzieciom jakieś współczucie i życzliwość litosną. Ojciec tych dziewcząt przez wiele lat był dozorcą dzikich zwierząt chodowanych dla cyrku i ztąd nazwany był „niedźwiedziarzem"; umarł, zostawując te trzy

---

17) **De confirm. Digestorum 1.**

małe sierotki. Matka ich pragnąc, aby urząd ojca nie wyszedł z rodziny, czém rychléj wybrała sobie powtórnego męża, ufając, że jemu dostaną się obowiązki nieboszczyka; lecz nadzieje ją omyliły, bo nie jemu, lecz komu innemu udzielono to miejsce. Teraz więc wysłała do Cyrku te dziewczątka swoje, aby wybłagać u ludu jakieś łaski dla siebie. [18]).

Otóż średnia wiekiem dziewczynka zwała się Teodora: ją przeznaczyły losy na cesarski tron. Teodora pamiętała zielonym do śmierci ich przyjęcie i przez długie, długie lata mściła się krwawo za ową obelgę swoję doznaną od nich na arenie. Ona wychowała się przy cyrku, a już we wczesnéj młodości przepadła w bagnisku najokropniejszéj rozpusty. Występowała wprawdzie na scenie, ale nieumiejąc ani grać na flecie, ani śpiewać, miała sobie udzielone jedynie role niewolnic: więc na scenie nosiła na głowie krzesło za siostrą swoją; więc celowała pantomimą, więc błaznowała na wielką uciechę zgromadzonéj drani; a zwłaszcza gdy nadęła twarz udając boleść z otrzymanych policzków, już cały teatr trząsł się śmiechem i poklaskiem zgromadzonéj, a znać, jak grubasznéj publiczności. Mniejszaby było jeszcze o to, jednak życie jéj bezecne, bezwstydne, czyniło ją wyrodkiem ludzkiéj natury. Dość powiedzieć, że uczeni wydawcy dzieł Procopiusa dla uniknienia zgorszenia opuścili całe ustępy, w których skreśla obyczaje Teodory. Więc i my nie rozwodźmy się już nad jéj prowadzeniem się; powiemy tylko tyle, iż w tym Konstantynopolu rozhukanym zmysłową swawolą taka jednak rozszerzyła się odraza do téj Teodory, iż kto rano wyszedłszy obaczył ją na ulicy, już to spotkanie za złą wróżbę sobie uważał, wierząc, że tego dnia jakie nieszczęście na niego spadnie. [19]).

---

[18]) **Procopius Arcana 9.**

[19]) **Procop. 9.**

Przecież mimo tego bezwstydnego życia, Teodora zachowała cały urok niewypowiedzianych wdzięków swoich. —

Justynian wstąpiwszy na tron wziął ją za małżonkę i uczynił cesarzową.

Trzeba atoli wyznać, iż odziawszy się purpurą zmieniła tryb prowadzenia swojego; lecz zato napuchła dumą bez miary. To nie Justynian, lecz raczéj ona rządziła państwem, ująwszy myśli i serca poddanych jakby w kleszcze żelazne. Nie było już swobodnego oddechu w cesarstwie, a im wyższe kto piastował urzędy, tém podléj się musiał płaszczyć, by nie stracił względów łaskawych. W dnie uroczyste senatory i dostojniki państwa i dworu, wedle przepisów ceremoniału, postępując długim szeregiem przez sale złociste, kędy zasiadała Teodora na tronie, z kolei rzucali się wszyscy na ziemię, i czołgając się milczkiem, i opierając rękami na ziemi, całowali końce jéj stóp. [20]).

Gdy w świetlicach cesarzowéj kapało złoto, gdy wykwintny zbytek i przepych szalony stroił jéj błyszczące mieszkanie, pod pałacem w ciemnościach jęczały na mękach jéj ofiary. Ona nieprzebłagana, okrutna, nie zapominała nigdy urazy — więc biada każdemu, kto na siebie zwrócił nieukontentowanie cesarzowéj. W tym stanie najstraszliwszym i zgrozy pełnym, niema się czemu dziwić, że lud, że sam Procopius uwierzył, że Teodora miewała ze szatanami konszakty miłośne, że pewnego razu widziano Justyniana w postaci lucyfera na tronie, że po nocach przechadzała się po świetlicach cesarskich postać straszna, bez głowy itd.

Przecież ta niewiasta sama jedna w całym dworcu cesarskim miała rozum bystry, zuchwały, ona sama jedna miała serce męzkie. Wszak podczas owego okro-

---

[20]) **Procop. Arcana 30.**

pnego buntu wspomnianego powyżéj (w r. 522) [21]), gdy sojuszem chwilowym złączyły się stronnictwa zielonych i białych na obalenie tronu, gdy od wielu, wielu dni rozkołysane wściekłością pospólstwo, biło się po ulicach z wojskiem, gdy pożar za pożarem obracał w perzynę najwspanialsze budowy, zakłady, kościoły i rynki stolicy, gdy w samym pałacu wszyscy utracili odwagę, gdy sam cesarz przejęty strachem, chciał już uciekać na statku przygotowanym do tego celu w porcie; Teodora sama jedna uratowała zwątpioną sprawę. Jakoż stanąwszy w obec męża a wśród wodzów i dygnitarzy, tak się odezwała: „Zaiste, teraz nie chwila po temu, byście rozbierali czyli przystoi, aby kobieta wbrew trwożliwym polecała odwagę! Myślę atoli, że powinnością jest, aby w godzinie najwyższego niebezpieczeństwa rozważyć, jak zaradzić złemu. Jestem przekonaną, że ucieczka jest hańbą nawet wtedy, jeżeli przyniesie ocalenie. Każdy, kto ujrzy jasność świata, umierać powinien; a dla władcy najokropniejszym sromem, błąkać się jako tułacz mizerny. Lecz ja nie chcę doczekać się dnia, w którymbym się bez purpury okazała światu, i nie chcę dożyć godziny, w któréjby mnie spotykali ludzie, bez oddania mi czci jako cesarzowéj. Jeżeli zaś ty cesarzu obstajesz za ucieczką, uczyń wedle woli twojéj: tu masz skarbów stósy, tam masz okręt gotowy i morze otwarte! Ja zaś trzymam się staréj zasady, że najpiękniejszym łożem śmierci — jest tron". —

Te słowa zniewoliły wszystkich — postanowiono bronić się do ostatka, i po krwawych morderczych walkach, bunt został powalony. A Justynian nawzajem Teodorze zawdzięczył koronę.

Zaiste, dość tych figur; wystarczą one, by uzupełnić

---

[21]) **Co do tego buntu odsyłam czytelnika do powyższego a świeżo wyszłego pisma p. Schmidta.**

smętny obraz onych czasów. Cesarstwo Wschodnie konało długą niewyleczoną chorobą — rak toczył serce jego, rozum przemądrzały, przerafinowany skręcił jego myśli; siły rodne, twórcze, od dawnego czasu wymarły, bez nadziei zmartwychwstania; cywilizacya starożytnéj Grecyi, i pradziadowego Rzymu przechowała się mumią; fantazya artystyczna o istném zachwyceniu wstąpiła od dawna do grobu. Więc kalkuł chłodnego rozumu, więc wprawa techniczna rąk, więc tradycya stereotypowa ciągle siebie powtarzająca, zajęła miejsce sztuki z natchnienia zrodzonéj.

Przecież z drugiéj strony, nie ceńmy zbyt lekko owych bizantyńskich czasów; i one dokonały swojego powołania w dziejach ludzkości, i one pewnie miały w rdzeni swojéj jakąś siłę a moc. Wszak to wschodnie cesarstwo jeszcze po Justynianie przeczekało lat 900, zanim runęło pod uderzeniem Turków. A ten wielowiekowy żywot, choć był tylko długiém konaniem, jest przecież jawnym dowodem, że to państwo nie było, bez treści a siły wewnętrznéj. Tą treścią była cywilizacya, która lubo zepsuta, nadawała atoli ogromną przewagę carogrodzkiemu cesarstwu, nad dziczą zalewającą ówczesny świat; tą siłą jego była organizacya władzy doskonała, rozsnuta jakby robotą pająka po prowincyach, a zbierająca się jakby węzłem w Konstantynopolu. I ta centralizacya była raczéj koniecznym wypadkiem niż powodem wskruś zepsutéj, robaczliwéj społeczności.

Wszak opatrzna mądrość czuwająca nad światem, przedłużając żywot tego państwa, z niém razem przechowała dziedzictwo dawnéj greckiéj i rzymskiéj kultury. Bez cesarstwa Wschodniego cały bogaty dobytek umiejętności i sztuki, którego się dosłużyły niesłychanym trudem dawne wieki, i te wszystkie tryumfy ludzkich gieniuszów przepadłyby na zawsze w zapomnieniu, byłyby stracone dla Historyi i w niwecz obrócone przez

barbarzyńską czerń, rozsiadającą się na gruzach dawnych dziejów. I stał ten Konstantynopol, aż do owéj chwili, gdy Europa a zwłaszcza Włochy, odbywszy średnie wieki, już dojrzały i już były przygotowane do przyjęcia skarbów mądrości i nauk i kultury starożytnego świata. Wtedy dopiero ten Konstantynopol runął a duch dawnych stuleciów w nim przechowany, przeniósł się do Italii i do innych ludów Europy, by ich odświeżyć, odrodzić życiem dawno zapomnianém i sprowadzić Historyą na nowe dotychczas nieznane ścieszki. Więc i panowanie Justyniana a nawet własna jego osoba, nie zasługuje na zbyt lekkie ważenie. Bo to przecież za jego czasów, lubo za sprawą Belizaryusza, oręż cesarski dobił się potęgi i nowych dzielnic po trzech świata częściach, bo to przecież z natchnienia tego cesarza, a pod jego powagą zrodziła się ona znakomita księga praw, bo to wreszcie trudno zaprzeczyć, że okres jego rządów zajaśniał jeszcze innemi znakomitemi czynami. Tak tedy nie łatwo by przyszło odmówić Justynianowi duchowego i osobistego znaczenia.

Wszak ten Cesarz miał jeszcze jednę zasługę powyżej zaledwie przez nas z lekka wspomnianą, a która właśnie nadaje się składnie do celu niniejszéj rozprawki naszéj, zatem téż ukończymy ją tém, że się téj zalety Justyniana z lekka dotkniemy.

Cesarz Justynian gorzał chęcią odznaczenia rządów swoich dziełami sztuki, a zwłaszcza téż świetnemi budynkami. Stąd Konstantynopol, stąd miasta wszystkie a prowincye choć oddalone, zajaśniały wspaniałemi dziełami architektury. Styl bizantyński doszedł pod Justynianinem najwyższego południa swojego. Jednak najświetniejszym szczytem a owocem najogromniejszego mocowania się onego czasu, był kościół *Śtéj Zofii*, który dziś obrócony przez Turków na meczet, jest zawsze jeszcze sławnym podziwem świata.

Od czasów Konstantyna Wielkiego, szczycił się Carogród kościołem pod wezwaniem Zofii Śtéj, lecz takowy zgorzał płomieniem w czasie wspomnionego powstania. Całą duszą jął się tedy cesarz nowéj budowy. Dziesięć tysięcy robotników chwyciło się téj pracy. A wśród nich Justynian sam pojawiał się codzień, ubrany dla pokory w szaty białe niciane. Lecz zaledwie ukończono budowlę, trzęsienie ziemi zniszczyło znaczną jéj część. Nie odstręczyła się tą klęską silna wolna cesarza — ba, lud cały zajmował się serdecznie tą myślą, więc modlił się, i odbywał processye, i w najwyższem natężeniu duszy czekał dokonania olbrzymiego dzieła. Justynian trzech najpiérwszych dygnitarzy wyprawił na wyspę Rodus, by czuwali nad wyrobieniem cegieł mocnych a jak można najlżejszych. Na każdéj cegle wyciśniono napis „Bóg ją zachowa, ona nie zadrga w sobie i doleży od ranka do ranka“. Święte relikwije wmurowano we fundamenta; a ile razy stanęło nowych 12 warstw cegieł, cesarz i lud cały odprawiał publiczne nabożeństwo. Jak zaś ogólny był zapał w téj sprawie, z tego widać, iż wierzono, że pomoc samego nieba jawnie, widomo towarzyszyła téj budowie. Tak chodziła wieść, że gdy pewnego razu sami architekci nie umieli sobie radzić w jakiejś trudności konstrukcyi, w nocy okazał się cesarzowi anioł we śnie i objawił mu sposób rozwiązania onéj trudności.

Tak dźwignęła się ta świątnica na wszystkie kraje głośna. I zaiste, sam ogrom i zuchwalstwo kopuły godne podziwu. Ta kopuła jest sklepiona a arcypłaska, bo jéj wysokość liczy tylko jednę szóstą część jéj średnicy, a średnica olbrzymia dochodzi 108 stóp. Nie rozwodzimy się już o onych półkopułach, co z zachodu i wschodu przypierają do tej kopuły, ani o onych niezmiernéj potęgi filarach, które dźwigają brzemię skle-

pień i kopuł całéj świątnicy, która zewnątrz widziana wznosi się „niby góra nad inne dzieła ludzkich rąk“.

Z drugiej strony wyznać winniśmy, że kościół Śtéj Zofii jest raczéj dziełem kalkulującego i rafinowanego rozumu, niż artystycznego natchnienia, że szczegóły architektoniczne, jako gzymsy, kapitele, filary i kolumny, nie są rozwinięte dostatecznie, że żyją jakby stulone w sobie: rzekłbyś, że te szczegóły nie ośmielają się wystąpić na jaw, ale że lękiem przejęte stanęły na pół drogi, nie mając do swojego rozrostu dostatecznego oddechu, że je trzyma potęga wszechwładna wszystko w sobie kupiąca, koncentrująca. Wszak ta siła koncentracyi, dośrodkowa, wyjawia się niby symbolicznie tak we formie kwadratowéj planu gruntowego, jako i w kólistości łuków i półkulistości kopuł. Chętnie téż przyznajemy, iż zamiast twórczości mistrza, widzimy tutaj drogość materyału i kosztowność pozłoty, mozaiki i wysokiéj ceny kamienic a nadewszystko najdoskonalsze techniczne wykonanie. Mimo tych niedostatków, nikt przecie nie zaprzeczy, iż ta świątynia jest istną chwałą chrześcijańskiego świata i onéj epoki, która ją stworzyła [22]).

Nielada to był styl, skoro on znalazł tyle miłości w ówczesnéj Europie i skoro dziś jeszcze tu i owdzie chętnie bywa naśladowany. A co więcéj, ten architektury rodzaj jest tém wyższego dla estetyka i dziejopisa—filozofa znaczenia, że styl ten niby niemą mimiką tak wyraźnie prawi o historyi wewnętrznej tych dawno zapadłych wieków.

---

[22]) Najdokładniejszego wyobrażenia o tym kościele nabrać można z pracy p. Salzenberg, który z polecenia N. króla Pruskiego a kosztem ministerstwa handlu i robót publicznych wydał to dzieło z atlasem przepysznym przedstawiającym plany architektoniczne kościoła Śtéj Zofii i innych świątnic Carogradzkich pod tyt. Altchristliche Baukunst von Constantinopol vom V bis XII Jahrhundert. Berlin 1854. -

Nakoniec téj architekturze bizantyńskiej z mistrzowska wtóruje spółeczne malarstwo bizantyńskie. Wszak wiele o niém rozprawiano, wypatrując niedostatki jego. Lecz cechy, które w niém widziano, były tylko ujemne, negacyjne; więc obumarłość, więc martwicę głuchą, więc sztywną otrupiałość mumii. Przecież uważmy, że podobne cechy negacyjne miało i państwo carogrodzkie; lecz gdy właśnie jego długotrwałość dowodzi, że były i siły twierdzące, dodatne; więc téż i malarstwu, będącemu jego istnym wykwitem, pewnie nie braknie i tych pierwiastków dodajnych.

Jak w rzeczy każdéj, jak w człowieku każdym, tak i w tym stylu nierównie łatwiéj wypatrzyć niedostatki niż zalety! Więc tutaj lubo na prędce, obaczmy czyli nam się nie uda wytłumaczyć na lepsze tych właściwych cech tego bizantyńskiego malowania, co zwykle tak bardzo bywa ganione.

To złoto lub lazurowe tło tych figur! Wszak to są postaci święte wzniesione nad naturę, nad rzeczywistość; więc nie otaczają ich krzewy, kwiaty, góry i obłoki ziemskiéj natury: one przerwały stósunek swój ze ziemią grzeszną — złoto to nijakość barwy i błękit to wzniesienie się niebiańskie nad wesele i płacze doczesne. Te twarze posępne, smętne, ciemno-brunatne tak są dalekie od wszelkiéj idealnéj piękności, iż zaledwie w lekkich rysach twarzy, zaledwie w draperyi tylko z lekka dosłyszanym odgłosem przypominają piękność klassyczną idealną dawnéj Grecyi i epoki Phidiaszowéj. — Uważmy atoli, że te bizantyńskie postacie patrzą na nas z innego świata, ich nie obchodzą uroki ziemskie, w nich przestało bić serce, bo to ich serce jest niby wiecznością, ono nie zna, co życie i puls, co pukanie krwi, bo nie zna co czas. Te figury patrzą na nas, jakby były już patrzały na sąd ostateczny, jakby od zgrozy skamieniały; — dla nich niema przeszłości, niema jutra. Ośmieliłbym się jeszcze

twierdzić, że było koniecznością przez same dzieje świata nakazaną, aby ona piękność idealna klassyczna pogańska zamarła niby w trumnie w tych byzantyńskich malowaniach. — Zaiste! ta fantazya klassyczna skonała, aby znów odrodzona, wyświęcona nowym chrześciańskim żywotem zmartwychwstała kiedyś w nowożytnéj sztuce europejskich ludów. — Jakoż w 15 i 16 stuleciu najwyższém zadaniem przebudzonéj sztuki nowożytnèj, było zaślubienie owéj głębokiéj treści chrześcijańskich mistrzów z pięknością idealną, właściwą sztuce klassycznéj dawnéj Grecyi; — fantazya sztuki romantycznéj tak bujnie rozwinięta w wiekach średnich, miała na się przybrać formy artystyczne czasów Peryklesowych. — Lecz aby się to ziściło, należało koniecznie, aby wprzód fantazya twórcza mistrzów i wieszczów chrześciańskiego świata, rozwinęła się po swojemu, aby urosła o własnéj sile i z całą swobodą, więc bez wpływów owéj sztuki klassycznéj, co choć była córą najwyższéj olimpijskiéj piękności, była przecież obcą, bo pogańską — i dla tego właśnie ta sztuka starogrecka ustąpiła na długie wieki ze świata, i dla tego właśnie ona zamarła w bizantyńskich dziełach. — A gdy ona zasnęła jakby w grobie, wtedy sztuka ludów chrześcijańskich w sobie się wzmogła i spotężniała właściwą sobie romantyczną fantazyą, i gdy się już dorobiła własnéj istoty swojéj, wtedy dopiéro nastał czas, w którym bez stracenia tak głębokiéj treści swojéj mogła badaniem dzieł klassyczności dawnéj, wskrzesić zmarłych owę wdzięku pełną grecką siostrzycę swoję i nauczyć się od niéj owych form nieskończonego uroku — tak się więc stało, iż w wieku 16tym sztuka nowożytna związała piękność niebiańską i ziemską miłości przymierzem.

Lecz wróćmy znowu do obrazów bizantyńskich. — Zarzucają jeszcze temu malarstwu stereotypowe ciągłe powtarzające się, więc niby rzemieślnicze wykonanie wedle

przepisów jednéj i téj saméj modły! Lecz — czyliby kto z was był powierzył onemu czasowi carogrodzkiemu wolność malowania wedle natchnienia wizerunków świętych? czyliby się ta swoboda nie była przerobiła w swawolę świętokradzką, w onéj epoce skręconych uczuć a spaczonego smaku i obyczaju? Wszak obrazy będąc kultu przedmiotem, zawsze były i będą li kopiowaniem pierwowzoru, i dla tego właśnie mniéj w tych kopiach będzie artystycznego natchnienia, niż wykończenia technicznego. A wysadzenie klejnotami tych malowideł i ona gruba, wzdymająca się złotem ornamentyka? Uważmy, że w czasach, kędy człeka nie stać na istną sztukę, więc na najcudowniejszy kwiat duszy swojéj, wtedy rad choć z dobytku światowego złożyć Bogu ofiarę i poświęcić bogactwa ziemskie na cześć Nieba, by sobie ulżyć na sercu; więc w klejnotach na obrazie widzi klejnoty niebiańskie rzewności swojéj i one czyste perły i świecące brylanty nieśmiertelne, które Bóg włożył w serce śmiertelnego człowieka, by w nim wiekuistością gorzały. Wszak i inne właściwości tak architektury jak i malarstwa tego stylu, dałyby się, jak myślę, wytłumaczyć na głębsze znaczenie. Przecież takowe, wszystkie uwagi już występują z zakresów, któreśmy sobie z góry dla téj rozprawki zamierzyli, bo ta bynajmniej nie miała zamiaru ocechowania pod względem estetycznym onéj staréj bizantyńskiéj sztuki.

Józef Kremer.

O NAJZNAKOMITSZYCH

TEGOCZESNYCH MOWCACH

RELIGIJNYCH. *)

III.

(Dokończenie).

Najpierwszém dziełem filozoficznèm Ventury, na które prawie we wszystkich późniejszych sam się powołuje, a które w swoim czasie wielki miało rozgłos i wywołało żwawą a zbawienną walkę w świecie umysłowym, była książka o siedmiuset stronnicach wydana w Rzymie w r. 1828 pod tytułem: *De Methodo Philosophandi.* Ojciec Ventura połączył w niéj jasność z głębokością, przenikliwość z bogactwem wiedzy, przepyszne wysłowienie z całą ścisłością metody scholastycznéj. Książka ta jakkolwiek napisana po łacinie, nadzwyczaj prędko doszła do wiadomości publiki europejskiéj. Samo imie autora już znane i wymieniane

---

*) Patrz zeszyt kwietniowy, czerwcowy i październikowy.

między katolickiemi znakomitościami Włoch, Francyi i Niemiec, sława, któréj już używał jako jeden z pierwszych kaznodziei Rzymu, samo zresztą zaufanie, jakiem go zaszczycał Ojciec chrześcijaństwa, wyciskały na niéj pieczęć pewnéj wartości wprzód jeszcze, nim osądzoną być mogła i podały ją w ręce najuczeńszych ludzi. Dzienniki antykatolickie i Gallikańskie, to jest napółkatolickie same nieprzyjaznemi swojemi krzykami przyczyniły się do jéj rozsławienia, a czasopisma zasad jawnie i stanowczo katolickich jak *Giornale ecclesiastico di Roma* i *Memorial Catholique* we Francyi oddały auto rowi jak najchlubniejsze świadectwo. W tem ostatniem znajdujemy uczoną recenzyą stawiającą Venturę na równi z Bonaldem, de Maistrem i z jaśniejącym jeszcze podówczas całym blaskiem genialności i ortodoxyi de Lamennem. Z samego tytułu sądzić by można, że to po prostu dzieło czysto spekulatywne, traktujące o przedmiotach oderwanych, rozumujące o tem, jak rozumować, czyli dające w teoryi abstrakcye podniesione do drugiéj potęgi, tymczcsem jakkolwiek głównie wystósowane jest do nauczających filozofii i teologii, dziwnie przecież jest pełne życia i interesu dla każdego, kto w jakikolwiek bądź sposób zajmuje się kwestyą religijną w stosunku do obecnych i przyszłych przeznaczeń społeczeństwa i prawdziwym postępem ludzkiego rozumu.

Ventura kładzie najsamprzód zapytanie, co jest powodem bezbożności tak gwałtownie wzrastającéj między katolikami? Powodem niemoże być ani rozpusta namiętności, ani postęp lub upadek umiejętności. Namiętności bowiem zawsze są, a jeżeli są obecnie gwałtowniejsze, systematyczniejsze, to raczéj jest skutkiem nie zaś przyczyną bezbożności. Również powodu niestanowi upadek nauk, nigdy bowiem z większym nieoddawano się im zapałem — tém bardziéj przyczyną bezbożności niemoże być postęp w naukach, boć jednak Ojcowie

Kościoła byli mędrcami swego wieku, boć z resztą Kościół przez najuczeńszych ludzi uratował w średnich wiekach umiejętności i tak je wysoko podniósł; boć nakoniec religia jest mądrością samego Boga. Gdzież więc powód nieszczęścia? Gdzie korzeń złego?

Korzeń złego jest w złym kierunku filozofii, która jest propedeutyką wszech umiejętności. Filozofia zapładnia umysły teoryami, które następnie prowadzą człowieka po wszelkich stopniach naukowości. Jeżeli więc filozofia jest błędna, fałszywa, nieprzyjaźna wierze, koniecznem następstwem rzuca w nauki i w umysły nasienie bezbożności. Na takim gruncie wzniesiony gmach religijny prędko się w gruzy rozsypuje. A ponieważ filozofia, jakiéj dzisiaj nauczają powszechnie jest właśnie fałszywa, błędna, nieprzyjaźna wierze, więc łatwy wniosek i odpowiedź na zapytanie, dla czego bezbożność nawet pomiędzy katolikami tak się wzmaga gwałtownie. Jakże temu zaradzić? Cała filozofią mieści się w metodzie jéj nauczania. Metodę zaś stanowią cztery rzeczy: *przedmiot*, którym się umiejętność zajmuje, *cel* jaki sobie zakłada; *podstawa pewności* i *zasada scyentyficzna* z któréj wychodzi.

Ventura absolutnie stanowi, iż filozofia tegoczesna pod względem wszystkich tych czterech punktów jest na błędnéj drodze.

Co do pierwszego: Filozofia tegoczesna wszystko z tegoż samego tytułu chce mieć przedmiotem swych badań i wszystkie umiejętności bądź to boskie, bądź ludzkie, bądź umysłowe, bądź doświadczalne jednako traktując, o wszystkich sądzi się jednako uprawnioną do wydawania swoich wyroków. Tak naprzykład témże samem okiem mierzy stosunek pomiędzy Bogiem a ludźmi, co i stosunki pomiędzy ciałami; tak moralność ujmuje w linie i cyfry, do tego stopnia, że pod tym względem niema dla niéj żadnéj różnicy między Bogiem a

rzeczą najpodlejszą, między teologią a weterynaryą. Jaki ztąd rezultat? Oto, iż jak w sferze politycznéj, kiedy ludziom, którzy z natury są tylko sobie podobni zachce się być równymi, natychmiast wszelka hierarchia i wszelka władza upada a lud, który jest tylko najwyższą siłą fizyczną ogłasza się wszechwładnym pod każdym względem; tak samo i w zakresie scyentyficznym, jak tylko umiejętności ogłoszą się pod względem swojéj natury i ważności równemi, zaraz najwyższe wśród nich stanowisko i królowanie teologii niszczeje i przechodzi do umiejętności fizycznych, doświadczalnych, cielesnych, jako do mających dotykalniejszą, materyalniejszą pewność. Niegdyś, kiedy rzeczy stały normalnie, miano powszechnie za zasadę, iż wszystko co się sprzeciwiało dogmatom prawdziwéj religii, musiało być błędne, fałszywe. Dziś przeciwnie, wielu nawet z chrześcian ma to przekonanie, że skoro się tylko coś sprzeciwia doświadczeniom fizycznym, już tém samém jest absurdem, i że o wszelkich rzeczach niewidzialnych sądzić potrzeba, z tego co jest widzialne, dotykalne [1]).

Powtóre, metoda nowoczesna grzeszy niemniéj celem jaki sobie zakłada. W dziełach najgenialniejszych doktorów katolickich filozofia zakłada sobie rozwinięcie, wytłumaczenie, wykazanie *prawdy posiadanéj* i obronę jéj przeciw sofizmom fałszu; przeciwnie filozofia nowa szuka saméj prawdy, jakoby jéj wcale jeszcze nie było; co ostatecznie wypada na to, jakby sobie powiedziała, iż religia chrześciańska nie jest regułą prawdy, gdy téj

[1]) Z tego sposobu zapatrywania się na rzeczy można już poznać jak dalece fałszywem jest zdanie krytyków Ventury, takich jak p. Chalambert, który jak zobaczymy poniżéj zarzuca Venturze *sensualizm!* Tym panom dziwnie jest łatwo pluskać podobnemi zarzutami. Co zresztą bardzo się pojmuje, bo i cóż mogliby napisać, gdyby im jeszcze nie było wolno ciskać z góry takiemi wyrażeniami, jak naprzykład: *to herezya! to niel̀oiczność! to do niczego!* i t. d. i t. d.

prawdy szukać trzeba, pomimo tego, że ją religia podaje, tak jakby jéj wcale nienauczała, a zatem, że wszelkie dogmata religijne powinny stawać i tłumaczyć się przed jéj trybunałem; że to tylko za prawdę przyjąć można, co ona prawdą ogłosi; że wszystkie tradycye, by najstarsze i najpowszechniejsze nic nieznaczą, albo tylko tyle, ile im wartości przyzna filozofia. Łatwo pojąć do jakich następstw podobne zasady zdolne są doprowadzić.

Co do *podstawy pewności*, ta jest całkiem żadna. Filozofia bowiem już dla tego samego, że sama szuka prawdy, i sama się ogłasza za jedynie zdolną do jéj znalezienia, wszystkie prawdy istniejące, znane, przyjęte bądźto naturalne, bądź nadnaturalne ogłasza za niepewne, a zatem za żadne, boć prawda o tyle jest prawdą o ile jest pewną bądź dla zmysłów, bądź dla umysłu, bądź dla wiary, a prawda, któréj dopiero dowodzić potrzeba najwięcéj jeżeli jest *wątpliwością*. Cóż zatem wedle téj metody jest prawdziwe? To co dla rozumu jest *oczywiste?* Ale co dla rozumu jest oczywiste? Nic. Boć rzecz z pozoru najoczywistsza ma pewne strony ciemne, niezrozumiałe, niedowytłumaczenia, co czyni właśnie, że nie jest oczywista, to jest ze wszech stron jawna, wyrozumiała, niepotrzebująca dowodzenia. A ztąd znowu jaki wniosek? Oto, że religia chrześciańska która nakazuje wszystkim jednę i tęż samą wiarę, która potępia wszystkie opinie osobiste, jeżeli się tylko powszechnéj wierze sprzeciwiają, która w sferze religijnéj nakazuje przyjmować za prawdziwe to tylko, co wszędzie, zawsze i od wszystkich uznawaném było i jest za prawdę, która tę wiarę i sąd powszechny uważa za fundament pewności filozoficznéj, która według Pallavicini'ego właśnie dla tego przekłada w wiekach średnich i dziś jeszcze Arystotelesa nad Platona, że ten pierwszy, owo *powszechne przekonanie* (*sensum communem*) przyjął za

podstawę swéj filozofii, — że ta religia zupełnie sprzeczna pod tym względem z filozofią nic nieprzyjmującą za pewne jedno to, co dla osobistego rozumu jest oczywiste, że religia ta, powtarzam niema rzeczywistéj wartości i niemoże być regułą życia. Tutaj Ventura jest w zupełnéj zgodności z autorem dzieła *Essai sur l'indifference*. „Nowa filozofia, powiada on, jest tak samo sprzysiężeniem i walką przeciw powszechnéj ludzkiéj mądrości, jak protestantyzm jest sprzysiężeniem i walką przeciw powszechnéj religii. Jednem słowem, Kartezyanizm jest, jak był protestantyzmem w zakresie filozofii, tak samo, jak protestantyzm jest jak był kartezyanizmem w religii.

Co do zasady scyentyficznéj, filozofia nowoczesna niemniéj jest zabijającą. Oto, czego w téj mierze naucza. W istocie złożonéj istotowo lub fizycznie, jaką jest człowiek, kwiat, drzewo, równie jak w złożoném akcydentalnem, jak naprzykład stos kamieni, zboża lub piasku niema żadnéj jedności fizycznej, rzeczywistéj, ale jest tylko jedność abstrakcyjna, jedność *podmiotowa*, to jest w naszym rozumie istniejąca. Zdawałoby się na pierwsze wejrzenie, że ta metoda jest całkiém obojętna, bez rzeczywistych, praktycznych następstw. Tymczasem zupełnie rzecz ma się inaczéj. O. Ventura wykazuje jak na dłoni, że z niéj wypłynęły najpotworniejsze błędy w zakresie filozofii, religii, moralności i polityki.

On też powiada: Starożytni kładli za podstawę i punkt wyjścia w rozumowaniu, że co jest złożone istotowo (substantialiter) z dwóch albo więcéj pierwiastków, jest w sobie rzeczywistą jednością. Tę rzeczywistą jedność uznawali oni między materyą i formą w ciele; między duszą i ciałem w człowieku, między umysłem a prawdą *poznaną* naturalnie w rozumie, między umysłem a prawdą *objawioną* nadnaturalnie w wierze; między człowieczeństwem a bóstwem w osobie Jezusa Chrystusa; między biskupami a

papieżem w Kościele między mężczyzną a kobietą w małżeństwie; między szlachtą a panującym w państwie, między państwami w jednéj społeczności chrześciańskiéj, to jest w Kościele; między filozofią a teologią w chrześciańskiéj mądrości. Według téj teoryi, ciało nie jest ani materyą ani formą, ale jedną rzeczywistą całością będącą rezultatem istotowego jednéj z drugą zjednoczenia — a tak samo, człowiek nie jest ni ciałem, ni duszą: rozum niejest umysłem ani prawdą, rodzina nie jest kobietą ani mężczyzną; Kościoła nie stanowią biskupy ani papież; równie jak państwa nie stanowi szlachta, ani panujący, ale i człowiek i rozum i rodzina i Kościół i państwo i społeczeństwo są w sobie jedną rzeczywistą całością będącą rezultatem istotowego zjednoczenia dwóch pierwiastków, czyli części konstytutywnych. Ztąd wypływa, że biskupi bez papieża, że szlachta bez panującego, że kobieta bez męża, że umysł bez prawdy nie stanowią same ani Kościoła, ani państwa, ani rodziny, ani rozumu, podobnie jak dusza bez ciała nie stanowi człowieka, podobnie jak materya bez formy nie stanowi ciała. Ztąd nakoniec wypływa, że czem jest dusza dla ciała w układzie człowieka, czem jest prawda dla umysłu względem rozumu, czem jest mąż dla niewiasty w układzie rodziny, czem jest panujący dla szlachty w układzie państwa, czem jest papież dla biskupów w układzie Kościoła, tem jest KOŚCIOŁ DLA WSZECH LUDÓW W UKŁADZIE PRAWDZIWÉJ SPOŁECZNOŚCI.

Daléj jeszcze, według téj teoryi, twórcą rozumu, rodziny, państwa i Kościoła, czyli prawdziwéj społeczności powszechnéj jest Bóg nie zaś człowiek, Bóg, który w rozumie Adama zjednoczył umysł z prawdą, i utworzył pierwszy z wszech ludzkich rozumów, tak jak jednocząc Adama i Ewę i utworzył pierwszą rodzinę. Tym sposobem pierwszego człowieka uczynił dla wszystkich jego potomków nie tylko naczelną zasadą rozrodzenia

się ale też i naczelną zasadą nauczycielstwa, a to w ten sposób, że jak wszystkie narody wyszły ze społecznego zjednoczenia Adama i Ewy, tak znowu wszystkie idee, zasady, pojęcia, umiejętności i sztuki wypłynęły ze zjednoczenia duchownego między umysłem Adama i prawdą, zdziałanego przez samego Stwórcę. Ta nauka tak piękna, szlachetna i wzniosła o początku idei i umiejętności była też tak powszechną, tak zwykłą w szkołach chrześciańskich, że święty Tomasz, który w razie najmniejszéj w pojęciach różnicy lub niezgody, zaraz stawiał dowody, na które niema repliki, co się przecie owéj nauki dotyczy, tak ją po prostu bez dowodzenia przedstawił jakby najmniejszéj nieulegała wątpliwości.

Ojciec Ventura przedstawia następnie, jak kacerstwo Lutra i filozofia Kartezyusza zniweczyły tę wielką harmonię, jak rozerwały tę jedność. Motoda kartezyańska, ten protestatyzm filozoficzny, położywszy za zasadę, iż każdy z pierwiastków istotowych pewnéj całości złożonéj stanowi w sobie całość, i niezależnie od innych istnieje, stała się główną przyczyną *niepewności*, któremu z owych pierwiastków należy się pierwszeństwo i wyższość: materyi czy formie w ciałach, umysłowi czy prawdzie w rozumie, szlachcie, czy panującemu w państwie biskupom czy papieżom w Kościele, państwu czy Kościołowi w społeczeństwie. Co większa, ponieważ według tejże metody pierwiastki konstytutywne całości z nich złożonéj są w niéj połączone *nie istotowo (substancyalnie)*, ale tylko *przypadkowo (akcydentalnie)*, przeto proste ztąd następstwo, że owe pierwiastki mogą istnieć osobno w oderwaniu jedne od drugich. Więc też jednocześnie poczęto w saméj istocie nauczać publicznie, że to co Bóg zjednoczył węzłem nierozwiązalnym można bez zbrodni rozłączać — a przeto, że można bezpiecznie a nawet należy umysł odłączyć od prawdy, biskupów od papieża; szlachtę od panującego, żonę od mę-

ża, państwo od Kościoła, czyli krótko mówiąc, że sceptycyzm powszechny, że odszczepieństwo, bunt, rozwód, ateizm legalny, mogły być rzeczami nietylko nader uprawnionemi, ale nawet arcykoniecznemi. Nareszcie ponieważ części składowe istnieją w sobie niezależnie od drugich i drugim są równe, przeto niemożna ani myśleć o ich połączeniu bez pewnego rodzaju wzajemnego porozumienia, koncessyi, ugody *(Contrat Social)*. W tem to przekonaniu poczęto szukać sposobów zbliżenia, pogodzenia, stanowić prawa zasadnicze przymierza i równowagi, między objawieniem a rozumem, między papieżem a biskupami, między teologią a filozofią, między prawdą a umysłem, między duszą a ciałem, między mężem a żoną, między panującym a szlachtą, między Kościołem a państwem. A ponieważ we wszystkich tych kwestyach według owéj metody stanowić może tylko rozum osobisty, indywidualny, przeto rezultatem ostatecznym niemogło być co innego, jak tylko ostateczny rozterk i najniesłychańsza babilońska wieża.

Równie silnie, choć nierównie zajmująco daje ogólny zarys drugiéj części zamierzonéj reformy metody filozoficznéj ze względu na jéj podstawę w dość obszerném dziele pod tytułem: *Wyjaśnienia co do kwestyi o zasadzie pewności*. Widocznie, że książka ta pisaną była pod wpływem ducha téj polemiki, która będąc wywołaną przez system Lamennais'go o *rozumie powszechnym* dochodziła właśnie wówczas do punktu kulminacyjnego. Wszakże niemożna w żaden sposób utrzymywać, jakoby O. Ventura przyjmował na gotowe ów system. On rozum powszechny uznaje tak, jak go uznawała po wszystkie czasy filozofia chrześciańska a zwłaszcza ś. Tomasz. On stojąc między dwoma przeciwnemi obozami filozoficznemi mówi do jednych: niestawiajcież, jakoby coś nowego zasady, która zdrowo rozumiana jest rzeczą bardzo starą, ani nazywajcie tego wyłącznie fran-

cuzkiem, co jest chrześciańskiem; niechciejcie uchodzić za twórców nowego filozoficznego systematu, ale postawcie kwestyą tak jak jest, pokażcie ją tam gdzie jest; to jest w skarbnicy rozumu rozwijającego wszystkie prawdy pod *Światłem Światłości*; niechciejcie tworzyć szkół filozoficznych, które pod panowaniem Ewangelii już niemogą mieć żadnego znaczenia i tworzą tylko sekty, ale dostrzegłszy prawdy ukażcie ją tam, gdzie filozofia chrześciańska czerpie rozjaśniające ją światła, w tym, który powiedział: *jam jest Światłość świata*, a o którym prorok wyrzekł: *in lumine tuo videbimus lumen.* Do drugich zaś, to jest do przeciwników teoryi o rozumie powszechnym zwracając słowa powiada: Nie nazywajcież fantazyą świeżo wylęgłą tego, co jest starą i najprawdziwszą nauką, niebierzcież tego za wybryki rozumu indywidualnego, lub jakowejś szkoły co wypływa z zasadniczych praw ludzkiego rozumu, to jest z jego natury; niekrzyczcie, że to wstrząsa rozumowe zasady i dowody, na które w obec niechcących wierzyć powołuje się religia ale przypatrzywszy się głębiéj przekonajcie się, że to właśnie owe zasady robi niewzruszonemi, a dowody niezbitemi; rozumiejąc bowiem, że walczycie w sprawie rozumu, zaprzeczacie mu tego, co jest sześćdziesięciu wiekową jego podporą; rozumiejąc, że bronicie religii, bronicie raczéj przeciw niéj herezyi, nie na czém innem właśnie, tylko na sądzie indywidualnego rozumu opartéj; a wyobrażając sobie, że zaczepiacie Lamennais' go, zaczepiacie raczéj ś. Tomasza, zaczepiacie najwyższe filozoficzne potęgi i stawiacie się w otwartéj wojnie nie z człowiekiem ale z Bogiem. [2]).

---

[2]) **Schiarimenti sulla Quistione del fundamento della Certezza tratti da' principii della scuola Tomistica — Roma 1829.**

Nakoniec, małéj objętości, ale ogromnéj wagi rozprawa: o *zasadniczym pierwiastku prawdziwéj filozofii* [3]) jest rzuconém w zarysie dopełnieniem wielkiego pomysłu mowcy filozofa. Rozprawa ta powiedzianą była na posiedzeniu literackiem Akademii Tyberyańskiéj, a umieszczona zaraz w *Rocznikach Umiejętności religijnych* stanowi jak się wyraża jéj ówczesny redaktor X. Arrigki, najpiękniejszą kartę tego Czasopisma.

We wstępie rozpoczyna zdaniem, iż jak mowa jest wyrazem myśli człowieka, tak literatura jest objawem stanu umysłowego spółeczeństwa, jest wielkiem słowem wypowiadającém głównie myśl religijną i filozoficzną pewnéj miejscowości lub epoki. Ztąd im więcéj prawdy w filozofii i religii, tem więcéj w literaturze siły i piękności, albowiem piękno, jak się wyraża Plato jest oklaskiem prawdy. Ztąd w szczegółowém zastósowaniu sławny wiek Augusta całą swą wyższość winien wielkiemu skarbowi tradycyi i prawd pierwotnych przechowywujących się na przekor bałwochwalstwu wśród Rzymian i rzucających wielkiem światłem na wszystkie gałęzie umiejętności i sztuki, jak lampa przed samem zagaśnięciem rzuca ostatnim najsilniejszym blaskiem. Z wygaśnięciem tradycyi pod zabójczym wpływem Tyberyusza i filozofii epikurejskiéj, lud rzymski karmiony co dopiero poezyą Wirgiliusza i wymową Cycerona już nie zna innéj literatury krom obrzydle rozwiozłych wierszy Juwenalisa, prócz Klaudyana, Persa i Petroniusza. W końcu też zeszłego stólecia, kiedy wielki jeden naród zamienił prawdę na błąd, a Boga Wiary na bóstwo rozumu, stracił zaraz smak do prawdziwych piękności i zdrowe uczucie siły a jak niegdyś z uniesieniem słuchał Bossuet'a, Racin'a, Corneill'a i Bourdalego, tak

---

[3]) **Del Principio fondamentale della Vera Filosofia Ragionamento Roma 1846.**

potem smakował już tylko w poezyi Marsylianki z towarzyszeniem bębna i huku dział, z wymową Robespiera i straszliwem echem gilotyny.

Następnie przedstawia jak całkiem przeciwnie, kiedy społeczność była najbogatszą i najsilniejszą w posiadaniu wielkich prawd jaśniała też najwznioślejszą i najgodniejszą téj nazwy poezyą; jak xiąże wszystkich teologów i filozofów, ś. Tomasz dawał natchnienie i wyprowadzał na scenę świata takie geniusze jak Dante Alighieri xiąże wszech poetów — Tu zapytuje co owych prawd było zasadniczym pierwiastkiem, brakiem którego tak świat zubożał pod względem dzieł rzeczywistego piękna i w taki popadł labirynt pod względem filozofii? —

Jak zasadniczym pierwiastkiem teologii jest nadnaturalny dogmat Boga człowieka, w którym się reassumuje cała teologia, tak zasadniczym pierwiastkiem prawdziwéj filozofii jest naturalny dogmat istoty człowieka, w którym się reassumuje cała filozofia. Jak więc teologia polega na należytem rozwiązaniu kwestyi: *co to jest Jezus Chrystus*? tak filozofia polega na należytem rozwiązaniu kwestyi: *co to jest człowiek?* A jak wszystkie kacerstwa wyszły z fałszywéj zasady teologicznéj zaprzeczającéj hypostatycznego zjednoczenia dwóch natur w jedności osoby Boga-Człowieka i negującemi albo bóstwa na rzecz człowieczeństwa albo człowieczeństwa na rzecz bóstwa, tak wszystkie błędy w zakresie filozofii wyszły z negacyi substancyalnego połączenia duszy i ciała w jedności natury człowieka. Więc znowu jak skutkiem pierwszéj ukazały się dwa naczelne kacerstwa, jedno Fantazyastów zaprzeczających realnéj ludzkiéj natury w Chrystusie, a drugie Humanitarzy zaprzeczających w nim realnego bóstwa; tak skutkiem wtóréj ukazały się dwie naczelne sekty, jedna Spirytualisów zaprzeczających realności ciała w człowie-

ku, druga Sensualistów zaprzeczających w nim realności duszy. Wszakże dla filozofii, kwestya co do człowieka pozostałaby wieczną zagadką, gdyby chrześcijańska teologia nie rozwiązała kwestyi co do Boga człowieka; bo jak według Tertuliana Bóg w tworzeniu człowieka miał przed sobą wielki oryginał, archityp człowieka to jest ideę Bóstwa wcielonego, tak filozofia o tyle tylko poznawać może człowieka, o ile się nań zapatruje pod światłem już owéj idei zrealizowanéj. I dla tego też kiedy się umiejętność odłączyła od Religii, wówczas wszystkie filozoficzne prawdy tak przedtem doskonale oznaczone, stały się znów zagadkami, i kiedy o człowieku zaczęto rozprawiać bez żadnego odniesienia do Boga-człowieka, zaraz też człowiek stał się dla filozofów chrześciańskich, czem był dla pogańskich, czem był dla Platona, to jest niedocieczoną tajemnicą. A tak filozofia zgubiwszy swój wątek, swój zasadniczy pierwiastek sama też rozpłynęła się w nieskończone domysły. Bako w Anglii, Kartezyusz we Francyi, Leibnic w Niemczech, widząc w człowieku dwie istoty, to jest duszę i ciało, ale niemogąc dojść do ich związku, niemogli też żadną miarą zrozumieć wspólnego tych istót działania i dali początek błędom i zgorszeniom, jakie kiedykolwiek miały miejsce w pogańskiéj Grecyi lub Rzymie. Z systematów lęgły się systemata coraz to potworniejsze, z błędów tworzyły się błędy. Szkoły filozoficzne stały się areną, na któréj walczyli gladiatory filozofii chciwe sławy i poklasku. W tym chaosie nauk, zasad, powątpiewań i sprzeczności wywrócono wszystkie prawdy, wszystkie zasady filozoficznego, moralnego i politycznego świata, wszystko zanegowano, zbluźniono *i w imię postępu cofnięto historyą o całe ośmnaście wieków.*

Był przecie czas, kiedy ślepa zawiść a z nią ręka w rękę ślepa niewiadomość miały wiele mowcy naszemu do zarzucenia i pod względem filozofii i pod względem pojmowania potrzeb i dobra Kościoła. Co do pierwszéj będziemy jeszcze mieli sposobność przekonać się o ile były niesłuszne, co do drugiego zarzucano mu, że był zanadto jedno z X. Lamennais, co jakkolwiek podówczas niemogło być ubliżające, bo Lamennais używał jak najczystszéj jeszcze sławy, było jednak jak najfałszywsze. Dowodem tego prócz słów powyżéj przytoczonych z dzieła, które współki oczywiście zaprzeczają, jest jeszcze list Lamennais'go zamieszczony w dzienniku *l'Avenir* (12 lutego), w którym tenże w taki sposób odpowiada na poczynione swojéj nauce zarzuty przez O. Venturę, iż raczéj pod wielu względami w kwestyach ulegających dyskussyi za całkiem sprzeciwiających się sobie uważać by ich należało. Za wstąpieniem na tron papiezki Piusa IX. Ventura jako jeden z najbliższych przyjacioł papieża, stał się dla wielu przedmiotem tém nieubłagańszéj zawiści. W roku 1848 napisał broszurę dotyczącą stanu Sycylii i wykazującą potrzebę pewnych reform politycznych; natychmiast za jéj ukazaniem podniosły się krzyki oburzenia, co przecież nieprzeszkodziło, że rozprawę tę powtórzyły wszystkie prawie katolickie dzienniki na Zachodzie a cenzura rzymska pozwoliła ją także drukować. W chwili wielkich zamieszek w Rzymie, Ventura niezawodnie wiele błędów popełnił z których największym był ten, iż zamiast w odosobnieniu i cichości służyć świętéj sprawie Kościoła, jak przystało na zakonnika, wdał się w politykę i pozwolił się unieść gwałtownemu jéj prądowi. Wszakże były to tylko błędy; złych zamiarów i złych usposobień, czy to względem Kościoła, czy względem papieża, niebyło nigdy. Błędy te spowodowała źle zrozumiana gorliwość i to pragnienie, żeby Pius niestracił nic z wielkiéj popularności, pragnienie, któreby zapewnie

powinno złagodzić pamięć strasznéj niepopularności, jakiéj na Kalwaryi doświadczył sam Zbawiciel, ale które zawsze dowodziło wielkiéj miłości Papieża. Wszakże co było błędem, to czarna zawiść nazwała zbrodnią i jako zbrodnie przed światem głosiła. W chwili gdy Pius z sercem rozdartem wielką boleścią był zmuszonym zbiedz z swojéj własnéj stolicy, Ventura pozostał w Rzymie. To było jego największe nieszczęście, ale i tutaj jeszcze dawał wielkie dowody swéj niezachwianéj dla papieztwa wierności. Kiedy Canino niemógł wymódz na kardynale Orioli ażeby przyjął najwyższą władzę wykonawczą, udał się prosto do O. Ventury z tąż samą propozycyą, co go tak dalece dotknęło, iż natychmiast zerwał z radykalistami wszelkie stosunki, a w kilkanaście dni potem L'Ere Nouvelle zamieściła list następujący, który zaraz powtórzył L'Univers (*Nr. 769. 1849*)

„.... Co do mnie, do niczego się nie mięszam, a od „téj chwili już się nie odezwę i ani jednego nie napi„szę słowa. Niemogę, niechcę, bo by to może wzięli za „jakąś manifestacyą przeciw papieztwu, a ja mu wier„nym pragnę pozostać do zgonu. Jeżliby wam doniesio„no, że O. Ventura choć jedno słowo napisał o sprawach „Rzymskich, niewierzcie temu. Mam nadzieję, że nigdy „nikt niepowie, abym coś uczynił lub powiedział prze„ciw Kościołowi lub Papieżowi, którego tak kocham i „i dla tego tyle cierpię. Gdybym kiedykolwiek zdolnym „był téj bezbożności, naprzód wam pozwalam, abyście „mi w twarz plunęli, bo w ówczas zasłużyłbym na „wszelką hańbę.“

Na kilka miesięcy przed napisaniem tego oświadczenia, w pierwszych zaraz chwilach po wyjeździe papieża z Rzymu O. Ventura miał nieszczęście mówić na pewnéj uroczystości politycznéj. Mowa ta obok najprawdziwszych zasad, razi namiętném i pełnem goryczy zastósowaniem. Zostósowanie to przecież, jakkolwiek miało na celu o-

wych właśnie, których w swém przekonaniu mienił sprawcami smutnéj doli Papieża, żadną przecież miarą usprawiedliwić się nie da. O. Ventura w liście pisanym do X. Leray tłumaczy swoje pobudki i słowa jego mogły mieć wagę w obec ludzi prostego serca i w obec znających go bliżéj, ale w obec ludzi złéj wiary były tylko czczą wymówką. I mniejszaby o to, że sam za swoje błędy przycierpiał, ale wcale niemniejsza ze względu na nieprzyjaciół Kościoła, którzy działania człowieka od działania kapłana nieumieją rozróżnić a za błędy kapłana Kościołowi wytaczają proces. Do tego, stanowisko O. Ventury, jako wielkiego mowcy i obrońcy Kościoła, oraz jako kapłana zajmującego wysokie stanowisko w hierarchii zakonnéj, rzecz tę niezmiernie obciążało. Kongregacya Indexu zamieściła tę mowę w rzędzie niebezpiecznych, o czem uwiadomiony Ventura w czasie swego pobytu w Montpellier z całą uległością Chrześcianina i pokorą zakonnika poddał się wyrokowi, który zawsze za nieomylny uważał. Był to piękny przykład uznania własnego błędu, do czego w człowieku na pewnéj wysokości stojącym i wśród takich okoliczności potrzeba nie lada siły. Bogu dzięki, że na téj sile nie brakło naszemu mowcy. — Duch pański łaską pokory nagrodził w nim miłość dla Kościoła.

W skutek bezzwłocznego i bezwarunkowego poddania się wyrokowi, Ojciec Ś. przesłał mu breve następującéj treści:

„Ukochanemu synowi, pobożnemu mężowi pozdro-„wienie i błogosławieństwo Apostolskie.

„Ojcowskie nasze serce prawdziwéj doznało radości „na widok oświadczenia Twego wydrukowanego w Mont-„pellier z datą 8 września, jako się poddajesz wyroko-„wi ś. kongregacyi Indexu najwyższém naszém potwier-„dzeniem opatrzonemu.

„Dla tego nieprzestajemy błagać Najwyższego, ażeby „cię zawsze niebiańską swoją strażą osłaniał i miłosier„dziem swojém obdarzał.

„Im większe są zdolności, któreś od Boga otrzymał „tem silniéj i skwapliwiéj starać się powinieneś o zbu„dowanie wiernych, tem wytrwaléj masz pracować nad „zbijaniem błędów rozpowszechnionych po świecie i wy„korzenieniem z umysłów zdań fałszywych i niebez„piecznych.

„Wkrótce zapewne ziści się nasze życzenie, gdyż jak „się dowiadujemy masz ogłosić książkę, w któréj wal„czysz ze starym błędem, odnowionym przez jednego „z pisarzy heretyckich, i wykazujesz, że święty Piotr „xiąże Apostołów był rzeczywiście w Rzymie.

„Takiemi chwalebnemi dziełami zjednasz sobie przy„chylność ludzi zacnych i pobożnych, tych szczególniéj, „którzy się znajomością nauki katolickiéj odznaczają „i doświadczysz od nich ukochany synu dowodów „przywiązania.

„Jako zakład szczerości wyrażonego przez nas życze„nia i naszéj ojcowskiéj przychylności udzielamy ci z mi„łością ukochany synu błogosławieństwo apostolskie.

Pius IX Papież."

W saméj istocie niemogło nic silniéj zamknąć ust nieprzychylnym, jak ów list wymownego Teatyna, o którym Ojciec ś. wspomina w swém brewe, a w któróm on przedstawia cały swój sposób myślenia ze względu na politykę w stosunku do praw Kościoła. List ten wywołany nader bolesném dla niego zdarzeniem tém jest rzeczywistszym wyrazem jego wewnętrznego przekonania i na tém większą zasługujący uwagę, że był napisany właśnie wtenczas, kiedy by się zdawało, iż obrażone uczucie miłości własnéj (gdyby ta w saméj istocie nim powodowała), działaćby powinno najsilniéj.

Trudno i prawie niepodobna przypuścić, żeby w takiéj chwili ognista dusza Sycylianina mogła zastawiać swoją wiarę, swe zdanie, swoje uczucie dekoracyą na zimno obrachowanych frazesów. Nieprzyjaciele mogą go wprawdzie i tu podejrzywać, ale to podejrzenie wywołuje tylko ta zaprzysiężona i nieubłagana nienawiść, która i w najpiękniejszych cnotach, w najszlachetniejszych poświęceniach, w najczystszych zamiarach rada upatruje brudy egoizmu. Wszakże, jeżeli co świadczy o brudach duszy, to właśnie tego rodzaju podejrzenia i nikt na głębszą nie zasługuje wzgardę jak ci, którzy pracują nad tem, aby czyn szlachetny nieprzyjaciela zawlec pod pręgierz pogardy. List o którym wspomnieliśmy jest wielkim krzykiem oburzenia wydartym z duszy zbolałéj, a jako taki niemoże być, jak tylko najprawdziwszém téj duszy świadectwem. Wielka boleść moralna zanadto sama przez się jest wzniosłą, aby miała być doradczynią kłamstwa, a za nadto harmonizująca z stanem chrześcianina i wpływająca nań silnie, aby się obok niéj mogło coś znaleść, coby nieharmonizowało z Prawdą. Rzecz tak się miała.

Ojciec Ventura zniewolony naleganiami przyjaciół opuściwszy Rzym i Włochy w r. 1849 w chwili najgwałtowniejszych wzburzeń politycznych udał się do Francyi i tam postanowił pozostać tak długo, jak długo by go wola Ojca świętego niepowołała na powrót. Już był w Marsylii i wybierał się do Montpellier, dokąd go zapraszał tameczny biskup, kiedy prawie na samém wyjezdnem wręczono mu list adresowany do Civita-Vecchia ale przybyły tam już za późno, bo w dziesięć dni potem, kiedy Ventura, z ściśniętem sercem pożegnał swą piękną ojczyznę. List ten pisany przez ministra protestanckiego — wywołany był, jak się jego autor wyraża korrespondencyą Ventury zamieszczoną w dzienniku francuzkim *National* bez wiedzy mowcy, a nawet wyra-

żnie przeciw jego woli. Jakież było jego zdumienie gdy w liście owym wyczytał skreślone ręką nieprzyjaciela katolicyzmu i Rzymu następujące wyrazy: „Z najżywszém zajęciem przeczytałem w dzienniku *National* dwa listy Pana z 5 i 13 czerwca. Uwagi jakie w nich wyrażasz każą mi wierzyć, iż Bóg raczył już sprawić w duszach rzymskich wielką próżnią, ażeby je wkrótce napoić i napełnić Ewangelią i Prawdą. Ponieważ zaś Pan zdajesz się jasno przewidywać ten stan rzeczy i żywo się tem interesujesz, przeto pewien jestem, że z zajęciem przeczytasz dziełko przezemnie wydane, będące skróceniem nader sumiennéj rozprawy pod tytułem: *Czy święty Piotr był kiedy w Rzymie?* Dzieło to przeznaczone jest dla ludu; oddaję zatem do pańskiego rozrządzenia tyle exemplarzy ilebyś tylko zażądał.

Był to za nadto dotkliwy cios dla serca żarliwego zawsze obrońcy Kościoła, ażeby go mógł niepowalić. Zaledwie też przybył do Montpellier zachorował tak silnie, że ledwie we dwa tygodnie zdolnym był wziąść pióro w rękę i na ów list tak niedouwierzenia bezczelny przesłać swą odpowiedź. Było to właśnie owo wyznanie, według którego każdy bezstronny winienby oceniać jego przekonanie, co do smutnych wypadków, których Włochy jeszcze nie przestały być krwawym teatrem. Z oburzeniem ale razem z godnością i spokojnością chrześcijańskiego kapłana tłumaczy w nim swoje postępowanie a razem chłoszcze dumę, zuchwalstwo i cynizm z jakim go ów protestant częstował zjadliwym paszkwilem na to, co było jego najgłębszém przekonaniem i najszacowniejszą cząstką chwały chrześcijańskiego Rzymu. Odpowiedź ta stanowi jakoby wstęp do trzech listów *), w których zwycięzko zbija wszystkie argu-

*) **Lettres du R. P. Ventura à Monsieur L.... T.... Ministre Protestant. Août 1849.**

menta wytoczone przeciw bytności ś. Piotra w Rzymie i tę bytność jak najoczywiściéj udowadnia; niemożemy podjąć silniejszéj obrony rzymskiego kaznodziei, jak przytaczając ją przynajmniej w kilku ustępach: Zacząwszy od usprawiedliwienia się, iż natychmiast, jakby wypadało nie odpowiedział, w ten sposób przystępuje do rzeczy bez żadnéj ogródki:

„Muszę Panu oświadczyć, iż list Jego sprawil razem „w mém sercu i wielką boleść i wielkie zdziwienie; bo „co do listów, które z Civita-Vecchia pisałem do moich „przyjaciół we Francyi, a które przeciwko mojéj inten„cyi wydrukowano w dziennikach, co do tych listów, „powtarzam, nic tam takiego nie mogłeś Pan znaleść „coby go mogło w tak wielki błąd wprowadzić, wzglę„dem méj osoby i względem moich opinji.... Wszystko „to, co pan piszesz znaczy, jeżeli się nie mylę, iż oparty „na moich listach sądzisz, że według mego zdania zmia„ny zaszłe w tych czasach pod względem uczuć religij„nych pewnéj części rzymskiego ludu, są zrządzeniem „woli Bożéj, kierującéj rzecz ku temu, ażeby protestan„tyzm, który w przekonaniu Pana jest religią Ewangelii „i prawdy znalazł nakoniec miejsce w sercach rzym„skich; co większa; iż na tychże listach oparty, rozu„miesz, że ja sam przeczuwając ten stan rzeczy, żywo „się przyczyniam działaniem mojém do uskutecznienia „téj niby myśli Bożej; że następnie przestałem obsta„wać za najwyższém zwierzchnictwem Papieża, jako na„stępcy Piotra na wiecznéj Stolicy a zatem, iż zasługu„ję na to, abyś mnie Pan przypuścił do udziału w swéj „opinii, *iż święty Piotr nigdy nie był w Rzymie.* i abyś „mnie wtowarzyszył do rozszerzania téj opinii między „ludem rzymskim!

„Zdawało by mi się przecież, iż w listach moich nad„to jasno wyraziłem się w tych tak ważnych kwestyach, „ażebyś Pan podobne następstwa mógł z nich wywnio-

„skować. Otóż przypominam Panu, żem tam napisał „iż „Kościół i Papież są i zostaną dla mnie na zawsze „przedmiotami mojéj miłości i czci, iż Pius IX jest „w mojém religijném przekonaniu zawsze namiestnikiem „Jezusa Chrystusa, Głową Kościoła, oraz nieomylnym „Nauczycielem, doktorem i tłómaczem tak co do prze„pisów jako też i co do moralności. To jest moja wia„ra, moje najgłębsze przekonanie, zechciej więc Pan o„sądzić, czy nie miałem powodu być razem i wielce „zdziwionym i do żywego w moich najdroższych uczu„ciach dotkniętym, listem jego w którym wypowiadasz „myśl swoję, iż ja mogłem się choćby na chwilę za„chwiać w méj wierze o świętym, katolickim, apostol„skim, rzymskim Kościele, o téj Matce, Nauczycielce, „i Pani wszech Kościołów; żem ja się zmienił w téj „wierze, żem ja był zdolny choćby w najmniejszéj rze„czy zmniejszyć ją w sobie, a cóż dopiero, żebym ja „mógł wystąpić przeciw temu Kościołowi zaczepiając „w czemkolwiek bądź najwyższe i najświętsze prawa „jego Naczelnika.... Wiedz Mości Panie, że z pomocą „Boga gotów jestem raczéj umrzeć, tysiąc razy umrzeć, „niżbym się miał dopuścić podobnéj bezbożności..... „Wiedz, iż mocno żałuję i nadzwyczaj wiele nad tem „cierpię, żem z zanadto wielką żywością podjął pewne „religijne następstwa niezgodnéj z mojém przekonaniem „polityki. Chciałem tylko za pomocą strasznego obrazu „tych następstw, zrobić wrażenie na sercach tych, któ„rzy, jak mi się zdawało zbyt się namiętnie i nierozwa„nie rzucali w ową politykę i pociągali w nią mnóstwo „innych. Trudno jest wyobrazić sobie ile cierpiałem sły„sząc na me własne uszy straszne bluźnierstwa rzucane „w Rzymie od 30 Kwietnia przeciw temu wszystkiemu, „com ukochał z całéj mojéj duszy, przeciwko tym, dla „których tyle pracowałem, dla których poświęciłem się „cały i całe me życie. Serce moje rozdzierała wielka

„boleść i w tych właśnie wewnętrznych męczarniach „napisałem owe dwa listy, na których Pan w tak stra-„sznie dotkliwy sposób swe domysły uzasadniasz. Je-„żeliś to zrobił dla tego, że listy te zdziwiły i zgorszy-„ły niektórych katolików, to się czuję zmuszonym o-„świadczyć mu, że ci którzy się mną gorszyli albo nie-„znali całéj okropności zmiany zaszłej w ostatnich cza-„sach w Rzymie, albo też są to ludzie dla których re-„ligia jest tylko sprawą podrzędną, środkiem dorobie-„nia się jakowegoś stanowiska, sprężyną wyrachowaną „na podniesienie jakiegoś systemu politycznego; albo „nakoniec są to ludzie, którzy nigdy niepojmowali i zro-„zumieć nie mogą co to jest kochać Kościół, co to jest „cierpieć kiedy się widzi jego świętą sprawę zniżoną „w obec wiernych całego katolickiego świata! Powta-„rzam Panu, że jeżeliś z tych krzyków sądził o mnie „i moich zasadach, omyliłeś się bardzo i jak najfałszy-„wiéj zrozumiałeś moje listy, które po prostu są tylko „wyrażeniem wielkiéj boleści i wynurzeniem się serca „ściśniętego widokiem wielkiego nieszczęścia, jakiem „było dla mnie *osłabienie wiary katolickiéj w całych „massach ludu w skutku uczestniczenia pewnéj części du-„chowieństwa w owéj smutnéj polityce*....

„Pan rozumiesz, że ja tę straszliwą próżność pod „względem zasad świętéj mojéj wiary przypisuję dzia-„łaniu Boga? Ależ w żaden sposób Bógu przypisywać „niemogę, to co opłakuję, czém się brzydzę, co z głę-„bi serca potępiam. — Tak jest, nigdy téj zmiany w re-„ligijnych uczuciach Rzymian i Włochów, w ich uspo-„sobieniu dla duchowieństwa nieuważałem za łaskę ale „owszem zawszem ją uważał za najstraszliwszą ze „wszystkich kar bożych, za największe nieszczęście i „plagę jaką kiedykolwiek ściągnąć mogły na siebie „Rzym i całe Włochy“.

Oświadczywszy w kilku dalszych ustępach, iż przekonany jest, że Włochy i Rzym wszystko co mają dobrego, pięknego i szlachetnego, wszystkę swą siłę, wyższość pod względem życia umysłowego, pierwsze miejsce pod względem sztuk i całą swą cywilizacyę będącą według Guizot'a źrodłem cywilizacyi Europejskiéj, winne są katolicyzmowi i boskiej instytucyi Papiestwa, protestuje z całą energią Włocha i katolika przeciw inwazyom ducha protestanckiego, w którym widzi śmierć cywilizacyi i śmierć narodów, oraz przeciw wszelkim napaściom na tron papiezki, w którym upatruje jedyny grunt prawdziwéj chrześciańskiéj społeczności i jedyną gwarancyę przeciw despotyzmowi i anarchii. Czego jednak nie można sobie wytłumaczyć, to owego złudzenia, którego rzymski kaznodzieja w żaden sposób pozbyć się nie może wielekroć razy zniewolony jest dotknąć kwestyi wrtrząśnień rewolucyjnych we Włoszech. Pod wpływem tego złudzenia w ruchu włoskim widział on dwojaką dążność, jednę ludową, drugą sekciarską, spiskującą, będącą reminiscencyą ducha pogańskiego. Pierwszą z tych dążności nazywa głęboko chrześcijańską i katolicką, wielką, konserwatywną: drugą zwie wolteryańską, szaloną, niszczącą, ochydną, i jakby umyślnie zamyka oczy na tę smutną prawdę że ów ruch ludowy, tak zachwalony w Rzymie był tylko skutkiem ruchu sekciarskiego i rozwinął się pod jego przywództwem, że niebędąc początkowanym z góry, zkąd ryczałtem zwykły ruch życia popłynął, był materyalną stroną ruchu śmierci wyrachowanego na zniweczenie świętych zamiarów jednego z największych Papieży. Pod wpływem tegoż samego złudzenia wyrzuca gorzko niektórym z obrońców katolicyzmu we Francyi, iż nieczyniąc owego rozróżnienia cały ów ruch bez wyjątku zbyt surowo potępiali zwiąc go *polityczném zbójectwem* i to im za największą w tym sądzie niesprawiedliwość poczytuje, że będąc obywatelami kra-

ju, w którym niedawno jeszcze tak po barbarzyńsku i zbójecku przelano krew tylu tysięcy kapłanów, zakonników i niewiast, śmieli rzucać kamieniem na lud włoski bez rozstrząśnienia sprawy i bez sądu. Ojciec Ventura niespostrzega, że tego rodzaju odpowiedź wcale kwestyi nierozwięzuje, bo jak z jednéj strony, dobrzy katolicy oburzający się na postępowanie ludu rzymskiego w r. 1849 wcale nieusprawiedliwiali krwawych spraw roku 1793 u siebie i potępiali je głośno jako rzucające najsromotniejszą plamę na dziejową kartę Francyi, tak znowu z drugiéj strony, lud rzymski rządzony zawsze po Ojcowsku przez Papieży w żaden sposób porównać się nie da z narodem rządzonym przez ludzi, którzy skutkiem swego nierządu i niemoralności, skutkiem pobłażania najjawniejszym niszczycielom wszelkiéj wiary i wszelkiéj świętości, wystawili go na najsmutniejsze bankructwo tak pod względem wszystkich źródeł pomyślności zewnętrznéj, jak i pod względem zasobów ducha. Lud rzymski nadto dobrze był, że tak powiem wychowany i strzeżony tkliwą opieką papieży, aby w swym upadku mógł być porównan z ludem, który od swych panujących brał lekcye zepsucia i rozwiozłości a był okradany z wiary przez filozofów głaskanych i uwielbianych od znakomitości najbliższych tronu. Próżne zatem wysilenia, aby usprawiedliwić to, co się samo tak krzycząco potępia.

Wszakże złudzenie, to jeszcze nie plama — a zresztą O. Ventura nawet w samem tem złudzeniu jeżeli jest do wytłumaczenia, ma coś takiego przecie, co mu jeszcze przynosi zaszczyt. Przy wszystkich swoich zasługach, przy całéj znakomitości mieć tylko przeciwko sobie grzech chwilowego złudzenia, grzech, za który się w chwili rozwagi publicznie i bez żadnéj restrykcyi żal swój objawia *) to dowodzi, że w człowieku, którego rzeczą

*) Zobacz epilog ostatniéj konferencyi Tomu pierwszego *Sur la Raison catholique et Raison philosophique*.

jest upaść, żył potężnie chrześcijanin, którego rzeczą jest powstać i kapłan Chrystusów, którego obowiązkiem jest budować.

Ojciec Ventura po przedstawieniu, czem by się stały Włochy, gdyby wbrew kierunkowi i usiłowaniom papieży przyjęły choć w części wpływ protestantyzmu objawia swe zdanie co do propagandy protestantów anglikańskich coraz się smutniéj na ziemi włoskiéj szerzącéj:

„Co się więc mnie dotyczy, pisze on, bądź Pan prze„konany, że tych wszystkich, którzy pracują nad spro„testantyzowaniem Włoch miałem i mam za ludzi naj„bezbożniejszych, za najniegodziwszych wichrzycieli po„litycznych, za zdrajców i katow ludu włoskiego, któ„rzy obdzierając go z katolicyzmu, obdzierają go razem „z wszystkich jego dóbr, ze wszystkiéj sławy moralnéj, „naukowéj, literackiéj, artystycznéj, politycznéj i cywil„néj.... Prawda więc, że jak się Pan wyrażasz, zaj„mowałem się i zajmuję się jak najżywiéj, jak najser„deczniéj zmianą, jaka grozi pewnym częściom włoskiéj „populacyi, ale się nie tak zajmuję, jak Pan pozwalasz „sobie o tem sądzić, nie tak, żebym miał w niéj brać „jakowyś udział, żebym ją potwierdzał: Bóg niech mnie „broni od podobnéj zbrodni; jeżli się nią zajmuję, to „żeby jéj przeszkodzić, stawić tamę z własnéj piersi, „żeby przeciw niéj walczyć ze wszystkich sił, żeby ją „zakląć jak węża i zniweczyć choćby ceną wszystkiéj „mojéj krwi, choćby poświęceniem życia“.

Przechodząc następnie do wykazania jako prawdziwa wolność połączona z miłością porządku i uszanowaniem dla władzy, jakiejkolwiek byłaby ona formy jest córką katolicyzmu tak we Włoszech jak i w całéj Europie (str. 15 i 16), tak się wyraża co do wpływu protestantyzmu na polityczne stosunki Europy, a szczególniéj na usposobienie Włochów:

„Wznowiony w XVI wieku poganizm polityczny za

„pomocą poganizmu literackiego i artystycznego zniweczył, „co katolicyzm dla szczęścia ludów dokonał. Nic innego, „tylko protestancka reforma, wsączyła w chrześcijańską „społeczność europejską ten nowy, zabijający żywioł, któ„ry w niéj zatruł chrześcjańskie uczucie wolności.

„Niezapominajmy, że nie kto inny, tylko doktorowie „protestanccy byli w XVI wieku pierwszymi i najżarli„wszymi apostołami absolutyzmu, że to Henryk VIII „był pierwszym z panujących, który z tych lekcyj ko„rzystał i zrobił aż nadto znane wszystkim jéj zastóso„wanie do społecznych i politycznych stosunków.

„Co do natury włoskiéj, która ma w sobie coś essen„cyonalnie i wyłącznie katolickiego, jestem pewien, że „jeżeli protestantyzm zdoła ją zatruć swym wpływem, „wpływ ten kończy się zupełną śmiercią religijną. Tak „jest, wiedz Panotém, że jeżeli Włoch przestanie być kato„likiem, to wówczas tylko kiedy w sobie zdołał zamordo„wać wszelkie uczucie religijne, że jeżeli porzuca katoli„cyzm już wówczas nie jest niczem pod względem religij„nym. On to czuje, co Fenelon tak prawdziwie powiedział „iż: Między katolicyzmem a ateizmem niema żadnego ro„zumnego środka. Łatwiéj też daleko jest zrobić Włocha „wolteryaninem niż lutrem, anglikaninem, lub kalwinem. „Kacerstwa i sekty mają coś dla niego, co tylko obrzydli„wość i wzgardę obudza. Jeżli porzuci wiarę ośmnastu„wiekową, wiarę prawego Kościoła, wiarę Soborów, Mę„czenników, Doktorów, Świętych, to pewnie nie dla tego, „żeby nad nią przekładał wiarę wczorajszą, wiarę Lutra, „Zwingla, Kalwina, Henryka VIII, Elżbiety i tym podobnych „Apostołów, których reformatorskie posłannictwo wyszło „z świętokradztwa, zawiści, dumy, chciwości, kaziro„dztwa i rozpusty. Tak jest jeżeli nieszczęściem Włoch „przestanie wierzyć w niepojęte prawdy, to nie dla tego „pewnie, żeby miał po nich wierzyć w niepojęte błędy...

„Jeżeli się wam gdzieśkolwiek na ziemi włoskiéj uda

„piekielna wasza propaganda, jeżli oderwie gdzieś od „Kościoła jaką liczbę nieszczęśliwych, to będzie wpra„wdzie bolesna strata dla Kościoła, ale dla was żadnéj „to nie będzie stanowić zdobyczy. Zrobicie ich całkiem „niewiernymi, ale nie protestantami albo protestantami, „ale takimi, że do dna wychylą wasze niszczące nauki i „protestować będą nietylko przeciw Kościołowi, ale na„wet przeciw samemu Bogu (str. 21.)“.

Kończąc list silną protestacyą przeciw myślom i uczuciom, które gwałtem usiłowano weń weprzeć, tak pisze:

„Otóż w ten a nie w inny sposób oceniam owę *pró„żnią w duszach rzymskich*, a jeżli mi Bóg pomoże, to „w ten a nie w inny sposób pragnę współpracować, aby „tę próżnią zapełnić Ewangelią i prawdą, ale nie taką „Ewangelią i Prawdą o jakiéj pan myślisz, tylko Ewan„gelią, któréj depozytem i tłumaczem jest Kościół; tylko „prawdą, któréj tłumaczem i sędzią jest następca świę„tego Piotra!

„Co do moich stosunków z Papieżem, te do pana nie „należą. Pius IX. wié, że jak go zawsze wielbiłem i mi„łowałem, tak Go i dzisiaj miłuję i wielbię... Jeżeli „skutkiem fałszywych doniesień straciłem dawne tytuły „do jego dobroci i łaskawości, mam nadzieję, że to „Bóg raczy naprawić. Kiedy się będzie mógł o wszy„stkiem dowiedzieć, przekona się w ówczas, iż czyni„łem wszystko, co tylko mógłem dla niego, ale nie „przeciwko niemu. Mogłem się omylić w wyborze środ„ków, ale pod względem celu, serce moje, dzięki Bogu „nie obłąkało się nigdy... Gdy o tém wszystkiem, „przekona się Ojciec święty, jestem pewien, że mi po„wróci w sprawiedliwości, dobroci i miłości swojéj, tę „tkliwą przychylność, jaką się dawniéj cieszyłem, a gdy„bym się zresztą niemiał i téj doczekać pociechy, bę„dzie to zawsze sprawa rodziny, sprawa między Ojcem

„a synem, do któréj obcy żadnego niemają prawa się „mięszać.“

W trzech następnych listach składających małéj objętości broszurę zbija z całą głębokością rzymskiego teologa i historyka wszystkie protestanckie argumenta przeciw bytności świętego Piotra w Rzymie, a dowiodłszy zwycięzko, jego pobytu i śmierci w téj stolicy starego i nowego świata, tak kończy (str. 117):

„Co do mnie, zawsze panu dziękuję za dobroć z ja„ką mi oddałeś do wolnego rozrządzenia tyle exempla„rzy swojego dzieła, ilebym zażądał. Chwytam Pana za „słowo i dar ten przyjmując, proszę abyś mi oddał wszy„stkie pozostałe egzemplarze. Rzecz skończona. Już „one do Pana nie należą, ale są moją własnością: *Donare* „*est perdere.* Do mnie należy rozrządzać niemi i w moc „tego prawa domagam się, abyś je w mojem imieniu „*zniszczył.* Jestem pewien że nie zechcesz danego sło„wa cofnąć... Niszcząc to swoje dzieło zrobisz Pan „przynajmniéj tyle dobrego, ileś złego popełnił, pisząc „je i w obieg puszczając... Tym sposobem oszczę„dzisz sobie wiele niespokojności i wyrzutów sumienia „na czas, kiedy się znajdziesz na łożu ostatniéj boleści,... „a może też ta ofiara usposobi cię do przyjęcia łaski, „pod światłem któréj czytając Ewangelią, znajdziesz „nietylko Jezusa Chrystusa w boskiem *jego słowie*, ale „też i jego oblubienicę, prawdziwy Kościół zrodzony i „kupiony własną krwią jego przelaną na Kalwaryi. „W tenczas zrozumiesz mnie Pan inaczéj; w tenczas „w objęciach jednejże matki uściśniemy się i zjedno„czymy — w tenczas będę miał sobie za szczęście i „zaszczyt zwać się jego pokornym sługą i bratem w Je„zusie Chrystusie.“

D. Joachim Ventura“.

Cała ta korrespondencya, jak powiedzieliśmy napisaną została w Montpellier, gdzie O. Ventura doznał naj-

pierwéj uprzejméj gościnności francuzkiéj. Biskup tameczny Mgr. Thibault przyjął go z żywém współczuciem. Prawdziwie godzien był jeden drugiego. Umysł z umysłem, serce porozumiało się z sercem. Od pierwszéj zaraz chwili, zawiązały się między nimi stósunki tkliwéj przyjaźni, o któréj, jak się wyraża jeden z publicyuszów francuzkich, byłoby mnóstwo prześlicznych i budujących rzeczy do powiedzenia, gdyby uszanowanie dla zabopólnéj pokory i świętobliwego biskupa i wymownego zakonnika nie nakazywało milczenia. Na co szczególniéj zwracamy uwagę czytelników, to że wszystkie krzyki i zarzuty podniesione we Włoszech i Francyi przeciw czcigodnemu wygnańcowi najmniejszéj nie zrobiły różnicy w przyjęciu go serdecznem przez biskupów znanych z swego poświęcenia dla Stolicy Świętéj. Mgr. Thibault głośno potępiał rewolucyę rzymską i wszystkie podobne jéj ruchy, a jednak O. Venturę przyjął bez wachania, otaczał go dowodami swego szacunku, ofiarował mu swą przyjaźń i miał sobie za pewien zaszczyt, iż u niego pierwszy raz głosił słowo Boże w mowie francuzkiéj. Po kilku miesiącach takiéj gościnności Ojciec Ventura ze łzami pożegnał Montpelier i udał się do Paryża; gdzie go wzywał jak najuprzejmiej Arcybiskup Sibour. Stanowisko jego w téj wielkiéj stolicy, gdzie niedawno z takim zapałem uchwalono pomoc dla Papieża przeciw nadużyciom wolności jego własnego ludu i gwałtom rządu rewolucyjnego, nieulegało ani na chwilę wątpliwości. Arcybiskup ofiarował mu ambonę w kościele *Wniebowzięcia*, a zapowiedziane przezeń co niedzielne konferencye sprowadziły co najuczeńszą część wielkiego auditorium Lacordaira i Ravignianà. Był to właśnie ostatni rok konferencyi Notre-Dame. Dominikanin był u szczytu powodzenia — Ravignan mówił w porze wieczornéj o męce

Pańskiéj. — Ventura stanął w pośród nich i odrazu zajaśniał w całym blasku wielkiego mowcy.

Włoch mówił po francuzku — mówił w Paryżu — mówił w najtrudniejszych przedmiotach, rozwięzywał najważniejsze kwestye — mówił w obec auditorum złożonego z samych mężczyzn, w obec ludzi stanu, filozofów jak Cousin, Jouffroi, Leroux, w obec znakomitości literackich pierwszego rzędu i mowców parlamentarnych znanych z wielkiéj potęgi słowa, w obec licznie zgromadzonego duchowieństwa — i mówił jakby u siebie i był słuchany z takim zapałem, jakby między nim a słuchaczami wszystko było wspólne krom genialności mowcy. Najzdolniejszy lingwista może mówić kilku, kilkunastu językami, a tłumaczyć się w swych uczuciach, nauczać, być wymownym umie być tylko w swojéj rodziméj mowie. Owszem ludzie mówiący dobrze kilku językami w życiu potoczném, zwykle w swym własnym są najmniéj wymowni, tymczasem Ojciec Wentura, najznakomitszy kaznodzieja włoski, mówi po francuzku z największą pewnością, nigdy się o wyrażenie nietroszcząc, ani się kłopocząc wymagalnościami doborowego słuchacza. Oto co pod tym względem, pisze o nim jeden z dzienników Paryzkich: „Człowiek ten niema w sobie nic zwyczajnego. Zdaje się, że w miarę trudności jakiej doświadczać musi w mowie obcéj sobie, potraja, potęguje siłę wyrażenia, że zdobywny frazes, gwałtem wydziera zeń krzyk wielkiego znaczenia, jakiegoby może z niego najwymowniejszy niewydobył francuz. Śmiałość i pewność z jaką mówi jest niesłychaną, że się zdaje jakby go szczęście samo ścigało, kiedy się awanturuje w imie geniuszu. Po akcencie poznasz go zaraz, ale sama ta uderzająca niedoskonałość wymawiania, ma w sobie jakiś wdzięk niewypowiedziany, który podnosi potęgę jego wymowy i robi go zachwycającym.“ Jeżeli się czem wyróżniał od mowców fran-

cuzkich, to silnie wyrobioną metodą filozoficzną i niesłychaną erudycyą teologiczną, tak że zdaje się być żywą biblioteką Ojców i Doktorów Kościoła, a obok tego dziwną zawsze naturalnością, że nigdy u niego nic wyszukanego, nigdy nic danego tylko na wystawę; dodajmy jeszcze, że wśród najściślejszego rozumowania nieraz jakby błyskawicami natchnionych myśli gwałtownie wszystko rozjaśnia, że w chwili, gdy mu brakuje wielkich tradycyonalnych argumentów, zwłaszcza ze szkoły tomistycznéj, tworzy je jakby w nim sam doktor anielskie swoje pomysły rozwijał; że to wszystko od początku do końca ogniem katolickiej żarliwości ożywione, jakby przez każdą myśl i każde słowo przeszedł promień włoskiego słońca, a razem żar wielkich patryotycznych męczarni i wzruszeń doświadczanych z powodu rozpoczętej na obcéj ziemi pielgrzymki, a będziemy mieli mniéj więcéj dokładny obraz Ventury przemawiającego z paryzkiéj ambony.

Mówiąc w Paryżu rozpoczął jak się zwykle rozpoczyna w przekonywaniu umysłów schorzałych, odrzucających wszelką powagę i to tylko przyjmujących co rozum uznał za prawdziwe i pewne. Racyonalizm i Eklektyzm panowały we Francyi, nie tylko w zakresie czysto filozoficznym, ale téż i w ekonomii społecznéj i politycznéj, — w prawodawstwie, we wszystkich stosunkach tego dziwnego narodu. Więc przeciw tym dwom arcy-błędom, Ventura wystąpił w swoich *konferencyach*: O *Rozumie katolickim i Rozumie filozoficznym.* Występując do téj walki, przedstawia najsamprzód historyą dwóch tych rozumów, wykłada ich zasady, maluje ich postęp i główniejsze rezultata, a oparty na niezaprzeczonych faktach, przedstawia w całéj nagości nędzotę, nikczemność, maluczkość, niepłodność, niemoc rozumu filozoficznego i odsłania razem całe bogactwo, wielkość, podniosłość, płodność i siłę rozumu katolickiego, to jest

rozumu uznającego w wierze punkt swego wyjścia i szukającego natchnienia i rozjaśnień w prawdach religijnych. Dowodzi daléj, iż rozum filozoficzny nie tylko, iż nie jest zdolny wynaleść własną siłą jakowąś prawdę, którejby wprzód nie posiadał, ale że owszem stracił wszystkie prawdy wzięte z rąk religii i tradycyi powszechnych i cisnął się w przepaść skeptycyzmu; gdy tymczasem przeciwnie, rozum katolicki przechowawszy jak najwierniéj wszystkie prawdy religijne, wzniósł się na najwyższe przyczoła wiedzy w zakresie filozoficznym i spoczął wpośród swych zdobyczy i swego postępu na granitowéj opoce pewności. Pierwszoletni ten kurs miał jak najzupełniejsze powodzenie; Ventura był prawie w ciągłem oblężeniu — ci co go słyszeli za jak największe poczytywali sobie szczęście, zbliżyć się do wielkiego mowcy Rzymu, ci co go niesłyszeli dla zbyt wielkich odległości swoich siedzib od stolicy, ale o nim czytali sprawozdania po dziennikach, a prawie jednocześnie czytali i same konferencye, acz zbyt niedokładnie zamieszczone w *l'Enseignement Catholique*, zasypywali go mnóstwem najpochlebniejszych listów i zapytań dowodzących, że w nim upatrywano najwyższą indywidualną potęgę teologiczną i filozoficzną. Wszakże niebrakło i na krytykach tém nieprzyjaźniejszych im jawniéj Ventura wykazał niemoc Racyonalizmu i Eklektyzmu. *Revue des Deux Mondes* *) zamieściła artykuł, w którym ojciec Ventura postawiony został obok Donozo Cortez i Gauma i razem z niemi z wszelkiej opinii znakomitości odarty. Artykuł ten był, jak się można domyślić napisany przez hołdownika opinii, który dawszy mu za tytuł: *Kościół katolicki w średnich wiekach i w wieku XIX*, dowodził, iż ponieważ Ventura, Donozo

---

*) Tome Seizième. XXII Année. — Nouvelle periode. 1 Novembre — 3. Livraison.

Cortez i Gaume niekłaniali się duchowi czasu, ani pod jego wyroki nie poddawali swoich przekonań, *ergo* niezasługują tylko na odepchnięcie i śmiech. Wszystko to naturalnie powiedzianem było nader uprzejmie, grzecznie, bo krytycy jak książe de Broglie są zawsze grzecznymi, salonowymi, pachnącymi i nigdy się niedopuszczają *grubijańskich wyrażeń lub podejrzeń*, jakich nie szczędzą dzienniki zdecydowanéj oppozycyi; ale bądź co bądź wszystkie te grzeczności kończyły się owem Molierowskiém *ergo* w którem się razem wypowiadało *wszechwładztwo wiedzy tego*, który krytykuje i niedorzeczne utopie krytykowanych (*les utopies qui font sourir!*)

O co szło głównie? Szło o rzecz niemałą, szło o oznaczenie *czem* prawdziwa filozofia być powinna, co jest jéj właściwym *przedmiotem*, co powinno być jéj *celem?* Ventura tak się wyraził w téj mierze zawsze wierny chrześciańskiéj swéj metodzie: „W dwóch wyrazach „zawiera się cała historya filozofii od początku świata „aż do naszych czasów. Filozofia była zawsze, albo „*poszukiwaniem* prawd nieznanych, albo *dowodzeniem* „i rozwijaniem prawd znanych oraz ich zastósowaniem „do udoskonalenia człowieka i społeczności.

„Filozofia więc była i jest albo poszukującą (*inqui-* „*sitiva*), albo dowodzącą (*demonstrativa*). Pierwsza od- „pycha wszelką prawdę niebędącą jéj zdobyczą, druga „przyjmuje chętnie każdą prawdę, gdziekolwiek by ją „znalazła; pierwsza jest naturalnym wrogiem zasady „religijnéj, a jeżeli czasem jak się to za dni naszych „zdarza, usiłuje religię wciągnąć w przymierze z sobą, „to tylko dla tego, aby ją zniżyć, upokorzyć, by nad „nią panować, żeby ją zgubić, podobnie jak złodziéj na „wielką skalę stowarzysza się z samotnym podróżnym „i udaje przyjaźnego, póki nie stanie na bezpiecznym „miejscu, gdzie go już może bezkarnie napaść, zrabo-

„wać i zabić; — przeciwnie druga szczęśliwa, wielekroć „razy może być objaśniona wyższą światłością płynącą „dla niéj świętym kanałem religii, jest przyjaciołką i „szczerym sprzymierzeńcem zasady religijnéj, a usiłowa- „nia jéj dążą do rozwinięcia téj zasady, do jéj wpoje- „nia w umysły, do jéj obrony przeciw napaściom błędu „i namiętności....

„Że starożytni filozofowie byli, jak zowie Apostoł: „*filozofami poszukującymi*, to się da jeszcze wytłumaczyć. „Religia pogańska przedstawiała im same absurda za- „mienione w obrzędy bezecne, ochydne, okrutne. Tra- „dycye ludów były tak zepsute, zaćmione, iż zaledwie „można się było czegoś w nich doszukać. Cóż więc „dziwnego, że owi mężowie usiłowali odszukać prawdę „własnym swym rozumem. Ale inaczéj całkiem rzecz ta „ma się co do Chrześcian. Ci w Kościele i przez Ko- „ściół skarb całej prawdy znaleźli, poznali Boga i jego „przymioty, stwórcę i stworzenie, człowieka, jego po- „czątek, przeznaczenie, prawa, obowiązki, grzech i jego „oczyszczenie, kary i nagrody, oraz ich wieczność a po- „znali to wszyttko wsposób tak czysty, jasny, ścisły, „pewny i zupełny, że żadną miarą pojąć niemożna, na „co by się im zdało szukać tego co mają przed oczyma „i czego się własnemi rękami dotykają. Tertulian po „wiada: My po wzięciu Ewangelii nie potrzebujemy „badać filozoficznie, co nam po ciekawych poszukiwa- „niach prawdy, kiedy mamy taką prawdę, jak Jezus „Chrystus. *Nobis curiositate opus non est post Christum* „*Jesum, nec inquisitione post Evangelium*“ (de praesrr).

I daléj:

„Prawdziwa filozofia (filoz ofia demonstratywna) wy- „chodzi z zakresu wiary, aby przejść mogła w zakres „wiedzy, nie zaś z wiedzy do wiary. Droga ta wy- „tknięta rozumowi ludzkiemu przez Chrystyanizm jest „z jego naturą, i z naturą filozofii najzgodniejsza. Bo

„sam rozum i doświadczenie dowodzą, iż poczynając „przez wiarę umysł osięga pojęcia i wiedzę nic nie„straciwszy z téj wiary, kiedy przeciwnie wychodząc „z pojęcia i wiedzy i wiarę gubi i wiedzy onej nigdy nie„osiąga: *Nisi credideritis non intelligetis;* cała rzecz jaką „rozum na tej drodze zdobywa będzie tylko pojęcie po„wszechnego wątpienia, to jest pojęcie boleści, rozpa„czy która wychodząc jak powiada Pismo z nieprawdy „rodzi nieprawość (Ps. VII 15)".

Tak nauczał Ventura. Pan Brogli zaczepił obydwa zasadnicze punkta téj nauki, powstaje przeciw filozofii demonstratywnéj, jako przeciw średniowiecznéj (zwykły powód do oburzania się dla umysłów słabych i o średniowieczności tyle wiedzących ile o niéj znaleźli w protestanckich i pseudofilozoficznych deklamacyach), oraz przeciw metodzie stawiającéj wiarę za punkt wyjścia, jako także średniowiecznéj.

Zobaczymy kto ma słuszność, bo *Revue des Deux Mondes* jest to Czasopismo u nas podobno ze wszystkich przeglądów najwięcéj czytane, sądy jego dla wielu stanowią *verba Magistri,* na które nieledwie, żeby przysięgali.

Filozofia starożytna wychodziła, z pewności, z pewnika, z czego też wychodzi i dzisiaj każda filozofia chrześciańska. Ale z jakiego pewnika? Protestantyzm wmawia w łatwowiernych, że to był pewnik *ślepéj wiary.* P. Broglie nieinaczéj to ıozumie. Według niego społeczność średniowieczna we wszystkich swych badaniach filozoficznych miała za podstawę i zasadę *wiarę dogmatyczną.* Tłumaczyć rzeczy wiary, to było całe jéj zajęcie. P. Broglie przytacza tu swe przekonanie i niewiedzieć czy w skutku niewiadomości, czy w skutku złéj wiary, wyrachowanéj na zniżenie Teatyna w oczach lgnącéj do niego publiczności, dowodzi, że ponieważ i Ventura z takiego pewnika wychodzi, przeto jest raczéj

widmem średniowieczném, niż filozofem mogącym się dzisiaj przydać na coś Kościołowi.

Najsamprzód trzeba uważać, że Ventura mówiąc z ambony niezawsze używa wyrażeń ścisłych, jakich używał kiedy mówił jako professor z katedry. Powtóre, że są wyrazy, które nie będąc dość oznaczonemi używają się przecie i w najściślejszych rozumowaniach. Otóż tedy nieraz używa on wyrazu *wiara* nie w znaczeniu dogmatyczném, ale na oznaczenie owego przyzwolenia (*assensus)*, które zwykle wyprzedza wszelkie dowodzenie, a przez które umysł ludzki przyjmuje najwyższe zasady, jako pierwsze i służące za podstawę do wszelkiego dowodzenia, a zatem same niemogące być dowodzonemi. Z dwojakiego względu można nazywać wiarą takie przyzwolenie umysłu, raz kiedy jest uznaniem prawdy, któréj umysł dla jéj nadzwyczajnéj tajemniczości i ciemności dowieść niemoże, a wtenczas jest ona wiarą ścisłą, drugi raz, kiedy jest uznaniem prawdy przez się jasnéj, ale znowu tak jasnéj, że dla zbytecznéj jasności dowodzić jéj nie podobna, a wtenczas jest wiarą w znaczeniu nieścisłem. Ventura użył tu wyrazu *wiara* w tém drugiém znaczeniu. A p. Broglie zarzuca mu średniowieczność a średniowieczności niedorzeczność, dla tego właśnie, że sam niedorzeczność popełnia biorąc za jedno filozofią demonstratywną z teologią scholastyczną. Ta ostatnia, to jest teologia, kładzie bezwątpienia *artykuły wiary* za podstawę, za *zasadę*, ale pierwsza wychodzi z wiary jako z punktu *pewności*, jako z wiary rozumowéj, filozoficznéj. Gdyby krytyk zamiast mówić wiele o Summie Świętego Tomasza chciał był do niéj zajrzyć, byłby tam znalazł owo rozróżnienie: *Sicut aliae scientiae non argumentantur ad sua principia probanda sed ex principiis argumentantur ad ostendendum alia in ipsis scientiis; ita haec doctrina (theologica) non argu-*

mentatur ad sua principia probanda, sed ex eis procedit ad aliquid ostendendum (Summa Theol. p. I. 9. I. art. VII).

Byłby się też z tego Doktora średniowiecznego dowiedział, że Metafizyka rozprawia nawet z tymi, którzy przeczą jéj zasady, ale którzy przecząc, coś przecie tą wiarą filozoficzną przyjmują i wierzą, ale rozprawiać by z niemi niemogła, gdyby nie przyjąć za pewnik niechcieli: *Si autem nihil concedit, non potest cum eo disputare* (Ibid).

Wszakże filozofia chrześciańska nie wymaga onego uznania pierwszych zasad, jako aktu wiary należnéj Bogu objawiającemu, lecz tylko jako aktu uznania, które prawda zasadnicza wkłada na umysł nieschorzały przez sofizmata, bez żadnego dowodzenia, tak jak światłość daje widzenie każdemu zdrowemu oku, niepotrzebując żadnego innego światła, ażeby była widzianą. Kiedy więc mowa o zasadzie, z któréj wychodzi filozofia, trzeba zostawić na boku objawienie i wiarę, jeżeli się chce uniknąć zmieszki pojęć filozofii i teologii. Ventura czyni to wyraźnie w dziełku p. t. *De la vraie et de la fausse philosophie en reponse à une lèttre de M. Vicomte de Bonald*, gdzie na stronnicy 35 tak się wyraża: „Byłoby śmiesznością w filozofii, gdyby chciała „prawd swoich dowodzić Pismem świętém, decyzyami „Papieży i Soborów lub Tradycyą chrześciańską, albo „gdyby chciała przeciw nieuznającym ani starego ani „nowego zakonu, walczyć pierwszym lub drugim. Do „takich nieprzyjaciół trzeba się brać z bronią rozumu „naturalnego.“

A Broglie na to, że Ventura tym rozumem chce mieć jednak wiarę, nie zaś *wątpienie.*— Wszakże, czyż dla tego, że filozofia nie wychodzi z *wiary*, już wypływa że wychodzić powinna koniecznie z *wątpienia?* Z drugiéj strony, jakże tego rozumem przekonać, kto o wszystkiem, a więc i o samym rozumie wątpi? Jak dowieść

jakowejś prawdy bez oparcia się na innéj niewątpliwéj przez się prawdzie? Możnaż wywnioskować konkluzyę pewną z niepewnych praemissów. Ani filozofia średniowieczna ani O. Ventura niemogliby nic podobnego przypuścić.

Cóż z tego kiedy tak chce mieć filozofia nowa i Pan Broglie (zawsze w wielkiéj miłości dla Kościoła, któremu każe przyjmować wszystko, co ma duch czasu, złe czy dobre, aby tą koncessyą sam mógł być z łaski przyjęty), — Pan Broglie powiada: *powątpiewanie jest dziś punktem wyjścia dla filozofii, jak w wiekach średnich była nim wiara.* On nazywa tę filozofią fatalną, ale ją przecie koniecznie każe przyjąć Kościołowi. Ale na Boga dla czegóż? *Parceque c'est un fait avec lequelle il faut compter, parceque la société française n'est point assise dans la foi, elle erre au contraire dans le doute* (440). Miły Boże a cóżby dziś było z ludzką społecznością, gdyby Kościół chciał podobnie rozumować i to przyjmować koniecznie, co gdzie znajdzie, zamiast to wszędzie wpajać, co sam posiada. Kościół dla tego, że społeczność błądzi, nie może brać błędu za metodę postępowania, a co do faktu, że umysły francuzkie jeszcze błądzą i wątpią (chociaż Bogu dzięki już dzisiaj rzeczy stoją inaczéj), ten może coś znaczyć w polityce, ale nie w filozofii, gdzie znaczą zasady nie fakta. I u nas na podobném rozumowaniu nie zbywa. Każą nam tego rodzaju chrześcianie siedzieć cicho i tém się kontentować *co jest*, żeby Kościół i reszty nie stracił. Rozumowanie to w prawdzie, więcéj jest w sferze życia, niż w sferze teoryi, ale właśnie tém jest niebezpieczniejsze. Jakby Kościół chciano oderwać od społeczeństwa, żeby sobie mogło być pogańskie dla tego, że niém *jest*, tak by też chciano oderwać sprawę religii od spraw i stosunków życia codziennego, dla tego, że się z pod jéj wpływu te sprawy i stosunki *de facto* wysunęły.

P. Broglie wyrzuca O. Venturze, iż potępia filozofią, którą ze względu na ducha społeczności winienby podjąć w interesie chrystyanizmu. To prawda, że religia nie gardzi, owszem przyjmuje chętnie posługę, każdéj umiejętności, ale umiejętności prawdziwéj, więc też i posługę filozofii, ale nie téj filozofii, która wedle czasów różne odgrywa role (le rôle de la philosophie), tylko filozofii prawdziwéj, która jest zawsze ta sama. Jeżelić filozofia XIII stulecia dobrze wykonała swe posłannictwo względem Kościoła, powinnaby równie dobrze spełnić i w wieku XIX, jeżeli nie może w XIX, więc i w XIIItym nie mogła. Gioberti w dobrych jeszcze chwilach powiada o niéj: „I dla czegóż dowody, które wczo„raj były silne, jasne, zdolne wlać przekonanie w takie „umysły jak Dantego, Eulera, Hallera, Anquetila i Mu„ratorego, miałyby dziś lub jutro stracić siłę przekony„wania *)?

P. Broglie jeszcze powiada: Gdyby Doktór Anielski żył za dni naszych, polemika jego przeciw tegoczesnym niewiernym niewychodziłaby zapewnie z wiary w dogmata, jak chce mieć O. Ventura.

Ależ pominąwszy, że Ś. Tomasz oprócz *Summy Teologicznéj* napisał *Summę przeciw Poganom*, w któréj dogmata wiary idą po wywodach rozumowych, pytamy się czyż można brać za jedno nauczanie filozofii i walczenie przeciw błędom niewiernych? Jeżeliby Doktor Anielski z uwagi na różność nieprzyjaciół zmienił broń w polemice, czyż dla tego miałby też zmienić naukę i zasady filozofii? Ależ jeźli niezbitemi i nie do zaprzeczenia były wywody i dowodzenia najwyższych prawd w Uniwersytecie paryzkim w obec Scholastyków, zdaje się, że i dzisiaj byłyby nie do zbicia w obec studentów p. p. Cousin lub Damiron. Z resztą, jeżeliby ta zmia-

*) Introd. 665.

na potrzebną była dla pokolenia, które wynaturzyło swój umysł, to ztąd jeszcze niewypływa, ażeby miała być koniecznie używaną w nauczaniu pokolenia już wzrosłego i dojrzewającego, ażeby to miało być właściwą funkcyą filozofii. Można karmić w pewnych dozach nawet truciznami chorego, ażeby go uzdrowić, ale trucizna dla tego nie stanowi jeszcze pokarmu dla zdrowych.

Tak Ojca Venturę krytykowano w r. 1852, on sam dla tego ani swéj metody filozoficznéj nie zmienił, ani względem społeczności, u któréj czuł się gościem bynajmniéj serca nie stracił. W przedmowie tylko do drugiego tomu konferencyi *) zamieścił krótki ustęp (§ 5) na czele którego położył jako tytuł to zdanie iż: „*nie* „*sądzi się być obowiązanym do odpowiadania na krytyki* „*dowodzące tylko złośliwości lub niewiadomości tych przez* „*których zostały napisane.*“ W ustępie tym oświadcza, iż jeżeli co winien tego rodzaju krytykom, to chyba zapomnienie i przebaczenie, sądzi bowiem za rzecz zbyteczną rozprawiać z ślepém uprzedzeniem, z wyrachowaną zawiścią i złą wiarą. Ani też myśli odpowiadać owym filozofom salonowym, którzy dla tego tylko, ażeby o nich mówiono jako o ludziach uczonych (gdy już przestano mówić jako o mężach stanu) wkręcają się w zakres umiejętności, gdzie im się podobnie wiedzie jak im się wiodło w zakresie polityki. Dziwi się, jak ludzie tak pozorni, którzy o pierwszych zasadach filozofii wyobrażenia nie mają, mogą sobie rościć prawo do dyskussyi czysto filozoficznéj i podnosić głos z taką niesłychaną lekkomyślnością w kwestyach tak ważnych. Powiada daléj, iż niedosyć jest być nawet znakomitym literatem, ażeby wkraczać z taką śmiałością w zakres

---

*) **La raison philosophique et la Raison Catholique, ou Conferences sur la Creation prononcées à Paris dans l'Année 1852.**

filozofii i kto na to nie pamięta powinien wiedzieć, iż brak umiejętności, nędza myśli, ubóstwo idei obok podobnego zuchwalstwa jest nie do przebaczenia a nakoniec, że jak dla filozofa nie podobna rozprawiać z grammatykami, tak teologowi niewłaściwie byłoby wdawać się w dyskussyą z adwokatami.

Mimo takiéj odpowiedzi może troszkę za szorstkiéj, ale bardzo do usprawiedliwienia w najznakomitszym tegoczesnym teologu zaczepionym przez znakomitostki literackie, w roku bieżącym ukazała się nowa krytyka zamieszczona w *Le Correspondent* w miesiącu kwietniu i maju przez P. Chalambert pod tytułem *Le Pére Ventura*. *Correspondent* rehabilitując się, przez tego rodzaju artykuły, w duchu niby umiarkowanym a w saméj rzeczy w duchu bałwochwalstwa dla opinii pisane, jest smutnym z owéj *niby bezstronności, która im więcéj o sobie mówi, tém się bardziéj na wszystkie strony ogląda* i owéj dla religii przychylności, która się manifestuje nie przez szlachetną i otwartą polemikę, ale przez grzeczną wojnę podniesioną przeciw najszczerszym religii obrońcom. Bolesna rzecz, iż w Czasopiśmie tak niepewnych zasad znajdujemy dwa imiona, dwa z najmilszych dzisiaj każdemu sercu katolickiemu, to jest Montalembert'a i Lacordair'a. To pewno, że się *Correspondent* przez owe imiona widocznie tylko przyczepione niepodniesie, ale to jeszcze, niestety, pewniejsza, iż sąsiedztwo z takiemi artykułami jak, artykuł *o obecnéj religijnéj polemice* przez P. Broglie, jak rozprawa p. t. *Le parti Catholique*, Pana de Falloux, jak wreszcie krytyka P. *de Chalambert* — że sąsiedztwo takie nie może być jak tylko zniżające.

Książe de Broglie dowiódł, iż Ventura śmiesznym jest wskrzesicielem średniowieczności w filozofii, przez zbyteczną wierność zasadom filozofii scholastycznéj.

A p. Chalambert dowiódł, iż Ventura zwodzi opierając się niby na szkole scholastycznéj a fałszując naukę jéj Słońca, to jest Ś. Tomasza.

Czy dowiódł? zobaczymy. Kwestya nader jest ważna, idzie bowiem o początek idei.

Ojciec Ventura wychodząc z zasady *substancyalnéj jedności człowieka*, to jest *substancyalnego zjednoczenia dwóch pierwiastków duchowego i materyalnego w jednéj osobie*, będącego, jak powiada, obrazem *hypostatycznego zjednoczenia dwóch natur w Bogu-człowieku*, utrzymuje według tego kanonu scholastyków: *Actiones sunt Conjuncti*, iż czynności ludzkie nie są ani czynnościami saméj duszy ani samego ciała, ale *Całego Człowieka*. Ztąd i w początkowaniu idei, jakkolwiek duszy główne działanie przyznaje, naznacza przecież pewną podrzędną, ale konieczną cząstkę i ciału, a tym sposobem wychodzi z zaklętego kółka Idealistów i Sensualistów, w których od czasów Bakona, Kartezyusza i Leibnica, ustawicznie się kręcą szkoły filozoficzne, głównie z téj przyczyny, że nie uważając człowieka za istotę złożoną *substancyalnie*, i uznając duszę i ciało za dwie istoty osobno *w sobie* istniejące, a w koniecznéм następstwie zaprzeczając jednéj na rzecz drugiéj, tem samem zniewolone są wszystkie czynności ludzkie albo samemu ciału i zmysłom, albo saméj duszy przypisywać. Ventura przeto kładąc za fundamentalną zasadę prawdziwéj filozofii istotową jedność człowieka bez zmieszki ducha z naturą, jak za fundamentalną zasadę chrześciańskiéj teologii jedność osoby Jezusa Chrystusa, bez zmieszki Bóstwa z Człowieczeństwem, przychodzi koniecznéм następstwem do uznania w człowieku *jedności działania*, bez zaprzeczenia, że *zasadą tego działania jest dusza*. Dusza, powiada on, zajmując ostatni szczebel w wielkiéj skali istót duchowych i niemogąc sama przez się rozróżniać przedmiotów, które są przed nią, jakoby w pewnéj zmie-

szce, rozróżnia je za pomocą zmysłów ciała, jak krótkowidzący rozróżnia przedmioty za pomocą szkieł przybliżających. Tu się rozwiązuje wielka kwestya co do początku idei. Dusza *ma w sobie możność* (potentiam) ich tworzenia, ciało zaś podając duszy obrazy, służy jéj pierwszym materyałem, jest więc w tworzeniu idei przyczyną *tylko materyalną (causa materialis)*, dusza zaś pobudzona wziętym przez zmysły obrazem, wychodzi z możności do czynu (de potentia in actum), odrywa od obrazu szczegółowe pojęcie, uogólnia je, tworzy z niego ideę, jest więc w tworzeniu idei *przyczyną uskuteczniającą* (causa efficiens), owszem jest przyczyną pierwszą przez działanie umysłu na obraz, wyprzedzające działanie, przez które bierze owe pojęcie oderwane od obrazu. A tak pierwszości i zasadniczości działania nieprzypisuje obrazom lub obrazowaniu, ale duszy *czynnéj* przez umysł, ona nie dla tego pojmuje, że jest zjednoczona z ciałem, ale dla tego, że jest oświecona promieniem, wyższéj, boskiéj światłości skutkiem którego jest czynną i zdolną pojmowania i tworzenia idei. Obrazów oderwanych przez zmysły, nie bierze umysł wprost, ale przez posługę wyobraźni będącéj pośrednią władzą między zmysłem a umysłem. Wyobraźnia bierze obraz, umysł odrywa pojęcie i wytwarza ideę, umysł więc ma *w sobie* potrzebne światło i siłę działania, ciało zaś przez zmysły znosi przedeń szczegółowe przedmioty i służy mu do wyrabiania idei uniwersalnych. Że Ś. Tomasz tak uczy, dość przytoczyć na dowód ów znany każdemu mniéj więcéj obznajmionemu z filozofią scholastyczną kanon sformułowany przez niego: *Intellectus humanus in statu praesentis vitae nihil videt sine phantasmate.*

Tymczasem p. Chalambert twierdzi stanowczo, że ta nauka niezgadza się z nauką świętego Tomasza i jest tylko jéj sfałszowaniem. Niewchodząc w rozbiór jego

własnéj teoryi, ani w sprawdzanie cytacyi ś. Tomasza, któreby dowodziło tylko, że recenzent albo miał postanowienie to tylko w Summie znaleźć, co już poprzednio w swéj głowie ułożył i wmówiwszy w siebie, że znalazł, chce toż samo wmówić w czytelników; albo, że o Summie w tenczas się dopiero dowiedział, kiedy potrzeba było dowieść, że ojciec Ventura zdanie swe podszywa pod firmę Anioła Szkoły; niewchodząc powtarzam w sprawdzanie tych cytacyj, weźmy przed się *Summę Contra Gentiles*, w któréj ta kwestya *ex professo* jak najobszerniéj jest traktowaną i porównajmy.

Oto co znajdujemy w Księdze drugiéj, w rozdziale 73cim: ś. Tomasz zbijając w tem miejcu zasadę, według któréj umysł ludzki (in potentia) ma sam przez się materyał do idei, taki stawia dowód pospolicie zwany u scholastyków *ab absurdo*: „Ztąd by wypływało, powiada on, że umysł ludzki (possibilis) niepotrzebuje obrazów do pojmowania, że my przez sam tylko ów umysł poznawamy, niepotrzebując ku temu ani zmysłów ani obrazów, *co oczywiście jest fałszem* *).“

A daléj: „Duch ludzki, jak każda inna istota działa według sposobu w jakim jego natura istnieje, a ponieważ według swéj natury duch ludzki jest formą ciała, więc poznaje wprawdzie rzeczy niemateryalne, ale je widzi czemś co jest materyalne. Jasny tego dowód w naukach uniwersalnych, gdzie się zawsze przedstawiają przykła-

---

*) Ex hoc videtur sequi, quod intellectus possibilis non indigeat phantasmatibus ad intelligendum nos autem per intellectum possibilem intelligimus, neque igitur nos sensu et phantasmate indigemus ad intelligendum, *quod est manifeste falsum. Intellectus possibilis* znaczy toż samo u ś. Tomasza, co umysł ludzki w przeciwstawieniu z umysłem boskim, który jest „*purus actus* respectu entis universalis“ i zmysłem duchów czystych, który jest zawsze *in actu*, *respectu suorum intelligibilium.*

dy z przedmiotów szczegółowych, w których się upatruje myśl jakaś ogólnie wypowiedziana.

P. Chalambert powiada, że ponieważ Ventura stanowi, iż umysł do wytwarzania idei uniwersalnych potrzebuje najprzód fantazmatu, przeto tem samem poznawanie, pojmowanie, idee przenosi z umysłu w zmysły i grzeszy sensualizmem!! a nawet nieróżni się pod tym względem od Kondilaka!! Jak się różni od Kondilaka dość powiedzieć, iż kiedy ten ostatni utrzymuje, iż sensacya *sama przez się wyrabia idee* a duch je przyjmuje *biernie*, Ventura całkiem przeciwnie uczy, iż umysł biorąc od wyobraźni fantazmat i odrywając od niego kształt myślny *tworzy z niéj idee czynnie.* Ale pominąwszy ten zarzut, bo komużby mogło przyjść to do głowy, żeby w teoryi Ventury o wytwarzaniu idei upatrywać sensualizm i do tego sensualizm Kondilaka, pominąwszy ten zarzut, powiemy tylko iż gdyby p. Chalambert chciał był rzeczywiście troszkę głębiéj przypatrzyć się Summie byłby tam między trudnościami nader stanowczo rozwiązanemi znalazł i tę, o któréj rozumie, że jest jego pierwszym wynalazkiem i którą miota w oczy Venturze, jako dowód, że świętego Tomasza źle zrozumiał, albo sfałszował. Trudność tę przedstawia kommentator Summy w księdze i rozdziale powyżéj wyrażonym w ten sposób.

„Jeżeli umysł, jako forma ciała, widzi przedmioty niemateryalne (to jest idee) w rzeczy materyalnéj, więcby ztąd wnosić można, iż pojmowanie nie jest czynem umysłu ale zmysłu.“

Co przedłożywszy tak odpowiada:

„Ażebyśmy mogli tę trudność rozwiązać, zważmy iż gdy władze tak zmysłowe jak umysłowe, zasadę swego działania mają w duszy, przeto dusza jest pierwszą zasadą nietylko pojmowania ale i czucia. Tym sposobem dusza spostrzega przedmiot szczegółowy przez zmysł, a

uniwersalny przez umysł. Przez zmysł naprzykład widzi jak się coś porusza samo przez się i zwykle w tenczas mówimy, iż *widzi życie.* (Ruch widzi zmysłem a z fantazmu ruchu odrywa pojęcie życia, z którego wyrabia uniwersalną ideę życia przez umysł. Tym sposobem dusza poznaje przedmioty niemateryalne czyli uniwersalne w przedmiocie materyalnym szczegółowym; nie tak, jakoby widząc przedmiot szczegółowy widział w nim razem naturę uniwersalną (ideę), ale tak, że przez fantazmat z rozkazu umysłu przez wyobraźnią wytworzonego, wyobraźnia poznaje przedmiot szczegółowy, właśnie przez ów fantazmat przedstawiony, a umysł poznaje naturę niemateryalną, uniwersalną w przedmiocie materyalnym i szczegółowym *).

Że zaś w saméj istocie święty Tomasz tak a nie inaczéj trzyma, przytacza ustęp z *Summy Teologicznéj* (P. I. p. 84 art. 8), gdzie święty ten wykazuje, *jak* umysł potrzebuje fantazmatu nawet po wziętém z niego pojęciu. „Jeżeliby umysł do działania swego (to jest do wytwarzania pojęć i idei) niepotrzebował działania jakowéjś

---

*) Dubitatur circa rationem propositionis 1mo: Quia si id circo intellectus inspicit immaterialia in re materali, quia est forma corporis.... *sequeretur quod intelligere sit per organum materiale.* Pro solutione considerandum, quod cum potentiae tam sensitivae quam intellectivae *in essentia animae radicentur*, anima est primum principium non solum intelligendi sed etiam sentiendi... et sic simul anima cognoscit aliquod singulare per sensum et universale per intellectum, sicut ex eo quod per sensum videt aliquem a se ipse moveri, statim cognoscat per intellectum illud esse substantiam viventem et sic dicitur in motu videre vitam. Et sic anima intellectiva dicitur cognoscere immaterialia sive universalia in re materiali et singulari, non quia simul intellectus videat singulare et in ipso singulari videat naturam universalem, *sed quia per phantasma ad imperium intellectus formatum imaginatio cognoscit singulare cujus illud phantasma est repraesentativum et simul per speciem intelligibilem ralucentem in illo phantasmate intellectus naturam universalem cognoscit.*

władzy używającéj organu ciała, tedyby żadną miarą utrata owego organu przeszkadzać mu w jego działaniu niemogła, wszakże gdy widziemy, że to jest fałszywe, przeto niezawodną jest rzeczą, że aby umysł w czynie pojmował, nie tylko z nowa biorąc poznanie, ale nawet używając nabytéj wiedzy, potrzebuje do tego pomocy wyobraźni i innych sił *).

Nakoniec, że człowiek niema w umyśle swoim idei, ale je bierze *per abstractionem* sam ś. Tomasz tak tego dowodzi (*Lib. Secund. c. LXXVII*). „Owe zaś pojęcia, których dusza umysłowa ludzka nabywa, Plato nazwał pojęciami istniejącemi same przez się, to jest ideami, i dlatego już mu niebyło potrzeba było przypuszczać umysłu tworzącego pojęcia. Co gdyby było prawdziwém natenczas im pojęcia byłyby duchowniejsze, tem byłyby dla nas przystępniejsze, tymczasem zupełnie jest przeciwnie bo najprzystępniejszemi dla nas są właśnie te, które są najbliższe zmysłu **).

Prosimy to porównać z teoryą O. Ventury i osądzić czy ona nie jest jak najwierniejszém tych zasad rozwinięciem.

Według p. Chalambert człowiek ma idee w stanie niezdecydowanem, niejasne, niezrealizowane (str. 61) Co to są idee niezrealizowane? to są idee nieistniejące. A jeżeli się ma przez nie rozumieć *idee możności*, które je-

---

*) Si non requireretur ad actum intellectus, actus alicujus potentiae utentis organo corporali, nullo modo impediretur in suo actu per laesionem alicujus organi corporalis, atqui etc. etc.... ergo manifestum est quod ad hoc quod intellectus actu intelligat, requiritur actus imaginationis et caeterarum virtutum.

**) Haec autem intelligibilia, quae anima intellectiva humana intelligit, Plato posuit esse intelligibilia per se ipsa, scilicet Ideas unde non erat ei necessarium ponere intellectum agentem intelligibilia. Si autem hoc esset verum, oporteret quod quanto aliqua sunt secundum se magis intelligibilia eo magis intelligerentur a nobis, quod patet esse falsum, nam magis sunt nobis intelligibilia, quae sunt sensui proximiora.

szcze nie wyszły do czynu, w takim razie są one jedno i to samo, co umysł w możności działania (*intellectus possibilis*), którym właśnie w teoryi ojca Ventury postawiony jest jak najwyraźniéj. Krytyk powiada daléj: człowiek te idee niezrealizowane, niejasne, realizuje przez applikowanie do przedmiotów szczegółowych. Ależ kiedy mówię, że mam ideę czegoś niejasną, mówię w tenczas, że mam jakoweś niezupełne poznanie rzeczy, o któréj albo słyszałem, albom się o niéj w jaki bądź sposób *dowiedział*, ale jeżelim jéj ani widział, ani o niéj słyszał, anim się o niéj żadnym zwykłym sposobem niedowiedział, wówczas niemogę powiedzieć, że mam ideę niejasną, tylko mówię, że o téj rzeczy *nie mam żadnéj idei.*

Jak człowiek przychodzi do poznania bądź siebie, bądź Boga? Ventura odpowiada: „Człowiek nic sam przez się poznać niemoże bez nauczycielstwa zewnętrznego, które podając mu obrazy i pojęcia pobudza umysł jego do działania do wytwarzania idei i zasad.

A p. Chalambert na to: więc ks. Ventura umysł człowieka robi pewną *tabula rasa*, na któréj niema nic póki objawienie, lub nauczycielstwo zewnętrzne czegoś niewypisze. Jakto, więc umysł *in potentia umysł mogący wyjść do czynu*, *tworzyć idee i zasady*, *to tabula rasa?* Czy w teoryi ojca Ventury umysł jest *tylko bierny?* Czy go nie przedstawia jako *czynno biernym*, który przez to, co przyjmuje w ruch jest wprawiany, ale *w ruch, którego zasada w nim samym spoczywa?* Ależ to prawie dotykalne.

Według ojca Ventury umysł ma w sobie *zasady idei, est habitus principiorum*, jak uczy ś. Tomasz; według p. Chalambert ma idee gotowe. Ojciec Ventura powiada, iż człowiek mocą złożonéj w sobie zdolności czynnie z pojęć szczegółowych wytwarza idee uniwersalne, ale przez ich applikowanie do szczegółów zewnętrznych dopiero

je realizuje, oznacza. U któregoż proszę umysł czynniejszy? U Ventury *tworzy*, u Chalamberta *to, co wziął razem z umysłem realizuje przez to, co wziął przez zmysły.*

Można być zwolennikiem *idei wrodzonych*, można być filozofem i w szkole Platona, jak nim być można w szkole Arystotelesa, ale do tego trzeba przedewszystkiem znać prawa logiczne. Pan Chalambert w krytyce swojéj znajomości téj wcale niedowodzi, a że mu *nieloiczności* nie zarzucamy jedynie dla tego aby zarzucać, oto jest dowód:

Krytyk tłumaczy jak według jego teoryi, człowiek który niemówi od urodzenia uczy się pojmować znaczenie dźwięków ujętych w kształty słowa (67). Co do przedmiotów zewnętrznych rzecz arcyłatwa. Naprzykład? ojciec pokazuje *niemowlęciu* przedmioty i nazywa je, a niemowlę *chwyta stosunek między przedmiotem wskazanym a dźwiękiem wyrazu i pojmuje.* Proszę się zastanowić: Niemowlę chwyta stosunek!! Ależ takim sposobem co trudne dla najgłębszego filologa i filozofa, to łatwe dla niemowlęcia! Ojciec mu pokazuje *słońce* i wypowiada wyraz *słońce* a niemowlę zdaje sobie sprawę (chwyta stosunek) dla czego *słońce nazywa się słońce* i przyjmuje razem pojęcie i wyraz!

Cóż dopiero pod względem przedmiotów nadzmysłowych. Tu dziecko musi samo przez się chwytać stosunek między dźwiękiem wyrazu a przedmiotem, którego niewidzi. Mając z jednéj strony (dziecko) przeświadczenie (*conscience*) stosunków między fenomenami świata fizycznego a z drugiéj strony *mając świadomość idei* (la notion de l'idée) przychodzi pomału do pochwycenia stosunku między dźwiękiem wyrazu, a ideą którą wyraża. Tak ojciec pokazuje mu niebiosa, niezmierzoność i powiada *Bóg*, a ponieważ jest pewien stosunek między niezmierzonością *a ideą nieskończonego* więc dziecko wnioskuje (*induit*) po pracy wewnętrznéj dłuższéj lub

krótszéj, że dźwięk wyrazu *Bóg* wypowiada ideę nieskończoności i tę ideę w umyśle realizuje.

I tego to rodzaju krytycy ojcu Venturze zarzucają nieloiczność. Słyszałem, jak u nas przeczytawszy ktoś przedstawianą dopiero krytykę, nazwał ojca Venturę heretykiem.

W roku 1852 i 1853 ojciec Ventura prowadził daléj rzecz o Rozumie katolickim i filozoficznym. Wierny zawsze pierwotnéj myśli bronienia prawdy katolickiéj przez jéj proste przedstawienie tak, jak ją znalazł w Ewangelii, w ojcach, w wyrokach soborów powszechnych, w dziełach wielkich chrześciańskich filozofów i teologów a szczególniéj w ośmnasto przeszło wiekowéj wierze Kościoła, w duchu téj myśli walczył za sprawą katolicyzmu w imie samego zdrowego Rozumu. Była, to *Metafizyka głównych dogmatów katolickich*, w któréj nader szczęśliwie udowodnił, że dogmata te są *rozumne* i daleko rozumniejsze, niż powątpiewania i negacye filozofii bądź to materyalistów, bądź idealistów, panteistów, Eklektyków i całéj czeredy szkół nowszych. W przedstawieniu dogmatu *O stworzeniu świata* wykazuje (w konferencyi 10 i 11téj) wraz z Laktancyuszem i Bossuetem, że wszystkie błędy tak religijne jak filozoficzne są logiczném i konieczném następstwem negacyi dogmatu stworzenia, że starożytni filozofowie zaprzeczywszy prawie wszyscy tego dogmatu popadli co do religii w *ateizm*, co do moralności w *cynizm*, co do filozofii *w sceptycyzm*. Wsparty następnie na niezbitem rozumowaniu Cycerona u starożytnych a u nowożytnych Kartezyusza, odsłania ze zgrozą fatalną niemożebność uniknienia skeptycyzmu, kiedy się tylko rozpoczyna od tego przypuszczenia, że człowiek nie jest dziełem Boga-Stworzyciela. Nadzwyczaj zajmujący jest obraz, w którym Descartes zniewala ateusza do wyznania, iż *najmniejszéj rzeczy niemoże być pewnym*, jeżeli nie uzna, że Bóg jest Stwórcą

człowieka. Pierwszy promotor racyonalizmu zniewolony jest sam przeciw sobie, party siłą żelaznéj loiki wyznać, że bez wiary w Boga Stwórcę rozum z przepaści zsuwa się w przepaść nieznajdując dla siebie w niczem ani po za sobą, ani w sobie punktu oparcia. I dziwnie jasno przewidział następstwa własnéj zasady. Spadkobiercy téj zasady nieznajdowali już pewności w *Cogito ergo sum* dowodząc, że kto inny *myśli*, a kto inny *jest*; pomimo tego zaprzeczywszy, *iż dla tego są*, że ich Bóg stworzył, zawyrokowali, że dla tego, iż oni *myślą*, Bóg *jest*. Jedni umysł zrobili stwórcą Boga *Cogito, ergo Deus est*, drudzy ogłosili go Bogiem *Cogito ergo mens est* i nic więcéj tylko *mens;* inni niemogąc nic a nic schwycić swą myślą w *rzeczywistości istnienia* zaprzeczyli wszystkiego: *Cogito ergo nihil est.*

Cóż przecie filozofowie postanowili na miejsce zaprzeczonego dogmatu stworzenia świata z nicości? Oto trzy hypotezy. 1. Że Bóg stworzył świat z materyi wraz z nim od wieków istniejącéj i oto *Dualizm*. 2re. że Bóg świat stworzył z swéj własnéj substancyi i oto *Panteizm*. 3cie. nakoniec, że świat powstał w skutek odwiecznego ruchu materyi i przypadkowéj aglomeracyi atomów, i *oto materyalizm*.

Zburzywszy i ztarłszy w proch młotem katolickiego rozumu Ojców i Doktorów Kościoła w trzech następnych konferencyach trzy te hypotezy, wykazuje (w konferencyi 15téj) wsparty na świętym Tomaszu 1. że dogmat stworzenia z nicości jest *możebny*, 2re, że jest *rozumny*, a wskazując na pierwsze karty Genezy dowodzeniem swojém każe niemal na kolana padać przed ich majestatyczną wielkością i pięknością, przed ich najgłębszą filozoficznością, przed ich bijącą w oczy jawnością i prawdą.

Jakie wrażenie zrobiły te konferencye nie tylko we Francyi, ale i w Niemczech, we Włoszech, w Belgii,

nawet w Anglii, dość jest powiedzieć, że natychmiast po ich ogłoszeniu drukiem ukazały się w licznych przekładach. Co większa, kiedy się w Belgii zjawiły małe broszurki rozrzucone pomiędzy lud tysiącami przez nieprzyjaciół katolicyzmu, a będące stekiem zarzutów przeciw Eucharystyi, naówczas gorliwi tameczni katolicy i znane z swéj teologicznéj głębokości duchowieństwo, zanieśli prośbę do Ojca Ventury, aby na owe zarzuty zechciał odpowiedzieć w sposób razem popularny i rozumowy. Prośbie téj natychmiast stało się zadosyć w całém znaczeniu tego wyrazu zwycięzko. Jak chlubném było to wywiązanie się, dowodem tego jest, że Duchowieństwo Belgijskie, więcéj niż którekolwiek bądź inne obznajmione z dziełami świętego Tomasza, jak najtkliwiéj dziękowało mowcy, przez którego usta, wielki luminarz Kościoła wypowiedział tyle rzeczy nowych a jak najdoskonaléj z swą nauką zgodnych i z swych zasad jak najściśléj wywnioskowanych.

Prośba ta była powodem, że trzeci Tom konferencyi z r. 1854 cały jest poświęcony filozoficzno-teologicznemu wykładowi o Spowiedzi i Eucharystyi. Wykład ten z dwoma dziełami Gerbet'a o Pokucie i Eucharystyi pozostanie na zawsze pomnikiem wielkiéj reakcyi dokonywującéj się w łonie obecnego pokolenia, na pociechę religii, na chwałę Kościoła, z którym dwa te Sakramenta niezawodnie najżywotniéj jednoczą. Obraz moralnéj ruiny jaką sprawił protestantyzm wśród narodów porwanych kipiącą swoją lawiną byłby niezrównany, gdyby O. Ventura mniéj się wdawał w cytacye takich pisarzy jak np. Nicolas, których imiona przy całych zasługach i pięknéj sławie niedość stósownie brzmią na ambonie i na tle tak majestatycznem troszkę wyglądają za blado. Konferencya ośmnasta kończy się apostrofą pełną ognia od przytoczenia któréj niemożeby się powstrzymać: „Co do was, woła mowca, co do was, któ-

rzy w postaci przyjaciół, adwokatów, opiekunów ludu, ludzie pychy, bezwstydu, chciwości i zaślepienia, głosicie się apostołami prawdy, a którzy każdém słowem powiedzianem lub napisanem z wnętrzności tego ludu wydzieracie resztki skarbów wiary katolickiéj, resztki szacunku dla kapłaństwa, pojęcia cnoty, zamiłowania obowiązku, zgoła resztki tego wszystkiego, co ten lud ma jeszcze w sobie człowieczego i chrześcijańskiego, co do was posługacze piekła, którzy szczególniéj nieprzestajecie obrzydzać temu ludowi spowiedzi sakramentalnéj, ażeby go do reszty rozwieść z Kościołem, z religią, z Bogiem, co do was, powtarzam, nie mogę być, niestety! jak tylko zwiastunem smutnych dla was rzeczy, wielkiego nieszczęścia! O wy zacięte tego ludu wrogi, wy przy całéj złości jużbyście mu niezdołali straszliwszéj krzywdy wyrządzić jak kradnąc mu wiarę a z wiarą wydzierając mu wszystko, czem ona go obdarzyła, całą energią poświęcenia, wszystkie wielkie pobudki ofiary, całą moc cnoty w ubóstwie, całą odwagę w nieszczęściu, najsilniejsze przeciw zbrodni wędzidło, całą skarbnicę pociech, a w sercu jego wysuszacie źródło pokoju i szczęścia. Całe jego zepsucie, zniechęcenie, rozpacz w nędzy, dzikość w rozpaczy, całe spodlenie i zeźwierzęcenie, wasza to robota! Wy nadużywając niewiadomości i łatwowierności ludu spychacie go na dno zbrodni, niewoli i śmierci. Czekajcie, czekajcie robotnicy śmierci, oto się już sami do jéj strasznych bram zbliżacie. Obłuda, kłamstwo i zdrada kopią przepaść pod waszemi własnemi nogami. Drżę na samą myśl tego co was czeka! Ale to pewna, że idzie czas, w którym lud podżegany przez was przeciw wszystkiemu, czem go otoczył katolicyzm spostrzeże się i z srogością strasznych swéj krzywdy mścicieli weźmie się do uprzątnienia téj czarny zgrai to protestanckiéj, to wolteryańskiéj, to panteistycznéj, to racyonalnéj, to filozoficznéj i zdru-

zgocze was całym ciężarem swego gniewu jako gniewu żywego Boga wykonawca... Straszliwa przyszłość! ale wszak jeszcze rozkląć ją możecie! W jakie imie? W jakie imie? W imie dotąd przez was bluźnione, w imię wiary, w imię Kościoła, w imię Boga, w imię krwi Zbawicielowéj działającéj przez Sakrament! Duchowni nie wiele poradzą jeźli co oni dzisiaj zbudują, wy jutro zburzycie. Więc z nim ręka w rękę! więc do stóp konfessyonału przywodźcie zgorszony lud, sami się spowiadając najpierwsi!"

Konferencye o Eucharystyi i wieczności kar równie są silne i zapewnie nie bez wpływu na publiczność francuzką tak się dziś jeszcze garnącą do Boga. Homilie *o Niewiastach Ewangelicznych* *) miane w r. 1852 stanowiły dla mowcy chwile błogiego odpoczynku, po nużących walkach ze zbuntowanym przeciwko Bogu rozumem. Pełne duchowego, wyższego namaszczenia, pełne świętego wdzięku, pełne najpiękniejszych nauk zastósowanych do życia politycznego i ewangelicznéj prostoty zrobiły O. Venturę tak popularnym w Paryżu, że jest dziś razem i ulubieńcem dworu i kochankiem ludu. Niewspominamy o nich szczegółowo, bo w całkowitem tłumaczeniu pragniemy je złożyć w ręce pobożnéj naszéj publiczności. Ojciec Ventura napisał jednocześnie prawie z swemi kaznodziejskiemi pracami dzieło p. t. *La femme Catholique*, które przy pokornem usposobieniu serca mogłoby i u nas być z pożytkiem czytane. Takich to dzieł wieńcem skroń jego otoczyła żarliwość kapłańska i znakomitość kaznodziejska. Co do nas prosimy Boga, aby na téj skroni mogła spocząć jak najprędzéj błogosławiąca dłoń ukochanego Ojca chrześciaństwa!

X. Zygmunt Golian.

*) Les Femmes de l'Evangile homélies prêchées à Saint Louis D'Antin.

JABŁKO.

(Bajka).

Prześliczne jabłko małpa urwała
I wziąwszy je w łapek dwoje
I skakała i wołała:
Jabłko to jest moje!

Kiedy w tem Henryś, zwinny jak łasiczka,
Wyrwie je małpie i pyszny z zdobyczy,
Lata i woła i krzyczy:
Jabłko to, jabłkiem Henryczka!

Ale zaledwie na pół je rozłupi
Patrzy aż wewnątrz sprosny robak leży
Co szydząc rzecze: — pysznyś jest a głupi,
Jabłko to do mnie należy!

Czy słyniesz z wdzięków, czy też berłem władasz,
Czy do dzieł wielkich rozum cię uzdatni,
Zbyt krótko dar twój posiadasz,
Robak właściciel ostatni.

ZDARZENIE Z NOSEM.

(Dykteryjka staropolska).

Stał za stolikiem synek Cześnika
Gdzie kilku Panów grało z sobą ćwika
A między niemi krótki i pękaty
Jakiś szlachetka dziwnéj facyaty
Z krzywą bródką, rudym włosem
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Chłopiec ów zrazu cichy i skromny
Patrzy i graczów obchodzi do koła
Kiedy w tem nagle zawoła:
Co za nos ogromny!

Spojrzał się srogo Cześnik na syna,
Przeląkł się, zadrżał chłopczyna
I woła, wznosząc głos drżący i cienki:
Jakiż to nosek malenki!

Już też naówczas jakby zjadła osa
Zrywa się Cześnik i za bat porywa
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa:
Ten Pan niema nosa!

Bije więc Cześnik, w całym bije gniewie,
Zda się że chłopca chce dobić,
A biedne dziecię w swéj rozpaczy nie wie
Co z tym nosem zrobić.

W różny więc sposób i woła i krzyczy
A gniewny ojciec coraz mocniéj ćwiczy.

Tak i my co to lubiemy rozprawiać
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy
Chcemy się niby ratować, poprawiać
A wciąż gorzéj brniemy.

SEKRET.

(Z Lafontena.)

Nic tak nie cięży jak sekret kobiecie,
Sam on się z ust jéj wyrywa;
Jakoś jéj nawet lżej i zdrowiéj bywa
Kiedy się z czego wyplecie.

Pewien mąż swojéj chcąc doświadczyć żony
Tak wpośród nocy krzyczał jak szalony:
Pęknę! ach pęknę dla boga!
Ratuj mię żono, ratuj duszko droga.
Bo duszę z ciała wywrzeszczę!

Nakoniec jakieś zdziwienie udaje,
Cóż to jest? rzecze: wszak ja zniosłem jaje,
Patrzaj kochanko, oto ciepłe jeszcze.
Lecz przebóg żono, nie rozgaduj daléj
Boby mnie kurą przezwali.

Żona szczególne jakieś niewiniątko
A nawet trochę cielątko,
Święcie mu milczeć przyrzekła.

Cóż, gdy przysięga już z nocą uciekła!
Zaledwie że się przebudziła z rana
Już dyrda, leci do jednéj z sąsiadek.
Kumo, zawoła, ach kumo kochana
Straszny się u nas wydarzył przypadek
Powiem wam ale w cichości
Mój mąż zniósł jaje ogromnéj wielkości!
Ależ na Boga niemówcie nikomu
Kijem by mnie wygnał z domu.

Nie znasz mię, druga rzecze, miałażbym was kłócić,
Jam do sekretu stworzona,
Mnie co powiedzieć, jakby w studnię wrzucić.
Idzie więc, wraca Jajkorody żona
Lecz Panią kumę już języczek swędzi,
Daléj więc, daléj, po sąsiadkach pędzi,
Szepce o wielkiem zdarzeniu sąsiada,
Zamiast jednego, troje jaj powiada.
Łapią nowinkę wszystkie kumy drugie
I nuż o jajach szepty gęste, długie,
Ta z nich o czterech, ta o pięciu plecie
A każda w wielkim sekrecie.
Wzmaga się sława, liczba jaj podwaja,
Rosną i rosną niezliczone jaja.
Tak iż nakoniec dzięki lotnéj wieści
Nim zmierzch osiadł na dolinie
Już ich było sto czterdzieści
A wszystkie wielkie jak dynie.

F. Morawski.

NIGDY I ZAWSZE

czyli

DWIE SIOSTRY

Dramat w pięciu aktach

przez

MAURYCEGO MANNA.

OSOBY:

PANI MOLIŃSKA.
ZOFIA, starsza jej córka, żona Hrabiego.
IRENA, młodsza jéj córka.
JULIUSZ MOLIŃSKI, ich brat.
HRABIA EDMUND NIEŚWIESKI.
LEON ZENOWICZ, członek paryzkiego Żokej-klubu.
PIOTR, kamerdyner Hrabiego.
JAKÓB, masztalerz Hrabiego.
Dwaj służący w liberyi.

Rzecz dzieje się w roku 1847 w pałacu Hrabiego na wsi, o dwanaście mil od Warszawy.

Objaśnienie **Wyrażenia na prawo i lewo rozumieją się od sali. Osoba wyrażona naprzód w tytule każdéj sceny, powinna zajmować pierwsze miejsce na lewo od widzów i tak następnie. U spodu stronnicy oznaczone są zmiany pozycyi podczas sceny.**

Ubiory wskazane są przy każdym akcie.

AKT PIERWSZY.

Teatr przedstawia pokój przechodni — mało umeblowany — w głębi i po obu stronach drzwi — we drzwiach po lewéj stronie zawieszona portiera — bliżéj sceny mała kanapka przy ścianie — po prawéj stronie drzwi. w głębi stolik. —

Za podniesieniem zasłony widać kobietę stojącą na środku sceny — przed nią klęczy mężczyzna — w lewéj ręce trzyma prawą rękę kobiety, a drugą błagać się ją zdaje.

SCENA I.

HRABIA, IRENA *).

IRENA, (*nachyla się ku Hrabiemu, lewą rękę wspiera na jego głowie, patrzy na niego chwilę namiętnie, poczém głosem rozpaczy*)

Nigdy!... (*podnosi rękę lewą jakby odepchnąć go chciała— prawą wyrywa nagle i wybiega drzwiami po prawéj stronie*)

HRABIA (*zostaje na kolanach — patrzy za odchodzącą, nareszcie wstaje i idzie na przód sceny wolnym krokiem — głosem przytłumionym*)

Nigdy!... (*opiera czoło na dłoni i stoi nieruchomy*)

SCENA II.

HRABIA, ZOFIA.

ZOFIA (*wchodząc przez drzwi w głębi*)

Otóż mój mąż! Edmundzie, nie widziałeś Ireny?

HRABIA (*obraca się z przestrachem*)

Ja?...

ZOFIA

Tak — ty?

HRABIA (*tymże głosem*)

Czemu się pytasz?

---

*) Ubiory: Irena w wykwintnym rannym negliżu — Hrabia surdut zielony — kamizelka biała — spodnie ciemne — Zofia w podobnym stroju co Irena.

ZOFIA (*zbliżając się*)

Co tobie Edmundzie?... tak jakoś dziwnie mówisz do mnie?...

HRABIA (*przychodząc do siebie*)

Przepraszam cię.... przepraszam.... byłem zamyślony....

ZOFIA

Widzę to... ja też tylko pytam, czy przypadkiem nie widziałeś Ireny?

HRABIA (*niespokojnie*)

Ireny?.... tak... przypominam sobie... niedawno co ztąd wyszła...

ZOFIA (*z uśmiechem*)

Ale którędy wyszła? (*pokazuje drzwi na prawo i lewo*) czy tędy czy tamtędy? (*Hrabia nie patrzy—Zofia bierze go za rękę*) Co tobie?.... to nie ładnie być tak roztargnionym?

HRABIA (*do siebie*)

Roztargnionym! (*głośno*) Masz słuszność — to nie do darowania. Irena pewnie poszła do swego pokoju. Nie gniewaj się Zofio.... mam tyle interesów na głowie....

ZOFIA (*przerywając*)

A czyż ja się gniewam?.... przeciwnie, pojmuję zupełnie twoje kłopoty.... sam zarządzasz majątkiem....

HRABIA (*na stronie*)

Co za anioł!

ZOFIA

Spostrzegłszy cię myślałam, że się dowiem gdzie moja siostra, a przytem chciałam się także ciebie poradzić co do téj przejażdżki konnéj którąśmy wczoraj ułożyli.

HRABIA (*roztargniony*)

Ułożyliśmy wczoraj, mówisz?...

ZOFIA

Czy znów?... nie przypominasz sobie?...

HRABIA

A prawda! już wiem... miałyście jechać do Dębiny.

ZOFIA

Jakto my?... przecież to ty jedziesz z nami. (*Hrabia patrzy na nią ale nie słucha*) Chciałam cię więc zapytać,

czy sądzisz iż tak daleki spacer nie zaszkodzi Irenie?

HRABIA

Dla czegóż bo mnie o to pytasz?

ZOFIA

Jakżeś dziś nudny z tem ciągłem: dla czego? — dla czego?... dla tego, bo wiem, że niechciałbyś aby zachorowała. Lubię radzić się ciebie o zdrowie Ireny bo widzę wtedy że ty także bardzo ją kochasz — nie prawda mój drogi?

HRABIA (*zakłopotany*)

Nie przeczę że Irena obchodzi mnie żywo, tak jak cała twoja rodzina Zofio. Ale bądź spokojna, mówiłem z nią dziś rano i zdaje mi się że może śmiało przejechać się konno.

ZOFIA

Zwłaszcza kiedy ty będziesz czuwał, abyśmy nie jechały za prędko, uniesione wesołością...

HRABIA

Wybacz mi, ale nie mogę wam dziś towarzyszyć.

ZOFIA (*z żywością*)

Jakto? chcesz więc żebyśmy jechały same z panem Leonem?

HRABIA (*żywo*)

A! z Leonem? (*spostrzega się*) No tak.... z Leonem czegóż się obawiasz?...

ZOFIA (*wahając się*)

Zapewne że niczego.... ależ to... bo...

HRABIA (*z przyciskiem*)

Bo?.... bo co?.... Czy o to ci idzie że Leon zaleca się Irenie?... wszakże będziesz przy niéj, a powaga siostry i mężatki, sądzę że wystarczy...

ZOFIA (*wahając się*)

Prawdę mówisz Edmundzie... wystarczy... ale pan Leon w twojej nieobecności...

HRABIA (*gwałtownie*)

Cóż takiego?... pan Leon w mojéj nieobecności...

ZOFIA (*rumieniąc się*)

O nic... nic... tak tylko chciałam mówić że pan Leon często ma tak dziwne obejście się...

HRABIA (*z gniewem*)

Jakto?... dziwne obejście się...

ZOFIA (*z słodyczą*)

Proszę cię nie gniewaj się Edmundzie... zaraz dopowiem... oto zdaje mi się, że przy tobie więcej waży swoje słowa...

HRABIA (*spokojniéj*)

Aha, rozumiem teraz (*uśmiecha się ironicznie*). Poczciwy Leon pozwala sobie trochę i we lwa się bawi kiedy na niego nie patrzę! zresztą to bardzo naturalnie... biedny chłopiec, czemuż nie ma sobie czasem odetchnąć... Nie zważaj na to proszę cię... wiem kto on jest, a jeżli cię czasem zadraśnie słowem, to możesz mu wybaczyć.

ZOFIA (*wahając się ciągle*)

Jednakowoż.... tak same.... na spacer.... z nim... (*na stronie*) Jakże mu tu powiedźieć, że on się mnie zaleca?...

HRABIA

Ta obawa z twéj strony, to jeszcze przypomnienie panieńskiéj skromności, ostatni odbłysk dziewiczego życia, który świat zetrze niezadługo, a nawet ja sam na niego się targam, prosząc żebyś jechała z Leonem. W Żokej-klubie paryzkim miał on sławę doskonałego jeźdźca; a jeszcze jak wam dodam za giermka starego Jakóba, będę zupełnie spokojny.

ZOFIA

Jabym jednak wolała zebyś ty jechał z nami.

HRABIA

Nie Zofio — to być nie może.

ZOFIA (*z przymileniem*)

Teraz na mnie koléj — a dla czego Edmundzie?

HRABIA

Bo mam zatrudnienia, które koniecznie ułatwić muszę przed obiadem.

ZOFIA (*podobnież*)

Bardzo ważne?

HRABIA

Bardzo.

ZOFIA (*podobnież*)

Nie podobna ich odłożyć?

HRABIA

Niepodobna.

ZOFIA (*smutnie*)

Kiedy tak — to my odłożymy nasz spacer — pomówię o tem z Ireną. (*chce odejść*)

HRABIA (*zatrzymuje ją*)

Proszę cię nie czyń tego. Byłoby mi bardzo przykro żebym wam zepsuł zabawę. Patrz jak pięknie w polu, takich dni mało mamy w tym roku.

ZOFIA

Jeszcze się zdarzyć mogą — ale mniejsza o to Edmundzie. Mam jakieś przeczucie że ta przejażdżka zaszkodzi méj siostrze (*chce odejść*).

HRABIA (*zatrzymując ją*)

Posłuchaj mnie chwilkę. Miłość siostry przejmuje cię przesadzoną o zdrowie Ireny obawą. Mnie ona wcale nie wydaje się być tak słabą. Ty myślisz że to choroba piersiowa, ręczę, że się mylisz. To po prostu osłabienie nerwów. Jéj bladość nie dowodzi nic wcale. Wiesz dobrze jak lubi się bawić, a przytem znasz jéj upór. Sprzeciwianiem więcéj jéj zaszkodzisz niż najdłuższym spacerem.

ZOFIA

Mam jednak wielką ochotę nie usłuchać cię tym razem Edmundzie.

HRABIA (*z naleganiem*)

Nie Zofio, nie wystawiaj mnie przed ludźmi za dziwaka, proszę cię. Cóżby powiedziały matka i Irena, gdybym przeszkadzał téj wycieczce dla powodów, których nie wymieniam — bo musiałbym wiele mówić.... o rzeczach bardzo nudnych. Cóżby wreszcie pomyślał Leon gdyby się dowiedział, żeście nie chciały sam na sam z nim jechać. Miałby prawo wnioskować że się go lękacie, że nawet ja się go boję (*uśmiechając się*) dopieroby trząsł grzywą.... Nie, nie, rzecz skończona... pojedziecie — proszę cię...

ZOFIA (*wolno, opierając się na ramieniu Hrabiego*)

Więc jedźmy razem Edmundzie...

HRABIA

Pocóżbym téż dał tak długo się prosić, gdybym to mógł uczynić? Czyż mię nie znasz? z największą rozkoszą podzielam zwykle wasze zabawy — ale istotnie dziś nie mogę.

ZOFIA (*smutno*)

Ha, cóż robić! niechże tak będzie jak pragniesz.

HRABIA

Ale mi tego za złe nie bierzesz?

ZOFIA (*wychodząc, z słodyczą*)

Nie mój drogi, pewna jestem, że nie odmówiłbyś mi téj przyjemności bez ważnych powodow, bo wiem że mnie kochasz zawsze. (*wychodzi na prawo*).

SCENA III.

HRABIA (*sam*).

Zawsze!... (*nieporuszony patrzy za odchodzącą*) Piękna, przeczysta dusza!... taka słodka... ufająca... tak jest, powinienem ją zawsze kochać; — Zdradzić — byłoby zbrodnią!... Zbrodnią?... a jednak w tem samem miejscu.... przed chwilą.... przysięgałem... u nóg Ireny (*zakrywa sobie twarz rękoma*) Zdradziłżem przez to żonę?... Nie! nie jestem podły — niechcę nim być na Boga! (*z uniesieniem*) Czemże więc było to, co mną miotało w owéj chwili, kiedy nagle wybuchająca namiętność stłumiła we mnie wszystko..... sumienie.... miłość..... obowiązki?... Skądże więc płynie, ten ogień którego natura ludzka pokonać niezdolna, który mimo rozpacznéj obrony, prędzéj czy późniéj pochłonąć nas musi (*z goryczą*) O nędzne, bezsilne serce człowiecze! Szalony kto wyrzekł, że zwalczyć je potrafi!... a i po cóż ta walka kiedy jedna chwila wystarczy do zniweczenia najszlachetniejszych wysileń, kiedy jedna chwila zamąci w głowie tak że na zgliszczach cnoty goduje całe piekło! (*z obłąkaniem*) przeklęty!... stokroć przeklęty!.. Ona powiedziała Nigdy!.... Boże, to niepodobna... to być nie może!... (*po chwili*) Gdzież jestem?.... Irena słusznie wyrzekła Nigdy! Ani jéj widzieć, ani mówić z nią... nigdy!... nigdy!... (*idzie spiesznie ku drzwiom w głębi*).

SCENA IV.

HRABIA, PANI MOLIŃSKA.

P. MOLIŃSKA (*wychodzi ze drzwi na prawo*)

Edmundzie — poczekaj...

HRABIA (*w głębi*)

Co Pani każe? (*do siebie*) Jeszcze!

P. MOLIŃSKA

Chciałam cię prosić abyś towarzyszył konno Zofii i Irenie.

HRABIA (*na stronie*)

Cóż to za męka! (*głośno*) Wybaczysz mi kochana Pani że nie mogę zadość uczynić twemu życzeniu. W téj chwili właśnie mówiłem o tém z Zofią... (*wraca pomału na scenę*)

P. MOLIŃSKA

Całą też rozmowę waszą opowiedziała Irenie. Ja sobie wcale nie życzę téj przejażdżki; wczoraj Irena nie zdawała się pragnąć jéj tak gorąco, ale teraz koniecznie chce jechać — ani sposobu jéj odradzić — wiesz że nie mam siły odmówić jéj niczego... zezwoliłam....

HRABIA

Dobrześ Pani zrobiła...

P. MOLIŃSKA

Przeciwnie, źle bardzo. Irena jest słabą i właśnie dla tego życzę sobie żebyś jechał z niemi. Ona ciebie jednego słucha...

HRABIA (*przerywając*)

Mylisz się Pani — niemam ja téj władzy. Ale choćby i tak było, przykro mi że muszę odmówić. Wszakże obiedwie z Zosią, przesadzacie jéj słabość, jeśli jest jaka, bo widziałem ją niedawno i zdawała mi się zupełnie zdrowa.

P. MOLIŃSKA

Dostrzegłam wszakże przed chwilą że ma gorączkę.

HRABIA (*z przestrachem*)

Czy to być może?

P. MOLIŃSKA

Wprawdzie nic w tem zastraszającego; bo wiesz że

podzielam twoje zdanie Edmundzie. Cały jéj system nerwowy w wysokim jest stopniu rozdrażniony...

HRABIA (*na stronie*)

Byłażby to miłość, czy tylko wzruszenie?...

P. MOLIŃSKA

Więc ostatecznie odmawiasz mi Edmundzie?

HRABIA

Sam nad tem boleję wierzaj mi Pani.

P. MOLIŃSKA

Kiedy tak, to muszę zdać opiekę nad memi córkami panu Zenowiczowi...

HRABIA (*żywo*).

Zenowiczowi?...

P. MOLIŃSKA

No oczywiście, skoro mają z nim jechać na ten nieszczęśliwy spacer.

HRABIA.

Bądź Pani spokojna, polecę Jakóbowi żeby je miał ciągle na oku.

SCENA V.

CIŻ SAMI, LEON *)

LEON (*wchodząc*)

A cóż Hrabio — damy nasze gotowe?

HRABIA **) (*zimno*)

Nie wiem.

P. MOLIŃSKA

Bądź Pan chwilkę cierpliwy — zaraz nadejdą.

LEON.

Pani, czekać na damy to naszym obowiązkiem — tym razem prawdziwa przyjemność. Dzień mamy prześliczny, do konnéj jazdy jedyny. (*do hrabiego*) Ale cóż to widzę i tyś jeszcze nie ubrany?

---

*) Leon w reitfraku, krawat niebieski, kamizelka żółta, spodnie białe, buty ze sztylpami, biały kapelusz — szpicrut w ręku.

**) Leon, Hrabia, p. Molińska.

HRABIA.

Bo ja z wami nie jadę.

LEON (*z radością*)

Niepodobna?

P. MOLIŃSKA

A tak, Edmund zmuszony jest odmówić sobie téj przyjemności.

LEON (*udając*)

Doprawdy?... (*na stronie*) a to szczęście! (*głośno*) I czemuż ta zmiana?

HRABIA (*na stronie*)

I ten także? to jakby umyślnie (*głośno*) Bo mam pisać listy do Warszawy, które nie cierpią zwłoki.

LEON (*udając ciągle*)

Jaka szkoda!

HRABIA

Zapewne, ale szczególnie dla mnie (*do p. Molińskiéj*) Idę uprzedzić Jakóba i przekonać się czy konie dobrze osiodłane... (*wychodzi drzwiami w głębi*).

LEON (*idąc za nim*)

No, no, pomyśl jeszcze, jakże można tak nam psuć partyą (*kładąc kapelusz i szpicrut na stole, na stronie*) to niespodziewana gratka!

SCENA VI.

LEON, P. MOLIŃSKA.

P. MOLIŃSKA

Pan więc będziesz dzisiaj jedynym opiekunem moich amazonek, a jako matka nie mogę mu dosyć zalecić ostrożności.

LEON

Możesz być Pani zupełnie spokojna, bo chociaż nie zdołam zastąpić hrabiego jako towarzysza spaceru, to z drugiéj strony śmiem bez zarozumienia ręczyć Pani za zupełne tych pań bezpieczeństwo.

P. MOLIŃSKA

Wiem że z Pana jeździec niezrównany a mam nadzieję że zechcesz być ostrożny.

LEON (*kłaniając się*)

Pani...

P. MOLIŃSKA

Ale oprócz tego mam jeszcze Pana o jednę łaskę prosić.

LEON

Jestem na rozkazy.

P. MOLIŃSKA

Irena jest cierpiąca.

LEON (*obojętnie*)

Doprawdy?... (*spostrzegając się, prędko*) Jakto, panna Irena cierpiąca? ależ jeszcze rano przy śniadaniu...

P. MOLIŃSKA

Tak jest była zdrowa... dopiero potem...

LEON (*przerywając*)

Cóż potem?...

P. MOLIŃSKA

Zapadła cokolwiek lubo niechce się przyznać. Proszę więc Pana jechać powoli i nie daleko.

LEON.

Stanie się jak Pani każe (*na stronie*) o co nie to nie!

(*Zofia wchodzi po prawéj*).

SCENA VII.

CIŻ SAMI, ZOFIA, IRENA *)

ZOFIA (*wchodząc*)

Otóżeśmy gotowe.

IRENA (*we drzwiach, na stronie*)

Nie ma go!

P. MOLIŃSKA **)

Dobrze moje dzieci, ale uprzedzam was że macie słuchać pana Leona, władzę moją na niego przelałam.

ZOFIA (*dając znak matce że rozumie*)

Szczególniéj jak długo bawić mamy, nie prawdaż?

LEON (*kłaniając się*)

Dla mnie i to wiele, i na to nie zasłużyłem.

---

*) Zofia i Irena w amazonkach, w kapeluszach męzkich ze szpicrutem w ręku.

**) Leon, Irena, p. Molińska, Zofia.

IRENA (*cicho do Leona*)

Pojedziemy daleko i ciągle galopem?

LEON (*głośno*)

Nie Pani, pojedziemy bardzo wolno: w obec tak wielkiéj odpowiedzialności czuję, że straciłem zupełnie odwagę (*cicho*) będziem pędzić jakby na wyścigach.

IRENA (*cicho do Leona*)

Dziękuję Panu bo mi potrzeba ruchu i powietrza (*kaszle, przykłada chustkę do ust, i chowa ją starannie*)

LEON (*do Zofii*)

Jakżeż Pani do twarzy w tym nowym kapelusiku!

ZOFIA

Siostra moja ma taki sam zupełnie.

LEON (*na stronie*)

Oj!! (*głośno*) I tamten niemniéj piękny...

ZOFIA

Ale gdzież jest Edmund?

P. MOLIŃSKA

Poszedł obejrzyć czy konie dobrze osiodłane. (*Hrabia wchodzi w głębi*) Ot wraca.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, HRABIA.

HRABIA (*przy drzwiach*)

Jakób już gotów i konie czekają.

LEON (*idąc ku niemu*)

Więc nie jedziesz hrabio?

HRABIA

Żal mi bardzo, ale zostać muszę.

(*Leon w głębi bierze ze stołu kapelusz — szpicrut — wkłada rąkawiczki. Zofia przechodzi na lewo. Irena rozmawia z matką*).

ZOFIA *) (*do Hrabiego*)

Edmundzie źle robię że cię słucham.

***) Zofia, Hrabia, Irena, p. Molińska, Leon w głębi.**

HRABIA

Czemu?

ZOFIA

Irena jest bardzo słaba... dostrzegłam krew na chustce gdy zakaślnęła...

HRABIA (*z przestrachem*)

Dla Boga!... czy prawdę mówisz?

ZOFIA

Cicho... cicho... nie trzeba jéj drażnić... przeczucie moje nie myliło mnie, gdym ci mówiła Edmundzie, że Irena ma w sobie zaród choroby z któréj nie wyleczy się nigdy.

LEON (*w głębi, do siebie*)

Jakieś narady? bałyżby się jechać same ze mną (*głośno zbliżając się*) Chciejcie Panie zważać że czas upływa... ostrzegam.

IRENA (*obracając się z żywością*)

Prawda, prawda... jedźmy Zosiu... jedźmy.

P. MOLIŃSKA (*do Leona*)

Pamiętaj Pan o przyrzeczeniu.

(*Leon kłania się — p. Molińska wychodzi*)

HRABIA

Leonie podaj rękę Zofii (*cicho*) proszę cię jedź powoli...

LEON (*wychodząc z Zofią, cicho*)

Nie bój się (*głośno*) do widzenia Hrabio.

IRENA (*do hrabiego który przybliża się by jéj podać rękę, z giestem rozkazującym*)

Zostań!!

(*wychodzi ostatnia*)

SCENA IX.

HRABIA (*sam*).

Jakże twardem pożegnała mnie słowem? Co znaczy ten wzrok surowy? Miałażby się gniewać? czyż mnie

tyle nawet nie kocha aby przebaczyć zdołała? Każdy jéj giest zimny jak lód... A gdybym ja się mylił... bo czyż podobna udawać do tego stopnia?.. Oh jakie okropne moje męki jeźli ona nawet nie lituje się nademną?... (*z ironią*) Choroba jéj, mówiła Zofia jest nieuleczoną... Czyż jest na świecie taka choroba? (*z goryczą*) wyleczy się?... Biedna Zofia — zaślepia ją zbytnia troskliwość... ona taka dobra ta moja żona...muszę ją ratować!... Ją!... to mnie nieszczęsnego trzeba ratować! Ale cóż począć? (*przechadza się*) Zostać?.. to wieczna walka a jam już bez siły.. jam się już zużył chcąc się wydobyć z tego wiru sprzecznych uczuć które sobie wojnę w mém sercu wydały!... Przed godziną byłżem panem siebie?.... Nie, zostać nie mogę (*z ogniem*) Obecność jéj otacza mnie płomienną atmosferą... żarem nieznanych rozkoszy pali... Nie!... muszę się oddalić!... A ona?... wszakże stroni odemnie, unika!... z radością jechała na ten spacer gdy wiedziała że niebędę jéj towarzyszył... a w téj chwili ta oziębłość! (*z boleścią*) oh jeżeli mnie kocha miłość jéj jakże różna od mojéj! (*po chwili*) Cóż więc daje mi prawo ją dręczyć?... W końcu po co to wieczne kłamstwo na które wzdrygam się cały? tak daléj żyć nie mogę... Ucieczka to ostatni dusz słabych ratunek.... Uciekać... od niéj? (*ze smutkiem*) to może wszystko skończy... Odjechały... korzystajmy z chwili... niema nikogo w pałacu... to właśnie pora... mogę wszystko ułożyć. (*dzwoni*)

SCENA X.

HRABIA, SŁUŻĄCY.

HRABIA

Zawołaj mi Piotra.

SŁUŻĄCY

Niema go w przedpokoju Jaśnie Panie.

HRABIA.

To go poszukaj — niech tu zaraz przyjdzie.

SŁUŻĄCY.

Dobrze Jaśnie Panie. (*wychodzi*).

SCENA XI.

HRABIA, (*sam*).

Piotr to jedyny człowiek na którego spuścić się mogę (*chodzi*) Tak, tak, jeden środek mam przed sobą... o żeby mi tylko sił nie brakło! (*chodzi i zatrzymuje się nagle*) Pewnie już są daleko... a gdyby Irena była rzeczywiście chorą?... Twarz jéj pałała, oczy gorączkowym ożywione blaskiem dziwne rzucały spojrzenia... gdyby Zofia miała słuszność?... Zle zrobiłem żem z niemi nie pojechał... patrząc w nią nieustannie byłbym dostrzegł najmniejsze wysilenie... miarkował zbytnią odwagę... prosiłbym.... mógłbym rozkazać, czyż matka nie mówiła że Irena mnie jednego słucha!... Gdybym też teraz pojechał?.. rozkazała mi zostać... ale mógłbym jechać z daleka... w milczeniu... czuwać nad nią... (*z siłą*) Tak, powinienem jechać... muszę jechać... bo mogę ulżyć jéj cierpieniu... O Boże jakaż to rozkosz, ulżyć jej cierpieniu!... (*zamyśla się*) Co za myśl okropna... Miałżebym ja być przyczyną... miałożby wyznanie méj miłości wionąć na nią jak oddech zatruty... o biegnę!... lecę do niéj... to moja powinność... obowiązek... (*biegnie i zatrzymuje się*) Cóż powiem jak dogonię?... Co powiem?... ona cierpi a ja się waham... ja, który za jedno jéj spojrzenie oddałbym świat cały... (*chce wyjść, spotyka Piotra we drzwiach*)

SCENA XII.

HRABIA, PIOTR.

HRABIA

A to ty Piotrze!

PIOTR (*przy drzwiach*)

Pan Hrabia mnie wołać kazał.

HRABIA

Osiodłać mi konia natychmiast... biegaj...

PIOTR

Którego Panie?...

HRABIA.

Araba.

PIOTR

Dobrze panie Hrabio.

HRABIA

No czegóż stoisz?... spieszże się... prędzéj.... prędzéj...

PIOTR

Zaraz... zaraz... (*na stronie wychodząc*) i było mnie też po co wołać... (*wychodzi*).

SCENA XIII.

HRABIA (*sam*)

Arab szybki jak strzała...gdybym tylko jeszcze na czas zdążył!... obawiam się nieszczęścia (*z uczuciem*) Widzę ją, widzę... jak pędzi... pierś jéj z trudnością prąd wiatru przecina... kibić lekką podaje jak kwiat walczący z wichrem... a koń tumany piasku miota i złotą mgłą ją otula... Leon jéj nie zatrzyma... ten szaleniec cwałem będzie pędził.... bo szczęście rączo bieży... a on jest szczęśliwy (*namiętnie*) bo długie jéj amazonki zwoje pieszczą go igrając z wiatrem... bo hamując w biegu jéj konia może dotknąć się jéj ręki... pochwycić jéj oddech, spotkać maleńką nóżkę... ah krew w żyłach mi zawrzała... (*jak szalony*) Nie.... dopóki ja tu iestem... do téj kobiety nikt się nie przybliży.. nikt... przysięgam na życie... (*wybiega — słychać za kulisami głos wołający: Edmundzie! Edmundzie!*).

SCENA XIV.

JULIUSZ *w ubiorze podróżnym*, SŁUŻĄCY.

JULIUSZ (*wchodząc, do siebie*)

Czy oszalał?.... gdzież on tak leci?... otarł się o mnie, bez mała nie wywrócił... i nie poznał! wołam: Edmundzie! Edmundzie! nawet się nie obejrzał... czy ogłuchł? po dwóch latach niewidzenia przyjęcie za katy przyjemne... (*do służącego*) Gdzież to Pan tak spieszył?...

SŁUŻĄCY

Niewiem Panie — w téj chwili kazał sobie osiodłać konia...

JULIUSZ

Dokądże miał jechać?

SŁUŻĄCY

Może za Państwem, bo wyjechali nie dawno na spacer.

JULIUSZ

Konno?

SŁUŻĄCY

Tak jest Panie.

JULIUSZ

Któż więc pojechał?

SŁUŻĄCY

Pani Hrabina, panna Irena i pan Zenowicz.

JULIUSZ (*do siebie*)

Zenowicz?— nie znam. Wreszcie to mi obojętne. Ale ten pośpiech Edmunda niemiał w sobie nic mężowskiego a jeszcze mniéj szwagrowskiego. Myślałem że co innego się święci (*myśli*) Trudno przypuścić aby ten pan jak się tam nazywa... Jeśli się mylę tem lepiéj... (*do służącego*) Gdzież pani Molińska?

SŁUŻĄCY

Pani starsza ubiera się w swoich pokojach.

JULIUSZ

Powiedz proszę mojéj matce żem przyjechał. Przygotuj mi pokój i znieś rzeczy.

SŁUŻĄCY

Pokój jest gotowy.... pan Hrabia spodziewał się Pana. —

JULIUSZ (*z uśmiechem*)

A widać że się mnie spodziewał i bardzo... (*do służącego*) prowadź mnie więc...

(*Wychodzą*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Salon wytwornie przybrany — duże drzwi w głębi — na prawo drzwi mniejsze, w nich portiera podniesiona, taż sama którą w pierwszym akcie widać było spuszczoną — na lewo i na przodzie sceny, kanapa, przed nią stół, kilka foteli, krzeseł — daléj okno przystrojone kwiatami — po prawéj stronie na przeciwko kanapy stolik do gry — rozmaite meble. —

SCENA I.

JULIUSZ, PANI MOLIŃSKA *).

JULIUSZ.

Mówisz więc matko, że to była...

P. MOLIŃSKA.

Niespodzianka, którą Edmund chciał zrobić żonie, wierz mi, że nic innego.

JULIUSZ

Niechże i tak będzie, lubo mi się to w głowie pomieścić nie chce, zwłaszcza widząc go podczas obiadu tak smutnym... zasępionym... Dalibóg, trudno przypuszcić że o niespodziankach myśli, że chęć przypodobania się żonie tak go zaślepia i ogłusza, że nie poznaje szwagra, nie słyszy wołania... Otoż mówiąc po prostu, zdaje mi się, że Edmund zmienił się bardzo, przez te dwa lata com był za granicą.

P. MOLIŃSKA.

Być może, ale dzięki Bogu, nie zmienił się dla Zosi.

JULIUSZ.

Bardzom rad, że to słyszę od ciebie kochana matko, bo wyznam ci szczerze, że sądząc po zimnych żonie odpowiedziach, właśnie kiedy ona za tę, skoro tak już jest, niespodziankę, tak wdzięczną mu była, mniemałbym inaczéj...

P. MOLIŃSKA.

I byłbyś się pomylił Juliuszu. Zaręczam ci, że od

---

*) W tym akcie damy w eleganckich toaletach, mężczyzni we frakach.

czterech lat jak się pobrali, Edmund zawsze równie dla żony uprzedzający, troskliwy, pełen dobroci, słowem zawsze równie kocha Zosię. Co do humoru, to zgadzam się z tobą, widzę w nim także zmianę. Zdaje mi się że trochę spoważniał, ale dodać muszę, że od roku jak mieszkam z nimi pierwszy raz dopiero widzę go tak ponurym i zamyślonym.

JULIUSZ

A niedomyśla się Mama, jaka może być tego przyczyna?

P. MOLIŃSKA

Owszem, mówił mi dzisiaj. Ma ważny interes w którym o część majątku idzie... Ale wracając się jeszcze do tego co cię tak mocno zadziwiło, trzeba ci wiedzieć że Irena...

JULIUSZ (*przerywając*)

Przepraszam, że ci przerywam Matko, ale miałem właśnie mówić o Irenie. Jakżeż ona pięknie się rozwija!... jak wyładniała!... tylko zdawała mi także jakaś nie swoja... jakby w gorączce...

P. MOLIŃSKA

Bo nie jest zdrowa mój synu. Wiesz że przed trzema laty odebrawszy ją z pensyi, bawiłam jakiś czas we Włoszech, gdyż zdawało mi się, że cierpi na piersi. Wróciłam spokojna i pewna, że włoski klimat zupełnie ją wyleczył, ale teraz przekonywam się, że tak nie jest, że zaród choroby musiał pozostać. Dzisiaj szczególnie stan jéj mnie zatrwożył; kaszlała bardzo i w rzeczy saméj ciągłą ma gorączkę. Długo nie chciałam zezwolić też na ten konny spacer, ale nieszczęściem Irena jest tak gwałtowna... uparła się... Edmund jeden ma nad nią przewagę... i to dosyć tłómaczy jego pośpiech — bo on bardzo ją lubi i czuwa nad jéj zdrowiem... wiedział, że pojechały z Zenowiczem...

JULIUSZ

Ale... ale... któż jest ten Zenowicz... ten pan Leon?... trochę jowialny... ale z resztą wesoły i grzeczny chłopiec...

P. MOLIŃSKA

W istocie dosyć przyjemny — ale bardzo roztrzepany, jeśli nie lekkomyślny. Powrócił nie dawno z Pa-

ryża, gdzie był członkiem Żokej - Klubu. Sprowadził konie angielskie i o niczem nie marzy jak o gonitwach. Edmund znał go w Paryżu, spotkał w Warszawie i zaprosił do siebie. Bawi tu już od miesiąca i jak ci mówię, podobał nam się, towarzystwo jego miłe, szkoda tylko, że czasem lwa udaje... Zdawało mi się nawet nieraz, że nadskakuje Ireni...

JULIUSZ

Ireni?... to dziwna, przy obiedzie ciągle coś szeptał do Zosi... Lecz słyszę że ktoś nadchodzi... przejdźmy się trochę po ogrodzie za nim dadzą herbatę. Będziemy mogli daléj rozmawiać bez świadków.

P. MOLIŃSKA

Bardzo chętnie.

(*Irena wbiega z prawéj strony*).

SCENA II.

CIŻ SAMI, IRENA. *)

JULIUSZ.

Biegasz Ireno?... widać że cię spacer nie zmęczył.

IRENA (*zadyszana*).

Zawsze tak biegam... to już mój zwyczaj...

P. MOLIŃSKA.

Idziemy do ogrodu... czy nie pójdziesz z nami?

IRENA.

Nie mamo, wolę zostać... poczekam tu na was.

JULIUSZ

Dobrze siostrzyczko, rób jak ci się podoba...

(*Wychodzi z matką przez drzwi główne*)

SCENA III.

IRENA, (*sama*)

Tak... biegnę... bo ten pokój strachem mnie przeraża... dreszcz po żyłach przebiega na samo wspomnienie!... Tam słyszałam wyrazy, które zapomnieć pragnę... a dźwięk ich w uszach pozostał mi na wie-

*) P. Molińska, Juliusz, Irena.

ki, jak echo cierpień mego serca... marzeń całego roku!... Jakże często kołysała mnie niebiańska tych wyrazów harmonia... którą przeczuwałem nie znając jéj nigdy... Nigdy!... Edmundzie!... Edmundzie!... jakież życie pędzić będziem oboje! (*kaszle*) O dobrze... dobrze... lepsza śmierć... lepszy koniec... niżli takie męki! (*po chwili*) Muszę stronić od ciebie... bo obecność twoja mnie zabija.... myśl o tobie mnie pali... powinnam więc unikać... Unikać?... gdy się kocha, gdy się jest kochaną (*z egzaltacyą*) O Boże jakiż los biednéj zgotowałeś kobiecie! wymagasz takiéj po niéj siły, a wlałeś tyle miłości w jéj serce! Czyliż niewinność ma życiem boleści przypłacić? O nie... nie... to być nie może... Ty nie mogłeś nieszczęścia dać mi w przeznaczeniu!... Edmundzie!... (*zamyśla się*)

(*Leon wchodzi z cygarem w ręku i zatrzymuje się w głębi sceny*)

SCENA IV.

IRENA, LEON.

LEON (*do siebie w głębi*)

Panna Irena?... sama?... a to wybornie... obaczymy jakie wrażenie sprawi na niéj moja obecność... un petit tête à tête... dowiem się jak daleko zaszedłem (*z zarozumiałością*) żeby tylko nie za daleko!... (*głośno przybliżając się*) Pani... jakżem szczęśliwy...

IRENA (*przestraszona*)

Ah! (*przychodząc do siebie*) Aha to pan...

LEON (*na stronie*)

Otóż jest!... (*głośno*) Przepraszam Panią jeżeli przerwałem dumanie...

IRENA (*spokojnie*)

Bynajmniéj — poruszenie moje było mimowolne... przelękłam się nieco... ciemnić się już zaczyna (*z melancholią*) Ale mówiłeś Pan, że jesteś szczęśliwy... bardzo mię to cieszy... czy można bez niedelikatności wiedzieć co go uszczęśliwia?

LEON (*na stronie*)

Nie boi się wcale!... (*głośno*) Sposobność że mogę mówić z tobą Pani...

IRENA (*przerywając*)

Ależ zdaje mi się, (*z przyciskiem*) że to szczęście, (*z uśmiechem*) a pozwól sobie Pan powiedzieć, że profanujesz ten wyraz, że więc to szczęście spotyka Pana zbyt często, abyś mógł do niego jakąkolwiek przywiązywać wagę.

LEON (*na stronie*)

Cóż to za dziwny ton? (*głośno*) Chciałażbyś mi Pani ubliżać do tego stopnia, i wątpić, że wielką przywiązuję cenę do każdéj szczęśliwéj sposobności, tak jest szczęśliwéj, w któréj mogę z nią rozmawiać...

IRENA (*podejmując*)

Rozmawiać?... rozmowy są tak różne.

LEON.

Nie prawdaż?... w życiu na wsi, familijném, gdzie się ciągle jest razem, tyle jest zawsze zajmujących na pozór, chociaż drobnych rzeczy, o których się mówi, nieporuszając myśli ważniejszych, co częstokroć zajmują całą duszę naszą, a trudne do wypowiedzenia...

IRENA (*zamyślona*)

O to prawda!... Ale czy nie znajdujesz Pan że w takiem właśnie usposobieniu nie ma większéj męczarni, jak owe czcze rozmowy?

LEON (*do siebie*)

Baczność! (*głośno, zbliżając się*) A czy wolno się Pani spytać jakie jest jéj usposobienie w téj chwili?

IRENA

Widzisz Pan że wyborne, kiedy tu rozprawiam a siostra czeka na mnie. Właśnie miałam wychodzić... wybacz więc Pan, że go samego zostawić muszę... (*kłania się i odchodzi przez drzwi w głębi*)

LEON (*kłaniając się*)

Proszę, proszę, lubo mi bardzo przykro...

SCENA V. *)

LEON (*sam*).

(*Idąc ku drzwiom*) Czyli raczéj bardzo się cieszę... (*wracając*) bo jeśli się nie mylę to żartuje sobie ze mnie

*) **Pod czas téj sceny ściemnia się coraz bardziéj.**

po prostu... nie była jednak w różowym humorze... Ale cóż mnie to szkodzi!... Jeźli tak jest, to jeszcze lepiéj!... Nie ma co mówić ładna dziewczyna, chociaż dzisiaj... (*spostrzegając cygaro*) Cóż to jest?... a do licha... cygaro!... dobrze że go niespostrzegła (*wyrzuca cygaro przez okno*) Jaki ja też roztrzepany! (*wracając*) Ależ bo doprawdy jest czego?... Niech mnie diabli porwą, jeżeli aby trochę rozumiem co się to ma znaczyć?... I chciałbym was widzieć prześwietni członkowie klubu do którego mam zaszczyt należeć, chciałbym was widzieć na mojem miejscu! Pytam was: Zalecam się Hrabinie — No, to bardzo naturalnie... powiecie.. Zgoda niech i tak będzie... chociaż to nie tak łatwo jak naturalnie... ale to moja rzecz. — Dla lepszego pozoru udaję zakochanego w Irenie — to jeszcze naturalniéj, zawołacie — Być może, chociaż nie zabawnie... bo jestem wyśmiany... ale to moja rzecz— Teraz jakąż rolę gra w tem wszystkiem Hrabia? małżonek? — Zależy od ciebie odpowiecie,... udajesz dobrze to nic... udajesz źle, to będzie zazdrośny. — Otóż właśnie o kogo?... Naturalnie o żonę — Moje biedne sportsmeny, żal mi was dalibóg, z całém waszém doświadczeniem niezgadlibyście nigdy... Hrabia jest podwójnie zazdrośny... podwójnie, rozumiecie... zazdrosny zapamiętale... jak kot, jak tygrys... nie wiem jak to już nazwać: mówisz z jedną, już słucha... zbliżysz się do drugiéj, on tuż... gdyby nie kochał żony to bym jeszcze rozumiał... ale ją kocha... (*idąc do okna*) Słowo honoru, gdybym go nie znał, o bigamią bym go posądził. (*patrzy przez okno*) O wilku mowa a wilk tu... radzi coś z Piotrem... O ty podwójny Otellu!... dajesz mi się we znaki... Cóż tam Piotr niesie? nie mogę rozpoznać... już się zmierzchło... podobnoś płaszcz, kuferek podróżny... zapewne ktoś wyjeżdza... (*wraca na scenę*) Tak, tak... dziś naprzykład, na tym spacerze, który mi tak popsuł... bo mi go popsuł do szczętu ten przeklęty Edmund — każe się prosić... odmawia... potem nagle przylatuje... jakby go czarci nieśli... a jak przyjechał adieu plaisir!... Pędzi galopem... wali szczupaki, to znowu osadza, sam nie wié czego chce od konia... Ot, porzucę ten pałac bo mnie to wszystko strasznie nudzić zaczyna ...

(*wraca do okna. — Służący przynosi lampę i dwie świece — stawia lampę na stole przed kanapą, a świece na stoliku od gry*).

SCENA VI.

LEON, SŁUŻĄCY.

LEON (*przy oknie*)

Janie, rychło tam będzie herbata?

SŁUŻĄCY

Zaraz Panie.

LEON

Ależ nie ma nikogo?... gdzież państwo poszli?

SŁUŻĄCY

Są przed pałacem... pewnie tu zaraz przyjdą...

(*wychodzi*)

SCENA VII.

LEON, *później* JULIUSZ i P. MOLIŃSKA

LEON, (*sam, ziewa wyglądając ciągle oknem*)

O nudzę się potężnie!... trzeba jednak jeszcze parę dni posiedzieć... bo ta hrabina bardzo powabna dalibóg...trzyma mnie wyznaję... zresztą głupioby było wyjechać jak student...

(*p. Molińska wchodzi z Juliuszem*)

P. MOLIŃSKA

Jakto? sam tutaj pan Leon?

LEON

Jak Pani widzisz.

JULIUSZ

To mój przyjazd zapewne jest tego powodem. Zofia zapomina obowiązków gospodyni. Przepraszam Pana, że moja rodzina wyłącznie mną dzisiaj zajęta...

LEON

Nie ma istotnie za co... dopiero co wszedłem tutaj (*z uśmiechem wymuszonym*) a wreszcie lubię dosyć samotność.

P. MOLIŃSKA.

Pan lubisz samotność? a to coś nowego!

JULIUSZ

Zdaje mi się, że pan Zenowicz dowodzi tego bawiąc

w domu Edmunda. W przeciwnym razie jakiż powab takie życie jak nasze, mogłoby mieć dla człowieka z wielkiego świata, przyzwyczajonego do zabaw...

LEON

Żartujesz Pan ze mnie... nigdy nie bawiłem się lepiéj, jak w domu państwa (*rozmawiają daléj przy oknie— Służący wnoszą herbatę, ustawiają przed kanapą, kładą dwie talie kart na stoliku, wychodzą.— Pod ten czas weszła Irena.*)

SCENA VIII.

LEON JULIUSZ, *przy oknie*, P. MOLIŃSKA, IRENA, *na przodzie sceny.*

P. MOLIŃSKA

Ireniu, gdzie Zosia? herbatę przynieśli, trzeba posłać po nią.

IRENA

Kiedy niewiem gdzie się podziała.

LEON (*na stronie*)

Doprawdy?...

P. MOLIŃSKA

Więc nie od niéj przychodzisz?

IRENA

Nie mamo.

LEON (*na stronie*)

Domyślałem się tego.

(*Zofia wchodzi*)

SCENA IX.

CIŻ SAMI, ZOFIA *)

ZOFIA (*idąc do stołu gdzie zastawiona herbata*)

Wybaczcie mi państwo, że niemogłam przyjść prędzéj. Musiałam wyszukać Edmundowi ważnych papierów, które były u mnie a których pilno potrzebował. (*nalewa herbatę*) Biedny Edmund, chciał mi zrobić przyjemność a teraz musi pracować — prosi aby na niego nie czekać. Siadajcież proszę, herbata nalana.

---

*) Leon, Juliusz, Zofia, p. Molińska. Irena.

P. MOLIŃSKA

Siadaj na kanapie Ireno, bo musisz być zmęczona.

(*siadają na kanapie*)

ZOFIA (*wskazując na krzesło między nią i Ireną*)

Siadaj Juliuszu.

JULIUSZ (*wskazując Leonowi to samo miejsce*)

Proszę Pana.

LEON

Dziękuję (*na stronie*) poczciwy chłopiec! (*siada między siostrami*).

JULIUSZ *) (*siadając po drugiéj stronie Zofii*).

A ja między tobą i Edmundem, wszak przyjdzie?

ZOFIA

Przyjdzie niebawem.

LEON (*do Zofii*)

Wyborna herbata!

JULIUSZ (*do Leona*)

Czytałeś Pan dzisiejszą Pressę?

LEON

Przejrzałem politykę: zawsze ta sama piosnka: la paix à tout prix. Ale w felletonie był rozbiór dramatu przedstawionego w teatrze historycznym paryzkim.

P. MOLIŃSKA

Czy jaka nowa sztuka?

LEON

Nie pani, tłómaczona z Szyllera: Intryga i Miłość.

ZOFIA

Nieznam jéj — czy to dramat efektowy?

JULIUSZ

Pod względem układu nie może się równać z dzisiéjszemi francuzkiemi dramatami... Czytałem go w oryginale, jest to po prostu, obraz namiętności i nic więcéj.

LEON

Tak, zdaje się, nie ma nadzwyczajnych wypadkow, ani mordów, ani tortur...

P. MOLIŃSKA

Wolę sto razy taką szukę, niżeli te dzisiejsze, przepełnione zjawiskami i zbrodniami. Kiedy się ich słucha

---

*) P. Molińska, Irena, Leon, Zofia, Juliusz.

włosy prawda stają na głowie, ale nie uzacnia się przez to natura dramatu.

JULIUSZ

Niezgadzam się na to zdanie. Zbyt wielkie ubieganie się za wywołaniem wrażeń jest szkodliwe, zapewnie; ale co do mnie, lubię widzieć wielki charakter rozwinięty w niezwykłych wypadkach; olbrzymie czyny wśród wielkich wstrząśnień i katastrof mają wyznaję niezmierny dla mnie urok. Jakoś łatwiéj mi potem patrzeć na życie codzienne, gdzie sama proza i jaka proza!...

IRENA (*zapominając się*)

O jakżeś niesprawiedliwy dla życia Juliuszu!

JULIUSZ

Rozumiem cię Ireno, w twoim wieku żyje się wyobraźnią, poezyą: szczęśliwe lata w których człowiek nie spotkał się jeszcze z rzeczywistością!

ZOFIA

A jeźli rzeczywistość równie piękna jak ideał — cóż powiesz na to mój bracie?

JULIUSZ

Dla ciebie także nie mam odpowiedzi, (*Hrabia wchodzi*) jedném słowem: Oto Edmund! zamknęłabyś mi usta, nieprawdaż?...

SCENA X.

CIŻ SAMI, HRABIA

HRABIA (*zbliżając się*)

Przepraszam, ale...

JULIUSZ (*przerywa*)

Twoja żona już cię wytłumaczyła, siadaj tylko.

(*Hrabia siada obok Juliusza* *)

ZOFIA (*podając filiżankę*)

A oto masz herbatę...

HRABIA

Dziękuję ci.

---

*) P. Molińska, Irena, Leon, Zofia, Juliusz, Hrabia.

LEON

Jak wypijesz kochany Hrabio, pogodzisz nas może w kwestyi, która jest na stole.

HRABIA

Aha — jest jakaś kwestya? (*do siebie*) Znów przy niéj!...

LEON

Tak jest: przedmiot do niéj podał dramat prosty Szyllera: czy wolisz dramat efektowy?

HRABIA (*pijąc herbatę*)

Co nazywasz sztuką efektową?

LEON

Dramaty w modzie, pełne obrazów, niepodobieństw, gwałtów, rzeczy niesłychanych, okropnych... słowem dramat kolosalny.

HRABIA

Jeżeli tak, to wolę nieskończenie sztukę, w któréj autor bada serce ludzkie, a wdarłszy się aż do głębi, wyświeca najskrytsze uczucia, odkrywa niepojęte sprzeczności, żądze złe i dobre składające jego istotę... wolę taki dramat wewnętrzny...

(*Leon rozmawia z Ireną*).

JULIUSZ

Ależ namiętność, bo widzę że ją przypuszczasz, namiętność z trudnością może się rozwinąć w życiu rodzinnem, zwyczajnem, obranem z wypadków... to zaciasne dla niéj pole...

HRABIA (*zapalając się*)

Za ciasne pole? jak to, więc życie człowieka spokojne na pozor, ale w którego sercu namiętność palące i niszczące wznieciła uczucia, życie w którem rzeczywistość niezwyciężone stawiła zapory, a fatalność ciągnie w przepaść mogącą pochłonąć sumienie, honor, obowiązki... jakto, więc życie takie, to zaciasne dla dramatu pole?... (*coraz z większym zapałem*) Lub gdy namiętność wplecie go w koło zaklęte najsprzeczniejszych uczuć, z których wydobyć się nie może, tylko przez podłość lub zbrodnię... (*miarkując się*) i jeszcze by wiele innych znaleść można wypadków w zwyczajném pożyciu, w których serce człowieka ciekawy przedstawia widok.... czy sądzisz, że taki dramat na scenie niesprawiłby wrażenia?...

(*Leon rozmawia ciągle z Ireną, która się wydaje bardzo być nim zajętą*).

ZOFIA

Ireniu, nie uważasz jaki Edmund wymowny, z jakim ogniem dowodzi?

JULIUSZ (*z uśmiechem*)

Widzę kochany szwagrze, żeś zawsze równie egzaltowany, zawsze poetyczny jak w chwili gdym cię poznał. I zapewne masz słuszność, jeśli przypuścimy takie położenie... Ale w życiu zwyczajnem bardzo ono rzadkie... prawie niepodobne...

HRABIA

Tak sądzisz?... Być może... (*do siebie, spojrzawszy na Leona jak pierwej zajętego Ireną*) Ciągle z nią rozmawia!

JULIUSZ

A cóż Pan mówisz na to panie Zenowicz?...

LEON (*zwracając się nagle*)

Ja?... o ja sądzę o sztuce dopiero gdy się skończy. (*cicho nachylając się ku Irenie*) To mnie zagadł, nie wiem o co chodzi!...

HRABIA (*na stronie*)

Jakże się nachyla... i szepce... co za męki cierpię!...

ZOFIA

Wypijesz może drugą filiżankę Edmundzie?

HRABIA

Nie, dziękuję ci.

IRENA

To ja cię o nią proszę.

(*Leon jéj podaje*)

HRABIA (*na stronie*)

Nie... to się skończyć musi... dłużéj patrzyć nie mogę... (*głośno*) Leonie, będziesz grał dzisiaj?... mam wielką ochotę zrobić partyą maryasza...

LEON

Hrabio, jesteś niezmordowany... pracowałeś... zamiast sobie wypocząć... kreślisz obraz jednéj namiętności, i znów chcesz walczyć z drugą?...

HRABIA (*wstając*)

Chodź, zrobimy trzy pule na więcéj czasu nie mam. Nie możesz mi odmówić boś mi winien rewanż (*idzie do stolika i rozwija karty*)

LEON (*wstając*)

Prawda, prawda (*siadaj...*) Ale zapomniałem państwu powiedzieć rzecz najlepszą... krytyk zdając sprawę z tego dramatu ubolewa, że tłómaczenie nie jest wierszem napisane tak jak oryginał... *)

JULIUSZ

A to pocieszna historya!... więc nie czytał Szyllera?...

LEON

Gdyby się był choć książce przypatrzył, jeżeli po niemiecku nie umie... byłby widział że prozą napisane.. Otóż to sąd francuzów o literaturze niemieckiéj a krytyk znany autor i dowcipny człowiek...

HRABIA (*siedząc przy stoliku*)

No cóż? nie przyjdziesz Leonie?...

LEON (*wstaje i idzie do stolika*)

Wiesz, że gdyby nie rewanż możebym nie grał dzisiaj. (*siadając*) Tak mi tam dobrze było. (*Służący wchodzi i zabiera herbatę*) Po czemuż gramy? czy jak zwyczajnie?

HRABIA **)

Nie — bo jestem przegrany — a chcę się odegrać.

LEON

Nic słuszniejszego — po czemu więc?

HRABIA

Sto rubli.

LEON

Zgoda.

(*Grają — Służący wychodzi — kobiety biorą roboty — wyjąwszy Irenę*)

JULIUSZ

Już to ciebie Zosiu się nie spytam bo wiem naprzód że tak myślisz jak Edmund... ale ty Ireno nie powiedziałaś nam wcale zdania twego o dramacie?...

IRENA

I ja także zgadzam się z Ed... z moim szwagrem..

HRABIA (*na stronie*)

Z jéj szwagrem!...

LEON

Z czterdziestu i panfil zadany... a więc moja dograna... nie masz szczęścia Hrabio!

---

*) Felleton *la Presse* z 14 czerwca 1847.

**) Przy kanapie: p. Molińska, Irena, Zofia, Juliusz. — Przy stoliku: Leon, Hrabia.

HRABIA

Na ciebie dawać karty.

P. MOLIŃSKA

Więc sama jedna namiętność wystarczyła Szyllerowi na treść do dramatu?

JULIUSZ

Tak jest moja matko, jedna i do tego jak to mówią mieszczańska, w zapasach z intrygą...

LEON (*niecierpliwie*)

Zapominasz dwudziestu maryasza Hrabio!

ZOFIA

I jakież rozwiązanie sztuki?

JULIUSZ

Kończy się śmiercią kochanków (*śmiejąc się*) ale panie Zenowicz, te panie pytają się o koniec sztuki — to do Pana należy...

LEON

Sześćdziesiąt i dubla. (*do dam*) Tak jest moje panie, kończy się śmiercią, prostem otruciem... szklanką wody... czy tam limonady...

JULIUSZ

Przepraszam... otrucie jest podwójne...

LEON (*do Juliusza*)

Prawda, masz Pan racyę... podzielili się napojem podobno... (*do Hrabiego*) Zadajesz?

HRABIA

Ze dwudziestu.

IRENA

Mówisz bracie, że Szyller kończy swój dramat śmiercią... czyż może być inne rozwiązanie dramatu?

JULIUSZ

To jak do dramatu.

LEON (*tasuje karty*)

Znów przegrałeś Hrabio! (*do dam*) Bezwątpienia moje panie, są inne sposoby...

IRENA

Inne? jakież panie Leonie?

LEON

Rozstanie się... odjazd naprzykład (*do Hrabiego*) zapominasz znowu dwudziestu... tak wygrać nie sposób..

IRENA

Ale rozstanie się lub śmierć — czy to nie wszystko jedno?...

LEON (*do Ireny*)

O gdzież tam Pani! to całkiem co innego... (*do hrabiego*) o otóż i panfil... znów czterdzieści... a na honor niespodziewałem się wygrać drugiéj puli...

HRABIA

Ułóżmy więc trzecią inaczéj, żeby była więcéj zajmująca... idzie o summę którąm przegrał do ciebie...

LEON

O pięćset rubli?...

HRABIA

Tak — quitte ou double!

LEON

Piękna gra... wiesz że nie cofam się nigdy!

JULIUSZ (*cicho do Zofii*)

Tysiąc rubli! Zosiu, czy Edmund zawsze tak wysoko grywa?...

ZOFIA.

O nie — przynajmniéj pierwszy raz widzę — ale mu nie śmiem mówić — on taki dziś dla mnie był dobry!... sprobuj ty Ireno...

(*Wchodzi służący*)

SCENA XI.

CIŻ SAMI, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY (*przy drzwiach*)

Piotr chce się widzieć z Jaśnie Panem.

HRABIA (*na stronie*)

Bałwan! (*głośno*) Juliuszu, proszę cię zastąp mnie na chwilę.

JULIUSZ

Nie Edmundzie, gra jest za wysoka, przecież Piotr może czekać.

HRABIA (*wstaje*).

Przepraszam cię Leonie. (*idąc do Juliusza*) No no, zastąp-że mnie, wrócę zaraz... może będziesz szczęśliwszy....

(*Wychodzi ze służącym — Juliusz siada na jego miejscu*)

SCENA XII.

P. MOLIŃSKA, IRENA, ZOFIA (*przy kanapie*), LEON I JULIUSZ (*przy stoliku od gry*).

JULIUSZ (*grając*)

Nie lubię grać za kogo, zwłaszcza...

LEON (*przerywając*)

Graj Pan śmiało, zaręczam, że wygrasz prędzéj jak on, okropnie dziś roztargniony... (*cicho*) Nie karty jemu w głowie, jakaś tam grubsza stawka być musi (*głośno*) ze dwudziestu (*cicho*) domyślam się, że się musiał w jakąś spekulacyę diabelnie zaplątać...

JULIUSZ

Być może.

P. MOLIŃSKA (*do Ireny która kaszle*)

Kaszlesz wciąż Ireno, i masz taką gorączkę... czy cierpisz?

IRENA

Nie mamo, tylko jestem bardzo osłabiona.

ZOFIA

To pojdźmy już do siebie.

JULIUSZ

Zaczekajcie chwilkę proszę, aż skończę tę pulę...

LEON

Zaraz podobno będzie koniec... otoż czterdzieści, a ostatnia przy mnie.

(*Hrabia wchodzi*)

SCENA XIII.

CIŻ SAMI, HRABIA

ZOFIA

Edmundzie czegoż Piotr chciał od ciebie?

HRABIA (*przybliżając się*)

Dziś w nocy wysyłam go do Warszawy, przyszedł po listy.

LEON (*cicho do Juliusza*).

A cóż nie mówiłem?

JULIUSZ (*cicho*)

Zapewne. (*głośno*) Masz pan ogromne szczęście — otóż i trzecią wygrałeś pulę...

(*Wstaje — p. Molińska przybliża się do niego — i mówi po cichu*).

ZOFIA *) (*do Hrabiego*)

Odchodzimy już mój drogi. Irena jest bardzo cierpiąca.

HRABIA

Doprawdy? (*na stronie*) O mój Boże... odchodzi... ostatnia to chwila...

LEON (*zbliżając się do Hrabiego*)

Przepraszam cię... istotnie szalone mi szły karty...

HRABIA **) (*przechodząc ku Irenie która wstaje.*)

Alboż to twoja wina...

LEON

Zapewne prędzéj twoja...

HRABIA (*cicho do Ireny*)

Nigdy?... więc żegnam cię... na zawsze!...

(*w chwili kiedy Hrabia nachyla się ku Irenie, Zofia upuszcza chustkę po stronie Hrabiego, Leon stojący przy niéj schyla się, podnosi i oddaje*).

ZOFIA

Dziękuję Panu.

LEON (*na stronie*).

Co znaczy to pożegnanie?

ZOFIA (*do Ireny która się chwieje i opiera na kanapie*)

Ireno? co ci jest? pobladłaś... czy ci słabo?...

IRENA (*stłumionym głosem*)

Słabo mi... bardzo słabo...

(*Leon idzie do stolika gry p. Molińska i Juliusz się zbliżają*)

ZOFIA ***)

Podajże rękę Ireni, Edmundzie.

IRENA

Nic to nic... już mi lepiéj, pójdę sama... wybacz-

---

*) Irena, Zofia, Hrabia, Leon, P. Molińska, Juliusz.

**) Irena, Hrabia, Zofia, Leon, p. Molińska, Juliusz.

***) Hrabia, Zofią, p Molińską, Irena, Juliusz, Leon.

cie mi... (*do Hrabiego*) Dobra noc (*przechodząc koło Juiusza podaje mu rękę*) Dobra noc ci Juliuszu!

JULIUSZ

Śpij spokojnie droga siostro.

P. MOLIŃSKA, ZOFIA, IRENA, (*razem*)

Dobra noc, panie Leonie.

LEON

Nawzajem paniom życzę. (*kłania się*)

(*Wychodzą na prawo — za niemi Hrabia*)

SCENA XIV.

JULIUSZ, LEON, *potem* HRABIA

JULIUSZ

Zdrowie mojéj siostry, trochę mnie niepokoi.

LEON

To zapewne jakieś chwilowe osłabienie...

(*Hrabia wraca*)

JULIUSZ *) (*do Hrabiego*)

No cóż?

HRABIA

O! minęło zupełnie... ale już dziesiąta godzina... ty musisz być strudzony Juliuszu udasz się pewnie na spoczynek... zaprowadzę cię...

JULIUSZ

Zapewne — położę się z ochotą — chociaż po drodze nigdy spać nie mogę — (*do Leona*) dobranoc Panu... czy pokoje nasze w sąsiedztwie?

LEON

Niewiem — mój pokój na pierwszem piętrze... niedaleko Hrabiego...

HRABIA

Tak, a ty masz pokój na dole Juliuszu — Dobra noc więc Leonie... Ale, ale... dobrze żem sobie przypomniał... ponieważ nie idziemy razem na górę, przyślij mi proszę twego służącego tak za kwandrans,.. bo chcę ci przegraną odesłać...

LEON

Cóż znowu? dzisiaj jeszcze!

---

*) Juliusz. Hrabia, Leon.

HRABIA

Wolę dzisiaj.

LEON

Lub jutro...

HRABIA

Nie, dzisiaj — nie lubię wiesz długów karcianych.

JULIUSZ

Nic piękniéjszego... ależ w nocy...

HRABIA (*spostrzega się*)

I to prawda... dobrze — więc do jutra Leonie.

LEON

Do jutra — to lepiéj. Dobra noc Panom. (*idzie ku drzwiom i wraca się*) Idźcie panowie proszę... muszę poszukać mego kapelusza...

(*Juliusz i Hrabia wychodzą głównemi drzwiami*)

SCENA XV.

LEON (*sam*)

Cóż to u diabła miało znaczyć, to... nigdy żegnam-cię na zawsze... Nie... nigdy na zawsze cię nie żegnam... ale nie... powiedział: nigdy żegnam cię na zawsze... i to zemdlenie... i ten Piotr... i te podróżne przybory... które widziałem przypadkiem... i ta żona która nic nie wie co się święci... a wreszcie teraz to spieszne oddawanie długu... wszystko to intryguje mnie mocno!... wątpię dalibóg aby mi się spać chciało téj nocy... (*szuka po kątach*) Prawda... nie przyniosłem kapelusza, przyniosłem cygaro... (*wychodząc*) jaki ze mnie roztrzepaniec!...

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Apartament Hrabiego — drzwi w głębi — na lewo drzwi od sypialni otwarte — na przodzie sceny po prawéj stronie duży stół do pisania — na nim paląca się świéca — pistolety leżą w otwartém puzderku — pudełko cygar — daléj na prawo okno — po lewéj stro-

nie na przodzie sceny szesląg — daléj biórko otwarte — na niém druga świéca — przed stołem stoi fotel — drugi przy szeslągu a na nim kapelusz — kilka krzeseł tu i owdzie. —

SCENA I.

HRABIA *sam, ubrany po podróżnemu w paletocie, stoi przed biórkiem, układa papiery i chowa do szufladek.*

Jeszcze to tylko i skończę... ktoś idzie!... (*słucha*) czy to Piotr?... nie... zobaczmy (*bierze świecę otwiera drzwi i patrzy w kurytarz*) Nie ma nikogo... zdawało mi się... (*zamyka drzwi i stawia świecę na biórku*) o bo tak mi się w głowie mąci!... (*otwiera okno*) może mię powietrze ożywi... Obszedłem pałac... wszystko śpi jak zabite... tylko jeszcze w pokoju Juliusza światło... ależ on się niczego niedomyśla... i na dole nic usłyszeć nie może... (*smutnie*) ja tylko czuwam... ale cóż to za okropne czuwanie! Milcz szalone serce! milcz na Boga!... pracujmy... (*wraca do biórka i układa papiery*). No teraz wszystko jest na swojem miejscu (*z goryczą*) porządny ze mnie człowiek! (*zamyka biórko — stawia świecę na stole — klucz wrzuca w szufladę*). A jeszcze słów kilka napisać trzeba... byłbym zapomniał... (*siada — pisze — składa i adresuje*) Do pana Leona Zenowicza (*rzuca list*). Przecież... to już i wszystko.. jestem gotów! O Boże... (*bije północ. — Wstaje*). Północ a Piotra jeszcze nie widać... zawsze taki akuratny... aha słyszę kroki (*słucha*) tym razem niemylę się, to on...

(*wchodzi Piotr.*)

SCENA II.

PIOTR, HRABIA.

HRABIA.

A co? czy wszystko gotowe?

PIOTR.

Gotowe panie Hrabio.

HRABIA.

Nie spotkałeś nikogo?

PIOTR.

Nikogo panie. Wieczorem wyniosłem sam rzeczy i ukryłem je przy furtce w ogrodzie. Teraz byłem w stajni, i kazałem zaprządz kłusaka do doróżki, poczem powiedziałem że zajadę sam w umówione miejsce, bo pan Hrabia nie chce budzić nikogo w pałacu i sam się będzie powoził...

HRABIA.

Dobrze. Więc doróżka czeka?

PIOTR.

Czeka tam gdzie Pan kazał — można ją z tego okna zobaczyć. Przyśrubowałem kufer, przywiązałem konia do drzewa... a oto klucz od furtki...

HRABIA. (*biorąc klucz.*)

A nie ma nic zepsutego u powozu? zaraz zjadę z bitéj drogi... łatwo może co pęknąć...

PIOTR.

Oglądnąłem starannie — doróżka mocna...

HRABIA.

Zapowiedziałeś Jakóbowi żeby miał konia gotowego — bo pojedziesz téj nocy do Warszawy?

PIOTR.

Koń mój gotów panie Hrabio.

HRABIA. (*zbliżając się do niego*).

Teraz słuchaj mnie Piotrze. Pojedziesz prosto do Warszawy, bez wytchnienia. Czy masz tam kogo cobyś u niego mógł konia zostawić?

PIOTR.

Zostawię go w pańskiéj stajni.

HRABIA. (*z żywością*).

O nie — nikt w moim domu nie powinien wiedzieć, żeś przybył do miasta, rozumiesz? nie stawaj więc tam, i strzeż się aby cię kto z moich ludzi nie spotkał.

PIOTR.

Kiedy tak, to zaprowadzę konia do jednego ze znajomych — będzie miał o nim staranie.

HRABIA.

A umie on milczeć?

PIOTR.

Ufam mu jak sobie samemu.

HRABIA.

Zostaw więc konia u niego, i daj mu pieniędzy, później doniesiesz co ma z nim zrobić... ale jeszcze raz pytam, czy to człowiek pewny?

PIOTR.

Bądź pan Hrabia spokojny — milczy jak grób.

HRABIA.

Bo może byłoby lepiéj żebyś go gdzie zostawił w jakiéj austeryi... albo zsiadłszy puścił samego... mnie przedewszystkiem idzie o tajemnicę — rozumiesz?

PIOTR.

Rozumiem panie.

HRABIA.

Teraz uważaj (*bierze ze stołu pulares*). Tu masz paszport osobny dla siebie i tysiąc rubli. Jak się pozbędziesz konia, idź zaraz do jakiego fabrykanta powozów i kup kocz podróżny..,

PIOTR.

Pański jeszcze prawie nowy, ten co jest w Warszawie.

HRABIA (*zniecierpliwiony*).

Cóż u stu katów zapomniałeś com ci mówił dopiero! że niemasz się pokazywać w moim domu... cóż więc czy nie pojmujesz, że o to właśnie idzie, aby nie wiedziano, w którą stronę jadę... aby śladu niebyło... i nie mógł nikt...

PIOTR.

Przepraszam pana Hrabiego — już wszystko rozumiem. Kupię powóz — najmę konie... i będę czekał... gdzie panie Hrabio?

HRABIA,

Otóż to... to... to... Będziesz mnie czekał na drugiéj stacyi pocztowéj na szosie do Kalisza.

PIOTR.

Dobrze panie.

HRABIA.

Tam czekaj póki nie nadjadę... zapewne jutro wieczór. A teraz jedź z Bogiem Piotrze... jedź natychmiast... pędź co koń wyskoczy — niech padnie mniejsza o to — Pamiętaj — pośpiech i milczenie...

(*Piotr wychodzi*).

SCENA III.

HRABIA, (*sam*).

No, teraz na mnie koléj...daléj w drogę!— zdaje mi się załatwiłem wszystko... (*patrzy przez okno*) powóz czeka... jedźmy więc. (*smutnie*) O jakże to okropnie opuszczać rodzinne miejsce!... ten ogród w którym dziecinne lata przeskakałem...te drzewa które szumiały nad głową szalonego młodzieńca... podsłuchiwały westchnień...bywały świadkami szczęścia... O Zofio! ciebież ja to porzucam? (*zakrywa twarz rękami*) Boże dodaj mi siły...Kiedyż powrócę w progi ojców moich?...nigdy może!...bywajcie mi zdrowe...bywaj zdrowa Zofio! odjeżdżam jak zbrodzień nie pożegnawszy ciebie... Ah to okropnie!...Zofio moja... biegnę w świat... przebacz mi...widzisz łzy moje... o przebacz... nie rzucaj potępienia na mą biedną głowę...przebacz mi, przebacz! wszak nie jestem podły ani wiarołomca... uciekam żeby nim nie zostać! (*chwila milczenia*).

A gdybym do niéj napisał?...tak, muszę wszystko jéj wyznać otwarcie, żeby poznała cały stan duszy mojéj... Odkryję przed nią to dziwne niepojęte zjawisko, które serce moje na dwie rozrywa strony...może ona je pojmie... wytłómaczy... ona mnie tak kocha!... O ty przebaczysz mi Zofio... ty pojmiesz boleść moją...ty uwierzysz że nie sama jesteś ofiarą (*siada przy stole*).

Boże opuściłeś mnie... ulituj się nad żoną moją!... prowadź me pióro... niech wypowie co cierpię... żeby tak jasno jak ty czytała w mem sercu... (*pisze*) prawdę wyznać muszę... najboleśniejszą prawdę... precz

z wahaniem...(*zrywa się*) Cóż to za szelest...(*zwraca się do okna*) to Piotr może odjeżdża...(*patrzy*) Tak...to on... echo rozchodzi się po rosie... ale spieszmy, koń się niecierpliwi...gotów się urwać (*zamyka okno, siada i pisze*). Tak będzie dobrze... nikogo prócz siebie nieobwiniam... (*gorzko*) obwiniam...mojaż to wina fatalność która na mnie cięży...precz z tą myślą! (*czyta*) Muszę coś dodać jeszcze (*pisze*) skończyłem (*składa list*) na piszę na adresie: „Do mojéj żony...do niéj (*z drżeniem*) do niéj tylko...(*z rozpaczą*) A do niéj?...czyliż nic jéj nie powiem?... nigdyż jéj niezobaczę?... nigdy nie usłyszę tego dźwięcznego głosu... nigdy już mnie nie owionie ta świeżość młodości — nigdy wzrok mój nie spocznie na téj pięknéj, przecudnéj postaci (*porywa się*) O Boże wspieraj mnie bo upadam... (*z wysileniem*). Muszę jechać...ona mnie nie kocha...odjazd mój jéj obojętny...tak zimno mnie pożegnała...tak uprzejmą była dla Leona... może go kocha... tak, ona go kocha... (*idzie po kapelusz*) pojadę...ucieknę...(*w szaleństwie*) nie widząc jéj...Nigdy! bądź zdrowa na zawsze!...(*kładzie kapelusz*) ratuj mnie Boże! Zofio!... (*biegnie do drzwi — otwiera — Irena w białéj sukni i czarnéj mantylli ukazuje się w kurytarzu. Na widok ten cofa się z krzykiem*).

Ah! to ona! (*milczenie*) Ireno ty tutaj?... (*z radością*) kochasz mnie więc! o szczęście!... (*z trwogą*) Przez Boga! ona drży... chwieje się... upadnie... (*wybiega — porywa ją — i składa na szeslągu — klęka przy niéj, całuje ręce, kapelusz spada na ziemię...*).

SCENA IV.

IRENA, HRABIA.

HRABIA.

Ireno!... odpowiedz mi... odpowiedz na Boga!.... ona umiera... Ireno!...

IRENA (*otwiera oczy, potem słabym głosem*).

Edmundzie! porzucić mnie chciałeś!

HRABIA.

Ona żyje.... dzięki tobie o jakiś ty dobry mój Boże... (*z miłością*) mów, mów jeszcze Ireno... niech się twym głosem napieszczę...

IRENA (*bez poruszenia*).

Edmundzie! bez pożegnania porzucić mnie chciałeś!

HRABIA (*z prośbą*).

Ireno... zaklinam cię, nieobwiniaj mię!... (*chwyta ją za rękę, Irena ją wyrywa i wskazuje aby usiadł na fotelu, Hrabia siada*). Czy sądzisz żebym potrafił przejść koło drzwi twoich... wierzaj mi... tam... tam, pomimo najsilniejszéj woli zostałbym przykuty... ja cię musiałem zobaczyć...

IRENA (*nieruchoma, zimno*).

Edmundzie! więc na zawsze porzucić mnie chciałeś

HRABIA.

O litości! Ireno... zlituj się nademną... (*chce paść na kolana, Irena wstrzymuje go skinieniem*). Przysięgam ci, żebym nie był odjechał... u drzwi twoich byłbym wołał: Ireno... odjeżdżam .. umieram... jeżeli mnie nie kochasz!.. bo ja niewiedziałem że mnie kochasz!...

IRENA (*wlepiając wzrok w Hrabiego*).

I skądże to czerpałeś siłę do téj próby... bo ja byłam gotowa na wszystko Edmundzie... ja myślałam o śmierci... samobójstwie... ale o rozstaniu?... ale... porzucić cię...nie widzieć ciebie więcéj... o nie...nie... to dla mnie było niepodobném!...

HRABIA (*w egzaltacyi*).

O i ja także odjechać nie mogłem... nie byłbym odjechał — czuję to w głębi duszy — przysięgam ci Ireno! — Bo ty kochasz — wszak prawda? — kochasz mię, kiedyś przyszła tutaj — sama — w pośród nocy — kochasz mnie ale powiedz — powiedz mi to Ireno!

IRENA (*podnosząc się*).

Nie, ty wiedzieć nie możesz co się ze mną działo kiedy wyrzekłeś te słowa złowieszcze! — Uczułam w sercu zimno od ostrza sztyletu — potem wierzyć nie mo-

głam abyś był tak okrutny — zaspokoić się chciałam myślą że mnie kochasz, że kiedym ja niezdolna odjechać i ty opuścić nie potrafisz Ireny — potem przyszły zwątpienia — męczarnie — O Boże! cóż cierpiałam! — Oh cierpień takich ty nigdy nie pojmiesz Edmundzie!...

HRABIA.

Mylisz się Ireno — mylisz się — i ja przebyłem katusze, na które słów w ludzkim zabraknie języku — ależ nie mówmy o tem — wszak kochasz mnie nieprawda? — o powiedz — powtórz stokroć razy — zaklinam cię (*pada na kolana, z ogniem*) wyrzeknij wyrok szczęścia Ireno — a skoro myśląc o nim myślałaś o śmierci — powiedz: kocham cię! — niech skonam u nóg twych z rozkoszy!

IRENA (*w obłąkaniu gorączkowem*).

Niechże więc i tak będzie... tak — Edmudzie — kocham cię — kocham — tak — ja to muszę powiedzieć — bo inaczéj — ty — ty sam Edmundzie byś mnie potępił — za to że tu jestem — (*chwyta jego głowę w obie ręce i w patruje się w niego namiętnie*) tak jest — kocham cię — kocham!...

HRABIA (*w zachwyceniu*).

Nieba!... co za szczęście!...

IRENA. (*spuszcza ręce i upada znowu na szesląg*).

Nieszczęście! — wołaj raczéj; — stokroć powtórz nieszczęście! — Edmundzie — powiedz teraz — będzieszże mógł odjechać?...

HRABIA (*gwałtownie*).

Co? — ja? — mam odjechać? — teraz — mam się rozstać z tobą? — Ireno gdy mnie kochasz — o nie! nigdy! my będziemy szczęśliwi!...

IRENA (*z goryczą*).

Szczęśliwi! my oboje!... my? Edmundzie czyliż nie wiesz że to być nie może?... przeciwnie, serca nasze będą łupem rozpaczy... nieszczęście nasze bliskie... zobaczysz! (*zapala się*) Świat się dowie że ja byłam tu.. u ciebie — świat nierozumie miłości — świat nie pojmie że niemogłam przenieść na sobie aby cię niepożegnać —

że przeczekawszy godziny w tym zimnym kurytarzu przywlokłam się nareszcie drżąca — na pół żywa, aż tutaj, by się przekonać, czy los mój już spełniony (*wznosi oczy do Nieba z słodkim uśmiechem*) Dziękuję ci Boże; jeszcze ciebie zastałam! — Ależ świat czy uwierzy, że na twój widok — uległam pod wzruszeniem — upadłam pod szczęściem? — Nie, nie! ludzie temu nieuwierzą — nieuwierzą nigdy — (*zakrywa twarz rękami*) potępią — biedna ja kobieta!...

HRABIA (*w zachwycie*).

Nie płacz, nie płacz droga Ireno — bo serce mi pęka... (*z obłąkaniem*) Co nas świat obchodzi... my musimy być szczęśliwi...(*zrywa się*) ukryjem się — tak — żyć będziem dla siebie — tak, uciekajmy! — daleko — daleko — pójdź — pójdź Ireno...powóz czeka — śpiesz się! my musim być szczęśliwi...

IRENA (*powstaje nagle*).

Uciekać! — uciekać z tobą Edmundzie!... (*odwraca się*) o zgrozo!...

HRABIA (*wskazując na okno*).

Patrz — przekonaj się — wszystko gotowe — przeznaczenie tak chciało — znikniemy bez śladu — oko ludzkie nas nie dosięże — ucho nie zasłyszy — chodź — chodź Ireno — czyliż ze mną nie będziesz szczęśliwa?...

IRENA (*ze zgrozą*).

A Zofia Edmundzie? — moja siostra! — twoja żona!...

HRABIA (*z rozpaczą*).

A więc cóż? — więc wolisz oszukiwać ją tutaj? — bo Ireno miłość nasza bez granic — ty mnie kochasz a ja ciebie ubóstwiam (*z siłą*) Stało się! przepaść nas pochłonęła! — (*z przekonaniem*) Jeżli zostaniem powiedziałaś Ireno — świat się dowie — potępi — przeklnie — (*pomału*) i rozłączy — Ireno! potrafisz żyć bezemnie?...

IRENA (*z boleścią*).

O nie — nie — wszak dla tego abyś mnie nie opuścił stłumiłam głos sumienia — opuściłam matkę — rozłączyć się nie możem — wolę śmierć!...

HRABIA.

I czegóż się więc wahasz?...(*porywa ją za rękę*) Chodź błagam cię— chodź bo czas ucieka...

IRENA (*opierając się*).

Uciekać!...o ja nieszczęśliwa!...(*wyrywa się i pada na szesląg z wysileniem*). Nie! nie! nie pójdę!...

HRABIA (*z wściekłością*).

Nie pójdziesz?... Ireno!...pragniesz więc żebym padł trupem w twoich oczach? Cóż? nie?— raz jeszcze wyrzeknij to słowo— a jeżli natura cios wytrzymać zdoła— to przysięgam na piekło że ta broń... (*idzie do stolika*).

IRENA (*zrywając się biegnie ku niemu*)

Edmundzie! Edmundzie! (*pada w jego objęcia*) Ja cię kocham (*słabym głosem*) pójdę gdzie rozkażesz...

HRABIA (*z radością*).

Pójdź!... pójdź!... kochanko moja... a jeżli świat nie dość wielki żeby nas mógł zrozumieć— to przynajmniéj dość obszerny aby nas ukryć zdołał... (*podnosi kapelusz*)

IRENA.

Boże! jeżli jestem występną, to czemuż taką miłość wlałeś w piersi moje!

HRABIA (*ciągnie ją*).

Uciekajmy, uciekajmy Ireno! (*na stronie ponurym głosem*) Żono, przebacz mi!

IRENA (*odchodząc, na stronie*).

Zofio, nieprzeklinaj mnie!

(*wychodzą głównemi drzwiami, które były otwarte i udają się w lewą stronę. Po chwili z prawéj strony ukazuje się na kurytarzu Leon w pokojowéj czapeczce, rannym ubiorze, bonżurku, tureckich spodniach i pantoflach haftowanych. Staje we drzwiach, patrzy w stronę w którą poszli Hrabia z Ireną— poczem wpada na scenę, śmiejąc się do rozpuku*).

SCENA V.

LEON. (*sam*).

Ha, ha, ha, ha, ha, ha, cóż to za wyborna historya! ho, ho, ho, ho, ho, ho, a to łotr! hi, hi, hi, hi, hi, brawo! a to odegrał rolę... warto mu pomnik za tę sztukę wystawić! Otóż i rozwiązana zagadka (*śmieje się*) to sławne na honor! Żegnam cię na zawsze — znaczy o północy... Piotr — znaczy powóz... a ślepota żony znaczy — znaczy — ha, ha, ha, mniejsza o to, jak się to nazywa po prostu... Ale cóż to za mistrz z tego Edmunda — dalibóg Żokej klub mógłby się nim szczycić — wszak to jenialny człowiek!... Ależ też w nim Irena rozkochana na zabój! (*idzie do drzwi*) Nic nie słychać, musieli iść do ogrodu może ich zobaczę oknem (*otwiera na pół okno i patrzy*). Nie mylę się, to oni — idą do małéj furtki — myślałem o niéj często — ba i doróżka czeka?... no i cóż naturalnie — spacer — ale prawda, prawda słyszałem wyraźnie jak mówili, uciekajmy! wychodząc... Więc to nie schadzka panie, to nie spacer, tylko po prostu wykradzenie! — A to Don Juan ten Hrabia.... Oto otwiera furtkę — niezapomniał klucza chociaż, jak to mówią, na złodzieju czapka gore... Wsiadają — noc im nawet sprzyja bo dość jasno aby nie wywrócić a nie dość znów żeby być poznanym... Ruszają kłusem — ale cóż kiedy w doróżce jednokonnéj — pfe — uwozić kobietę w doróżce — i kobietę comme il faut! na to trzeba odwagi — przyznaję... Jadą ku Dębinie — (*żegna ich ręką*) Adieu — bądźcie zdrowi — szczęśliwéj podróży... (*wraca na scenę*)

Teraz nie żałuję bynajmniéj żem się spać nie położył, i czekał tak długo ukryty w kurytarzu, bo do prawdy nie łatwo się wydarzy tak wyborną wypatrzeć intrygę. A co najlepsza w tem wszystkiem, że mąż ustępuje mi z placu, i zostawia na swojem miejscu (*wskazuje fotel*) a jeszcze i cygar zostawił (*idzie do stolika i bierze cygaro*) uprzedzający małżonek na honor (*zapala cygaro*) prawdziwie z Hawany!... (*siada w fotelu*) Przednio mi tu siedzieć dalibóg. (*pali*) Pomyślmy co to będzie jutro jak się dowiedzą (*śmiejąc się*) A to dopiero niespodzianka — za nic dzisiejsza — już to widocznie on lubi robić żonie

niespodzianki — (*pali*) Bądź co bądź kiedy już nie będę miał Otella przy boku (*z przesadą*) kiedy Otello stał się niewdzięcznikiem, zdrajcą, wiarołomcą, będę mógł raz zająć się Desdemoną (*pali*). . Hola, to nie idzie, — loika i sport oto podstawy młodego człowieka, a w tem niema loiki, rozważmy lepiéj. (*pali*) Jeśli udam że nic nie wiem, wypadnie jakoś zaraz wyjechać, a tu nie o to idzie! djabliż potem!.. A choćbym został na nicby się nie zdało, bo jakże się zalecać kobiecie w takiéj chwili, kiedy spazmy, rozpacze itd. itd. (*pali*) Więc lepiéj wiedzieć ... Niebardzo, bo tém samem ją upokorzę... kobieta nie może znieść upokorzenia itd. itd. to rzeczy wiadome... (*z niecierpliwością*) A do stu piorunów, to położenie moje wcale nie lepsze! — Aha, gdybym też wystąpił jako zbawca i pobudził wszystkich?.. pfu! to skandal, parafiańszczyzna... A gdybym ją tylko samą obudzić kazał?... Powiedziawszy, trzeba by wyjechać... nędzny koncept!... Cóż u diabła nic wymyślić nie mogę... Pokazuje się że Edmund sto razy rozumniejszy odemnie, jakie się tam jemu teraz myśli roją.... (*wstaje*) A gdybym sam puścił się w pogoń?... dopędzę go i wróci — a więc będzie tu znowu, pierwsze głupstwo!... Przytem nie obejdzie się bez pojedynku, drugie głupstwo!... ba, mniejsze od pierwszego... (*siada*) Biłbym się gdyby potem nie trzeba wyjechać, ale wszystko na odjeździe się kończy!.. (*uderza pięścią w fotel*) A to jakieś zaklęte miejsce kiedy z żadnego położenia nie mogę korzystać!... (*chce palić*) No i cygaro mi zgasło (*nachyla się siedzący ku świecy*) A! jakiś list... (*czyta*) Do pana Leona Zenowicza (*kładzie cygaro i bierze list*) do mnie? Obaczmyż czego chce swawolny Edmundek (*czyta*) „Wyznaję niniejszém żem winien prostym długiem Panu Leonowi Zenowiczowi tysiąc „rubli które na każde żądanie wypłaci mu żona moja „Hrabina Zofia Nieświeska“ — podpisano „Hrabia Ed„mund Nieświeski“ — data dzisiejsza — No to jednak bardzo ładnie z jego strony; w podobnej chwili nie zapomnieć o takiéj drobnostce... Jeśli kiedy poda się do klubu muszę to powiedzieć jak go będą ballotować — ani jednej czarnéj nie będzie miał gałki... to jak mówią anglicy gentleman całą gębą! (*rzuca list na stół*) Słowo honoru, to mi się bardzo podoba... (*bierze cygaro i chce zapalić*) Ależ bo tu i drugi (*kładzie cygaro bierze list*

i obraca) bez adresu — to zapewne rewers dla mnie przygotowany... Zobaczmy, — ej nie — ale co tam — ej dam pokój — nie potrzebne skrupuły!... Miałżeby je który z członków moich kolegów — to loika i strategia... bo czyliż nie jestem jak jenerał w wilią batalii, kto wie zkąd mogą przyjść posiłki, nie powinienżem korzystać z błędów przeciwnika?.. złe porównanie bo nieprzyjaciel uciekł z placu bitwy.. Dajmy pokój porównaniom i czytajmy list... niezapieczętowany, bez adresu (*otwiera*) wreszcie może i ten do mnie... mógł być jeden to może być i drugi — czegóż się po nim spodziewać nie można... (*czyta*)

„Zofio!“ (*do siebie*) a co tego to za wiele! jakto? pisze do żony... a, co na to wyznać muszę że ja bym sam się nie zdobył (*czyta*) „Zofio, kocham cię tak jak „cię kochałem, tak jak zawsze kochać będę“ (*do siebie śmiejąc się*) ha, ha, ha, ha, a to żart pocieszny, kochać ją będzie zawsze — to zawsze jest niezrównane! (*czyta*) „Wierz mi, przysięgam, i daję ci dowód miłości!“ (*do siebie*) Sliczny dowód na honor! (*czyta*) „Nieszczęsna „i zbrodnicza namiętność zawładnęła mną do tyla że „już miałem cię zdradzić“ (*do siebie*) Miał ją zdradzić (*czyta*) „Jednym ciosem nieszczęśliwemi nas na wieki „uczynić. Odjeżdżam więc“ (*do siebie*) To jest—odjechałem (*czyta*) „O gdybym mógł odjechać nie rozstawając się „z tobą mój Aniele“ (*do siebie*) Aniele, coraz lepiej (*czyta*) „Ale to było niepodobne — przysięgam ci, chwyci„łem się jedynego sposobu ratowania nas obojga, je„dynego, żeby zostać godnym ciebie, przysięgam ci na „wszystko, co mam najświętszego“ (*do siebie*) hm, hm, to się mówi kobietom — to zwykła formuła (*czyta*) „Na „wszystko co mam najświętszego, na naszą miłość!“ (*do siebie*) Wyborny! (*czyta*) „Dla niej to spełniam dzisiaj „tę straszną ofiarę. Odjeżdżam“ (*do siebie*) Tak, to najwygodniéj. (*czyta*) „Na próżno szukać będziesz moich „śladów. Przebacz mi Zofio i przybądź mi w pomoc. „Powiedz co zechcesz matce twojéj, siostrze„ (*z zadziwieniem do siebie*) Siostrze? (*czyta*) „całéj rodzinie i całemu „światu, bo nikt o mojem przedsięwzięciu nie wie — „nikt o niem słyszeć nie będzie. Żyć winieniem samotny“ (*do siebie*) Samotny? (*czyta*) „Ty jedna Zofio będziesz wiecznie... wiecznie w mojem sercu!“ — (*do siebie*) A niech mię djabli porwą, teraz znowu nic nie ro-

zumiem!.... (*czyta*) „Skoro tylko czas przygasi nie-„cną namiętność lub nieprzebytą wzniesie dla niéj „zaporę, napiszę ci abyś do mnie przybyła. Zofio wszak „przyjedziesz nieprawda? bo szczerość moja powinna „ci być rękojmią mego przywiązania. Jeżeli cię pismo „moje przebłagać nie zdoła, ależ ja temu nie chcę, nie „mogę temu wierzyć, sam przybędę żebrać u nóg two-„ich przebaczenia i nadziei, tak jak w téj chwili wołam „do ciebie na klęczkach o pomoc i wspomnienie! Bądź zdro-„wa Zofio! najdroższa żono moja, niechaj niebo wspie-„ra cię w téj ciężkiéj próbie, co mi serce rozdziera, „niechaj Bóg nie pozwala, abyś miała przestać kiedyś „kochać twojego Edmunda“ (*do siebie*) Jest i post scriptum (*czyta*) „Rób co chcesz z moim majątkiem, znaj-„dziesz wszystko w porządku. Klucze wszystkie są w szu-„fladzie od stolika do pisania. Bądź zdrowa, przebacz „mi, wierz mi, żałuj mnie — w pałacu Uboczy o pół-„nocy“ (*wstaje trzymając list w ręku i przechodzi się po pokoju*).

Pokazuje się z tego, że mężczyzna może kochać na raz dwie kobiety... jednę namiętnie... a drugą spokojnie... dwa uczucia na raz... Dowiedziałem się czegoś nowego... jakże to po łacinie? (*staje*) Aha (*napuszyście*) experientia docet. (*chodzi*) Biedaczysko! chciał więc sam uciekać to widoczna... a uciekł z Ireną... ona go kocha... on się zdradził tem: żegnam cię na zawsze!... ale bo też dziwnie jakoś i nigdy tam wkręcił... to niezgrabne było niech mi daruje... i wszystko popsuło... Irena przyszła chcąc go jeszcze raz zobaczyć... widziałem ją z mego ukrycia, jak stanęła drżąca przed drzwiami... wreszcie osłabła... zemdlała... on ją porwał na ręce... wniósł do siebie... i skończyły się projekta (*śmiejąc się*) w dorożce... (*patrzy na list, ogląda, chowa do kieszeni i siada*).

Mniejsza o to... żal mi ich... i gdybym mógł pomódz... bo widzę teraz że będą wszyscy nieszczęśliwemi! zwłaszcza Zofia... biedna Zofia... najgodniejsza litości! dałbym wiele gdybym ją mógł od nieszczęścia uchronić... czuję że w téj chwili poświęciłbym się chętnie aby ją uratować (*wstając*) ho, ho, byłżebym przypadkiem zakochany? (*myśli*) Może... sam nie wiem...

ale to pewna, że uczucie honoru obudziło się we mnie! Cóż ja to robię przez noc całą?... szpieguję... podsłuchuję..? czytam listy bez adresu... wstyd mię... wstyd na honor... uczciwemu człowiekowi w oczy zajrzeć bym nie śmiał! (*chodzi po pokoju*) Muszę zrzucić to z siebie... dla siebie, dla honoru, ratować muszę Zofią... Tak, przez Bóg żywy muszę ją wyratować... (*z siłą*) wyratuję! ale jak?... Przedewszystkiem trzeba ich dogonić... tylko o to chodzi, czy sam mam ścigać czyli wysłać kogo?... a spieszyć się trzeba... (*idzie do okna*) Muszą już być daleko... bo szczęście rączo bieży... a oni są teraz szczęśliwi. Ale gdzież się to świeci jeszcze?... W skrzydle pałacowem na dole... to Moliński jeszcze nie śpi... cóż to za traf szczególny (*idzie do stolika od pisania*) Uda mi się mój pomysł... bo od razu miałem jakby objawienie... (*chce wziąść papier na list*) nie... bo by poznano że ktoś tu był (*dobywa pularesik i wydziera kartkę*) kilka słów, tu pomieszczę (*bierze pióro i rzuca*) i to by wydać mogło (*wyjmuje ołówek z pugilaresu i pisze*) Teraz trzeba poszukać co cięższkiego... co by tu?... nie ma nic... (*szuka po kieszeniach*) imperyał?.. choćby jego obwinąć? to za wiele wyrzucić przez okno... mogliby się domyśleć... (*szuka jeszcze w kieszeniach*) oho trojak... jeden i drugi, za nic złoto! (*śpiewa aryą z Roberta Diabła obwijając trojaki w papier*) złoto czcza tylko chimera... Teraz żebym tylko trafił (*idzie do okna*) jak chybię... to już nie wiem co zrobię... a czas mija... No, w imie Boże! (*rzuca, słychać szybę stłuczoną*) Niech żyje zręczność! (*patrzy się*) firanka się odsłania... szuka... więc znajdzie... ubierze się (*zamyka okno*) naturalnie zaraz tu przyjdzie... (*idzie do stolika*) Czy tylko wszystko jest jak było... moje cygaro... (*chowa do kieszeni*) list do mnie... a tamten... a, schowałem go... dobrze... Nikt go czytać nie powinien... Zofia mniéj niż ktokolwiek... a teraz umykajmy... (*biegnie do drzwi i zatrzymuje się nagle*) A gdyby go też chętka wzięła pojść do mnie? cóż znowu? nie świeci się... nie wie gdzie mieszkam... zresztą przecież ma rozum... ot zda mi się, że słyszę kroki... Uciekajmy... (*wychodzi — drzwi zawsze stoją otworem. — Juliusz na pół ubrany wpada i staje w progu*)

SCENA VI.

JULIUSZ, (*sam.*)

Drzwi nie zamknięte — świece się palą — Edmundzie! — Edmundzie! — nie ma nikogo... (*wchodzi do sypialni i mówi w kulisach*) lampa zapalona — łóżko nietknięte — nikogo... (*wychodzi napowrót*). Boże wielki! więc to prawda — (*idzie do stolika*) List do Zenowicza (*czyta*) Dla tego to tak się spieszył z zapłatą — a ta niespodzianka przed obiadem — pojmuję... O cóż to za nieszczęście!... (*chodzi gwałtownie po scenie*). Drzwi od pokoju Ireny także otwarte — wejść nie śmiałem by nie zbudzić służącéj... Nie ma rady tylko ta którą mi dano... ale któż to mnie ostrzegł?... więc ktoś wie o méj hańbie — O biada mu!... Lecz zkądże to rzucono?... nie ztąd — za wysoko — zamknięte okno... — Nie, niema rady — tylko biedz i przekonać się... Zgaszę świecę by kto nie wszedł... aha pistolety! (*bierze je*) wezmę — bo jeżli prawda (*gasi świecę*) a niedopędzę zaraz... o myśli téj nie zniosę... o wtedy biada! biada!...

(*wybiega — zamyka drzwi — ciemno w pokoju*).

SCENA VII.

LEON. (*sam, uchylając drzwi*).

Zgasił świecę... brawo! roztropny człowiek — to dowód zimnéj krwi (*idzie do stolika i rozpatruje się*). O, zabrał pistolety — co tego to nie lubię — zdaje mi się jak gdybym bić się niechcąc zastępcę był wysłał... ej do tego nie przyjdzie — przecież to szwagier!... Podobnoś słyszę jákby tentent kopyt końskich... (*słucha*) tak, tak, byłżeby to Moliński?... A to wziął nogi za pas... (*idzie do okna*). Arab leci jak strzała — powinienby dogonić — byle tylko na czas (*otwiera okno*) bo ten Edmund djabeł... prawda że w dorożce... (*patrzy*) Księżyc teraz wyszedł — tém lepiéj bo Moliński może nie zna drogi... gdzie tam, pędzi ku Dębinie... Podoba mi się ten Moliński — dobrze siedzi, tęgo wypuścił konia... Arab drze... szkoda tylko że nie follblut — nie trenowany... to niewytrzyma długo... Dobrze (*woła po angielsku*) away! heup! heup! (*zamyka okno*). Jakby to zrobić, żeby Zofia nie wiedziała

nigdy... o téj nowéj niespodziance? — (*wraca na scenę*) wiele bym dał za to... Dziś już niema co robić... a jutro? (*staje*). Jutro? (*z obojętnością*) Zobaczemy...

(*wychodzi*).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Teatr przedstawia wielką salę na dole — w głębi drzwi szklanne wychodzące na dziedziniec pałacowy, za drzwiami ganek z schodami — na lewo drzwi — w około sali stoją krzesła wyplatane — przy ścianie na lewo kanapa duża — na prawo wielki stół — na nim różne dzienniki.

SCENA I.

P. MOLIŃSKA, *późniéj* JULIUSZ *)

P. MOLIŃSKA, (*sama, niespokojna*)

Juliusz nie przychodzi a tu każda chwila wiekiem!.. Te kilka słów które mi powiedział wracając z Ireną takiem smutnem przeczuciem napełniły me serce... W jakim że bo ona była stanie!... co znaczy ten nocny spacer z Juliuszem!... Irena nic nie gada... Juliusz kazał się przygotować do wyjazdu... dziś jeszcze... koniecznie... potem wyszedł, a rano w sali jadalnéj kazał na siebie czekać... cóż on mi powie?.... jakiś strach mnie przejmuje... A, otóż i on.

(*Juliusz wchodzi drzwiami szklannemi*)

JULIUSZ **)

Dzień dobry matko! jak się ma Irena?

P. MOLIŃSKA

Jeszcze spoczywa... kaszle niezmiernie... krwią plu-

---

*) Stroje ranne. Juliusz surdut czarny — kamizelka w kraty — spodnie letnie.

**) Juliusz, p. Molińska.

je... biedne dziecko niewiem czy będzie mogła dzisiaj jechać...

JULIUSZ (*surowo*).

Musi.

P. MOLIŃSKA.

Ale czemuż na miłość Boga? wytłómacz się Juliuszu!

JULIUSZ.

Powiem zaraz — skoro inaczéj być nie może... Oh cóżbym dał za to gdybyś mogła niewiedzieć téj smutnéj katastrofy?...

P. MOLIŃSKA

Katastrofy?... przerażasz mię.

JULIUSZ

Uspokój się matko... Bogu chwała, wisi ona dopiero nad nami... Ale potrzebuję twéj pomocy aby ją odwrócić... i nas dwoje nie będzie za wiele... Słuchaj więc i uzbrój się w odwagę...

P. MOLIŃSKA

Drżę cała!...

JULIUSZ

Zmęczony podróżą nie mogłem usnąć... była może godzina pierwsza po północy... wtem słyszę jakby ktoś rozbił szybę kamieniem... Wyskoczyłem z łóżka... otwieram okno — niema nikogo... Patrzę w koło siebie i dostrzegłem jakiś biały pakiecik. Był to trzygroszniak, obwinięty w papier na którym te wyrazy skreślone ołówkiem... Hrabia Nieświeski... zaraz (*szuka i dobywa z kieszeni karteczkę*) ot lepiéj, czytaj sama...

P. MOLIŃSKA (*czyta*)

„Hrabia Nieświeski kocha pannę Irenę. W chwili szału porwał ją“... (*głośno*) Boże! ależ to niepodobna!

JULIUSZ (*porywając ją za rękę*)

Cicho! zaklinam cię matko, aby kto nie usłyszał. Tak było w istocie — lecz bądź spokojna wszak Irena u ciebie...trzeba tylko uniknąć większego nieszczęścia... Czytaj daléj...

P. MOLIŃSKA (*oddaje kartkę*)

Nie mogę... O ja nieszczęśliwa!...

JULIUSZ (*czyta*)

„Pojechali dorożką przed pół godziną. Są na drodze „do Dębiny. Jeśli p. Moliński chce ocalić swą rodzinę, „wsiądzie w téj chwili na Araba najtęższego z całéj „stajni bieguna, dogoni ich, odprowadzi pannę Irenę do „matki tak aby nikt niewidział, nie powie słówka nikomu. „Tym jedynie sposobem uniknie się zgorszenia. Hrabia „uczyni dobrze, gdy nie wróci razem.“ (*chowa kartkę*) Ot wszystko.

P. MOLIŃSKA

To oszczerstwo, nieprawdaż Juliuszu?

JULIUSZ

I jam tak sądził z razu... W gniewie pobiegłem do drzwi Ireny które na wpół otwarte zastałem. Mocno już niespokojny wpadłem do Edmunda... tam nikogo... wszystkie ślady ucieczki... nareszcie znalazłem list, który mnie o niéj przekonał... Dosiadłem konia — pędziłem jak wiatr — w godzinę spostrzegłem dorożkę... doganiam...

P. MOLIŃSKA (*coraz niespokojniejsza*)

A w niéj Juliuszu?... w niéj...

JULIUSZ

Edmund powoził... przy nim Irena na pół nieżywa.

P. MOLIŃSKA (*z płaczem*)

Co to za cios okropny! o biedna ja matka!

JULIUSZ

Jakże ci opowiedzieć to nasze spotkanie! w polu i wśród nocy! Prośby, zaklęcia, wymówki, pogróżki, rozpacz, wyrzuty i niewiem co jeszcze, wszystko słowem co tylko namiętność w zapasach z rozumem dostarczyć mogą szaleństw i dowodzeń, rzucaliśmy sobie kolejno Już się wahali... zgadzali... to znów szał ich zaślepiał! Zwyciężyłem nareszcie i zawróciłem powóz. Jechałem obok nich aż ćwierć mili od dworu. Tam wysiadła Irena. Niechciałem aby widziano nas razem. Podałem jéj rękę, wlekliśmy się powoli, koń mój szedł za nami...

P. MOLIŃSKA

Jakto Juliuszu?... siostrze takiéj słabéj piechotą iść

kazałeś, tak długo! o to okrucieństwo... to może ją o śmierć przyprawić!...

JULIUSZ

Masz słuszność matko moja, droga była okropna... Irena ledwie się wlokła... Kaszel targał piersi... co chwila tchu jéj brakło... trzeba było wypoczywać — tak szliśmy godzinę... Niemogłem patrzeć na nią... serce mi pękało — lecz gdyby była skonała... trupa byłbym ci przyniósł matko (*czule do matki która zachodzi się od łkania*) oh daruj mi, daruj! — ale ja tak pojmuję honor rodziny!

P. MOLIŃSKA

Takiż to los o Boże gotujesz na me stare lata!... mów daléj, niech wiem wszystko...

JULIUSZ

Przybywszy do furtki ogrodowéj która była otwarta, uwiązałem konia by późniéj oddać go do stajni... weszliśmy do pałacu, niespotkawszy nikogo — a niechcąc, aby służąca spostrzegła Irenę wprowadziłem ją do ciebie, resztę wiesz lepiéj odemnie...

P. MOLIŃSKA

Przestraszyłam się gdyście weszli — ależ takiego ciosu któż domyśleć się może!

JULIUSZ

Dziękujmy Bogu że straszniejszy odwrócił! ale widzisz więc matko — trzeba wyjeżdżać natychmiast....

P. MOLIŃSKA

Tak, tak, trzeba co prędzéj... wydałam już rozkazy... ale gdzież Edmund? powiedz, gdzież jest ten nikczemnik?...

JULIUSZ

Nie potępiaj go tak prędko matko moja! U ludzi podobnych jemu, namiętności z straszliwą wybuchają siłą. Oni się oprzeć chwilowemu uniesieniu nie mogą. Wiesz co, wśród okropnéj walki o któréj ci mówiłem, zaręczał mi Edmund że żonę swoją kocha.

P. MOLIŃSKA

Zotię? on ją kocha? on?...

JULIUSZ

W człowieku namiętnym nie ma niepodobnéj sprzeczności... on może kochać żonę — ja wierzę, że ją kocha — co więcéj chcę temu wierzyć — w tem jedyną jeszcze nadzieję pokładam...

P. MOLIŃSKA

Czy wrócił już?

JULIUSZ

Nie jeszcze. Bo cóżto za okropna była scena to ich rozstanie! Tak byli nieszczęśliwi że we mnie samym litość się budziła. Edmund chciał odjechać na zawsze — bo taki zresztą miał téj nocy zamiar — wszystko było przygotowane — już wychodził — kiedy w kurytarzu spotkał Irenę, która raz jeszcze obaczyć go chciała — i wtedy — rozpacz, niemoc, namiętność zgłuszyły głos sumienia — uciekli!.. wierzaj mi matko, oboje byli obłąkani!...

P. MOLIŃSKA

A więc teraz pojechał?

JULIUSZ

Właśnie na to zezwolić nie mogłem — dla świata — komentarzy o tem nagłem zniknięciu — każdy byłby zgadywał przyczynę... wreszcie, może kto i odgadł prawdziwą. Nalegałem więc aby powrócił rano — ale wszystko napróżno. Udałem się do Ireny, tak do Ireny aby go zatrzymała, albowiem zdaniem mojem on musi być tutaj, aby ślad téj nocnéj wycieczki zaginął... Uległ Irenie i dał słowo że wróci na śniadanie.

P. MOLIŃSKA

Ależ godzina śniadania minęła — to może już nie wróci?

JULIUSZ

Wróci niezawodnie... ja na miłość rachuję. Radziłem mu aby jechał do którego z odleglejszych folwarków; będą świadki i nowa nieobecności przyczyna. Proszę cię tylko i bardzo proszę moja matko, nie wspominaj mu o tem co się stało — nie czyń wyrzutów, na nic się to nie przyda. Wyjedziemy, czas dokona reszty. Bądź

z nim tak jakbyś nie wiedziała o niczem... czy mnie usłuchasz? powiedz?...

P. MOLIŃSKA

Zrobię jak sobie życzysz, a chociaż wyznam ci szczerze, wiele łez kosztować mnie to będzie... przyrzekam. Lecz któż to mógł cię ostrzedz Juliuszu? nie wiesz kto był tym aniołem opiekuńczym nas wszystkich?...

JULIUSZ

Nie wiem. Czy pisma nie poznałaś przypadkiem?

P. MOLIŃSKA

Nie... z resztą wyraźnie podrobione.

JULIUSZ

Gubię się w domysłach. Edmund mi zaręczał że wyjazd swój otoczył najgłębszą tajemnicą. Jeden Piotr wiedział o nim, a i on nawet sądził że pan jego sam udaje się w podróż — zresztą Piotr jest w Warszawie. Chwilę sądziłem że to może Zenowicz, ale wstawszy w nocy nie widziałem światła w jego oknach, w końcu jakżeby mógł był wiedzieć w którą pojechali stronę... kiedy sam Edmund o tem nie myślał dopiero gdy wsiadł do powozu... jednak...

P. MOLIŃSKA

Właśnie nadchodzi...

(*Leon u drzwi szklannych*)

JULIUSZ (*cicho do matki*)

Bądźmy ostrożni i uważajmy go pilnie.

SCENA II.

JULIUSZ, P. MOLIŃSKA, LEON *)

LEON (*kłaniając się*)

Dzień dobry Pani.

P. MOLIŃSKA

Dzień dobry.

---

*) Leon w raitfrąku. Ubiór wykwintny. Kapelusz biały.

LEON (*do Juliusza*).

Dzień dobry, jakżeż Pan po drodze? dobrze spałeś?

JULIUSZ

Dziękuję Panu. Wybornie.

P. MOLIŃSKA (*do Leona*)

Nie zeszliśmy się dzisiaj na śniadanie jak zwykle...

LEON.

Chciałem właśnie Pani spytać się dla czego?

P. MOLIŃSKA

Bo mamy zmartwienie. Irena na prawdę się rozchorowała.

LEON.

A mój Boże... czyby to ten spacer wczorajszy zaszkodził?

JULIUSZ

Masz Pan słuszność, zapewne ta przejażdżka pogorszyła jéj zdrowie (*idzie ku drzwiom*)

LEON (*do p. Molińskiéj*).

No proszę, sprawdziło się znów przysłowie, że niema złego coby na dobre nie wyszło. I tak, przykro mi było wyznaję, jak mi wczoraj Hrabia opiekę nad córkami Pani odebrał, dzisiaj zaś niezmiernie się z tego cieszę, bo choć ubolewam nad słabością panny Ireny, nie mam sobie nic do wyrzucenia (*do siebie, kładąc na stole kapelusz*) Ważę każde słowo, a mimo to zdaje mi się, że ciągle się wyrażam dwuznacznie.

(*Zofia wchodzi z lewéj strony*).

SCENA III.

ZOFIA, P. MOLIŃSKA, LEON, JULIUSZ (*w głębi, patrzy w dziedziniec*)

ZOFIA (*wchodząc*)

Mamo, mam do ciebie prośbę. Dzień dobry Panu. (*Leon kłania się i przerzuca dzienniki*) Zostaw mama Irenię, ona taka słaba doprawdy, że nie można myśleć o po-

dróży... niech mama nie odjeżdża. Czyż jéj tu źle jest u mnie?

P. MOLIŃSKA (*na stronie*)

Biedaczka, nie wie o co prosi! (*głośno*) Ależ kochane dziecie, zdrowie Ireny wymaga właśnie wyjazdu do Warszawy, aby się tam poradzić lekarzy.

ZOFIA.

O! jeśli o lekarzy chodzi, to poślę w tej chwili po Wolfa lub Malcza...

JULIUSZ *) (*na stronie, wracając*)

To nieszczęście! (*głośno*) Zastanów się Zosiu — sprowadzać z tak daleka lekarzy, to byłoby szaleństwem— przecież Irena nie jest tak słabą — zniesie podróż, a lepiéj zawsze że będzie w mieście, gdzie środki leczenia łatwiejsze.

ZOFIA

Lecz jeśli sprowadzę doktora — ile razy tylko będzie tego potrzeba, cóż ci to szkodzi Juliuszu? apteka jest o milkę, a mnie tak będzie miło saméj ją pielęgnować.

JULIUSZ

Dobrze to wszystko. ale pomyśl tylko, że to choroba długa— trwać może miesiące, rok cały...

ZOFIA

Cóż z tego? to tem lepiéj że ja o niéj będę miała staranie... Panie Leonie, wszak prawda że można tak dobrze wyzdrowieć na wsi jak w Warszawie?

LEON (*na stronie*)

Słowa jéj tak mnie bolą jakby o śmierć mnie prosiła. (*głośno*) Zapewne Pani, zapewne, można i na wsi się leczyć, jednak bywają przypadki... na przykład gdyby potrzeba było złożyć konsylium...

JULIUSZ.

Widzisz i pan Zenowicz podziela nasze zdanie.. Irena musi jechać koniecznie.

---

*) Zofia, p. Molińska, Juliusz, Leon.

ZOFIA (*ze łzami*)

Matko, ty tego nie powiesz...

P. MOLIŃSKA.

Niezmiernie mi przykro moje dziecię, że cię zmartwić muszę, ale cóż począć? — obowiązek...

ZOFIA

Nie mówiłabyś tak, gdybyś była słyszała Irenę bladą, wołającą rozdzierającym głosem gdy się dowiedziała że chcesz z nią wyjechać: Boże ja nie pojadę, wypędzasz mnie Zosiu — ach pozwól mi umrzeć w waszym domu! (*płacze*)

LEON (*na stronie*)

Biedna dziewczyna!

P. MOLIŃSKA (*łzawym głosem na stronie*)

Co za męczarnia! (*głośno*) Nie smuć się Zosiu... Irena zwyczajnie ma takie czarne myśli — bo słaba — wierzaj mi — gdybym uległa twym prośbom, srogie kiedyś mogłabyś czynić sobie wyrzuty....

JULIUSZ

Nie matko, nie możesz, nie powinnaś zostać...

ZOFIA

Kiedy tak, niech tylko Edmund wróci — poproszę go aby się za mną wstawił — zresztą on tak kocha Irenę, że jéj pewnie nie puści...

LEON (*na stronie*)

Ma słuszność — tego jeszcze brakowało!

ZOFIA (*do Juliusza*)

Ale gdzież jest Edmund? nie widziałam go jeszcze dzisiaj?

LEON (*na stronie*)

Masz teraz! (*głośno*) Prawda? gdzie też jest Hrabia? Posyłałem dziś rano do niego, aby mu zakład proponować, na konia którego mi przedwczoraj przyprowadzili z Warszawy — a radbym wypróbować, bom ciekawy, czy mnie Anglik nie oszukał. Służący odpowiedział mojemu że wyjechał przed świtem.

JULIUSZ

Tak — mówił mi wczoraj że musi jechać w nocy nawet — objechać jakieś odległe folwarki.

LEON (*na stronie*)

Nie źle — wcale nie źle.

ZOFIA.

Mówiono mi że sam się powoził w dorożce; boję się jakiego wypadku.

JULIUSZ

Miał wrócić na śniadanie — zapewne dłużéj zabawił jak zamierzał — cóż za przypadek wydarzyć się może jadąc jednym koniem dorożką?

ZOFIA

Ale czy tylko pewny jesteś że pojechał dorożką? bo Jakób powiedział dziś rano że niewie kiedy Edmund wyjechał — bo w nocy ktoś brał konia wierzchowego ze stajni...

LEON (*na stronie*)

Do licha — coś się psuje. (*głośno*) To pewnie Piotr, wszak w nocy miał jechać do Warszawy?

JULIUSZ (*do Leona*)

Nie Panie, to ja. Prosiłem wczoraj jeszcze Edmunda aby mi Araba pożyczył — miałem interes do załatwienia.

ZOFIA (*zdziwiona*)

Wczoraj jeszcze? w nocy?

JULIUSZ (*wpatrując się pilnie w Leona*)

Tak jest. Miałem się spotkać z jednym dobrym znajomym — uwiadomiony zostałem bilecikiem wprawdzie trochę późno — ale nie za późno — coż było robić!

LEON (*na stronie*)

Przypił do mnie (*głośno, kłaniając się*) Rozumiem.

JULIUSZ (*uderzony*)

Jak Pan mówisz?

LEON (*domyślnie*)

Mówię, że domyślam się, co to za interes.

P. MOLIŃSKA (*na stronie*)

Wie o wszystkiem, to on!..

JULIUSZ (*z intencyą*)

Doprawdy? domyślasz się Pan co to za interes... ah ciekawy jestem...

LEON (*cicho do niego śmiejąc się*)

Wielkie rzeczy... jakaś dawna znajomość, sąsiadka, niecierpliwa przyjaciołka... dowiedziała się o powrocie, wytrzymać nie mogła, a co?.. czy nie zgadłem? (*głośno*) musisz mi Pan to opowiedzieć.

JULIUSZ (*mruga na matkę, na stronie*)

To nie on! (*głośno*) Dobrze, opowiem, lecz poźniéj trochę...

LEON (*na stronie*)

Mam go! (*głośno*) Proszę, jak to wszystko na wierzch wyjść musi na świecie!

ZOFIA.

A czy ty chciałeś bracie żeby się nikt o tem nie dowiedział?

JULIUSZ

Rzeczywiście — chciałem utaić tę nocną wycieczkę i wcale bym sobie nie życzył żeby się rozniosła.

ZOFIA

Kiedy tak, obiecuję że ci więcéj o niéj nie wspomnę, ale co do Ireny nie przyrzekam ci tego wcale... Teraz idę zająć się śniadaniem Edmunda, skoro mówisz że wkrótce nadjedzie. (*wychodzi po lewéj stronie— p. Molińska odprowadza ją i staje przy drzwiach szklannych.*)

SCENA IV.

JULIUSZ, LEON, P. MOLIŃSKA (*w głębi*)

LEON (*na stronie*)

Teraz na mnie koléj! (*cicho do Juliusza*) Bez indyskrecyi czy można się spytać jak się powiodło? co? spotkałeś Pan?

JULIUSZ (*z uśmiechem*)

Spotkałem.

LEON (*tymże tonem*)

I zwyciężyłeś? jak mówił niewiem już który Rzymianin — przepraszam ale bo mnie to bardzo intryguje.

JULIUSZ (*seryo*)

Zwyciężyłem, Panie Zenowicz. (*na stronie*) Nie wiem co myśleć o téj dwuznacznéj mowie.

P. MOLIŃSKA

Otóż i Edmund wraca.

(*Leon bierze dziennik*)

JULIUSZ (*idzie do matki i cicho mówi*)

Idę uwiadomić Edmunda jak rzeczy stoją. Zawołaj tu Zofią i staraj się uspokoić Irenę droga matko (*wychodzi i zostawia drzwi otwarte*)

P. MOLIŃSKA (*do Leona*)

Wybacz Pan, ale muszę na chwilę oddalić się do Ireny.

LEON

O niechże Pani nie zważa na mnie, bardzo proszę.
(*P. Molińska wychodzi na lewo.*)

SCENA V.

LEON, (*sam, rzuca dziennik*)

Zofia nie wie o niczem — matka zaś jeśli się nie mylę, wie o wszystkiem... Moliński wybornie tą sprawą kieruje... (*patrzy we drzwi*) Rozmawia z Hrabią — opowiada bez wątpienia co się tu dzieje (*wraca*) Ciekawym co zrobi Edmund?... pewno będzie chciał wiedzieć kto uwiadomił brata, i co się stało z owym listem do żony który mam w kieszeni... Dotąd dość zgrabnie się wywinąłem — ale to na nic wszystko — lada chwila na mnie zwrócą się podejrzenia — a te wszystkie nocne wycieczki, ten przymus Ireny, muszą w końcu żonie oczy otworzyć... Gdyby można jako odwrócić uwagę od tego nieszczęsnego wypadku, czem kolwiek bądź? (*milczy*) Tak, to myśl nie zła — chociaż może dziwaczna... toby ją uspokoiło z téj strony, w mężu obudzi gniew, zazdrość — a mnie z ambarasu wyprowadzi.... Lecz jak

się to nie uda, a zły obrót weźmie?.. Cóż znowu!... Edmund tu zmierza jak się zdaje... (*wraca naprzód sceny, Zofia wychodzi na lewo*) Ot szczęśliwy traf zsyła mi ją tak w porę...

SCENA VI.

ZOFIA, LEON.

LEON (*zbliżając się*)

Jakże Pani wdzięczny jestem za podaną sposobność mówienia z nią bez świadków.

ZOFIA (*zdziwiona na stronie*)

Cóż to ma znaczyć?

LEON (*śmiało*)

Widzę po obejściu się twojem Pani ze mną że mylisz się co do natury uczuć moich..

ZOFIA (*zmięszana*)

Ależ panie Zenowicz....

LEON

Tak Pani, jestem szczery i prosto idę do celu... Pani sądzisz że kocham jéj siostrę...

ZOFIA (*sucho*)

Ja nic nie sądzę Panie.

LEON (*usilnie*)

Napróżno się Pani zapierasz, tak jest, niezawodnie— inaczéj nie byłabyś tak zimną dla człowieka który jest gotów wszystko dla ciebie poświęcić!

(*Hrabia* *) *wchodzi — zatrzymuje się we drzwiach szklannych — i słucha*)

ZOFIA (*z godnością*)

Muszę się widzę oddalić, bo ani chcę, ani powinnam go słuchać.

LEON (*na stronie zatrzymując ją za rękę*)

Zostaniesz, tu o ciebie idzie (*głośno*) Nie Pani, słuchać

---

*) **Hrabia ubrany jest jak w akcie poprzedzającym.**

mnie będziesz, przysięgam (*na stronie patrząc na drzwi*) Mąż stoi — tém lepiéj! (*głośno*) Mimo twoich okrucieństw i pogardy, pomimo że mnie masz za człowieka lekkiego, fanfarona, że niechcesz przyjąć mego poświęcenia którego jak najrychléj pragnę ci dać dowody, pomimo..

ZOFIA (*wyrywając się*)

Co to jest? puścić mię proszę — puść mnie Pan..

LEON (*trzymając ją za rękę, na stronie*)

Czyż nie wejdzie nigdy? (*głośno*) O nie puszczę cię Pani, dopóki nie otrzymam od ciebie choćby jednego słowa, jednego tylko, bo nie podobna, byś nie dała się przebłagać, kiedy serce szczere i szlachetne...

ZOFIA (*wyrywając się z przymusem*).

Puść mnie Pan bo o pomoc zawołam!..

LEON (*na stronie niepuszczając*)

Jeszcze nie, a to cierpliwy! (*głośno z wyszukaną patetycznością*) Pani, zlituj się nad człowiekiem, który życiem chętnie opłaciłby szczęśliwą sposobność oszczędzenia ci choć jednéj łzy, choć jednego cierpienia (*na stronie*) niech się dzieje co chce! (*głośno*) nad człowiekiem (*pada na kolana*) co cię kocha, bo ja cię kocham Zofio!

HRABIA (*wchodząc*)

Panie Zenowicz!...

SCENA VII.

ZOFIA, LEON (*klęczący*) HRABIA.

ZOFIA (*wyrywa rękę i pada w objęcia męża*)

Edmundzie! on znieważa twą żonę!..

LEON (*na stronie, wstając*)

A przecie! (*idąc naprzód sceny po prawéj stronie*) i to na czas, bo w końcu mówiłem już na seryo (*otrzepując kolana*) i rzeczywiście powiedziałem za wiele.

HRABIA (*na stronie*)

To rzecz niepojęta!..

*) Zofia, Hrąbia, Leon.

ZOFIA (*płacząc w objęciu męża*)

Edmundzie! jam niewinna!...

HRABIA

Nie płacz droga Zofio, ja ci wierzę, ja wiem żeś niewinna...

LEON (*na stronie*)

Spodziewam się że wiesz, tak jak ja wiem żeś winny.

(*Juliusz wchodzi w głębi*)

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, JULIUSZ *)

JULIUSZ (*wchodząc na stronie*)

Zofia płacze! (*cicho do Hrabiego*) Cóż się stało? czy się dowiedziała?

HRABIA (*cicho do Juliusza*)

Nie, to zupełnie rzecz inna, opowie ci sama. (*do Zofii*) Zofio, uspokój się, błagam, czy nie wiesz że cię kocham droga moja żono... Wyjdź z Juliuszem do ogrodu, sam z tym panem chcę zostać.

LEON (*na stronie*)

Zapewne! trzeba zrobić rachunek...

ZOFIA (*z płaczem cicho*)

Edmundzie, bądź ostrożny, zaklinam cię, pamiętaj o twojéj Zofii.

HRABIA

Nie lękaj się (*cicho*) wszystko to się załatwi, idź moje dziecie, idź, (*cicho do Juliusza*) wróć tu nie zadługo.

(*Juliusz z Zofią wychodzą na lewo*).

SCENA IX.

HRABIA, LEON.

HRABIA (*postępując naprzód sceny po lewéj stronie*)

Postępek Pana jest...

LEON (*obraca się nagle i mówi bardzo głośno wpatrując się bystro*)

Panie Hrabio!

(*Hrabia się zatrzymuje jak wryty — patrzą na siebie chwilę w milczeniu.*)

---

*) Zofia, Hrabia, Juliusz, Leon.

HRABIA (*odwraca się pierwszy, na stronie*)

Czyż mi braknie odwagi by mu stawić czoło?

LEON (*na stronie*)

Nikczemny, chciał powiedzieć, ale się zadławił (*głośno*) No cóż? słucham.

HRABIA (*postępując znów — do siebie*)

Tylko spokojnie — dowiem się wszystkiego (*głośno*) Znając Pana jak znałem, niewiem jak sobie mam tłomaczyć to co widziałem w téj chwili?

LEON (*na stronie*)

Za cóż się mam gniewać? wszakże sam tego chciałem? (*zwyczajnym głosem*) Nie możesz sobie Pan wytłómaczyć? No to ja mu ułatwię. Spróbowałem, nie udało mi się — rzecz cała w dwóch słowach.

HRABIA

Lecz istotnie nie pojmuję...

LEON (*przerywając z żywością*)

Jakto? Pan nie pojmujesz takich rzeczy?.. Pan?.. (*na stronie*) To za wiele!

HRABIA (*na stronie*)

Tylko spokojnie! (*głośno i zimno*) Nie Panie.

LEON (*gwałtownie*)

Pan nie rozumiesz jak można uledz chwili szału? uniesienia... (*wstrzymuje się*)

HRABIA (*na stronie*)

Nie mylę się, to on! (*głośno z intencyą*) Rozumiem więc kiedy Pan chcesz koniecznie ażebym zrozumiał.

LEON (*na stronie*)

Strzeliłem bąka (*głośno*) Chcę tego bezwątpienia, bo każdy kto ma serce, wiedzieć powinien, iż są chwile w życiu, w których nad namiętnością panować nie można...

HRABIA (*na stronie*)

To on — jużem pewny. (*głośno*) Wiem o tem, i tylko nie pojmuję, jak człowiek taki jak Pan...

LEON (*przerywając*)

Mógł wybrać tak niestósowną porę?...

HRABIA

W saméj rzeczy — dziwi mnie to bardzo... ale mniejsza o to...

LEON (*na stronie*)

Poprawiam się (*głośno*) Dla mnie wcale nie mniejsza, takich błędów trudno sobie przebaczyć.... Wyśmieją się ze mnie w klubie, chociaż znają przysłowie: zbierze czasem talara i najlepsza szkapa...

HRABIA (*na stronie*)

Szczególny, dziwny człowiek! (*głośno z umiarkowaniem*) Nie o tem mówić chciałem, albowiem błąd ten skoro tak się Panu podoba nazywać oświadczenia miłośne, błąd ten, w jakiéj dobréj czy złéj popełniłeś go chwili, stawia cię w obec mnie...

LEON (*z dumą*)

Za nadto znam świat Hrabio, abyś potrzebował przypominać jakie jest moje względem ciebie stanowisko... (*na stronie*) Trzeba go podrażnić (*głośno*) Chodzi mi tylko o to, i to tylko mnie martwi, że moja niezręczność złe pani Hrabinie o mnie da wyobrażenie...

HRABIA (*przenikliwie*)

Czy to Pana obchodzi?...

LEON (*udając zadziwienie*)

Jakto! czy mnie to obchodzi?...

HRABIA (*z przyciskiem*)

Więc żona moja nie jest Panu obojętną...

LEON (*na stronie*)

Domyśla się!... najgorzéj!... (*głośno*) Mylisz się Pan i nie zmuszaj proszę,.. ażebym mu powiedział...

HRABIA (*zimno*)

Cóż takiego?

LEON (*z udanym ogniem*)

Chcesz Pan koniecznie?...ja nie cofam się nigdy....

HRABIA (*zimno*)

Doprawdy?

LEON (*z mocą*)

Doprawdy? Więc powiem: kocham się w żonie pańskiéj.

HRABIA (*wybuchając*)

Panie Zenowicz!

LEON (*zimno*)

Panie Hrabio!

(*Milczenie*).

HRABIA (*na stronie*)

Więc to nie on mnie zwrócił skoro się kocha w Zofii!

LEON (*na stronie*)

Wygrałem! dokończyć tylko trzeba.

HRABIA (*podnosząc głos*)

Kiedy więc tak...

LEON

Tylko nie krzycz Pan tak głośno... zrobisz scenę w własnym domu... Wreszcie cóż Pana tak dziwi... jestże w tem co nowego? Od miesiąca zalecam się hrabinie... wiedziałeś o tem dobrze... bo byłeś zazdrosny... i naraz kiedyś mnie zastał przed nią na kolanach i mówię ci że ją kocham, dziwisz się niesłychanie... i krzyczysz?... Naturalnie że kocham, kocham zapamiętale...

HRABIA (*na stronie*)

Nie wie nic! (*głośno*) Tego już za wiele!

LEON (*na stronie*)

I mnie się tak zdaje.

HRABIA (*z trudnością się powściągając*)

Zdaje mi się iż zbytecznem byłoby przypominać Panu, iż takich rzeczy nie mówi się bezkarnie mężowi... a tem samem że żądam od niego...

LEON (*lekko*)

Tylko nie unoś się Hrabio! wszystko to załatwimy spokojnie.

HRABIA (*gwałtownie*)

Załatwiemy?... żartujesz Pan ze mnie (*na stronie*) do czegóż on zmierza?...

LEON (*lekko*)

Broń Boże... tylko powoli... powoli...

HRABIA (*z gniewem*)

Załatwiemy spokojnie?.... (*na stronie*) Miałożby to być wet za wet?... czy mi będzie proponował zamianę nikczemną?

LEON (*zawsze jednakim tonem*)

Kiedy mówię, załatwiemy spokojnie, to chcę przez to rozumieć że uczyniemy tak, jak w podobnych razach postępować zwykli ludzie dobrze wychowani. Wiem bardzo dobrze żem Panu winien satysfakcyą... będziemy się więc strzelać... to rzeczy nazbyt proste... w klubie to nazywają być w bulońskim lasku!...

HRABIA (*na stronie*)

Odetchnąłem. (*żartobliwie*) A jakże nazywają w klubie to coś Pan dziś zrobił?

LEON (*seryo*)

Nie rozumiem Pana.

HRABIA (*ironicznie*)

No ów błąd?.. kiedy się to nie uda?...

LEON (*z goryczą*)

Wyśmiewasz się Pan ze mnie... to na gentlemana nie przystoi... to za nadto łatwo...

HRABIA

Masz Pan słusznie... odwołuję com powiedział.

(*Juliusz wchodzi na lewo*)

SCENA X.

HRABIA, JULIUSZ, LEON.

LEON (*obracając się*)

A, pan Moliński (*do Hrabiego*) zapewnie będzie Panu sekundował?

HRABIA

Tak jest.

LEON (*do Juliusza*)

Panu wiadomo?...

JULIUSZ (*zimno*)

Wiem wszystko...

HRABIA

Nie odmówisz mi téj przysługi Juliuszu? nie prawda?

JULIUSZ

To mój obowiązek, Edmundzie (*na stronie*) lecz ciężki.

LEON (*wesoło*)

Wszystko więc jak najlepiéj moi Panowie. Chodzi tylko o to, że tu bić się nie możem, bo to nie wypada. Podaję więc projekt. Mój powóz i służących wyszlę do Warszawy. Sam zaś siadam na konia. Ale à propos konia... chciałem dziś rano założyć się z tobą o niego Hrabio, i puścić na wyścigi z Arabem, nieszczęściem nie było cię w domu...odłożemy na późniéj...

HRABIA

Arab zawsze będzie na usługi...

JULIUSZ (*na stronie*)

Na honor! szczególny oryginał!...

LEON

Tak, tak, co się odwlecze to nie uciecze...pewny jestem, że Pana pobiję (*kłania się*) na wyścigach rozumie się panie Hrabio!... (*szukając myślą*) ale na czemże stanąłem? Aha... siadam więc na konia i jadę do Józefa Zaręby... do Dąbrówki, ztąd mila mała drogi... pół godziny galopem... mało co daléj jak do Dębiny.

HRABIA (*spoglądając na Juliusza*)

Wiem, wiem, i znam pana Zarębę...

LEON.

Znasz go Pan? to wybornie. Wiadomo więc Panu że mieszka sam jeden — zastaniemy go niezawodnie —jest to mój przyjaciel i mogę na niego rachować na ślepo.

Panowie tam przyjedziecie... pif... paf... a potem każdy co prędzéj do siebie... to jest każdy albo niekażdy... jak wypadnie...

JULIUSZ

Bardzo dobry plan — tym sposobem wszystko zostanie w tajemnicy.

LEON

Ma się rozumieć.

HRABIA

Jutro więc o szóstéj rano...

LEON (*przerywa*)

O nie — dzisiaj jeszcze, powiem tak jak Pan mówiłeś wczoraj o tym długu karcianym (*seryo zmieniając ton*) Znasz mnie Pan za nadto, ażebyś mógł sądzić że ci go przypominam — powiedziałem ot tak... bez myśli, (*z ogniem*) i nie przyjmę teraz tych pieniędzy... chyba kiedyś w Warszawie... daję słowo honoru (*spokojniéj*) Ale kiedy się już stało i wspomniałem niechcący... to będę się upierał więcéj aniżeli Pan wczoraj... bo mâm do tego powody a Pan ich wczoraj zapewne nie miałeś...

HRABIA (*podejrzliwie*)

Powody?

LEON

Tak jest — ważne, a pewnie słuszniejsze od pańskich. Zaczynam od najmocniejszego: naprzód że dzisiaj dzień a wczoraj była noc, powtóre... że jestem niecierpliwy i mam zwyczaj się spieszyć... mam pewien rodzaj gorączki...

JULIUSZ

Gorączki?

LEON (*z uśmiechem*)

Przekonasz się Pan wkrótce, że to nie ze strachu... tylko mnie to właściwe... Żart na bok, zależy mi wiele na pośpiechu, i spodziewam się po Panach że będziecie mieli dla mnie tę oględność. Przybędziecie najdaléj w ciągu dwóch godzin, tak naprzykład, żebyście mogli wrócić na obiad. Tym sposobem ani się kto domyśli. Cóż, przystajecie?...

JULIUSZ (*na stronie*)

Rzeczywiście to przyczyni się jeszcze do zatarcia śladu téj nieszczęśliwéj ucieczki (*głośno*) przystajemy — wszak zgadzasz się Edmundzie?

HRABIA (*waha się*)

Jednak, chciałbym wprzódy...

LEON

Uporządkować papiery? wierz mi Pan że to nie potrzebne... w sprawach honorowych chociaż żartów nie lubię, z uśmiechem o nich myślę...

JULIUSZ (*do Leona*)

I słusznie! (*na stronie*) muszę go popierać (*głośno*) No Edmundzie, więc pojedziemy zaraz do Dąbrówki?

LEON (*nalegając*)

Tak, zróbcie to Panowie... wszak to zresztą jedyny mój warunek... a wszystkie wasze z góry przyjmuję, uprzedzę o tém Zarębę... No cóż dobrze?... jadę na przód... przygotuję wszystko i będę was oczekiwał w przeciągu jednéj lub dwóch godzin... im prędzéj tem lepiéj...

HRABIA (*na stronie*)

W końcu to mi wszystko jedno (*głośno*) Dobrze.

LEON (*biorąc za kapelusz*)

Więc rachuję z pewnością?

HRABIA i JULIUSZ

Będziemy niezawodnie.

LEON (*kłaniając się z grzecznością*)

Sługa Panów moich.

HRABIA i JULIUSZ (*kłaniając się*)

Najniższy!

LEON (*chce wychodzić i powraca*)

Wybacz Pan, panie Moliński...

JULIUSZ (*obraca się*)

Co Pan każe?

LEON (*cicho do Juliusza*)

Hrabia wie o sekrecie?

JULIUSZ (*zdziwiony*)

O jakim sekrecie?

LEON (*tak samo*)

O nocnéj historyi?

JULIUSZ (*przestraszony*)

Co Pan przez to rozumiesz?

LEON (*przenikliwie*)

Zapewnie musi wiedzieć skoro ma w niéj udział?

JULIUSZ (*przerażony*)

Udział?

LEON (*tym samym tonem*)

Naturalnie... przecież Panu dał konia.

JULIUSZ (*przychodząc do siebie*)

Ah prawda... zapomniałem był na śmierć... naturalnie... możesz Pan mówić śmiało... Edmund wie o wszystkiem...

LEON (*głośno*)

Zapomniałeś?... już?... daj go katu!... jak Pan rzeczy serca lekceważysz... tylko nie zapominaj proszę żeś mi opowiedzieć obiecał... w Warszawie lub gdzieindziéj... bo ja nie zapomnę.

JULIUSZ (*z uśmiechem*)

I ja także nie, bądź Pan pewny.

LEON.

Zabieram obietnicę... (*kłaniając*) więc do zobaczenia.

JULIUSZ *i* HRABIA (*kłaniając*)

I wkrótce. (*Leon wychodzi*)

SCENA XI.

HRABIA JULIUSZ.

JULIUSZ (*patrząc za odchodzącym Leonem*)

No, i cóż o nim myśleć?...

HRABIA (*siadając na kanapie*)

Gaduła!

JULIUSZ

Tak, mówi za wiele... ale gdyby nie ta jego gadatliwość... byłbym przysiągł że to on mnie ostrzegł...

HRABIA (*opiera głowę na ręce*)

Nie wie nic.

JULIUSZ.

I pewny jesteś... że w nocy, gdyście wychodzili widzieć was nikt nie mógł?

HRABIA (*bez poruszenia jakby myślał o czem innem*)

Nikt.

JULIUSZ

Zostawiłeś drzwi otwarte, bo tak je zastałem?

HRABIA

Otwarte.

JULJUSZ

Okna zamknięte?

HRABIA

Zamknięte.

JULIUSZ

Dwie świece się paliły, lampa...

HRABIA (*z niecierpliwością*)

No tak, tak, wszystko tak zostawiłem...

JULIUSZ

Na stoliku od pisania był list do Zenowicza.

HRABIA

A drugi do Zofii.

JULIUSZ.

Drugi?

HRABIA

No tak, drugi do żony, zapomniałem go zaadresować

JULIUSZ

Nie widziałem.

HRABIA (*wstając*)

Jakto, nie widziałeś listu mego do Zofii?

JULIUSZ

Nie.

HRABIA

Nie czytałeś go?... więc nie leżał na stole?

JULIUSZ

Może i był, alem go nie spostrzegł.

HRABIA

Muszę iść zaraz się przekonać (*chce iść*)

JULIUSZ

Czekajno...

HRABIA

Za jedną drogą przyniosę pistolety ..

JULIUSZ

Twoje pistolety?... ja je mam u siebie...

HRABIA

Wziąłeś je?

JULIUSZ

Tak jest — zabrałem je w nocy.

HRABIA

W nocy? a to na co?

JULIUSZ (*z prostotą*)

Na przypadek, gdybym cię nie był na czas dogonił Edmundzie...

HRABIA (*z uśmiechem*)

Rozumiem — zabić mnie chciałeś.

JULIUSZ (*zimno*)

Nie wiem... może...

HRABIA (*z goryczą*)

Jeszcze czas... uczyń to... wyświadczysz mi łaskę!

JULIUSZ (*surowo*)

Nie bluźnij... niebo może na kogo innego to zdało!

HRABIA (*obojętnie*)

Tem lepiéj!... w każdym razie muszę tego listu poszukać. (*chce wyjść*)

JULIUSZ

Ja tym czasem każę osiodłać konie... bo czas upływa.

HRABIA (*zatrzymując się*)

Nie czyń tego Juliuszu — wolę jechać powozem.

JULIUSZ (*z troskliwością*)

Czy masz złe przeczucie?

HRABIA

Nie, lecz wolałbym jechać powozem.

JULIUSZ

Więc czujesz się zmęczony?

HRABIA

Moralnie — i bardzo!

JULIUSZ

Jednak konno byłoby bezpieczniéj — wzięlibyśmy starego Jakóba — ten nikomu nic nie powie — powiedz — czemu nie chcesz jechać konno?

HRABIA

Bo ztamtąd ruszę daléj, tak jak miałem téj nocy uczynić.

JULIUSZ

Jakto? ciągle masz więc ten zamiar Edmundzie?

HRABIA

Tak jest... bo tu mi zostać niepodobna... nie mogę patrzeć w oczy twojéj matce która wie o wszystkiem i mojéj żonie...

JULIUSZ (*przerywając*).

Matka wie wprawdzie... nie mogłem zrobić inaczéj, ale dała mi słowo, że nigdy o tem z tobą mówić nie będzie... a Zofia nie wie o niczem... i kocha cię...

HRABIA

Kocha mnie!.... a ja będę musiał oszukiwać ją co dzień... co chwila... co słowo... nie, to niepodo-

bna!... takie życie jest nad moje siły... Ten pojedynek nastręcza mi wyborny pozór...

JULIUSZ (*z mocą*)

Nie, Edmundzie— ty nieodjedziesz!

HRABIA (*gwałtownie*).

Któż mi zabroni? ty może? . .

JULIUSZ (*z godnością*).

Nie, Edmundzie — ty sam sobie zabronisz! Nie, nieopuścisz żony która cię tak kocha, bo krok ten byłby dla niéj karą! W czemże ci zawiniła? Przez Boga, ty niespadłeś jeszcze tak nisko Edmundzie, byś chciał powiększać jeszcze wyrządzone jéj krzywdy! nie, niewystawisz jéj na potwarz... bo w oddaleniu twojem świat opuszczenie żony przez męża by widział!

HRABIA (*nieruchomy jak statua*).

Nie wiem — już nic nie wiem — może masz słuszność...

JULIUSZ (*z przekonaniem*).

Wierzaj mi drogi Edmundzie, że rady moje dobre... wszakże powrócisz?... co?...

HRABIA (*nieruchomy*).

I cóż potem?

JULIUSZ (*smutnie*).

Zobaczymy. Teraz czas myśleć o Dąbrówce... każę osiodłać konie... Jakób je tam potrzyma... dobrze?

HRABIA (*nieruchomy*).

Rób co chcesz.

JULIUSZ.

Idź więc do siebie... ja wezmę pistolety... a jak wszystko będzie gotowe dam ci znać... tylko nie każ na siebie czekać... bo w podobnych razach to jak wiesz nie uchodzi (*na stronie, odchodząc*). Powiem matce aby wyjechała przed naszym powrotem...(*wychodzi*).

SCENA XII.

HRABIA (*sam, ogląda się*).

To mój dom?... i ci sami w nim ludzie?...i ja między niemi?... czy to tylko być może?... czy ja żyję?... Więc dzisiaj, to jak wczoraj... przedwczoraj? więc ani wola ani cierpienie, ani szczęście ani rozpacz, nawet ten pojedynek nie zmienił nic wcale?... Nic!... tak wszystko jest, jak było... a w głowie taki zamęt, że sprawy zdać sobie nieumiem z niczego!... Jedno tylko wiem... czuję... pragnienie.... o! pragnę... i nic więcéj!... Może ja zwaryowałem?... A z całéj téj nocy jedno tylko zostało wspomnienie.. które mię pali...męczy...rozrywa... a zarazem upaja... jakby mnie szczęście rozkoszy skrzydłem trąciło w przelocie!... (*jakby przebudzony*). Cóż ja to miałem robić?... po co miałem iść do siebie?... Ah prawda... szukać tego listu.. muszę go zniszczyć kiedy znów mam powrócić!... Lecz zostać tu nie mogę... (*patrząc w koło siebie z przestrachem*) nie...nie...bo się lękam...ona tak blisko mnie... (*z niespokojnością*) strach pomyśleć... a jeżli ją spotkam... nie!...tu żyć nie mogę... niech Juliusz mówi co chce... ten pojedynek będzie wyborną wymówką (*idąc ku drzwiom*) Ja tu już nie wrócę!...

(*Zofia wchodzi na lewo i zatrzymuje go*).

SCENA XIII.

ZOFIA, HRABIA.

ZOFIA (*z niespokojnością*).

Edmundzie! Zenowicz wyjechał w téj chwili... powiedz co to ma znaczyć? nie zostawiaj mnie w srogiéj niepewności... proszę cię...

HRABIA (*ze znużeniem*).

Wyjechał do Warszawy... podobne sprawy załatwiają zwykle przyjaciele stron obu...

ZOFIA.

Więc będzie pojedynek?

HRABIA.

Nie lękaj się Zofio... nie mówię tego wcale... spodziewam się nawet że do tego nie przyjdzie... bo w istocie było to tylko szaleństwo z jego strony... nic więcéj...

ZOFIA.

Prawdę mówisz Edmundzie... Ten postępek dowodzi szaleństwa.. on nawet wyglądał jak waryat przy téj deklaracyi... i oświadczać się... tutaj... ni ztąd ni z owąd... kiedy nigdy żadnem słowem nie upoważniłam go do takiego kroku... ani ośmieliłam choćby tylko wejrzeniem...

HRABIA (*znużony*).

Tylko nie uniewinniaj się, zaklinam; bo to dla mnie zbyteczne... a nawet bolesne...

ZOFIA (*ze słodyczą*).

O ja wiem żeś ty najlepszy z mężów... że mi ufasz bez granic!... lecz jakże myślisz że się ta sprawa skończy?

HRABIA (*z kłopotem*).

Jak?... no... widzisz... musi rzecz naprawić... przeprosić... ciebie... którą obraził... przy świadkach... sądzę że to uczyni...

ZOFIA (*pieszczotliwie*).

Niech tylko ciebie przeprosi Edmundzie... ja mu wszystko daruję... żebyś ty się tylko dla mnie nie narażał... bo téj myśli Edmundzie, widzisz znieść nie mogę...

HRABIA.

Uspokój się Zofio... mam nadzieję że to dobry weźmie obrót.

ZOFIA.

I ja także mam nadzieję... ja przypuścić nie mogę abym była powodem krwawego spotkania... abym cię narażać miała na niebezpieczeństwo, ciebie, mój drogi, któryś mnie zawsze tak kochał, któryś nigdy w życiu

na najmniejszą z méj strony nie zasłużył wymówkę... ah! to byłoby okropne!

HRABIA (*na stronie*).

To nad siły! (*głośno*) Zofio... droga Zofio...nie lękaj się... zaklinam... Ale opuszczam cię (*z obłąkaniem*) bo... bo... przebrać się muszę...

ZOFIA.

Ah prawda — zapomniałam żeś ty jeszcze bez śniadania... pójdź, herbata gotowa...

HRABIA.

Dziękuję ci, bo widząc że się spóźnię na wasze śniadanie, piłem kawę u ekonoma w Lipkach.

ZOFIA (*smutnie*).

I my także się nie zeszli jak zwykle na śniadanie... z powodu Ireny...

HRABIA.

Ireny?...

ZOFIA.

O bardzo chora biedaczka!...

HRABIA (*z żywością*).

Co?... Irena chora? a Juliusz mi powiedział że zdrowsza niż wczoraj!...

ZOFIA.

To też dziwno mi było żeś mi się dotąd o jéj zdrowie nie spytał... przypisywałam to téj nieszczęśliwéj historyi... a to tymczasem Juliusz...

HRABIA.

Jakże? czy Juliusz nie wie że jego siostra słaba? posłałaś po doktora?

ZOFIA.

Wie on dobrze, ale zapewnie umyślnie ci powiedział że zdrowsza, bo chce koniecznie żeby jeszcze dzisiaj jechała z Mamą do Warszawy...

HRABIA.

Dzisiaj?... będąc tak słabą?...

ZOFIA.

Matka moja, a Juliusz bardziéj jeszcze, boją się niesłychanie o jéj zdrowie, do tego stopnia, że ją prawie gwałtem zabierają... bo ona nie chce jechać...

HRABIA (*z radością*).

Nie chce jechać powiadasz? (*na stronie*) więc kocha mnie zawsze!

ZOFIA.

Nie chce, mówiła do mnie przed godziną: Zosiu wypędzasz mnie...ah pozwól mi umrzeć w tym domu!...

HRABIA (*z żywością*).

O Boże! tak mówiła Irena? cóż ty?... cóż ty na to?

ZOFIA (*ze wzruszeniem*)

Ja? ze łzami prosiłam Matki i Juliusza... żeby nie jechali... te słowa wskróś mnie przeszyły... ja miałabym ją wypędzać?... ja, moją drogą Irenię wypędzać od siebie?... prosiłam ich jakby o największą łaskę żeby mi jéj nie zabierali... Byli nieubłagani!.. A wystaw sobie Edmundzie teraz co już wstała i położyła się na kanapie, teraz przed chwilą, znów słyszałam jak z płaczem do nich mówiła: Nie, ja nie pojadę... miejcie choć trochę litości nademną... pozwólcie mi tu umrzeć... w tym domu... ja rozstać się z nim nie mogę... (*płacząc*) serce się krajało Edmundzie!

HRABIA (*ze złością na stronie*).

Męczą ją za to że mnie kocha... biada im! (*głośno*) Chcą ją więc zmusić do wyjazdu?... z mego domu?... Nie jestżem ja już w nim panem?... jak Bóg żyw!... zobaczemy!...

ZOFIA (*ze słodyczą*).

Ależ oni pragną jéj dobra Edmundzie! obawiają się że jeźli tu zostanie...

HRABIA (*przerywa*).

Nie będzie miała doktorów?... co?... sprowadzę ich z całego świata!...lub że jéj braknie starania?...(*z proźbą*) to przecie ty ją będziesz pielęgnować Zosiu?...nie prawda, że otoczysz biedną siostrę wszystkiemi skarbami twego przywiązania... będziesz czuwać nad nią. O nie prawdaż, że musi się tak stać jak ona sobie życzy (*z siłą*) Nie wyjedzie!

ZOFIA.

Tak, tak, drogi mężu, będziemy ją pielęgnować oboje...byłam pewna i mówiłam im, że jak ty przyjedziesz, nie będę ich potrzebowała prosić...bo wiem jak ty kochasz to dziecię... moją lubą Irenię... wiedziałam że nie pozwolisz jéj dręczyć...kiedy taka chora...

HRABIA (*z egzaltacyą*).

Nie pozwolę! przysięgam na Boga!...

ZOFIA (*całując go*).

Ten Edmund kochany! (*po chwili*) Zważaj tylko że taka wola matki, jeżli ona każe, Irena musi słuchać. Ale wiesz co, w takim razie pojedziemy z nią razem do Warszawy? dobrze?...

HRABIA (*na stronie*).

Razem! (*głośno*) Tak... zapewne... (*na stronie ponuro*) Oh to przeznaczenie!

ZOFIA.

Edmundzie, gdybyś ty poszedł ze mną powiedzieć jéj o tem?...to nawet na jéj zdrowie mogłoby dobrze wpłynąć...ten przymus nie będzie ją tak drażnił (*biorąc go za rękę*) pójdźmy do niéj, zobaczysz jaka ona blada... zmieniona!...

HRABIA (*na stronie z radością*).

Widzieć ją!... co za szczęście! (*głośno*) Pójdźmy Zosiu! (*zatrzymuje się nagle*).

ZOFIA (*ciągnąc za rękę*).

I tak nie widziałeś jéj jeszcze dzisiaj... ona się już pytała o ciebie ... chodź ...

HRABIA (*na stronie ponuro*).

Co ja robię? gubię ją i siebie! (*głośno*) Ależ bo ja nie byłem nigdy w pokoju Ireny?... niewiem czy iść mogę?...

ZOFIA.

Cóż to szkodzi?... dla czegóż byś iść niemiał kiedy chora?... Ona tak się ucieszy... jak cię zobaczy... i usłyszy... chodź!... chodź!...

HRABIA (*na stronie*).

Ucieszy się! niech świat przepadnie! (*głośno*) Chodźmy więc.

(*idą do drzwi na lewo z których właśnie wychodzi służący i staje we drzwiach*).

SCENA XIV.

SŁUŻĄCY, ZOFIA, HRABIA,

SŁUŻĄCY (*we drzwiach*).

Szukałem Jaśnie Pana, pan Moliński kazał powiedzieć że go czeka.

HRABIA.

Aha... prawda... dobrze... zaraz idę...

ZOFIA (*do służącego*).

Gdzież mój brat?

SŁUŻĄCY.

Na koniu czeka tu o kilka kroków, Jaśnie Pani, przed pałacem.

(*wychodzi*).

SCENA XV.

ZOFIA, HRABIA.

HRABIA (*jak obłąkany*).

(*na stronie*) Już na koniu! (*głośno*) Bądź zdrowa Zofio... muszę cię opuścić... na chwilę... muszę koniecznie...

ZOFIA (*niespokojna*).

Musisz?... koniecznie?... Gdzież ty jedziesz?...

HRABIA (*nie wie co mówi*).

Nigdzie... tak... przejechać się chcieliśmy... wrócę nie długo... na obiad... (*wychodząc*) z pewnością powrócę!... (*wybiega drzwiami szklannemi*).

SCENA XVI.

ZOFIA, (*sama*).

Cóż to znaczy?... chcą się przejechać?... coś w tem jest... on niepowiedział prawdy... taki był pomięszany... (*idzie do drzwi w głębi*) Boże co ja widzę... Jakób trzyma skrzynkę... to pistolety... (*otwiera drzwi i woła*) Edmundzie!... Edmundzie!... zatrzymaj się, na Boga! (*z rozpaczą*) nie słyszy mnie!... odjechał!... (*wraca chwiejąc się*) Edmund strzelać się będzie... i strzelać się o mnie! (*pada na krzesło*).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Salon — dekoracya ta sama co w akcie pierwszym.

SCENA I.

IRENA, *potém* P. MOLIŃSKA.

IRENA,*) (*wychodzi z drzwi po prawéj stronie, idzie wolno nascenę ku drzwiom w głębi, zatrzymuje się, spogląda w około siebie, i mówi stłumionym głosem.*)

W tem miejscu klęczał wczoraj o téj dobie... tu zostanę...

P. MOLIŃSKA (*wychodząc z tych samych drzwi*)

I cóż Ireno?

---

*) W białym rannym szlafroczku.

IRENA (*idąc ku sofie*)

Za słabą się czuję... chciałam wyjść przed pałac na świeże powietrze... ogrzać się trochę na słońcu... (*siadając*) nie mogę.

P. MOLIŃSKA.

Nie masz dość siły moje dziecię?

IRENA.

Widzisz droga matko, że ani myśleć o wyjeździe.

P. MOLIŃSKA (*na stronie*)

Cóż tu z biedną robić! (*głośno*) Jednak, gdybyś....

IRENA (*przerywa z drażliwością*)

Nie, o nie zmuszajcie mię... Zlitujcie się nademną..

(*kładzie się na sofie.*)

P. MOLIŃSKA (*z troskliwością*)

Może przejdziesz do salonu... byłoby ci wygodniéj

IRENA

Dziękuję, mnie tylko spokojności potrzeba. Zostaw mię matko samą, ja usnę.

P. MOLIŃSKA

Jak chcesz... ja będę niedaleko — w salonie...

IRENA

Jakaś ty dobra Mamo!

(*P. Molińska wychodzi przez portierę*)

SCENA II.

IRENA (*sama, chwilę milczy, potem słabym głosem*)

Tutaj, tu, wyznał mi swoją miłość... o jakże rada przebywam w tem miejscu.. już go się nie lękam jak pierwéj... tak mi tu dobrze... takam spokojna!... Wszystko się zmieniło z nadzieją rychłego końca... (*chwila milczenia*) Gdzież Zosia?... tak dawno jak odeszła... jéj obecność była mi wprzódy przykrą — teraz chciałabym zawsze być przy niéj... Jéj troskliwość była mi przedtem cierpieniem... dziś jéj starania są balsamem dla serca... A on... Edmund... tak długo nie wraca... (*głośniéj*) Jego widok może... (*kaszle i znów słabym głosem*) Nie... nie... wszystko się zmieniło... wszystko... ja nawet sama... (*głowa opada jéj na poduszkę, zdaje się jakby usnęła*)

(*Zofia wchodzi na lewo*)

SCENA III.

IRENA, ZOFIA. *)

ZOFIA

Usnęła!... (*wskazuje na drzwi lewe*) Od godziny jak przykuta siedzę tam przy oknie... skąd naprzód spostrzedzbym go mogła... Gdybym go też ujrzała rannego... gdyby go nieśli... oh! ja tego nie przeżyję! Boże! ty tego niedozwolisz... w Tobie jedyną pokładam nadzieję — czuwaj nad nim Panie!... Odejść musiałam... bo jakże matce to nieszczęście powiedzieć... ona już tak Irenią zmartwiona!... (*patrzy na Irenę*) Biedna... jak ciężko oddycha... przytem ciągła gorączka. Niewspomniałam jéj nawet jeszcze o Edmundzie... ani o tém cośmy uradzili... pytałaby gdzie jest... widzieć by go chciała... a i dla niéj cóż to za cios okropny...- może jej nawet ten Zenowicz podobać się potrafił... wczoraj zdawało mi się, że nim była na prawdę zajęta... zresztą czy nie dość, że Edmund w niebezpieczeństwie... czyż ją los jego nie obchodzi!...

IRENA (*kaszle i otwiera oczy*)

Czy to ty Zosiu?

ZOFIA (*zbliża się*)

Spałaś Ireniu?

IRENA

Nie — ale marzyłam jak we śnie...

ZOFIA

O czemże siostruniu? (*na stronie*) spróbuję ją rozerwać.

IRENA (*na stronie*)

A gdybym też wszystko przed nią wyznała? (*głośno*) Dziwny bardzo sen miałam.

ZOFIA

Opowiedz mi go Ireniu, proszę cię... jeśli cię to nie męczy (*bierze małe krzesełko pod nogi i siada na nim przy sofie*)

IRENA

Zobaczę. (*do siebie*) Czuję że mi to ulży. (*głośno*) Zdawało mi się, wystaw sobie Zosiu, że żyłam w zaczarowanym pałacu, w którym widziałam szczęście dwóch kochających się istot... Szczęście ich było wszędzie...

---

*) Zofia ubrana jak w akcie przeszłym.

w powietrzu którem oddychałam... tak mi też lubo było... tak wciągałam całą piersią te tchnienia rozkoszne... niewypowiedziane... Zwolna... (*zatrzymuje się*) ty nie słuchasz siostro?...

ZOFIA (*jakby przebudzona*)

Słucham, słucham cię Ireno (*na stronie*) o jakże czas powoli się wlecze (*głośno*) mówiłaś... że zwolna...

IRENA

Tak — zwolna, jakieś pragnienie, którego ani opisać, ani wytłumaczyć nie zdołam... jakaś żądza niepojęta.. a przecież bolesna, jakby wyrzut sumienia, jakieś pragnienie owionęło całą mą istotę, otoczyło mnie biedną jakimś ciemnym i ponurym obłokiem... I to samo powietrze... owa atmosfera dawniéj tak czysta... tak ożywcza.. luba.. przechodząc przez tę lekką zaporę... stawała się suchą... palącą... zabójczą... Uczułam wtedy... (*zatrzymuje się i patrzy na Zofią która daje znaki niespokojności*) Ty nie słuchasz Zosiu?

ZOFIA (*na stronie*)

Jakże trudno ukrywać męczarnie! (*głośno*) Nie zważaj na mnie Ireno... ja słucham... nerwy moje jakoś dzisiaj nie statkują... mów daléj, proszę cię...

IRENA

Uczułam więc wtedy nieugaszone pragnienie... jakby wiecznie trwać miało... ścinały mi się usta... płuca żar wysuszał... całych sił dobywałam aby tchu nie brakło... (*przerywa jéj kaszel*)

ZOFIA

Sen skutkiem był choroby, kochana Ireno...

IRENA (*ciągnąc daléj*)

A oddech w ogień się zmieniał, gdy serca dotykał.. a oddychałam ciągle... i jeszcze.. i jeszcze.. choć czułam, że mnie rozrywa... i wkrótce mnie spali... Nagle przyszło tchnienie silniejsze od innych... jakby przeczucie nieznanego mi szczęścia... buchnął płomień i olśnił jakby błyskawica... poczem niezmierna boleść.. a nareszcie odpoczynek... śmierć... (*kaszle gwałtownie*)

ZOFIA (*ściskając ją*)

Nie mów o śmierci Ireno, oh nie mów o śmierci za-

klinam cię! (*na stronie*) Ona mówi o śmierci — on tam kona może!.. litości Panie, litości! (*płacze*)

IRENA (*z czułością*)

Zosiu! co tobie?.. powiedz... ty cierpisz?

ZOFIA (*boleśnie*)

O tak cierpię nad wszelki wyraz!... nad pojęcie ludzkie!...

IRENA (*przestraszona*)

Powiedz... powiedz... co ci jest na Boga?.. jakakolwiek twa boleść... podziel się nią ze mną.

ZOFIA (*nie powściągając się więcéj*)

Dzięki ci droga siostro... dzięki ci, bo upadam sama pod ciężarem... on za wielki dla mnie... (*wstaje*) Ireno!... Edmund ma pojedynek w téj chwili...

IRENA (*podnosząc się*)

O Nieba! co słyszę?

ZOFIA (*z rozpaczą*)

Tak jest — Edmund strzela się w téj chwili z Zenowiczem!...

IRENA (*staje*)

Boże! Edmund strzela się... i strzela się o mnie!

(*pada w objęcie Zofii*)

ZOFIA (*zdziwiona*)

Jakto? co mówisz? Ireniu! o ciebie?...

IRENA (*w obłąkaniu*)

O mnie... bo ty nie wiesz siostro że ja kocham...

(*Wchodzi p. Molińska*)

SCENA IV.

P. MOLIŃSKA, IRENA, ZOFIA.

P. MOLIŃSKA (*wchodząc*)

Cóż to wam moje dzieci?

ZOFIA (*na stronie*)

Nieszczęsna cóżem zrobiła! ona kocha Zenowicza!

P. MOLIŃSKA (*z przestrachem*)

Cóż się stało? mówcie na miłość pana Boga!...

ZOFIA

To moja wina matko... powiedziałam Irenie że Edmund ma pojedynek...

P. MOLIŃSKA (*przerywa*)

Wiem o tém.. lecz właśnie co powrócił.. widziałam przez okno...

IRENA.

Żyje!!!

ZOFIA (*składając ręce*)

Wysłuchałeś mnie Boże!

P. MOLIŃSKA (*na stronie*)

Byle jéj tu nie zastał (*głośno*) Ireniu ty upadasz... pójdź do twego pokoju... ty się musisz położyć... zażyć na wzmocnienie... chodź ze mną moje dziecię... proszę cię...

ZOFIA (*do siebie*)

Moja biedna Irena! ja się cieszyć nie śmiem! (*obiedwie wyprowadzają Irenę na prawo, Zofia idzie ostatnia — za nim wyszła, Hrabia ukazuje się wgłębi — Zofia biegnie i rzuca mu się w objęcia*) Edmundzie!

HRABIA (*ściska ją*)

Zofio!

(*milczenie*)

SCENA V.

HRABIA, ZOFIA, *potem* JULIUSZ *)

ZOFIA (*z czułością*)

To ty? ah! to ty drogi mój Edmundzie!... przecież cię znowu widzę... i do serca przyciskam... ja uwierzyć szczęściu memu nie mogę.. To ty.. mój mężu.. nie prawdaż... nie jesteś ranny?

JULIUSZ **) (*który wszedł za Hrabią*)

Nie, nie, bądź spokojna, włos nie spadł mu z głowy i honor pomszczony.

ZOFIA

Jakiś ty dobry mój Boże! (*przechodząc do Juliusza* ***)

---

*) Hrabia i Juliusz ubrani jak w akcie przeszłym.

**) Juliusz, Hrabia, Zofia.

***) Juliusz, Zofia, Hrabia.

mój Juliuszu! (*całuje go*) . . . A cóż dzieje się z tamtym. . . z Zenowiczem?. . .

JULIUSZ

Zenowicz dosyć niebezpiecznie ranny. . .

ZOFIA (*z przestrachem*)

Lecz przecie nie śmiertelnie?. . .

JULIUSZ

Mam nadzieję że nie. Zostawiliśmy Jakóba żeby natychmiast nam doniósł co powie chirurg jak go opatrzy.

ZOFIA

Biegnę zaraz uspokoić Irenę.

JULIUSZ (*zdziwiony zatrzymując ją*)

Irenę? czemu Irenę?. . . czy ona wiedziała o tem?

ZOFIA

Wiedziała niestety!. . . Nie mogąc utaić méj niespokojności, byłam dosyć okrutną, aby jéj powiedzieć, że Edmund pojedynkuje się z Zenowiczem. . . wtedy ona rzuciła się w moje objęcia mówiąc że to za nią. . .

HRABIA (*uderzony*)

Za nią?

ZOFIA

I dodała jeszcze: bo ty niewiesz że ja go kocham. . . wtem weszła matka. . . ale nie trudno domyśleć się reszty. . . Biedaczka pokochała Leona. . . kiedy tak nagle wyjechał, myślała może, że ją opuszcza. . . że Edmund wskutek jakiéj rozmowy wyzwał go. . . to do ciebie podobne Edmundzie. . . z resztą alboż ja wiem co myślała. . .

JULIUSZ (*na stronie*)

Opatrzność nad nią czuwa!

HRABIA

I pewnie te wstrząśnienia pogorszyły jeszcze stan jéj zdrowia?

ZOFIA

Zapewne. . to też sobie darować nie mogę. . ale byłam taka nieszczęśliwa!. . . nie gniewaj się na mnie!. . zobaczysz, pobiegnę zaraz do niéj, powiem żeś ty wrócił. . . że Zenowicz żyje. . . dodam jéj nadziei. . . powtórzę także to, coś mi przyobiecał. . . (*do Juliusza*) Tak, tak, bracie mój, rób co chcesz, Irenia zostanie u nas, albo pojedziemy z nią razem do Warszawy!. . .

(*wybiega na prawo — Juliusz w osłupieniu — Hrabia rzuca się na sofę po lewéj stronie*)

SCENA VI.

HRABIA, JULIUSZ.

JULIUSZ (*na stronie*)

Teraz między nami sprawa! (*głośno*) Czy prawda, że to przyrzekłeś Edmundzie?

HRABIA (*zimno*)

Prawda.

JULIUSZ (*hamując się*)

Więc ty nie wierzysz w Boga kiedy sobie z gniewu Jego tak żartujesz?... Jakto, więc w chwili gdyś uniknął śmierci, a co więcéj jeszcze hańby ... śmiesz podniecać w sobie występne płomienie!... Jakto, więc wtéj saméj chwili, w któréj on cię ratuje, ty, z zimną krwią chcesz zatrzymać w swym domu dziewczynę którą o mało co że nie wtrąciłeś w otchłań zbrodni i bezwstydu?...

HRABIA (*zimno*)

Ona nie chce jechać.

JULIUSZ (*z mocą*)

Ona musi jechać!

HRABIA (*z ogniem*)

Ty jéj nie przymusisz!

JULIUSZ

Przymuszę! — choćby nawet śmiercią przypłacić to miała...

HRABIA (*wstając nagle*)

Kto?... ty... przymusisz? tu?... w moim domu?.. niezważając na jéj życie?... Ją?... (*trzęsąc się od gniewu*) Nie mów tego!... nie mów tak Juliuszu!... bo bym się mógł zapomnąć...

JULIUSZ (*z godnością*)

Ja jestem panem siebie... bo chociaż cię potępiam, lituję się nad tobą... i jeszcze nie straciłem dla ciebie szacunku... (*Hrabia pada na sofę*) Wypocznij sobie trochę... chciéj rozważyć spokojnie, a zobaczysz sam drogę jaką obrać należy.

HRABIA (*z goryczą*)

Drogę?... jedną tylko mam przed sobą... drogę ratunku a ta jest w ucieczce... Juliuszu, nie stój mi na przeszkodzie!

JULIUSZ (*z prostotą*)

Powiedziałem ci już, że tym sposobem żonę na potwarz wystawiasz.

HRABIA

Ten pojedynek nastręczy i tak obszerne pole do obmowy.

JULIUSZ

Zenowicz za nadto ma szlachetne uczucia, aby nie miał w potrzebie całéj wyznać prawdy... a ludziom którzy mu uwierzyć nie zechcą, winieneś zamknąć usta żyjąc razem z Zofią...

HRABIA

A gdyby umarł Zenowicz?... gdyby mnie ścigano?..

JULIUSZ

Zapomniałeś, że każdy z was miał przy sobie świadectwo samobójstwa, własną podpisane ręką... które wszelkie dochodzenia w téj mierze niweczy...

HRABIA (*zgnębiony*)

Prawda... zapomniałem!

JULIUSZ

Niezmiernie wdzięczny byłem Zarębie za tę ostrożność, jakkolwiek mam nadzieję że nie będzie potrzebną. Widzisz więc Edmundzie, rozum i sumienie nakazują ci..

HRABIA (*wstając nagle*)

Mnie serce rozkazuje!.. ono silniejsze nad wszystko!.. ono woła, że tutaj żyć nie mogę... nie mogę zdradzać żony... żony która mnie kocha... któréj każde słowo, spojrzenie, pieszczota, są najcięższym wyrzutem... najsroższą męczarnią!.. Serce mi wskazuje, że nie potrafię żyć tutaj, unikając kobiety, którą kocham tak szalenie... że światy i morza rozdzielić nas powinny!... Juliuszu, stanie się jakieś wielkie, nieprzebrane nieszczęście!.. Czy się ty nie boisz? Nie wstrzymuj mnie, nie wstrzymuj! Pamiętaj że lada dzień mogę zostać odarty ze czci i honoru! że co chwila palcem wytykać mnie mogą jako najpodlejszego na świecie człowieka! Bo jest ktoś, i jest żywy, ten co zna moją miłość...

bo masz ot tu, przy sobie... masz czarno na białem: Edmund kocha Irenę!... Czyś ty o tem zapomniał?.. (*z prośbą*) bądź dla mnie sprawiedliwy... nie wstrzymuj mnie, nie wstrzymuj!...

JULIUSZ (*rozczulony*)

Masz racyą Edmundzie, oh co to za nieszczęście! ale uspokój się.. uspokój...

(*Służący wchodzi w głębi*)

SCENA VII.

CIŻ SAMI, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY (*przy drzwiach*)

Masztalerz Jakób chce się widzieć z Jaśnie Panem?

JULIUSZ (*na stronie*)

Już wrócił?

HRABIA

Niech wejdzie.

(*Służący wychodzi*)

SCENA VIII.

HRABIA, JAKÓB, JULIUSZ.

JULIUSZ

A cóż Jakóbie?

JAKÓB (*przy drzwiach*)

Pan Zenowicz umarł.

HRABIA i JULIUSZ (*razem*)

Umarł!

JAKÓB

Tak panie Hrabio, skonał w pół godziny po pańskim odjeździe. Stósownie do rozkazu, zaraz wsiadłem na konia i pędziłem co siły. Oto jest list który pan Zaręba kazał oddać panu Molińskiemu.

(*podaje list*)

JULIUSZ (*bierze list — idąc po lewéj stronie naprzód sceny*)

Biedny młodzieniec!

HRABIA (*zbliża się do Jakóba*)

Dziękuję ci poczciwy Jakóbie! (*kładąc palec na ustach*) wiesz?...

JAKÓB

Wiem Jaśnie Panie. (*wychodzi*)

SCENA IX.

HRABIA, JULIUSZ.

JULIUSZ

Ot co pisze Zaremba: (*czyta*) „W téj chwili biedny „mój przyjaciel ducha wyzionął. Kula za głęboko tkwi- „ła w piersiach. Nie odzyskał na chwilę przytomności. „Wszystko skończone. Przed światem Leon Zenowicz „to szaleniec, który sobie w skutek nieszczęśliwéj miłości „życie odebrał. Zanim panowie przybyli, Leon oddał „mi list, i kazał przysiądz, iż w razie śmierci odeszlę „podług adresu. Posyłam go więc Panu, pewnym bę- „dąc, że wypełnisz chętnie ostatnią wolą zmarłego. „Łączę wyraz..." (*dobywa list z tej saméj koperty*) A to rzecz szczególna! (*czyta*) „Do Panny Ireny Molińskiéj" — Do mojéj siostry?

HRABIA (*przystępując z żywością*)

Do Ireny?

JULIUSZ (*pokazując list*)

Patrz...

HRABIA (*chce wziąść*)

Nie trzeba go oddawać! kto wie co zawiera?

JULIUSZ (*cofając list, zimno*)

Przeciwnie — oddać trzeba, bo to ostatnia wola człowieka, który już nie żyje... Oddać trzeba zaraz, bo to nowy dowód dla twéj żony... (*dzwoni*) Utwierdzi ją w domysłach...

(*Służący wchodzi w głębi*)

SCENA X.

CIŻ SAMI, SŁUŻĄCY (*u drzwi*)

JULIUSZ (*do służącego*)

Oddaj list ten pannie Irenie do rąk własnych.

SŁUŻĄCY

Czy zaraz?

JULIUSZ

Natychmiast.

(*Służący wychodzi na prawo*)

SCENA XI.

JULIUSZ HRABIA.

JULIUSZ (*wracając na przód sceny do Hrabiego pogrążonego w myślach*)

Zabiłeś więc Edmundzie tego odważnego i szlachetnego młodzieńca!

HRABIA

Będziesz mi wyrzucał śmierć jego?

JULIUSZ

Nie wyrzucam ci śmierci — ale żal mi go szczerze.

HRABIA

Przecież widzieć musiałeś, że na głos komendy odwróciłem się i strzeliłem nie patrząc...

JULIUSZ

Widziałem bardzo dobrze — aleś trafił i zabił...

HRABIA

To fatalność...

JULIUSZ (*przerywając*)

Nie Edmundzie! to nie jest fatalność!... Nie ukazujeż się w tem wszystkiem wyraźny palec Boży? Wracasz do domu i zastajesz znieważoną żonę... wychodzisz zeń i zabijasz człowieka!... nie sąż to straszne następstwa twéj namiętności! karze cię Bóg... ale cię nie chce zgubić... Patrzaj na te wyrazy (*pokazuje list*) patrzaj... otóż co świat orzeka: Leon Zenowicz jest szaleńcem, który sobie w skutek nieszczęśliwéj miłości życie odebrał. — A gdy nad honorem twéj żony opatrzność tak czuwa, czy nie położysz w niéj twego zaufania? Wierz mi, oddaj jéj staranie o resztę... ona potrafi usunąć lub zmusić do milczenia świadka twego występku Edmundzie!

HRABIA (*pognębiony*)

Cóż więc mam czynić?... powiedz?...

JULIUSZ

Zostać tutaj — i zezwolić na wyjazd Ireny.

HRABIA

Jak chcesz bym przyrzekł to, czego dotrzymać naprzód wiem, że nie potrafię?.. O ty nie znasz miłości!..

ty jej nie rozumiesz! (*z ogniem*) Jakto?... chcesz abym wiedząc, że ona tam umiera w Warszawie siedział tutaj spokojnie?.. abym nie leciał ku niéj?.. O przysięgam ci...

JULIUSZ (*zatrzymując go*)

Nie przysięgaj Edmundzie!... bo gdybyś to uczynił... gdybyś przybył za nią do Warszawy... ja bym cię nazwał podłym!

HRABIA (*z gniewem*)

Kiedy tak, więc jestem podłym... chcę nim być!..

JULIUSZ (*zapalając się*)

Na mnie kolej... nie mów tego Edmundzie... nie mów tak... bo wtedy... wtedy... zabić bym cię musiał...

HRABIA (*z wściekłością*)

Zabić byś mię musiał?... O zabij! zabij mnie Juliuszu, błagam cię, zabij tysiąc razy... ale nie żądaj po mnie tego, co nad moje siły!... Bo ja kocham ją widzisz, ja nie mogę jéj powiedzieć, pójdź precz, pójdź precz Ireno... Bo ona mnie kocha, rozumiesz, ona mnie kocha, więc nie może odjechać...

(*Podczas gdy Hrabia mówi, Irena w ubiorze podróżnym weszła po cichu po prawéj stronie i stanęła między Juliuszem i Hrabią*).

SCENA XIII.

JULIUSZ. IRENA, HRABIA.

IRENA

Juliuszu! Edmundzie! bracia moi!

JULIUSZ i HRABIA (*cofając się*)

Irena!

IRENA (*słabym głosem*)

Juliuszu idź do matki... wyjeżdżamy natychmiast.

HRABIA

Co słyszę?

JULIUSZ (*zdziwiony*)

Któż cię zdołał nakłonić?

IRENA

Moja własna wola. Idź, zostaw nas samych.

JULIUSZ (*wahając się*)

Ależ siostro!...

IRENA

Rozumiem... boisz się o mnie... idź, idź spokojnie bracie, nie masz się czego lękać, wierzaj mi... Śmierć Leona skłania mnie do wyjazdu. (*z gorzkim uśmiechem*) Wszak wiecie, że kochałam tego młodego człowieka... W téj chwili powiedziałam Zofii, że idę pomówić po raz ostatni z tym z którego ręki zginął. (*idzie i siada na sofie*).

HRABIA (*z rozpaczą*)

Po raz ostatni!...

JULIUSZ

Czynię co każesz siostro.

(*wychodzi na prawo*).

SCENA XIII.

IRENA, (*siedzi*) HRABIA (*stoi bez poruszenia*)

IRENA, (*na stronie*)

Boże! dodaj mi siły! pozwól spełnić tę ofiarę. (*głośno*) Słuchaj mnie Edmundzie.

HRABIA (*zbliżając się*)

Ireno!

IRENA (*podając mu list*)

Poznajesz ten list?

HRABIA (*biorąc list*)

O Nieba! list do mojéj żony?

IRENA (*z prostotą*)

Czyni on ci zaszczyt Edmundzie — dowodzi, że masz wielkie i szlachetne serce. Zofia powinna cię kochać boś godny jéj miłości.

HRABIA (*przygnębiony*)

Przebacz mi, przebacz Ireno...

IRENA (*ze słodyczą*)

Przebaczyć? ja? tobie? czyż nie wiesz, że przeciw mnie zawinić nie możesz? (*podając drugi list*) a ten czy poznajesz?.. weź...

HRABIA (*biorąc list*)

Tego nie znam.

IRENA

Czytaj... czytaj głośno—rzadkie to na świecie dyktowało go serce...

HRABIA (*czyta*)

„Kiedy Pani list ten odbierzesz, już mnie nie będzie „na świecie. Piszę go do Ciebie — bo Ciebie jednę o„braziłem. Ja to byłem świadkiém chwilowego Pani za„pomnienia i ostrzegłem jej brata.“ (*przerywając czytanie*) Jakto? więc Zenowicz...

IRENA

Czytaj tylko daléj...

HRABIA (*czyta*)

„Przekonany o twej niewinności, postępek mój poczy„tuję sobie za zasługę i śmiem Cię prosić o przebacze„nie mi obrazy. Wmięszałem Cię Pani w intrygę ja„kiej nie omieszka nigdy prawie zawiązać młody czło„wiek, skoro los go postawi w obec dwóch pięknych „kobiet. Po wyjeździe waszym wszedłszy do pokoju „Hrabiego“ ..(*przerywa*) Więc mnie szpiegował... (*czyta*) „przeczytałem list, który pisał do żony“... (*przerywa z wybuchem*). Ależ to podłość!...

IRENA.

Jak skończysz ... będziesz sądził ...

HRABIA (*czyta*).

„i postanowiłem ją ocalić. Aby odwrócić uwagę po„wszechną narobiłem sobą hałasu. Spodziewam się że „krok ten odpowiedział celowi. Jeżeli Hrabina Zofia „niedowie się nigdy o tem co się stało, będzie to moją „najpiękniejszą pośmiertną nagrodą; jeżeli mi nigdy „zniewagi nieprzebaczy, będzie to słuszną karą przy„wiązaną do mego wspomnienia. Posyłam Pani list „hrabiego pisany do żony“... (*przerywa z gniewem*) O tego już nadto!...

IRENA (*przerywając*)

Czytaj tylko!...

HRABIA (*gwałtownie*).

Nie chcę wiedzieć nic więcéj!...

IRENA.

Edmundzie! przeczytaj list ten do końca ... proszę cię ...

HRABIA (*czyta*).

„W nim spoczywa rękojmia jéj szczęścia w razie „gdyby jakim sposobem tajemnica wydała się po méj „śmierci. W twoje ręce składam ten dowód, bo znam „szlachetne twoje serce. Chwilową lekkość i występną „ciekawość, okupuję ofiarą mego życia; może i ty Pani „mi przebaczysz.— Leon Żenowicz.“ (*z gniewem*) Więc to on jest przyczyną mego nieszczęścia przesyłając ci list do Zofii . . . Niechaj będzie . . .

IRENA (*przerywając z żywością*).

Edmundzie!

HRABIA (*podobnie*).

O', ja go prze . . . .

IRENA. (*podobnież*).

Ja go błogosławię . . . to coś chciał powiedzieć było zbrodnią Edmundzie . . . Błogosławić trzeba serce tak szlachetne, wspaniałe . . .

HRABIA (*przerywając*).

Chcesz abym błogosławił pamięć człowieka co mnie zdradził . . .

IRENA (*kaszląc*)

Nie przerywaj mi Edmundzie . . . . słabą jestem . . . . wiele mówić niemogę . . . Człowiek ten, wskazał mi drogę prawą odsłaniając przedemną miłość twą ku żonie. (*z powagą*) Bóg chciał nas od upadku uchronić skoro dozwolił byś miłość ku Zofii w twem sercu przechował. Człowiek ten, krwią zbroczony stanął między nami . . . Czy nie słyszysz jak mówi: Nie zbliżajcie się do siebie— bo dotkniecie trupa! A zbeszcześcić go musicie, bo dążycie do zbrodni! a on cnoty strzeże! . . . Edmundzie, na zawsze rozstać się musimy! . . .

HRABIA (*z rozpaczą*).

Ireno! Ireno! tyś mnie kochać przestała!

IRENA (*głosem przytłumionym*).

Patrz na mnie . . . umieram . . .

(*p. Molińska i Juliusz wchodzą po prawéj stronie w ubiorach podróżnych*).

SCENA XIV.

IRENA, HRABIA, P. MOLIŃSKA, JULIUSZ.

P. MOLIŃSKA.

Ireno powóz czeka. Bywaj zdrów Edmundzie.

(*Hrabia całuje ją w rękę*).

IRENA.

A gdzież Zofia?

JULIUSZ.

Cała łzami zalana czeka cię przy powozie...

IRENA (*wstaje*).

Żegnam cię Edmundzie.... bądź szczęśliwy... w sercu Zofii znajdziesz źródło szczęścia... Niezadługo... ot ztamtąd (*wskazując na Niebo*) czuwać będę nad wami. Bądź zdrów!...

(*Hrabia zakrywa twarz rękoma. Irena oparta n ręku matki wychodzi w głębi*).

SCENA XV.

HRABIA, JULIUSZ.

HRABIA.

O nie, ja porzucić jéj nie mogę!... życie z nią razem mnie odbiega... (*biegnie do drzwi*).

JULIUSZ (*stawa we drzwiach*).

Nie puszczę cię... a jeźli masz skonać to tutaj!...

HRABIA (*porywa go jak waryat*).

Puszczaj mnie! albo przysięgam na piekło...

JULIUSZ (*stale*).

Nie puszczę, choćbym miał paść trupem jak Leon!

HRABIA (*cofa się przerażony*).

Leon!...Ach! jakiż ja nieszczęśliwy!

JULIUSZ.

Nieszczęśliwy, bardzo jesteś nieszczęśliwy Edmundzie!... lituję się nad tobą.... ale jeszcze jesteś uczciwym człowiekiem... dotrwaj tylko do końca.... jak żołnierz na stanowisku...

(*słychać turkot powozu*).

HRABIA (*krzyczy*).

Boże!! odjechała!!!!

JULIUSZ.

Edmundzie, powiedz, czy miałbyś dosyć zimnéj krwi aby w téj chwili nie zdradzić się przed Zofią?

HRABIA (*rzuca się na sofę*).

O nie! nie, bo turkot ten powozu duszę wydarł ze mnie!...

JULIUSZ.

A jednak, wytrwać to powinność twoja. Zbierz siły Edmundzie... niech Zofia nigdy nie wie jakie burze wrą w twém łonie... jeźli nie chcesz... aby ten anioł przeklinać cię musiał...

(*Zofia wchodzi*).

SCENA XVI.

HRABIA, (*siedzi*) ZOFIA, JULIUSZ.

ZOFIA (*we łzach do Juliusza*)

Ah czemuż nie przyszedłeś wsadzić Ireny do powozu?...

JULIUSZ (*wskazując na Edmunda*)

Zostałem z mężem twoim...

ZOFIA (*idąc do Hrabiego*)

Mój drogi mężu!

JULIUSZ (*do Zofii*)

Ten pojedynek... to pożegnanie... te wzruszenia wyczerpały jego siły...

ZOFIA

Musi być bardzo słaby... kiedy mi nic nie odpowiada...

JULIUSZ

Nie... nie... bądź spokojna (*cicho*) Otocz go tylko pieszczotami, miłością... przyjdzie wkrótce do siebie... (*głośno*) Bądź zdrowa... oddaję ci męża.

ZOFIA

Ty także odjeżdzasz?... i to zaraz?...

JULIUSZ

Nie mogę zostawić matki samej z Ireną tak słabą. Przyjadę za dni kilka powiedzieć wam jak się miewa.

ZOFIA (*całując go*)

Przybywaj co prędzéj mój drogi.

JULIUSZ *) (*przechodzi do Edmunda*)

Żegnam cię Edmundzie, (*cicho*) bądź odważnego ducha... polecam ci żonę (*głośno*) do zobaczenia!

HRABIA (*cicho, ściskając go za rękę*)

Dziękuję ci bracie!

(*Juliusz wychodzi — Zofia siada przy Hrabi*).

SCENA XVII i ostatnia.

ZOFIA, HRABIA.

ZOFIA.

Cóż to za okropny dzień... jakże mnie serce boli, gdy widzę twe cierpienia mój biedny Edmundzie!...

HRABIA

Biedny... o bardzo biedny! jestem godzien litości.

(*milczenie — słychać turkot powozu*)

ZOFIA (*smutno*)

Ot i Juliusz odjechał. Zostaliśmy więc sami. Jakże ci ciężko będzie żyć z tem okropném wspomnieniem! A jednakże czuję, że nie powinieneś być całkiem nieszczęśliwym... (*pieszczotliwie*) bo mnie kochasz nie prawdaż mój Edmundzie? wszak mnie kochasz? i będziesz kochał zawsze?...

HRABIA (*padając do nóg Zofii i opierając głowę na jéj kolanach*)

Zawsze!..

SŁUŻĄCY (*podnosząc portierę*)

Już dano do stołu, proszę Jasnych Państwa!

(*zasłona upada*).

KONIEC.

---

*) Hrabia, Juliusz, Zofia.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Chciałbym w niniejszym przeglądzie pomówić jeszcze o poezyach młodego poety.

Może mi kto zarzuci, że zbyt często zajmuję się tym rodzajem literatury z uszczerbkiem innych rodzajów, że nadto wielkie daję miejsce poezyi, co może gniewać ludzi bardzo poważnych, niemieć powabu dla umysłów lekkich, wstrętem nabawiać dusze pospolite, a tylko zajmować szczupłe kółko wybranych czytelników. Jednakowoż kto zważy niesprawiedliwą nierówność w kolejach literackiego powołania, kto się zastanowi nad niedorzecznością moralną dającą nieraz skandalicznéj lub głupiéj powieści stokroć więcéj rozgłosu, sławy i dochodu, niż jakiemu szlachetnie i czysto poetycznemu tomikowi poezyi — ten przyjdzie, jak mniemam, do tego przekonania i wniosku: że sumienie nakazuje, a uczucie słuszności wymaga, aby znalazło się gdzieś schronienie dla tych królów bez królestw, którzy wolą unieść swoje czyste godła, niżeli je kalać bezrozumnym oklaskiem. Mimo tego bynajmniéj nie mam na celu

przywracać zwichnioną równowagę i wynagradzać mojem wspomnieniem te wydziedziczone istoty; chcę tylko okazać sympatyę i wdzięczność tym rzadkim pisarzom co mi pozwalają oddychać świeżem powietrzem naszych pól i lasów a nie zepsutym wyziewem społeczeństwa odzwierciadlanego z najsmutniejszéj strony, którym wreszcie winienem tę szczytną i wykwintną rozkosz, czytania pięknych wierszy wyrażających piękne myśli, malujących pełne życia i ruchu obrazy i postacie. Niemogę i téj drugiéj pominąć rozkoszy doznanéj przy czytaniu tych poetów, a ta jest, że mi dowiedli iż nasze powątpiewania o przyszłości poezyi, żale nad jéj upadkiem, jéj wyczerpaniem się i zmęczeniem, były może przedwczesnemi wróżbami — bo jakkolwiek świat rzuci się w odmęt realizmu, jakkolwiek powywiesza sztandary przemysłowego postępu i w pysze spanoszonego giełdowca, lub szczęśliwego spekulanta z góry poglądać będzie na płody czucia i fantazyi nienotowane na giełdzie, jakkolwiek znajdą się ludzie usiłujący nas przekonać że niema zacniejszego ani wyższego celu, jak osiągnienie materyalnych wygód z których mają się dopiero wyrodzić zdobycze umysłowych i duchowych bogactw — z tem wszystkiem prąd poetyczny, jakby rozbudzony przeciwnościami tego kierunku mającego już swoje organa, rwie się coraz żywiéj, odzywa z różnych stron, i oplatając gałązkami bluszczu upadłe serca, odmładza je swoją świeżością.

Są więc poeci i będą długo poeci — bo na téj drodze wspołzawodnictwo nie jest strasznem, przeciwnie na innéj wskazywanéj przez niebacznych doradzców, których gruby zmysł olśnił od materyalnych zdobyczy i wygódek cielesnych, zawsze będziemy nisko stali jako pozbawieni warunków sprzyjających rozwijaniu się swobodnemu i samodzielnemu przemysłu lub handlu, jako wreszcie najmłodsi w téj grze tak różnéj od rol-

niczego i gospodarczego zawodu sięgającego najdawniejszych wspomnień plemiennych.

Nie idzie zatem, com powiedział, aby wyrzec się całkiem postępu i ulepszeń materyalnych, stanowiących bogactwo krajowe, bo to byłoby skazaniem się na nierozumną bezczynność; ale radbym żeby i ta praca płynęła z wyższéj potrzeby moralnéj, była jednym z warunków, ale nie celem życia, dowodem czynności umysłowéj rospościerającéj się wszechstronnie, a nie nikczemną służbą u złotego cielca któremu składanoby ofiary ducha: cnotę, sumienie i szlachetniejsze uczucia i przekonania.

Przepraszam za odstąpienie od materyi; lecz przywykłszy uważać każdy fakt czy moralny czy fizyczny, w związku z wszystkiemi fenomenami społeczeńskiego życia, niemogłem mówić o poezyi i poetach oderwanym sposobem, czyli niedając im za tło najświeższego rysu epoki. Wracając tedy do przedmiotu, pragnę pomówić o tomiku poezyi wydanym w ciągu bieżącego roku, pod napisem: *Kwiaty i Kolce* przez Felicyana. Jest to jak widzimy nowy anonim, czy pseudonim, ogłaszający prace swoje w Warszawie, gdzie dotąd mniéj bywało pseudonimów niż na Litwie i Ukrainie. Takie schowanie się pod przybrane miano, lubo niezmiernego kłopotu nabawia naszych bibliografów, którzy będą zmuszeni stworzyć nową rubrykę dla anonimów przeźroczystych i nieprzeźroczystych, za co ich nie żałuję, dowodzi dwojga rzeczy: albo nieśmiałości młodzieńczéj tak łatwo dającéj się uniewinnić przy pierwszém wystąpieniu, albo téż, co pewniejsza, trwogi przed chłostą dzienników, zwykle próbujących swych sił na słabszych i nieśmiałych, a zwłaszcza debiutantach. Autor *Kwiatów i Kolców* przeczuwając widocznie, że mu nie ujdzie płazem nuta cokolwiek odmienna od téj, na jaką nastrojona większa część dzisiejszych gęśli, niepołożył swego na-

zwiska, i obawę miał słuszną, bo jeśli go nie starto na miazgę, to nieprzepuszczono usterkom stylu, słabym wierszom, niezbyt szczęśliwym wyrażeniom, a nadewszystko pewnéj pretensyonalności zakrawającéj na manierę, co się zdarza u młodych, jeszcze niewytrawnych pisarzy, a co zwykle się przebacza, zwłaszcza tam gdzie niespodziewane piękności traktowane w odmienny sposób spotykają się dość gęsto.

Wziąwszy go tedy ze słabszéj strony, a więc z niedoskonałości dostępnych oku nietylko krytyków, ale i prostego czytelnika, niedoskonałości, z których się tak łatwo poprawić, kiedy jest fundusz na lepsze, wbito *kolce* w *kwiaty*, i dziwiono się czemu więdniały?!

Niepojmuję, przyznam się, jak się to stało, że w pewnym względzie nowy tok poezyi Felicyana, pełność i obfitość natchnienia, bogactwo porównań i obrazów, a nadewszystko rączy lot liryczny i niezrównana artystyczność w plastycznym rysunku figur, zgoła te przymioty prawdziwego poetycznego talentu, niewiem jakim sposobem uszły wzroku pisarzy dających sąd o nich po dziennikach. O zawiść lub niechęć bynajmniéj pomawiać nie myślę, bo podobny domysł przypuszczałby niesumienność i nieszczerość ze strony krytyków, którzy nie wątpię, szli za najszczerszém przekonaniem. Prędzéj, dorozumiewałbym się, że mimowolnie wciągnieni w pewne kółko wyobrażeń będących na dobie, wsłuchani w jedną nutę którą brzmią dzisiejsze bardony— niezadali sobie pracy ocenić te utwory z innych żywiołów złożone i innym oddane krojem. Niespodziewano się zapewne w płodach pierwszy raz występującego pieśniarza, znaleść coś, coby sięgało wyżéj nad pospolitość. Słuszne poniekąd uprzedzenie do wszelkich pierwiosnków Muzy, czyni krytyków niedowierzającymi. Tym jednak razem, można było z uprzedzeń zrobić wyjątek.

Poeta, przewidywał może wieszczem przeczuciem, jaka dola spotka jego pieśni, kiedy we wstępnych zwrotkach takie postawił pytanie:

Jeżeli świeże przynęci was kwiecie
Cierń z nich skorzystać wam wzbroni;
Jeśli dla kolców tknąć ich niezechcecie
To niezaznacie ich woni.

I zgadł! — bo się tak przerażono kolców, tak widziano li tylko kolce, że o woń mało kto pytał, i jeżeli coś o niéj wspomniano, to z daleka, niby z domysłu że gdzie są kolce mogą być i wonne kwiaty.

Co się mnie tycze, wziąwszy ten tomik do ręki, napadłem za otwarciem książki na jakąś wonną strotkę, która mię zupełnie ujęła dla jéj autora, tak dalece, że kiedym przystąpił do porządnego czytania, niezraziłem się kolcami, poczytując je za zwykły wyskok młodzieńczości lubiącéj się spowiadać ze swoich dziejów serdecznych niestety! bardzo powszednich. Zazwyczaj bywa to rzewna elegia po stracie kochanki, pełna tęsknoty, rozpaczy, nadziei; to znowu strofy ognisto-namiętne wyrażające szał i upojenie miłości; jakieś reminiscencye z Mickiewiczoskiego *Żeglarza*, *Rezygnacyi* Szyllera, lub *Snu* Byrona — a wszystko gwałtowne, ciemne, niepewne, chaotyczne jak burza miotająca sercem co mogło pragnąć, a nie osiągło celu pragnień i wzdychań, lub osiągnąwszy, straciło bezpowrotnie! Rodzaj ten poezyj egotycznych, tych zwierzeń się z doznanych cierpień i uniesień przed światem, aczkolwiek niepodejrzywam ich autentyczności, niezmiernie bywa śliski i niebezpieczny, bo najczęściéj do wypowiedzenia swoich tajemnic (sercowych) używa języka tych mistrzów, którzy niewiem, czy szczęśliwiéj kochali, czy gwałtowniéj cierpieli, ale to pewna że najszczęśliwiéj

musieli odmalować co przeszło przez ich serce i głowę. Reminiscencye mają tu ważny wpływ i udział. Z tėj przyczyny w zbiorku poezyi Felicyana, wszystkie te strzeliste rymy, mógłbym policzyć do kolców, lecz wcale nieobrażających, bo tak jest wszystko trzymane w tonie jaskrawym, i w rysach niepewnych, a pomysł tak pokruszony dytyrambowemi podskoki, że trudno sobie jakąś całość ułożyć, a jeszcze trudniėj silić się na rozwiązanie zagadek, kiedy główna zagadka odrazu zostaje rozwiązaną: młodzieniec się kochał — i cóż w tem dziwnego? —

Wszakże i to zdanie da się złagodzić w zbytniėj surowości, albowiem między temi erotykami znajduje się kilka bardzo ładnych piosneczek zalecających się prostotą, i najszczęśliwiej związaną całością. Właśnie to misterne ujęcie całości, w którėj nic dodać, nic odrzucić, daleko wyżėj cenię, niż najświetniejsze strofki i obrazki słabo zlepione ze sobą. Między innemi piosnka: *Rozmaryn* nosi cechę skończonego artystostwa:

Miała sukienkę białą, gdym do niėj
  Z pożegnalnemi wszedł słowy,
W pasie błękitną wstążkę, u skroni
  Wianuszek rozmarynowy.

— Czym ładna tobie? spyta nieśmiało,
  — Och! co ty mówisz dziewczyno.
Gdyby inaczėj kiedy być miało,
  Niech z łez mi oczy wypłyną!

Ona jak bluszcz, gdy drzewo obwinie
  Splotem swych rąk mię obwija,
— Albo ja będę twoją jedynie,
  Albo niebędę niczyja.

W świat mię iść pchnęło. W tém nagła zmiana
W powrót mię pędzi myśl tkliwa,
Wracam — dziewczyna moja wybrana
W chłodnéj trumience spoczywa.

W sukience białéj jak mieć ją chciałem,
W przepasce z modrych wstążeczek;
W światłych jéj włosach, nad czołem białem,
Rozmarynowy wianeczek.

Złożyłem na jéj piersi dziewczęcéj
W krzyż obie rączki łabędzie:
Niebędzie ona moją już więcéj,
Lecz i niczyją nie będzie. —

I znów poszedłem gdzie wzrok poniesie.
Idę przez ciernie i znoje,
I znów mi spieszno stanąć przy kresie —
Dziewcze bo czeka mię moje.

Czegóż trzeba więcéj! Cała ta smutna historya zamknięta w niewielu strofkach, a jest jakby długim romansem. Felicyan, znać to, kształcił się na dobrych wzorach, bo umie do wagi i harmonii przyprowadzać części i tym sposobem tworzyć jakby z jednego odlewu swoje obrazki i posążki.

Szkoda że miłośne te rymy nie są oddzielone w osobnéj księdze, tylko pomięszane z innemi poezyami zupełnie odrębnéj natury; sąsiedztwo to szkodzi i jednym i drugim; gdyby bowiem stały osobno, utworzyłyby jakąś może całość i obudziły dla siebie interes...

Najbardziéj zdaniem mojem, udatne kawałki, nacechowane niepospolitym artyzmem, są te, które Felicyan złożył w uniesieniu dla świetnych wspomnień starożytnéj Hellady. Nieliczę je bynajmniéj do rzędu tych wy-

sileń rymotworców erudytów, co to dzisiaj chcą pisać jak Sofokl, Pindar lub Anakreon i przybierają ich rytm ich wyrażenia się, porównania, koloryt, spokój nawet, aby w nas chyba wmówić, że jeśliby im Pan Bóg pozwolił był urodzić się w Peryklesowym wieku, to i oni potrafiliby tak samo pisać i tak samo unieśmiertelnić się — wszystko to być może, tymczasem owoc spłodzony z książkowéj mozoły, jest tem w stosunku do płodu żywego natchnienia, co woskowa brzoskwinia do świeżo zerwanéj z drzewa. —

W poezyach z motywów greckich jak i naszych słowiańskich, podziwiam w *kwiatach i kolcach* nadzwyczajną żywość w obrazowaniu i niepospolity talent plastycznego uobecnienia nam każdéj postaci. Są to rysy tak szczęśliwe, tak mocne i dobitne, że czytelnikowi od razu wrażają się w pamięć, lubo częstokroć ku końcowi humorystyczny zwrot psuje poważny efekt początku.

Jakże to piękny, jak skończony obrazek: *Zwycięzca Hippodromu*! Poeta stawia się w osobie szermierza w gonitwach wozowych i jakby wyprzedzając polot kół warczących, z szalonym pędem lirycznym chwyta wszystkie uczucia i wrażenia jakie mogły przejść przez serce i głowę takiemu szermierzowi, co pędzi na złamanie szyi, aby tylko zyskał wieniec i mógł go u stóp kochanki złożyć... Wszystko tu jest objęte, zupełne, ściśnione, i nagłe — a tak uobecnione, że jakbyśmy gołem okiem patrzyli na ten sprząg wichrowy lecący w tumanie kurzawy, i druzgocący się u mety. —

Niech sam czytelnik osądzi:

Pędzim. Pył mglisty zrywa się w krąg świata,
Jak dym, gdy buchnął wiatr w zgliszcze, —
Tunika wzdęta furcząc w tył ulata,
W rozwianych włosach wiatr świszcze.

Ha! lecę pierwszy — inni — w błysk pioruna
Tuż za mną, szał mnie pochwyca...
W drżącéj się dłoni pręży lejc, jak struna,
Bicz śmiga jak błyskawica.

W oczach się mroczy, w uszach szum. O moje
Wichro-kopyte bieguny!
Feba słoneczny owies wam! wód zdroje
Płynące srebrem w blask Luny!

Pięć wołów w cześć twą, jak stanę przy kresie
Herkulu możny półboże!
Dziesięć! Dwadzieścia! Dwieście! Herkulesie
Spiesz! Bo za późno być może!...

O! tam, w tunice z śniegu, czarnobrewa,
Ściga mię wzrokiem Neera.
Zarumieniona, rąbkiem z mgły powiewa,
Serce jéj w piersi zamiera.

O słodka Wenus! Bogi wielowładne!
Och! wy mię wspomódz zechcecie!
O Ceusie! Ceusie! niechaj trupem padnę,
Bylebym upadł przy mecie!

Och! ten — tuż za mną — pędzi *znakomicie*, —
On mię dosięgnie — przeniesie...
O wichry moje! toż w miejscu stoicie?
O Ceusie! o Herkulesie!

Dopędza — w równi prawie już... O Bogi!
Toż wy mię odstępujecie?
Stoj! Stój! — Zawadzi... Trzask! Och! cios był srogi,
Ha! alem upadł przy mecie!...

O! wstać niemogę... krew — ból... Sprzęg wichrowy
Ostatki wozu w dal miota...
Gońcie je — w winie skąpać je! Podkowy
Z szczerego ulać im złota!

Ha! co? jam pierwszy — prawda! Śmiech mię szczery
Gdy w tył pamięcią pogonię...
Co? tylko żebra? — Co? i tylko cztery?
Dawajcie wieniec na skronie...

O piękna moja! wstrzymaj łzy niewieście,
To, co na skroni méj było,
To może spocząć u twych stóp, a wreszcie
Choćby nad moją mogiłą.

Prócz tych *wód płynących w blasku Luny*, które są zbyt poetyczną zachętą dla wiatro-kopytych bi egunów, prócz wyrażenia: *pędzi znakomicie*, nic niemalującego — wszystko zresztą wyborne w tym kawałku. — Równie pełny życia obrazek, jakby zdjęty z tych freskowych malowideł dawnego Rzymu i ożywiony nowem tchnieniem, jest *Tancerka Herkulanu*, którą poeta humorystycznie zlał z dzisiejszą baletnicą. *Bój-Zabawa*, inny kawałek w tonie całkiem przeciwnym maluje najście Persów na Grecyą; mąż wysłany na podsłuch donosi królowi że widział Greków bawiących się rzucaniem kręgu, wyścigami, i szermierką. — Dziwny lud bo swoi walczą swoich! — Król mu na to, że pewnie dla bogatéj nagrody idą w zapasy? — Wysłaniec zaprzecza, bo tylko o prosty wieniec lauru tak się dobijają. — Natenczas powstanie wódz jeden w narodzie i zawoła:

Cóżeś zrobił Mardonie!
Śmiercią jest niechybną z ludem takim spotkanie,
Nie nam zwalczyć lud ów — zgon nam mocny nasz Panie,

Marnie, w obcéj gdzieś stronie...
Liczba — moc to słaba. Wierzcie jako wam prawię:
Tym, co w bój się bawią, walczyć — równo zabawie,
Zginąć tym, co ich sięgą. —

Byłaby to prześliczna kompozycya, bo pomysł śliczny, gdyby ją nie psuła dykcya ciemna cokolwiek i wymuszona. Poeta pragnie być zwięzłym, lecz czasami miasto zwięzłości staje się zawiłym, ciężkim i ciemnym. Do szczęśliwych pomysłem utworów liczę wiersz: *Sprawa o królewnę*. Król Młot ma córkę o którą stara się trzech młodzieńców. Komu ją dać? Oto temu, powiada król Młot — kto mię na rękę przemoże. Występują do walki: lecz z królem Młotem trudna sprawa! bo oto pierwszego powalił, a po nim i drugi leży na ziemi; gdy przyszła koléj na trzeciego, oświadcza że niemyśli walczyć z ojcem téj o którą prosi w zamężcie, bo i ta dłoń uschnęłaby

która wiekowi czci dać nie umie.

Zastanowiło to króla, pomyślał i uznał, że kto umiał uczcić wiek, ten go najlepiéj zwalczył — oddał mu więc córkę, która również poznała się na wartości młodzieńca:

Tamci bo siebie, niż mnie, zbyt hardzi,
Ten mnie, niż siebie, miłuje bardziéj. —

W ogóle mogę powiedzieć że wszystkie te powiastki trzymane są w tonie epickim; ogromny w nich ruch i życie, plastyka figur nakreślonych częstokroć kilką potężnemi rysami daje dobrą wróżbę że śpiewak *kwiatów i kolców* umiałby podołać i poematowi większych rozmiarów w którymby postacie występowały samodzielnie

a nie jak teraz zwyczaj w rozwlekłych pogawędach, gdzie się wszystko opisuje lub opowiada przeplatane częstokroć reflexyami, dość prozaicznemi, a zawsze dydaktycznemi, opowiadającego. Porończe to dziecko epopei tak się ma zupełnie do swojéj matki, jak nasza zapieckowa epoka do epok bohatyrskich. — Wszakże niemogę ani chcę utrzymywać, żeby utwory Felicyana stały już na téj wysokości, która nic do życzenia niepozostawia; przeciwnie — grzeszy on często ciemnością wysłowienia się, mglistością rysów, a to szczególniéj w tych kawałkach gdzie usiłuje być filozoficznym, a jest tylko niezrozumiałym; gdzie miał wolę napisania, a nie natchnienie woli. Uważam także że ma pociąg do kakofonicznych wierszy, jak między innemi w téj pieśni mrożnéj *o gorącéj miłości*, którą zaczął takim wierszem:

O kraje lodów bez miodu i mleka!
Serce krającéj kry kraje!

Jest to zapewne igraszka dowcipu; ale nawet tam, gdzie nieigra w ten sposób sili się na styl twardy i szorstki, zapewne żeby rzucić rękawicę tym wymuskanym wierszopisom, co to oklepane rzeczy wypowiadają miodopłynnemi słowy. Wyszukiwanie zaś wyrazów twardogrzmiących i niezwyczajnych wcale niedodaje mocy poetycznym wyrażeniom, albowiem siła właściwa tkwi nietyle w słowie, jak w umiejętném i trafnem użyciu onegoż, a nadewszystko w sposobie oddania myśli, silnéj saméj przez się.

Tyle, co do dobrych i ujemnych stron *kwiatów i kolców* — teraz przychodzi mi pomówić słówko o najgłówniejszéj rzeczy, bo o charakterze tych poezyj w ogóle.

Wspomniałem już, że dostawszy je pierwszy raz do rąk, zastanowiłem się jakby na widok niespodziewane-

go zjawiska. Nietylko w stylu, ale i w obrobieniu pomysłów, a nadewszystko w zwrotach jakie pomysłom swoim poeta nadawał, nie trudno mi było odgadnąć humorystę, który do obrazów i scen wziętych z najpoważniejszéj strony przymieszywa sarkazm lub ironię najczęściéj ku sobie samemu zwróconą, a zatem niebolesną dla nikogo, a pokazującą przytem jakby dwa oblicza każdéj rzeczy na tym znikomym padole wielkości, pragnień, i marzeń...

Dziwiło mię dla czego krytyka niepodniosła zalet tych humorystycznych piosnek rozsianych tak obficie w *kwiatach i kolcach* — czy ten rodzaj uważała zbyt lekki, lub nieznaczący dla swoich szczytnych poglądów i stanowisk? — Co więcéj, przesłała nawet autorowi przestrogę aby niewpadł w to, czem zgrzeszył Henryk Heine. Ależ jak sądzę, przestrzeń dzieląca Felicyana od autora *Romancero*, tak jest szeroka, że jeszcze niema obawy. Tymczasem ta mięszanina tkliwości i ironii, lekkości i filozoficznéj głębi, miękkości i siły, tworząca naturę humorysty, zawsze należyć będzie do niezwykłych zjawisk w naszéj poezyi, która niekiedy przystrajając się w chmurną powagę arcykapłańską jakby dźwigała losy i przeszłość całéj ludzkości, potrzebowałaby żeby jéj ukazano prawdę w mniejszem zwierciadełku.—

W humorystycznych poezyach Felicyana można znaleść tę żywą, swobodną, nieobrażającą nikogo żartobliwość w połączeniu z tą poetyczną sympatyą, co umie czuć wszystko, zrozumieć i wyrazić. Myśl ciągle czujna, kapryśna, śmiała, z jednego ciągu wyobrażeń i przedmiotu rzuca się w drugi aby jaką tajemnicę serca wyświecić, jaką sprzeczność natury naszéj odsłonić, jaką prawdę rozdętą jak balon przekłuć i do właściwéj objętości sprowadzić. Dla tego też uśmiech, wesołość, polo-

tność, towarzyszą kapryśnéj i wałęsającéj się wyobraźni, lecz ta niefrasobliwość, niedbająca niby o cały świat, jest tylko pokrywką dla cichego smutku lub łez. Właśnie owa nagłość wrażeń, owe sprzeczności coraz nowe, są treścią i tajemnicą humorysty, który umie ogarniać naraz dwie strony życia, dzielić się między łzy i wesołość, i niezmordowaną fantazyą ożywiać przedmioty brane z najwyższych i najniższych sfer. —

Mogę powiedzieć że właśnie ta strona humorystyczna jest u Felicyana najoryginalniejszą, co jeszcze nieznaczy, aby już nic niezostawiała do życzenia — owszem, w wielu strofkach spotyka się pewne wymuszenie, dowcip naciągnięty, a o trywialność czasem tak blisko trąci, że prawie staje się płaskim. Kto ma przymioty humorysty, niepotrzebuje gonić za dowcipem — sam on przychodzi. — Dla tego nie wszystkie piosnki są równéj wartości. Do szczęśliwszych, bo nieznać w nich wysilenia, a mieszczących pomysł głębszy i trafnie ujęty, jest *Narcyz*:

Ile Nimf tylko, wszystkie są w rozpaczy,
W łzach mokrych, brudnéj żałobie;
Bo Narcyz żadnéj kochać z nich nieraczy —
Tylko się kocha sam w sobie.

I jak się począł miłować zajadle,
Tak, aż zdarzeniem dość rzadkiem,
Razu jednego spostrzegł się w zwierciadle,
Nie już człowiekiem, lecz kwiatkiem.

Chłopiec ten więcéj głupcem był, niż głazem. —
Jabo w podobnéj potrzebie,
Mógłbym się kochać w wszystkich Nimfach razem
A zawsze kochałbym siebie. —

Egoizm miłości wybornie scharakteryzowany w tym obrazku któremu nic dodać ni ująć nie można, bo znać że go artysta kreślił. Uczucie też artystyczne w wysokim stopniu wyrobione prowadzi rękę Felicyanowi kiedy pisze swoje poezyje.

Mam niepłonną nadzieję, że w następnych płodach, jakie ogłosi, pójdzie jeszcze daléj — i pewnie przepisywać siebie nie będzie, ani trzymać się Heinego.

Lucyan Siemieński.

KWESTYE I PRZYMIERZA.

Ktokolwiek spokojnem okiem przypatruje się codziennym wypadkom, nie przywiązuje zbytecznéj wagi do jakiejkolwiek kwestyi, sądzi bezstronnie o istniejących przymierzach, a zwłaszcza nie zapuszcza się w domysły i przypuszczenia, mając przekonanie, że aby takowe na pewnéj oprzeć podstawie, potrzeba mieć udział w sferach dyplomatycznych i gabinetowych, to jest tam gdzie się sprawy polityczne traktują; — ten bezwątpienia, na widok obecnej sytuacyi politycznéj w Europie, zadaje sobie pytanie: gdzie istotnie leżą owe trudności, które rzeczywiście czy pozornie bieg polityki hamują i sprowadzają ów chwilowy zamęt, który wszystkich uderza i społeczność pewnym niepokojem nabawia?... Czy szukać tych trudności wypada w samychże kwestyach, których roztrzygnięcie zadaniem jest teraz dyplomacyi? czy upatrywać je w niedostatku środków traktatem podanych i w przymierzach, które wykonanie ściśle warunków traktatu zaręczyły? Czy na-

reszcie owe nieprzebrane źródło jak się zdaje trudności, znajduje się w samymże systemacie politycznym, z którego wyniknął traktat 30 marca?...

Kwestye czyli sprawy zajmujące w téj chwili świat polityczny są różne i dzielą się na trzy oddziały: W pierwszym oddziale stoją kwestye, które są pozostałością po sprawie wschodniej, a z tych znów jedne określone w traktacie paryzkim, jakoto Bołgrad i Księstwa naddunajskie, inne które się z wykonania traktatu wywiązały, jakoto sprawa o wyspy Wężowe, o ewakuacyę Księstw naddunajskich, Morza Czarnego i Grecyi. W drugim oddziale znajdują się sprawy jak neapolitańska, które początek wzięły na konferencyach i lubo nie mają z traktatem bezpośredniego związku, wszelako równocześnie prawie z nim wystąpiły, i należą niejako do systematu, który w Europie wziął przewagę. W trzecim nakoniec są sprawy całkiém odrębne od traktatu i dzieła konferencyi, jak neufchatelska, ale które przy ogłoszonéj solidarności politycznéj państw, uważane także być muszą za europejskie, i załatwione być nie mogą tylko za porozumieniem się wszystkich mocarstw. Wiele innych spraw się pomija, naprzykład amerykańską, duńską, jako nie przedstawiające tak chwilowego i ważnego zajęcia w polityce europejskiéj.

Wymienione kwestye sąż do rozwiązania tak trudne, aby tą trudnością wytłómaczyć się dało dostatecznie zjawisko, iż od kilku miesięcy widać je ciągle na porządku dziennym polityki, bez żadnéj prawie zmiany; że zwłaszcza od miesiąca nie postąpiło ani kroku naprzód ich rozwiązanie, a co gorsza nawet, że coraz większe panuje w nich zawikłanie?... Zważając na nie bliżéj, i sprowadzając je jeżeli tak wyrazić się wolno, do najprostszego mianownika, trudności w istocie samychże spraw zawarte nie odpowiadają usiłowaniom ku załatwieniu ich łożonym.

Utrzymanie się przy posiadaniu Bołgradu jest zapewne ważną dla Rosyi sprawą, już to z powodu, że miasto to znaczną w osadach tamecznych gra rolę, już też dla korzystnego położenia jakie gród ten w sąsiedztwie z Dunajem zajmuje. Pojąć więc łatwo, że Rosya obstaje przy Bołgradzie, zwłaszcza gdy pomyłka przy wytknięciu nowéj granicy na konferencyach niezaprzeczenie dała jéj prawo upierać się przy opisanym w traktacie kierunku. Prawda, że pomyłka była mimowolna, że błąd na mapie jeograficznéj stał się jéj źródłem; ale i to prawda, że jeżeli kiedy, to w tym razie nie możnaby mieć za złe nikomu, a tem mniéj Rosyi, która już i tak znaczne czyni terytoryalne ustąpienia. Jednakowoż, dla tego właśnie, że mocarstwo to w interesie pokoju i Europy do niejednéj i nie równie większéj skłoniło się ofiary, wnosić wolno, że upór jego w téj kwestyi nie może być tak stanowczy, aby wszelki układ czynił niepodobnym. Po ustąpieniu Izmajłowa, Reni a zwłaszcza Suliny, czy podobna aby Rosya miała zamiar rozpoczynać spór z Europą o Bołgrad. Czy nie można się w téj mierze ułożyć? W niejednym już dzienniku nawet czytać można było projekt do zgody, który bardzo rozumowo uwzględniał interesa Rosyi i reszty mocarstw, na traktacie podpisanych. Czyż dyplomacya miałaby tym razem pozostać w tyle co do pojednawczych pomysłów? Nadto i ta uwaga, że kwestya Bołgradu tamuje dalszy ciąg spraw na Wschodzie, — że dopóki ukończonem nie będzie to nieszczęśliwe rozgraniczenie Besarabii, organizacya Księstw naddunajskich nastąpić nie może, — że zajęcie Księstw przez wojska austryackie znajduje w zawieszeniu kwestyi Bołgradzkiéj usprawiedliwienie swe, a zajęcie znów tych prowincyj przez obce wojska, wywołuje niejako obecność floty angielskiéj na Morzu Czarnem, co Rosyi nie może być na rękę — te wszystkie względy popierają mniemanie,

że upór Rosyi nie samą jedną jest tylko trudnością na której zatrzymuje się rozwiązanie kwestyi Bołgradzkiéj. Jakoż w istocie, Rosya poddaje się naprzód wyrokowi jakiby w téj mierze orzekł nowy kongres zebrany w Paryżu.

Cóż dopiero powiedzieć o kwestyi tak zwanéj Wysp Wężowych?...Możnaż myśleć, aby sprawa o skałę nieużytą i niezamieszkalną, o latarnię morską którą oświecać chcą i Rosyanie i Turcy, o garnizon złożony z siedmiu biedaków, których los przypomina Robinsona Kruzoe, aby podobna sprawa ukrywała we wnętrzu swojem trudności nie do pokonania dla dyplomacyi europejskiéj?...Każda sprawa zapewne gdzie chodzi o prawo wielkiego państwa jest kwestyą ważną, ale nie daż się ona ułożyć, kiedy utrzymanie tego prawa natrafia na przeszkody takie naprzykład, jak się to dzieje przy Wyspach Wężowych, gdzie okręty angielskie niepozwalają przybliżyć się statkom rosyjskim? Nie daż się zwłaszcza ułożyć sprawa, któréj przedmiot prawie mikroskopiczny, a doniosłość tak wielka że trąca o zasadę niezmiernie dla Rosyi ważną, o zasadę neutralności Morza Czarnego, którą ona zachować musi dla braku okrętów, a którą Anglia nadwerężа bezkarnie, biorąc za pochop postępowanie i upór Rosyi w kwestyi Wysp Wężowych? To też Rosya i tę kwestyę oddaje pod rozstrzygnienie nowego kongresu gdyby się takowy zebrał w Paryżu, lub też całkiem od niéj odstępuje.

Kwestya Księstw naddunajskich zależy jak wiadomo od załatwienia kwestyi bołgradzkiéj. Dopóki ta ostatnia nie jest usuniętą, komisye w Bukareszcie i w Jassach nie mogą przystąpić do działania. Czemuż więc widać pomimo tego z góry zapowiedzenia, kwestyę tę o Księstwa występującą coraz w innéj formie, a zawsze z trudnościami które ją ciągle na tym samym trzymają punkcie? Sąż one tak wielkie? nieprzełamane? O cóż rze-

czywiście chodzi w téj kwestyi, o któréj tomy już naczytać się można było od roku? Czy o to aby narodowość romańską zabezpieczyć na przyszłość?... Czy o to, aby prowincyom tym odrębny i właściwy nadać charakter, i wzmocnić je tak aby z nich przedmurze dla Turcyi wystawić?.... Czy o to, aby mieszkańców tamecznych, raz na zawsze od przewagi, czy Turcyi czy Rosyi zasłonić i przedstawić w tych krajach niejako wzór swobód jakich używać mają wszyscy rajasy czyli chrześcianie pod tureckiém zostający berłem?... Upatrywać takie cele w kwestyi Księstw naddunajskich, byłoby złudzeniem. Któż raczéj nie widzi, że idzie o to, aby organizacya tych prowincyj dała dostateczne rękojmie dla spokojności państw których kraje z niemi graniczą; że idzie o to, aby prowincye nie zamieniły się w kraj mogący się stać przytułkiem dla ludzi których obecność niepokoićby mogła, w kraj gdzie wpływ lorda Palmerstona, lub Francyi nie cesarskiéj, ale rewolucyjnéj mógłby działać swobodnie i rozpościerać się ze szkodą tego lub owego granicznego mocarstwa? Nie idzie przeto o połączenie Mołdawii z Wołoszczyzną, ani o ustalenie raz na zawsze bytu tych krajów, ale o nadanie władzy Sułtanowi aby się mógł zastósować w razie danym do życzeń tego lub owego ościennego państwa, ale o pogodzenie paragrafów zapisanych w traktacie na korzyść Księstw naddunajskich, z wymaganiami przewidywanemi polityki ościennéj. Otóż i cała trudność. Czemuż porozumienie idzie tak oporem, skoro trudność niezbyt wielka a właśnie téj natury, to jest należy do rzędu tych trudności, w których rozwiązywaniu dyplomacya europejska od kongresu wiedeńskiego wielką miała wprawę, i posiada też niezaprzeczoną w rozstrzyganiu podobnych spraw biegłość?...

O zajęciu Księstw naddunajskich przez wojska austryackie i o obecności floty angielskiéj na morzu Czar-

nem, nie ma co mówić. Kwestye te jak dzisiaj, zawisły od poprzednich to jest od kwestyi bołgradzkiéj i kwestyi wysp Wężowych. Z usunięciem trudności co do granicy besarabskiéj i co do posiadania wysp Wężowych, upada kwestya o ewakuacyą Księstw, i o nadwerężenie zasady neutralizacyi morza Czarnego przez Anglią. Podobnież co do Grecyi, z ukończeniem sprawy Wschodniéj stósownie do warunków w traktacie z 30 marca położonych, znika powód konsystencyi wojsk i flot sprzymierzonych w Pireu. Możnaby w prawdzie, i może nie bez przyczyny, postawić pytanie: czy Austrya i Anglia w razie nawet załatwienia kwestyj o Bołgrad i o wyspy Wężowe, bądź przez ustąpienie Rosyi,bądź za pomocą kongresu, uznają za stósowne odwołać posterunki swoje na Wschodzie? lub czy Francya i Anglia nawet po dokonaniu wszystkich warunków traktatu z 30 marca nie znajdą powodu bądź w niesnaskach greckich, bądź w rabusiostwie, lub innych okolicznościach do utrzymania swych straży na wodach Peloponezu?...Ale to pewna, że w tym razie kwestye wyniknąć ztąd mogące, na innéj całkiem opierać się będą podstawie; że trudności jakieby się ztąd wykłuły, w innem znów upatrywać by należało źródle; że dzisiaj są to tylko przewidzenia lub przypuszczenia które jakkolwiek wchodzić mogą w rachubę dyplomatycznych kombinacyj, nie mogą tak przeważnéj w nich odgrywać roli, aby hamować miały bieg wszelkich układów w kwestyach tyczących się sprawy Wschodniéj.

Kwestya neapolitańska, jest sprawą wpływu przymierza francuzko angielskiego na konferencyach paryzkich, jest jeżeli po prostu wyrazić się wolno, ogonem tychże konferencyj. Za taką i za taką jedynie uważać ją należy. Byłoby to złudzeniem i do tego wielkiem, sądzić, że kwestya neapolitańska jest kwestyą włoską, a nawet że w niéj leży zamiar wywołania takowéj kwestyi. Kwestya włoska powstaćby z niéj mogła, ale w tedy stało-

by się to całkiem od ludzkich usilowań niezawisle, nawet na przekor tymże, przeciwko ich chęci; stałoby się to przypadkiem, nieprzewidzianie, tak jak naprzykład ze sporu turecko rosyjskiego wybuchła wojna Wschodnia, a nawet bardziéj jeszcze pomimowolnie, bo każde porównanie nieco kuleje. Byłoby to złudzeniem myśleć, że tu idzie o narodowość włoską, lub o jakieś plany zjednoczenia Włoch, lub nareszcie o jakąkolwiek zmianę w *statu quo* dzisiejszem auzońskiego półwyspu. O gdyby tak było, to trudności zapewne byłyby nader wielkie, ani dziwićby się można że dyplomacya poradzić im nie jest w stanie, że sprawę tę od miesięcy kilku na tym samym widzimy stopniu. Ale o cóż idzie rzeczywiście w kwestyi neapolitańskiéj, jaką jest obecnie? O to naprzód że przymierze angielsko-francuzkie nie może być biernem ale musi być czynnem, idzie więc o przedmiot działalności przymierza. W nieczynności nastąpiłby rozstrój przymierza, sprowadzony różnicą stanowisk obu mocarstw, różnicą ich interesów i siłą dawnych wiekowych tradycyj. Idzie daléj o utrzymanie a zarazem o wykazanie wpływu tego przymierza na Zachodzie, wpływu moralnego a raczéj cywilizacyjnego Francyi, i materyalnego Anglii. Na zaspokojenie więc tego celu, a oraz na załatwienie całéj kwestyi wystarczyłoby kilka małych koncessyj ze strony króla Neapolitańskiego, otrzymanych z przyzwoleniem Austryi. Czyż można się tu dopatrzeć tak wielkich i nieprzełamanych trudności?... Czyż podobna zaprzeczyć aby wpływ Francyi i Anglii na południu Europy nie istniał? a nadto aby nie miał być naturalnym? czy nie istniał on zawsze?... Skądże ów opór jaki w téj chwili wywołuje, opór większy niż kiedykolwiek, a właśnie wtedy, gdy mocarstwa zachodnie są przymierzem spojone?... Wprawdzie żądania ich uderzają w zasadę wielce drażliwą, w zasadę interwencyi obcych mocarstw w sprawy wewnętrzne niepodległego

państwa. Ale kiedyż tu nie chodzi bynajmniéj o naruszenie w czemkolwiek ani godności ani niepodległości korony Obojga Sycylii, dla których tak Anglia jak Francya wyznają największe poszanowanie, nie chodzi również ani o zmianę stosunków poddanych do króla, ani o zmianę całéj administracyi; chodzi tylko o małe koncessye, o kilka małych królewskich dekretów, które monarcha *proprio motu* każdéj chwili ogłosić może. Ileż to razy widzieć można nierównie radykalniejsze zmiany, nie równie twardsze i przykszejsze żądania postawione słabszym przez wielkie mocarstwa, a przeprowadzone za pomocą dyplomacyi, która pogodzić umiała nieraz prawo interwencyi i z godnością korony i z niepodległością państwa? Czemuż dziś w daleko łatwiejszéj sferze dokazać tego nie może?...

Kwestya neufchatelska, która późniéj nieco weszła w poczet spraw europejskich bieżących, lubo całkiem niezawisła i niemająca styczności ani z traktatem 30 marca, ani z konferencyami odbytemi w Paryżu, pominiętą wszakże być nie może, albowiem z powodu systematu solidarności państw w Europie, wywiera chociaż niebezpośrednio ale niepośredni wpływ na czynności dyplomatyczne i na skład przymierzy i mocarstw w równowadze politycznéj. Kwestya ta jest walką między prawem króla Pruskiego do księstwa Neufchatelskiego, i faktem przez który Zgromadzenie Szwajcarskie Neufchatel wyłącznie za kanton związkowy uważa, i li jako takowy do konfederacyi wcieliło. Jest fakt dokonany po zwycięztwie Zgromadzenia Związkowego nad Sonderbundem w r. 1847, i niezaprzeczony przez nikogo, w obec prawa uznanego przez kongres Wiedeński. Fakt nie znosi prawa — tak się wyraziły w protokule konferencye londyńskie w r. 1852, i starały się pogodzić pierwszy z drugiém. Trudność dzisiaj zdaje się być ta sama co w r. 1852, z tą tylko różnicą, iż Szwajcarya

żąda obecnie aby król Pruski zrzekł się prawa, i tym sposobem aby kwestya raz na zawsze uchyloną została.

Owóż z tego jakkolwiek pobieżnego, ale po prostu i otwarcie skreślonego przeglądu ważniejszych spraw europejskich, obranych z frazesów dziennikarskich i dyplomatycznych przyborów, które je zaciemniają, przekonać się można, że trudności jakie te kwestye przedstawiają nie leżą w istocie tych spraw; chyba że pod ich zasłoną ukrywają się inne interesa dla opinii publicznéj niedostępne a przeto całkiem nieznane. Trudności widoczne nie są ani tak wielkie, ani tak do przełamania niepodobne, aby przypuścić można, nie odejmując nawet i nie ubliżając bynajmniéj ważności tych spraw, że dyplomacya, która potrafiła wyjść zwycięzko z zawikłania w sprawie Wschodniéj, zawrzeć w przeciągu miesiąca traktat ogólny i przywrócić pokój europejski, niezdołała od pół roku załatwić podrzędnych kwestyj i tym sposobem narażała na szwank spokojność i najdroższe życzenia całéj społeczności. Inaczéj byłoby prawdziwie: „morze przepłynąć a na Dunajcu zginąć.“ Jeżeli zaś trudności główne sprowadzające obecny zamęt w polityce, nie znajdują się w samych sprawach, to jest w ich istocie, natedy w poszukiwaniu ich źródła wypada sięgnąć nieco wyżéj, to jest do sposobów użytych na załatwienie kwestyj, do przymierzy które ich rozwiązanie zawarowały, a wreszcie do systematu opartego na tych przymierzach.

Że sposoby wskazane i określone traktatem z 30 marca na załatwienie kwestyj, które w zawieszeniu zostawił, nie były dostateczne, o tem cała Europa była aż nadto od samego początku przekonaną. Co większa trudno było wątpić, aby w wyznaczonych owych komissyach nie miał znajdować się nie jeden wątek nowego zawikłania. Komisye złożone były z reprezentantów mocarstw nie mających żadnego bezpośredniego interesu

w kwestyach nad rozwiązaniem których pracować miały. Solidarność wszystkich mocarstw w interesach europejskich, zasada teoretyczna, nie mogła w praktyce odpowiedzieć jak należy. Zwłoka przynajmniéj była już konieczną. Nadto komisye rzeczone są to jakoby małe kongresy, z tą różnicą że nic stanowczo ukończyć nie mogą. Mają przeto wszystkie ich wady, bez posiadania głównéj zalety. Winny tylko prace przygotować, kwestye wyrobić— orzeczenie i rozstrzygnięcie zostaje przy kongresie. Trudności więc jakie przy komisyi pierwszéj powstały, nie mogły być wcale usunięte, bo żadne pojedyncze mocarstwo nic w téj mierze postanowić nie może. Na dobrą sprawę trzebaby ciągłego kongresu. Co tém gorsze musiało mieć następstwa, że trudności mogą wyjść od pojedynczego państwa, ale nie mogą być przez pojedyncze państwo usunięte. Jest to niejako *liberum veto* zastósowane do Europy i w dyplomatycznéj formie.

Lecz niepraktyczność owych komisyj, do któréj dołączyła się zwłoka, gorsze jeszcze sprowadzić musiała wypadki. Jakoż w rzeczy saméj, trudności których komisya do wytknięcia granicy besarabskiéj wyznaczona, uchylić nie zdołała, wywołały nową kwestyę o ewakuacyę Księstw naddunajskich; zajęcie zaś wysp Wężowych zatrzymało flotę angielską na morzu Czarnem nawet po terminie przepisanym w traktacie; a to znów wszystko stało się powodem że niektóre gabinety głośno przemawiać zaczęły o niewykonaniu warunków traktatu z 30 marca, oskarżając o to, to Austryą lub Anglią, to znów Rosyą, niezgadzając się atoli wcale, czy traktat w istocie swojéj złamany został, czy też, jak dalece i przez kogo został nadwerężony.

Zdawać się mogło, że obrót rzeczy takowy, był z góry przewidziany przez same gabinety. Niepoprzestając bowiem na przymierzu francuzko-angielskiém, na przy-

mierzu poczwórném między Anglią, Francyą, Turcyą i Sardynią, które wojnę z Rosyą prowadziło, na przymierzu z 2go grudnia, między Austryą, Francyą i Anglią, które się najwięcéj do ukończenia wojny przyłożyło, niepoprzestając nawet na zgodzie siedmiu mocarstw, Austryi, Anglii, Francyi, Prus, Rosyi, Sardynii i Turcyi, które zawarły i podpisały traktat pokoju, pod warunkami przez wszystkie solidarnie zagwarantowanemi— uznano jeszcze potrzebę zawarcia osobnego traktatu na d. 15go kwietnia, i wzmocnienia nim przymierza z 2go grudnia. Cóż sprzymierzeńcy z 15go kwietnia mieli na oku, jeżeli nie wykonanie warunków traktatu z 30go marca, pod zagrożeniem nawet, że niedotrzymanie podpisanych warunków pociąga za sobą *casus belli?* Któż zatem miał rozstrzygać czy traktat dotrzymany lub nie, jeżeli nie Francya, Anglia i Austrya?... Skądże więc dzisiaj owa kwestya o niedotrzymanie traktatu, a oraz niepewność kto go niedotrzymał i w jakich warunkach?.. Stąd, że aby przymierze z 15go kwietnia mogło było w téj mierze rozstrzygać, trzeba koniecznie na to zgody między sprzymierzeńcami, a rzecz się ma inaczéj. Przymierze z 15go kwietnia dostarczało rękojmij aż nadto wystarczających, że warunki traktatu zostaną wykonane, ale w przypuszczeniu, że mocarstwa przymierze, składające jednego w tym względzie będą zdania. Otoż prawdziwa trudność, o którą rozbijają się usiłowania dyplomacyi, otóż prawdziwa przyczyna zamętu obecnego w polityce. Zastanowić się warto, czy mogło być inaczéj w systemacie inaugurowanym przez traktat 30go marca.

Powiedział, i to nie dzisiaj, któryś z publicystów, że jak przyjaźń między ludźmi zawisła nie od podobieństwa charakterów, ale od ich różnicy, tak trwałość przymierzy między narodami zawisła znów nie od tożsamości ich interesów ale właśnie od ich sprzeczności.

Miał po części słusznie; zwłaszcza dawniéjsze dzieje polityki narodów popierają to zdanie, nie udowodniają jednak tak ogólnie, aby nie przestało ono należeć do rzędu paradoksów politycznych. Wszelako to pewna, że w polityce narodów, tożsamość interesów wywołuje konkurencyą i antagonizm, sprzeczność zaś interesów usuwa te dwa żywioły bardzo dla przymierzy niekorzystne. Sprzeczność ta niewyklucza z resztą aby narody będące w przymierzu nie miały mieć jednego interesu wspólnego, który je właśnie kojarzy, ale niebezpiecznem jest bezwątpienia aby ich interesa w ciągłéj styczności, na wszystkich miejscach zostawały. Były wszakże między narodami i inne okoliczności, nie tylko same interesa, które dawniej powodowały w zawieraniu przymierzy; była jedność religii, formy rządu, wspólność tradycyj, pochodzenia, wreszcie pokrewieństwa panujących, a to wszystko nieraz zwycięzko przeważało trudności jakie jedność interesów w utrzymaniu przymierzy stawiała.

Lecz w polityce państw, gdzie wszystkie te zwyż wspomniane okoliczności, nic wcale albo przynajmniéj bardzo mało ważą, gdzie interes państwa wszelkie inne nie tylko góruje, ale nawet je w sobie zestrzelił a nawet pochłonął, na utrzymanie przymierza nie wystarczy ani tożsamość ani sprzeczność interesów, potrzeba czegoś więcéj jeszcze. Potrzeba podstawy, na któréj się opiera zawarte przymierze, i celu w którym działa. Podstawa musi to być czyn wspólnie dokonany przez państwa, które zawarły przymierze, którego następstwa wiążą je z sobą, i sprawiają, że interes państwa każdego z osobna, wymaga utrzymania przymierza. Cel musi być wyraźnie i praktycznie wytknięty, nieustający i ściśle połączony z interesem państwa. Na tem zawisła trwałość przymierzy między państwami. Skoro tylko usunie się podstawa, lub przestanie być potrzebną

dla interesu państwa, albo też, skoro cel dopiętym zostanie, lub znajdzie się w sprzeczności z interesem państwa — rozwięzuje się przymierze, i trwać mu nawet na papierze dość trudno. Historya polityczna państw europejskich od czasów Reformacyi dostarczyłaby nie jednego w téj mierze przykładu, ale nie ma przyczyny sięgać tak daleko. Czemuż nie trwały wszystkie przymierza na początku tego wieku zawarte, za napoleońskich jak to mówią czasów? Bo nie miały podstawy. Cel miały w prawdzie, koalicya przeciw Anglii najczęściéj, ale to nie dosyć. Za każdą kampanią nowe występowały przymierza. Czemu trwało tak długo święte przymierze? bo miało podstawę, czyn jeszcze z wieku przeszłego, i cel pokonanie Neapoleona i zasad rewolucyi francuzkiej. Miało ono warunki potrzebne do utrzymania przymierza w polityce państw, i dla tego wielu utrzymuje dziś jeszcze, że jeżeli nie istnieje już co do formy to nie przestało istnieć co do ducha. Coż powiedzieć o poczwórnem na przykład przymierzu za Ludwika Filipa, któremu brakowało i podstawy i celu?.. Przymierzom zaś dzisiejszym wywiązanym ze sprawy Wchodniéj w przeciągu trzech lat ostatnich nie można także przyznać, aby posiadać miały te główne warunki. Wojna bowiem nie jest jeszcze czynem mogącym służyć za podstawę przymierza, bo jeżeli nie zmieni *statu quo* poprzedniego, to następstw niema żadnych, prócz jednego nieuniknionego, jak pogoda po deszczu, to jest pokoju. Wojna na Wschodzie odbyta, właśnie była taką. A nawet gdyby i wojna Wschodnia uważana być mogła za podstawę przymierzy, gdyby zmiany w Besarabii, na morzu Czarnem, mogły być uważane za zmiany w poprzedniém *statu quo*, to jeszcze na téj podstawie oparte przymierza nie miałyby ściśle wytkniętego, praktycznego, i ciągłego celu. Wykonanie traktatu to tylko koniec wojny. Interesa europejskie, równowaga,

to ogólniki które zbyt różnie tłómaczyć się dadzą — a cóż dopiero powiedzieć o interesie cywilizacyi europejskiéj, mającym być celem głównym przymierzy obecnych! Jakże się spodziewać można aby interes państwa, każdego z mocarstw sprzymierzonych, dał się zawsze pogodzić z tak obszernym i nieokreślonym celem?... To też interes każdego państwa w szczególności niebawem wystąpił, i sprawił różnicę w zapatrywaniu się na jedne i te same kwestye a nawet na warunki traktatu z 30go marca. Stąd niepewność, chwiejność przymierzy i osłabienie ich wpływu — jedna z głównych przyczyn panującego dzisiaj w polityce europejskiej zawikłania.

W przymierzu angielsko-francuzkiem prawdziwa zgoda trwała tylko tak długo jak trwała wojna. Już gdy szło o jéj ukończenie ukazywały się symptomata nieporozumienia, bo Francyi w wojnie szło tylko o zdobycie a przynajmniéj o odzyskanie stanowiska; Anglia miała inne materyalne widoki. Bezinteresowność przy zawarciu pokoju pomagała Francyi do pochwycenia przewagi na polu moralném; Anglia widziała tylko na próżno łożone koszta i ofiary. Interes cywilizacyi europejskiéj jest środkiem dla Francyi, Anglia uważa go za koncesyą. Inne też stanowisko Francyi na Wschodzie, inne w kwestyi neapolitańskiéj aniżeli Anglii. Francyi wpływ na Wschodzie był zawsze moralny. Anglia boi się o utratę swego rzeczywistego wplywu. Francya może się zbliżać do Rosyi, Anglia musi z nią w ciągłych zostawać zapasach. Bołgrad, wyspy Wężowe, nieusprawiedliwiają w oczach Francyi zajęcia Księstw naddunajskich ani obecności floty angielskiej na morzu Czarnem, nie stanowią powodów do oskarżenia Rosyi o niedotrzymanie traktatu; gdy tymczasem pobyt wojsk i flot obcych na terytoryum i wodach tureckich po upływie terminu w traktacie oznaczonego, są nadwerężeniem onegóż. Anglia w tych samych kwestyach widzi zwło-

kę w wykonaniu warunków traktatu, a wyspy Wężowe służą jej za pozór do utrzymania swéj przewagi na morzu Czarnem. W kwestyi Księstw naddunajskich Francya postępuje ciągle w kierunku, który został ogłoszony przez opinią publiczną za cywilizacyjny; Anglii połączenie się księstw naddunajskich jest całkiem obojętne, a przynajmniej podrzędne, ztąd zbliża się więcéj do Austryi, i przewagę swego wpływu powiększa w Turcyi. Anglia obawia się Rosyi w zatargach swoich z Persyą, bacząc na swoje posiadłości indyjskie; Francya wpływ Rosyi w Azyi znajduje naturalnym, bo cywilizacyjnym. Toż w Neapolu, Francya chce tylko ustalić swą moralną przewagę, bez poruszenia rewolucyjnych żywiołów; Anglia ma swoje materyalne widoki, a o zamięszanie jakie ztąd wyniknąć może bynajmniéj jéj nie chodzi. Słowem, istota nawet przymierza inaczéj jest pojmowana we Francyi, a inaczéj w Anglii, lubo dla obudwóch są one tylko środkiem. Dla Francyi każde przymierze jest korzystnem w téj chwili bo każde jéj pomaga do osiągnienia owéj przewagi moralnéj do któréj dąży, ale zarazem nie chce i nie może wiązać się żadnem przymierzem zbytecznie, aby zostać najwyższym spraw europejskich rozjemcą, być sprzymierzeńcem ale nigdy narzędziem; Anglia takie tylko chce mieć przymierza i te tylko mocarstwa za sprzymierzone z sobą uważa, ktore służą jéj polityce, jej widokom, które nie są bynajmniej wyłącznie cywilizacyjnemi, jej interesom, które nie są również koniecznie interesami europejskiemi. Francya mogła interesa tak zwane cywilizacyi europejskiej, przyjąć za cel przymierza, bo interes państwa w téj chwili zostaje przypadkiem z nimi w zgodzie, dla Anglii cel ten musiał zostać tylko pozorem i firmą.

W przymierzu potrójnem z 2go grudnia, odnowionem przez zawarcie traktatu z 15 kwietnia, do stanowisk

już dość różnych Francyi i Anglii, przydać trzeba stanowisko Austryi, znów całkiem odrębne. Austrya miała swoje widoki; odpowiednie interesowi państwa, przystępując do tego przymierza. Protektorat Rosyi w Księstwach, jéj panowanie przy ujściach Dunaju, były sprzeczne, z tym interesem, ale i wojna w dalszem swém rozwinięciu nie małém zagrażała niebezpieczeństwem. Starała się przeto o jéj ukończenie ale widoki jéj w czasie pokoju zostały te same. Połączenie Księstw równie nieodpowiada polityce państwa jak protektorat rosyjski. Mniéj dba Austrya o przewagę Anglii na morzu Czarnem, przeto gdy obecność tamże floty angielskiéj tłómaczy poniekąd zajęcie Księstw przez jéj wojska, obojętnie na to spogląda. Wyspy Wężowe leżą przy ujściu Suliny, ztąd pochop zbliżenia się w téj kwestyi do Anglii. Anglia zresztą nie dba o połączenie Księstw, walczy z wpływem Rosyi nieprzychylnym w téj chwili dla Austryi, Anglii obawia się Austrya w Neapolu nierównie więcéj niż Francyi, wszystko stawia Austryą po stronie Anglii. Francya znów zbliża się do Rosyi, co musi niepokoić, Austryą i Francyi nie potrzebuje Austrya dla przewagi w Niemczech, bo ją kwestya Neufchatelu od strony Prus w téj chwili zaspakaja; przeto nie popiera ona polityki francuskiéj co do tłómaczenia warunków traktatu z 30 marca, a nawet odmawiając ewakuacyi Księstw naddunajskich, wprost przeciw niéj staje. We Włoszech całkiem inny znów Austrya ma interes, niż Francya i Anglia, życzyć sobie tam nie może wpływu ani jednego ani drugiego z tych mocarstw, przeto i tam działanie przymierza nie może być zgodne i silne. Ale Austrya trzymając się Anglii, pobłażając jéj polityce na Wschodzie, może otrzymać pewne we Włoszech koncessye i oddalać niebezpieczeństwo grożące z téj strony trzymając równowagę między swemi dwoma sprzymierzeńcami. Interes cywilizacyi europejskiéj uważany za

cel przymierza 2go grudnia o tyle tylko się zgadzał z interesem państwa, o ile szło o przywrócenie pokoju; zaś wykonanie warunków traktatu z 30 marca, postawione za cel przymierza z 15 kwietnia, o tyle może być celem o ile się to wykonanie zgodzi z interesem państwa.

Przymierze zaś siedmiu mocarstw zasiadających na konferencyach w Paryżu, jeżeli zawarcie pokoju i podpisanie traktatu przymierzem nazwać można, posiada mniéj jeszcze warunków trwałości przymierza, bo jedności nawet celu dopatrzeć się tam nie można po przywróceniu pokoju. Jakże przypuścić aby Rosya i Turcya ten sam miały interes w traktacie z 30 marca? Aby Austrya, Anglia i Rosya warunki traktatu jednakowo tłómaczyły? Na to musiałoby każde z tych mocarstw spuścić z oka główny interes państwa. Nadto przymierze angielsko francuzkie starało się w owem przymierzu utrzymać niejaką przewagę; chciało korzystać z swéj bezinteresowności, żądało ofiar w imieniu ofiar położonych, a otrzymywało tylko koncesye. Przymierze zaś z 2go grudnia, wywoływało i koniecznie wywoływać musiało pewien antagonizm innych mocarstw, jako siła która bądź co bądź nakładała warunki innym mocarstwom, choćby tylko dla tego, że życząc sobie pokoju oprzeć się im nie mogły. Ale ztąd jeszcze do zgody daleko. Jakoż zaledwie pokój nastąpił, Rosya któréj polityka Francyi więcéj niż angielska była na rękę, zbliżyła się do niéj. Stanowisko rozjemcze i przewagi moralnéj, które Francya utrzymać się stara, Rosya popiera nie wzbraniając się bynajmniéj poddać sprawę Bołgradu i wysp Wężowych pod decyzyą nowego kongresu w Paryżu. Ale Anglia niepokoi ją na morzu Czarnem, Austrya w Księstwach naddunajskich, przeto upartuje ona nadwerężenie warunków traktatu, i tu zgadza się z Francyą. W kwestyi neapolitańskiéj zgadza się znów więcéj

z Austryą niż z Francyą i Anglią, występuje bardzo wyraźnie przeciw żądaniom mocarstw zachodnich, a w obronie praw niepodległości i godności korony Obojga Sycylii. Ale z drugiéj strony, aby osłabić wpływ austryacki a zarazem zachodni, podaje rękę królowi Sardyńskiemu, który znów jak wiadomo pierwszy żądał reform w państwie neapolitańskiem. — Turcya zostawszy państwem europejskiém, usiłuje zachować wszystkie zawarte przymierza, i korzystać z panującéj w nich niezgody. Położenie jéj atoli jest trudne. Potrzebuje Anglii aby walczyć z wpływem rosyjskim, ale radaby utrzymać zasadę zamknięcia Ciaśnin, bo inaczéj jest na łasce floty angielskiéj. Zbliżanie się do Anglii, oddala od niéj Francyą. W kwestyi Księstw naddunajskich, Austrya znów popiera silniéj jéj prawa aniżeli Francya a nawet Anglia. — Prusy również nie chciałyby się w téj chwili poróżnić a żadnem mocarstwem. Ale cóż z tego? Dawny sprzymierzeniec jéj Rosya chętnym widziałaby okiem Prusy popierające związek jéj z Francyą a oraz widoki przeciw Anglii i Austryi. Lecz bliski ślub księcia pruskiego z córką królowéj Wiktoryi, wiąże Prusy z Anglią — a znow kwestya neufchatelska wymaga oględności dla Austryi. W żadnéj więc kwestyi, nawet co do warunków traktatu z 30 marca, Prusy nie mogą podnieść głosu, który mają niezaprzeczenie jako mocarstwo pierwszego rzędu, należące do systematu solidarności państw w Europie. Co do Sardynii powyższa wzmianka aż nadto wskazuje że położenie jéj jak było fałszywe tak niem i nadal zostaje...

Lubo wiele z powyższych rysów położenia chwilowego jednych państw względem drugich po zawarciu pokoju, oparte są tylko na przypuszczeniach, wszelako te które jako fakta zaprzeczeniu nie ulegają, są dostateczne, aby przekonać, że przymierza istniejące nie wystarczają na rozwiązanie kwestyj bieżących. Nie brak

im na sile, lecz brak na zgodzie — to jest zbywa na podstawie i celu. Ale czyż może być inaczej w systemacie politycznym solidarności państw do którego się te przymierza odnoszą?...

Mówiąc po prawdzie, i ściśle biorąc następstwa tego systematu, solidarność wykluczać się zdaje wszelkie przymierza odrębne, i istnienie ich czynić niepotrzebnem. Jeżeli bowiem każda sprawa obchodzi wszystkie państwa solidarnie, i bez udziału wszystkich obejść się nie może — na coż się przydać mogą odrębne przymierza? Zarzucano też tę zbyteczność przymierzowi 2go grudnia, gdy się dowiedziano o zawarciu traktatu z 15go kwietnia. Skoro wszystkie państwa solidarnie zaręczyły wykonanie warunków traktatu 30go marca, a więc i Francya, Anglia i Austrya, na cóż znów potrojne przymierze tych mocarstw w tym samym celu? Solidarność państw w loicznem swem zastósowaniu, jeżeliby to kiedykolwiek praktycznem być mogło, mieści w sobie równowagę europejską, a raczej ją znosi absorbując wszelkie antagonizmy, i przypuszcza tylko jedno przymierze wszystkich państw. Takiego przymierza celem nie może być cel inny jak interes europejski, cywilizacyjny— bo żaden materyalny, połączyćby wszystkich państw niemógł. Może wtedy idąc daléj za utopią, cel taki byłby dla przymierza ogólnego odpowiedni, ale w dzisiej— szych przymierzach wyrodzić on musi tylko słabość, a w kwestyach zawikłanie. Skutki traktatu z 30go marca, i sprzeczność tłómaczenia jego warunków, pomimo wszelkich rękojmij wykonania ich, najlepiej tego dowodzą

Lecz systemat solidarności, jeden jeszcze i to najwyższy podał środek jakby w przewidzeniu mogących zajść trudności, to jest zwołanie nowego kongresu. Cóż z tego, skoro co do zwołania kongresu, te same jeżeli nie większe jeszcze istnieją przeszkody, jak co do orzeczenia kto i o ile niedotrzymuje warunków traktatu? Fran-

cya życzy sobie zwołania kongresu, ale w Paryżu, bo takowy wzmacnia jej moralną przewagę. Anglia właśnie dla tego nie widzi potrzeby takowego zebrania, i utrzymuje, że ona sama wystarczy aby warunki traktatu zostały wykonane, stósownie jak się do tego zobowiązała. Rosya chce zwołania Kongresu, Austryi chwila nie zdaje się być stósowną, Prusy nie są przeciwne zebraniu reprezentantów mocarstw w Paryżu, ale tylko dla sprawy neufchatelskiej, a Turcya jest całkiem obojętną i nie oświadcza się ani za ani przeciw.. Nie ma więc wcale zgody — a przymusowego kongresu wystawić sobie trudno.

I mniéj niż w innych sprawach dziwić się można trudnościom jakie napotyka zwołanie nowego kongresu. Jeżeli każda najmniejsza sprawa wymaga kongresu, jeżeli taka sprawa jak bołgradzka nie może być rozwiązaną tylko na kongresie, zaprawdę wtedy kongres nieustający przestaje być fikcyą.... Jeżeli kwestya o wyspy Wężowe musi być koniecznie na kongresie europejskim rozstrzygniętą, coż zostanie wtedy za sposób na rozstrzygnienie kwestyj wielkich odnoszących się naprzykład do równowagi europejskiej? Nie jest że to użyciem herkulesowej maczugi na zabicie muchy? Nie jest że to z użycie politycznego środka? któż nie będzie potem lekceważył kongresowych aktów, skoro najmniejsza trudność nowe wywołuje równie wielkie i poważne zebranie?...

Zdaje się także przechodzić coraz mocniej w przekonanie państw, że zasada solidarności zastósowana za pomocą kongresów, znosi po wielkiej części niepodległość państw i nadweręża godność korony. Król neapolitański uzbrania się poddać spór swój z mocarstwami zachodniemi pod narady nowych europejskich konferencyj; bo Neapol jako państwo drugiego rzędu drażliwszy być musi na godność własną to jest na pozór

jej uwłaczający, aniżeli naprzykład Rosya lub Prusy. Rosya i Prusy kwestye bołgradzką i neufchatelską chętnie do nowego odsyłają kongresu, bo jako mocarstwa pierwszego rzędu czują się na siłach utrzymać przewagę na kongresie, i godność swoją zakryć z bronią w ręku, gdyby istotnie na szwank jakowy narażoną była.

Dalój jeszcze, w systemacie solidarności, kongres jest to rodzaj europejskiego sądu przysięgłych (*jury*) z państw złożonego. Jako taki, winien on wyrokować o sprawie mu przełożonej jednomyślnie, podobnie jak się to dzieje w sądzie przysięgłych. Większość głosów nie może tu rozstrzygać — bo któreż państwo by takową większość uznało? — bo jakże żądać od mniejszości aby się solidarnie obowiązywała do wykonania tego co niezgodnem być sądzi ze swym interesem? — bo nareszcie kongres jest dobrowolny.... Tymczasem zdaje się, że inaczej miały się traktować sprawy na projektowanym kongresie, skoro jedne mocarstwa chciały drugie wykluczać a to pod pozorem, aby się nie znajdowały w mniejszości. Na coż większość zda się skoro każdemu i w każdej chwili wolno wystąpić z kongresu? A znów na mocy jakiego prawa można go nie przypuszczać, skoro interes jest za europejski uznany i wyrok ma być orzeczony znów na mocy kodeksu politycznego solidarności państw?...

Nareszcie, chociażby się nawet zgodzono na zwołanie kongresu i bez żadnego wykluczenia, czyż to wystarczy na rozwiązanie kwestyj bieżących? Wątpić o tem wolno. Nie wszystkie naprzód kwestye oddane zostaną pod ten trybunał, a jednakowoż wyrokować *zaocznie* w polityce nie na wiele się przyda, ani od wojny uchronić nie może — a w kongresie właśnie chodzi o utrzymanie pokoju. W kwestyach zaś pod kongresu wyroki poddanych, czyż można się jednomyślności spo-

dziewać?... Kongres ostatni odbyty w Paryżu nie może służyć za miarę porównania. Kongres paryzki w marcu kończył wojnę dwuletnią, któréj nikt już dłużéj prowadzić sobie nie życzył, bo znużenie było ogólne. Warunki główne traktatu były naprzód ułożone, a co większa przez wszystkie strony przyjęte — zgoda więc była niejako z góry zapowiedziana. Ale też żadna inna kwestya nie została rozstrzygniętą — i dotąd spór trwa z powodu téj spuścizny jaką kongres umierając zostawił. Niezgodzono się ani o Księstwa naddunajskie, ani o los rajasów, ani o kwestyę neapolitańską!...Pośpiech także nie małym był bodźcem na drodze zgody i jednomyślności przy ułożeniu traktatu z 30 marca. Do pośpiechu w téj chwili nie ma przyczyny, a więc nie ma jéj i do zgody — działa już nie stoją na wyżynach sebastopolskich, a pokój zastąpił zawieszenie broni.....

Podobnie więc jak przymierza tak i kongres nowy, gdyby go nawet zwołano, nie rozwiązałby może wszystkich kwestyj zajmujących obecnie politykę europejską. Załatwiłby je o tyle tylko o ileby na to pozwolił interes państwa każdego mocarstwa, po należytém wszystkich państw razem porozumieniu się Bo rzecz próżna sądzić aby tak w kwestyach jak i w przymierzach był cel inny prócz interesu państwa. Innéj polityki nie ma obecnie. Systemat solidarności ściśle wzięty jest teoryą polityczną któréj interes państwa w praktyce stoi ciągle na zawadzie. W tem źródło trudności uwieczniających kwestye, niweczących działalność przymierzy.

Polityka europejska podobną jest dzisiaj do labiryntu, gdzie mnóstwo krętych ścieżek, a każda z nich prowadzi do obszernego placu, zkąd znów inne wychodzą manowce, i tak bezkońca. Ścieżkami są kwestye i przymierza, wiodące do systematu, gdzie zamiast

rozwiązania nowe powstają kwestye. Z wysoka spoglądaćby podobno trzeba, aby módz dostrzedz punkt wyjścia.... z tak wysoka dziś patrzy podobno tylko oko Opatrzności.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w listopadzie.

Mgły, deszcze, śnieg, wiatr, mróz i odwilż naprzemian, niebo szare, drzewa nagie, latarnie miejskie zaledwie migocące, wieczory długie nieożywione towarzyskiemi zebraniami, teatr z odwiecznym repertoarem, kalosze i nieustający katar, eklektyzm w życiu publiczném, nudy w życiu prywatném — oto tło, na którém spłowiałemi barwami i w niewyraźnych zarysach maluje się Kraków w szaréj mgle listopadowéj. Wiadomo że jedno z księstw niemieckich ma za herb, rozdziawioną gębę: heraldycy niemogą się wszakże zgodzić na to, czy otwarcie téj gęby jest skutkiem zadziwienia czy poziewania. Gdyby natomiast Kraków tem malowniczem obdarzony był godłem, któżby mógł wątpić choćby na chwilę, że gęba ta nie poziewa? Kraków nudzi się zawsze, a najbardziéj nudzi się teraz; niedziw więc, że piszący kronikę potoczną tego miasta, przystępuje do niéj ziewając; że zaś ziewanie jest zaraźliwem, więc się ono zapewne udzieli i czytelnikom, co z resztą dowodzić będzie sympatyi między publicznością a autorem, tyle dla ostatniego pochlebnéj.

Ziewanie, ów symptom nudów, wspólne jest całemu tutejszemu towarzystwu, począwszy od poważnych herbat literackich, na których się zwykle słucha, czegoby nikt dobrowolnie nie czytał, aż do studenta ziewającego nad książką, która niestety! formułami mądrości zawcześnie głowę jego ma nadziać; począwszy od starca znudzonego już życiem, do młodzieńca, który w obawie zawodu unika złudzeń. Nudy zarówno towarzyszą tym którzy bujnie używali życia, jako i tym którzy z kredką w ręku obliczali się w niem z siłami swemi; zarówno temu, kto w zbytecznéj troskliwości jada i sypia podług zegarka, wychodzi podług barometru a z termometrem pilnuje palenia w piecu, jako również i temu, który jada w tenczas kiedy może, wychodzi kiedy musi i opala mieszkanie kiedy ma czem. Cała różnica zależy jedynie na tem: jak się nudzić, czy jawnie, czy skrycie, czy publicznie, czy prywatnie, okazale czy skromnie, w salonie lub w kącie, czy poziewając na całe gardło z towarzyszeniem przeciągania się, czy zasłaniając usta chustką.

Jedni nudzą się systematycznie, drudzy bez ładu. Tamci zawczasu układają sobie jak mają przepędzać dzień, wieczór, porę roku, całe dalsze życie swoje, mniéj dbając o to, czy warto tyle zachodów dla takich celów; ci nudzą się dla tego, że sobie żadnego planu życia nie ułożyli. Inni znów nudzą się przez zasadę, mniemając, że powaga stanu i rodu, majątku i znaczenia, urzędu lub tytułu, nauki istotnéj lub pozornéj, nakazuje im być nudnymi.

Czem są właściwie nudy? czy negacyą, tak jak zimno negacyą jest ciepła, a choroba negacyą zdrowia, czy też stanem samodzielnym? Nudy grasują tak jak zaraza, jak dżuma: udzielają się zarówno powietrzem jak i przez zetknięcie. Zostają one w bliskiem powinowactwie z wieloma chorobami umysłowemi i fizycznemi, lecz nie są same przez się chorobą: lubo umysł osłabiony, serce ostudzone, przesyt życia, wycieńczenie sił fizycznych, nieregularne trawienie, cierpienie śledziony, pycha, zbyteczne o sobie rozumienie, szczególniéj do nudów usposabiają. Chcąc się zatem ich pozbyć, potrzeba siły umysłu, gorąca w sercu, świeżości fizycznéj i moralnéj, zdrowego żołądka, więcéj pokory ducha, skro-

mności żądań i potrzeb, a w ogóle ruchu i pracy. Nudy są upadkiem ducha, świadectwem o niewoli jego lub zgrzybiałości. Częstokroć można je wmówić w siebie, a wtedy, jako dawniéj sztuczna i udana czułostkowość lub spazmy modne, przeradzały się w prawdziwe cierpienia nerwowe, tak i nudy wmawiane w siebie, ogarniają nas na prawdę. Najniebezpieczniéj zaś dać im przystęp w listopadzie, gdzie sprzyja wszystko ich zagnieżdżeniu się, gdzie wpływ powietrza wyradza już sam przez się śpiączkę i spleeny, gdzie podróżować nie można, gdzie tak trudno o rozmaitość, zwłaszcza w Krakowie, który co do nudów mógłby iść o piérwsze z najcichszym i najustrońszym zaściankiem, z najszczuplejszem kółkiem familijnem, z najtkliwszem *tête à tête* nierozłącznego jubileuszowego pożycia małżeńskiego.

Są ludzie uprzywilejowani, którzy się całe życie nudzą; inni nudzą się tylko czasem np. w listopadzie. Tamci niemogą nigdzie i nigdy znaleść dla siebie zajęcia. Nudzi ich towarzystwo, książka, samotność, nudzi praca i próżnowanie, lato i zima, płacz i śmiech cudzy. Sami nie płaczą nigdy i nigdy się nie śmieją. Przebyli wszystkie rodzaje uciech jak ów rzymski imperator, od wykwintnych biesiad do pogardzanych szermierek cyrkowych, a lubo nie oni spalili Kraków, lecz i ten gróżno wspaniały obraz nie sprawił na nich wrażenia. O tych niema co mówić; nudy listopadowe niemają z niemi nic wspólnego.

Nudy listopadowe chodzą pod parasolem w kaloszach i nieprzemakalnych opończach, lub siedzą w domu w szlafroku i pantoflach, z rezygnacyą godną lepszego celu, słuchają gamm wygrywanych przez córkę, czytają cierpliwie gazety żeby się z nich dowiedzieć, czy będą jeszcze konferencye lub nie, odpisują na zaległe listy przyjaciołom, słuchają o któréj właściwie godzinie biją zegary, a niekiedy ośmielają się iść do teatru aby się upewnić w słusznem przeczuciu swojem, że nowy tytuł na afiszu nie jest koniecznie oznaką nowéj sztuki, lecz tylko nowym sposobem zbogacenia skromnego repertoaru.

Gdyby zresztą nie ta zmiana, niemielibyśmy jak tylko jedną nowość w teatrze: „Hrabiego na Wątorach“, potomka Romulusów i Cyrusów, właściciela srebrnéj tar-

czy z godłem beczki i wiernego Szansopanszy któremu na imię Baltazar. Hrabia na Wątorach jest ciężkim grzechem, który nie łatwo przyjdzie Syrokomli zmazać, musiałby chyba wykupić wszystkie co do jednego egzemplarze i spalić je na stosie ofiarnym dla przebłagania cieniów tych którym ubliżył.

Dla czego u nas dramata historyczne się nie udają, dla czego ten w wąsach, ów w tarczy herbowéj widzi przeszłość? Bo nauka historyi leży odłogiem, bo oprócz spisu ważniejszych zdarzeń który szumnie nazywamy historyą, niemamy nawet jakich takich porządnie zebranych materyałów historycznych. Historycy nasi albo pisali kompendya, albo patrzeli przez pryzma swoich politycznych wyobrażeń dzisiejszych, nowoczesne pojęcia przyoblekali w formy przeszłości, albo historyę kraju tak oderwanie traktowali od dziejów ościennych narodów, że się nigdzie w niéj nie dopatrzy wpływów zewnętrznych zdarzeń. Wprawdzie od niedawna pomyślano o tem żeby zacząć grzebać w przeszłości, lecz znów sięgnięto za daleko, bo aż do wędrówek ludów, i dalejże w spory zachodzące aż w Persyą i Indye, dalejże do skorup i popielnic, kamiennych grotów, runów i klinowych głosek, jak gdyby w nich leżała przeszłość bezpośrednio nasza. Dobre i to — było dawniéj w zwyczaju pisać rodowody rodzin, którym szukano w arce Noego protoplastów; dziś się to dzieje z rodowodami narodów. Nikt przecież nie wątpi, że się tam znajdowali owi protoplaści. Ale jak wiadomo, nietrudno było historyografowi rodziny Montmorencych przeprowadzić rodowód ich familijny od Noego do pierwszego Montmorency, lecz za to niesłychane miał trudności w ułożeniu genealogii następnych Montmorencych. Podobnież bywa i z dziejami narodów. Przypuśćmy więc że aż do chwili tworzenia się spójni politycznych u nas wiadoma jest cała przeszłość, a zajmijmy się rodowodem tych późniejszych już czasów piastowych, jagiellońskich i bliższych, by drugi jaki hrabia na Wątorach wiedział, że herb jego nieprzepadnie, choćby stopił tarczę, bo to nie złotnik herb nadawał, jak go dziś nieraz nadaje pieczętarz, lakiernik powozów lub wydawca herbarza.

Grano w tym miesiącu i dramat z powieści „Listopad“ przerobiony, a gdyby nie tytuł ten, możeby mi i na myśl

nie był przyszedł. Lecz z dramatu tego opadła cała polemiczna powłoka powieści będącéj obroną pewnego nie stronnictwa, ale koteryi, i został z niéj suchy skielet, rusztowanie sztucznie złożone z argumentów, które wzięto w dramacie za akcyę. Jest to tak jakby z memoryału dyplomatycznego chcieć napisać powieść historyczną.

Jeżeli te pare przedstawień teatralnych, zdołało rozegnać lisopadowe nudy, to przyznałbym, iż Kraków może jak wielbłąd na pustyni wytrzymać długo bez wody. Tylko że Kraków nie samą poi się wodą, ale również znaczną obfitością piwa.

Piwo to ma do siebie, a zwłaszcza też owe piwa ciężkie jakie zwykle teraz w Krakowie pijają, iż zamiast jak inne napoje ożywiać, rzeźwić, rozweselać, czyni ociężałym, flegmatycznym, nudnym. Zdaje mi się że to jest napój zgodny właśnie z charakterem obecnym mieszkańców miasta naszego zwłaszcza w téj porze, a przeto że nic stósowniejszego jak parę słów poświęcić mu tutaj.

Przed laty słynął Kraków wybornemi winami węgierskiemi, których głównym był składem. Tutejsi winiarze posiadali pewne tajemnice piwniczne przechowywania wina, lecz z upadkiem téj gałęzi handlu i z wygaśnięciem pokolenia umiejącego cenić te zalety piwnic krakowskich, liczba winiarzów zmalała, ubyło wielbicieli wina węgierskiego, a zwolna na opróżnionych węgarach piwnicznych zalegly beczki piwa. Piwo niebyło obcem w kraju. Sama nazwa jego dowodzi starożytności pochodzenia jego, bo powstało ono wraz z tworzeniem się języka którym mówimy, lecz jako *piwo*, to jest napój, było ono przeznaczone zapewne do zaspakajania tylko pragnienia. Miód także stawał na przeszkodzie piwu, aby je podnieść do zaszczytnego stopnia napoju upajającego. Ale winiarnie i miodziarnie z rzadka tylko gdzie jeszcze istnieją, natomiast izby piwne zagęściły się po całem mieście. Myliłby się ten jednak ktoby sądził, że piwiarnie krakowskie są miejscami, w których panuje wygoda, czystość, a tem mniéj jakaś wytworność zwykła miejscom publicznym. Są to prawie wyłącznie izby szynkowne, do których się wchodzi wprawdzie nie przez drzwi opatrzone wiechą gorzałczaną, lecz przez sklep korzenny. Szczególnym bowiem zwyczajem szynki pi-

wne stały się atrybucyami handlów korzennych. W Niemczech ojczyznie piw upajających, izby piwne przechodzą nieraz wytwornością inne miejsca publiczne, a bez względu na atmosferę tytoniową jaka w nich panuje, starają się stanąć na równi z kawiarniami i restauracyami francuzkiemi. W Krakowie komfort nie doszedł do tego jeszcze stopnia, aby w piwiarni publicznéj można usiąść bez obawy oparcia łokcia na stole. Tem mniéj znajdzie w Krakowie kawiarnię według wyobrażeń jakie się ma z zagranicy o takich zakładach. Piwiarnie krakowskie szynkują zazwyczaj piwa mocne, wyrobu nietutejszego, a po cenie tak wysokiéj, iż dawniéj za te pieniądze taką samą niemal ilość wina dostać można było. Dla czego zaś tutejsze browary niewyrabiają piwa w należytéj ilości i mocy, to pozostanie zapewne zagadką przemysłową. Słynne niegdyś tutejsze piwa Jeniego dziś poszły w niepamięć, a przecież naturalny ich smak i moc dostateczna, przemawiały za utrzymaniem ich w dawnéj reputacyi. — Teraz jakieś piwa ciężkie, czarnawe, przypalone, niby z porterem graniczące, a obcemi piwu zaprawami, wzbudzają odrazę dla niezepsutego smaku. Lecz że i Mitrydates do trucizny nawykł iż mu ta nieszkodziła, więc i piwa te bez obawy jak to skutek pokazuje, pić można. Czy wszelako wpływ takiego napoju w codzienną wyradzającego się potrzebę nie działa zwolna na przeinaczenie się całego organizmu, o tem już szeroko pisał Liebig, który przecież bierze tylko na uwagę piwa bawarskie wyrabiane jak wiadomo z całą troskliwością i bacznością nie tylko fabrykantów, ale i władz, które pilnują, aby nic szkodliwego zdrowiu nie wchodziło w przyprawę piwa. Gdyby Liebig zakosztował kiedy piwa do Krakowa sprowadzanego, niewiem już pod jaką nazwą i z jakich miejsc, możeby z właściwą sobie dokładnością obliczył, że za jakie pięćdziesiąt lat, pokolenie w którego krwi płynie piwo używane w Krakowie, nabędzie téj lub owéj wady fizycznéj; może jak w pewnych okolicach wól u szyi, tak w Krakowie inne nabrzękłości chorobliwe rozpowszechnią się. Pamiętam, że przed wielu laty Francuz jakiś stawiał różnicę charakterów między narodami piwopijnemi i winopijnemi, i smutne dla Paryżan wyprowadzał ztąd wnioski, że piwo zaczyna tam

wchodzić w modę. Nie myślę ja go tu bynajmniej powtarzać, boć i niepamiętam już co on takiego mówił, ale to wiem z pewnością, że wielu poetów sławiło w pieniach swych wino, a o piwie jeden tylko wspomina Ossyan, który zresztą mieszkał w kraju, gdzie panowały mgły. Odin skandynawski pijał także piwo, lecz nienabył on nigdy tak szerokiego na świecie imienia, jako Jowisz, który napawał się nektarem.

Lwów w listopadzie.

Mieliśmy już w tym miesiącu mrozy i śnieg obfity, i znowu dni parę najprzyjemniejszéj jesieni, która ustępując przed surowszem licem zimy, jeszcze nas na chwilę pożegnać chciała. Powoli zaludniają się pierwsze piętra, częściej mijają się po ulicach okazalsze powozy, już zaczynamy nawet przy herbacie wieczornéj myśléć jakie zabawy przyniesie nam pora zimowa. Teatr zwykle rozpoczyna ich szereg; obaczmy więc najprzód co się dzieje — nie za kulisami, to nie do nas należy — lecz na scenie lwowskiéj. Są rzeczy, przeciw którym, jak mówi pewien dawny mędrzec, i bogowie sami daremnie walczą. Są zdania tak uporczywe, że dla nich niema lekarstwa, ani nawet strata materyalna przy przedsiębiorstwie teatralném. Donosiłem Wam już dawniéj, że wina upadku sceny polskiéj we Lwowie ciąży głównie na jéj dyrekcyi, która upodobała sobie bawić publiczność nowicyuszami w sztuce i miernościami w dramatycznym zawodzie, dając na powód, że chce wykształcić nowe talenta po wydaleniu dawnego grona artystów. Jestto wygodny argument pod względem ekonomicznym; sprowadza on bowiem płace aktorów do *minimum*, czemu uczniowie Talii cierpliwie poddawać się muszą, a do czego dawniejsi mistrzowie nie okazywali powolnéj chęci. Ztąd wynika, że nie patrzymy na scenę, aby smakować w arcydziełach sztuki i w artystycznych przedstawieniach, lecz aby widzieć próby szkoły dramatycznéj, robić komentarze i uwagi nad grą w myśli, i poziewać, kto się zdecydował odsiedzieć parę godzin. Że w takiem położeniu sceny nie wielu

miłośników zabawy scenicznéj, to widać już z pustek w teatrze prawie zwykłych i z narzekań, że publiczność nie odwiedza teatru. Ależ przebóg! cóż ta publiczność winna, że jéj wyobrażenia o scenie nie przypadają do wyobrażeń dyrekcyi? Mieliśmy sposobność przekonać się o tem właśnie w tych dniach. Występywał w niemieckim teatrze, jako gość, spiéwak p. Reichardt. Widać było, że publiczność umié cenić talent i zdobyte artystyczne stanowisko, kiedy teatr za każdą razą przepełniony, nie mógł znaleść miejsca, nawet dla stojących. Pojmujemy zapłacone wstępne na przedstawienie sztuki przez artystów (nie robiąc w tym względzie bynajmniéj wymagań nadzwyczajnych), ale dla próbek i ćwiczeń początkowych nieść zamiłowanie gorące, i bawić się nadzieją przyszłych talentów, wyznajemy, że tego rodzaju zabawa trudna do pojęcia. Prawda, że młode talenta dojrzewają jedynie tylko przy scenie, gdzie mają sposobność widzieć wzory sztuki w ukończonych artystach, lecz gdzież są te wzory na scenie lwowskiéj? Jeden Smochowski. Dawnych pierwszego rzędu artystów i artystki dyrekcya osądziła za dobre oddalić; zapewne gwoli odmłodnienia sceny talentami *in spe*, i gwoli bawienia publiczności procesem tworzenia się gieniuszów za czarodziejską laską p. Chełchowskiego.

Cokolwiek bądź, dyrekcya ma swój gust, a publiczność ma swój; a że *de gustibus non est disputandum*, *ergo* — nie masz sposobu zlać w jedno ten dualizm.

Świat literacki cieszy się niepomału otworzeniem katedry języka polskiego i literatury przy uniwersytecie lwowskim. Różne téż ta katedra od ustanowienia swego przechodziła koleje. Jak wiadomo, pierwszy zajmował ją ś. p. professor Michalewicz. Jego dawniejsze koleje, stosunki z ś. p. hr. Ossolińskim rokowały piękną przyszłość dla katedry i znamienite owoce dla młodzieży krajowéj. Jakoż w początkach Michalewicz zalecał się gorliwą pracą, a lubo nie zajaśniał talentem wyższym i autorską sławą, umiał jednak wzniecić interes w słuchaczach swoich i w głuchych owych dla języka polskiego czasach rzucić ziarno pożytku w leżący od dawna ugór. Nieprzychylny los rzucił nieszczęścia w domowe stosunki professora. Te nie mało oddziały-

wały na stanowisko jego, na pierwotną gorliwość i resztę życia. Odtąd zobojętniał dla przedmiotu, zmalał na duchu — *sit ei terra levis*! Po nim objął katedrę Dr. Jan Szlachtowski, niegdyś kustosz biblioteki Ossolińskich, młody, gorliwy, wyższy talentem i naukami nad poprzednika swego, niepospolity znawca literatury polskiéj, sam pisarz i wydawca, rokował piękne nadzieje. Krótko atoli był na katedrze. Czasowe koleje nie sprzyjały dłuższemu na niéj bytowi jego, i odtąd katedra przez lat trzy i dłużéj opróżnioną była. W czasie tego osierocenia rozmaite szerzyły się wieści o przyszłości katedry, najobszerniéj obiegała pogłoska o zupełném jéj zwinięciu, co dotykało boleśnie światlejszą część kraju. Jakby zadając kłam pogłoskom, zjawia się wreszcie przed kilką tygodniami wiadomość urzędowa, że Wysokie Ministeryum oświecenia mianowało na katedrę języka i literatury polskiéj przy uniwersytecie lwowskim Dra Małeckiego. Wiadomość ta przyjęta była z prawdziwą uciechą i wdzięcznością; raz że rozchwiała fałszywe pogłoski, powtóre, że wybór Wysokiego Ministeryum odpowiedział oczekiwaniom w sposób pożądany. Nie wątpimy bowiem, że autor „Listu żelaznego“ i „Grochowego wieńca“, sam znawca i miłośnik piśmiennictwa polskiego, z korzyścią dla kraju i dla literatury polskiéj potrafi wywiązać się z przyjętego obowiązku. Jest téż i wiadomość, że z przyszłym rokiem szkolnym ma być otworzony wydział lekarski przy tutejszym uniwersytecie, co podniesie znaczenie tegoż. Wiele w tym względzie i w innych, dotyczących istotnéj korzyści kraju, winniśmy staraniom Jego Excellencyi Namiestnika hr. Gołuchowskiego, któremu także, by tylko wspomnieć o miejscowych rzeczach, zawdzięczamy urządzenie wzorowego domu poprawy pod dozorem Sióstr Miłosierdzia u Maryi Magdaleny, otworzenie szkoły ogrodników, założenie ogrodu botanicznego na wielkie rozmiary przy tutejszym uniwersytecie, i pierwszy pomysł do wydawnictwa słownika Lindego.

Widzieliśmy tu także „*Hrabiego na Wątorach*“ i zgadzamy się zupełnie ze zdaniem objawioném w *Czasie* Nr. 262. Jedną wszakże uwagę pozwólcie mi dodać. Kiedy ktoś z Niemiec sąsiedzkich wykrzywi oblicze historyczne naszego narodu („*Soll und haben*“, romans

Freitaga) da się to wytłumaczyć wiadomemi powodami, dla których, gdy potrzeba, każda historya nie jest rzeczą świętą. Kiedy francuz (w tegorocznej „*Revue des deux mondes*“) za niemcem tęż samą niedorzeczność powtórzył, można pomyśleć z Goethem, że są książki nie dla tego, jak się zdaje, pisane, aby się z nich czegoś nauczyć, lecz dla tego, aby myślano, że autor przecież coś wiedział. Ale kiedy pisarz swojski fałszywe oblicze swego narodu kreśli, to podobny „*fantastyczny obrazek*“ (nie wątpimy że jest tylko *fantastycznym*) nie zbawi od grzechu literackiego. Uderzmy się w piersi; mieliśmy i mamy swoje wady: ależ dla Boga! nie strójmy naszych przodków w wady cudze, boć i tym co nie żyją, sprawiedliwość się należy, nawet i na scenie. Właśnie też scena łącząc z przedstawieniem ułudę rzeczywistości, zaciera prawdziwe rysy historyi u wielkiéj części widzów.

Wiedeń w listopadzie.

Wyjazd wysokiéj rodziny cesarskiéj na dwa lub trzy jak powiadają miesiące do prowincyj włoskich, nie pozostanie bez wyraźnego wpływu na życie towarzyskie stolicy w czasie nadchodzącéj zimy. Wprawdzie dwór cesarski jest w ogólności prostym i skromnym co do popędu lub udziału w ruchu światowych zabaw i rozrywek, lecz w tym zakresie był istotnie punktem do którego skupiały się zwykle, lub z którego wychodziły wszystkie tego świetnego koła promienie. Przeszłéj zimy prócz dwóch lub trzech wielkich balów u Cesarstwa, były wieczory tańczące u Arcyksiężnéj Zofii, a obecność NN. Państwa na balach u książąt Lichtenstein Szwarcenberg, Trautmannsdorf i u margrabiego Pallavic ni, była silnym i może głównym bodźcem do téj wystawy, którą się odznaczały te wspaniałe zebrania. Za niimi, przez chęć popisu lub naśladowania, szły jakby na wyścigi inne bogatsze i uboższe salony. Zima więc zwłaszcza podczas karnawału, była wesołą i ożywioną. Teraźniejsza zdaje się że będzie spokojniejszą i oszczędniejszą, tak z powodów wyżéj wymienionych, jak ze

składu ciągle bardzo cierpkiego ogólnych i następnie pojedynczych stosunków finansowych Od dwóch miesięcy trudno spotkać osobę na ulicy, w salonie, którejby po pierwszém przywitaniu, niepotrzeba było dzielić bolesnych narzekań na spadek papierów, na brak pieniędzy i na rozmaite z tego podwójnego źródła pochodzące straty. Kupujący i przedający, to jest spekulanci w massie, cierpliwi posiadacze akcyj, i ich gwałtowni naraz nieprzyjaciele, wszyscy się skarżą, wszyscy ubolewają, wszyscy się kurczą. Znikły złote nadzieje i wśród nich zrealizowane mniéj lub więcéj znaczne zapasy. Ulotnił się jak spalony diament, lekko i spiesznie wygrany zarobek. Zrównało się błogosławione *agio* ze stanem atmosferycznego barometru, który coraz żwawiéj posuwa się do *zera*. Pozostała smutna, jak zwykle w sprawach ludzkich, rzeczywistość, to jest pustki lub ubytek dotkliwy w kassie, i otwarte do opału piece i kominy. Pod tym względem Wiedeń przedstawia w téj chwili uczący choć nie miły obraz. Wszakże dodać na pociechę można, że na tak śliskiém polu tych spekulacyjnych zapasów, wrodzona w charakterze odznaczająca ludność tutejszą, umysłowa spokojność, osłoniła ją dotąd od owych tragicznych, któremi się najczęściéj w Paryżu lub Londynie podobne rzeczy kończą, rozwiązań. Twarze wprawdzie i tu zasępione: oczy nieco zapadłe, włosy nieraz rozczochrane i ubiór przy wyjściu zwłaszcza z giełdy, trochę zaniedbany — ale dzięki Bogu, nikt jeszcze się nie utopił, nie zastrzelił, ani z cudzemi pieniądzmi, lub z własnemi nieumknął długami. Każdy się łata jak może i na lepsze cierpliwie spuszcza się czasy. Lecz że stan ten, jeżli potrwa, życia zimowego nie uprzyjemni, za to śmiało ręczyć można. I jakoż, dotąd przynajmniéj, żadnych do zabaw nie widać przygotowań Arystokracya bawi prawie cała jeszcze po wsiach dzieląc czas między gospodarstwem i polowaniem. Najznaczniejsze w tém kole rodziny pozostaną zapewne w swych zamkach w Czechach i w Węgrzech przez całą zimę. Urzędnicy wysocy u dworu, będą może musieli przenieść się późniéj do Wenecyi lub Medyolanu W salonach ministrów będą jak zwykle, małe tylko przyjęcia. Hr. Buol, którego bale odznaczały się w latach przeszłych świetnością i właściwą w dyploma-

tycznéj sferze delikatnością smaku, przyjmie zapewne sam jeden na siebie cały reprezentacyi urzędowéj ciężar, jeżeli go obowiązek służby niepowoła do boku N. Pana. Osierocona w takim razie dyplomacya, zamknie się wyłącznie w swém kole z małemi po za niem wyjątkami. Sir Hamilton Seymour już otworzył swe salony w wspaniałym pałacu ks. Clary. Na pierwszem zebraniu które się odbyło temi dniami, znajdowało się przeszło pięćdziesiąt osób, między niemi księżniczka Turn - Taxis, ks. Windischgrätz, hr. Bille-brahe żona posła duńskiego, znany z kampanii krymskiéj jenerał Rose i wielu innych członków dyplomatycznego ciała. W przyszły czwartek może przyjdzie w tymże samem zebraniu do tańca. Mówią również że bar. Bourquenay da wkrótce wielki wieczór. Bar. de Budberg jest w żałobie i przyjęcia swoje ograniczy do prostych wzajemnych odwiedzin. Inni ministrowie zagraniczni są albo nie żonaci, albo żyją spokojnie. Świat finansowy jak powiedziałem, zanadto zmartwiony lub zakłopotany, żeby o zabawach mógł lub chciał myśleć. Pan Per... ma nawet zimę przepędzić w Hitzing, p. S. Ma... jest niebezpiecznie chory, p Es... już w przeszłym roku ograniczył swe przyjęcia do loży w teatrze. Liczna i bogata rodzina pp. Bid... rozbiegła się po świecie, lub zeszła do starych i sędziwych szczątek. Jednem słowem, widoki światowe na zimę bardzo jak widzicie szczupłe i posępne.

Pozostaną wszakże bale publiczne, pikniki, bale maskowe, koncerta i tym podobne rozrywki, o których wam w swoim czasie zdać sprawę nieomieszkam. Na teraz poprzestaję na doniesieniu, że pierwszy bal maskowy odbędzie się w *Reducie* pod przewodnictwem artystycznym p. Straussa, który niedawno wrócił z Moskwy z nowemi laurami i niemałym jak mówią zapasem rubli i brylantów. Błogosławiony to kraj dla artystów, zwłaszcza zagranicznych. Czy Rosya niema, czy zaniedbuje własnych, nie wiem, lecz w Europie znaną jest tylko ze swéj dla obcych wspaniałomyślności.

Teatra są przepełnione, pomimo że pod względem artystycznym mało się poprawiły. Zasługuje wszakże na wyjątkowe i chlubne wspomnienie, teatr cesarski w Burgu. Jest to bez wątpienia najlepsza a nawet powiedzieć

można pierwsza scena dramatyczna w Niemczech. Wartość ta pod względem literackim jest prawie wyłącznie dziełem p. Laube, który prócz wybornéj dyrekcyi, przyniósł temu teatrowi znakomity zbiór własnych utworów dramatycznych. „Struensee“, „Monaldeschi“ i nowo przedstawione drama „Hr. Essex“ należą do niepospolitych w tym zakresie dzieł pod względem ducha i wykonania. Dobór artystów, aktorów i aktorek jest wszystkim wymagalnościom wielkiéj sceny odpowiedni. Ubiory i dekoracye często bogate i wspaniałe, zawsze świeże, gustowne i celowi odpowiednie.

Opera niemiecka dzieli tę zasługę z teatrem Burgu, jeźli hojność kassy cesarskiéj za zasługę teatrowi liczyć można. Lecz pod względem artystycznym jest niezmiernie od przeznaczenia swego daleką. Orkiestra wyborna i sama tylko godnie pierwsze zajmuje miejsce. Śpiewacy i śpiewaczki albo poczynający albo na schyłku. Niema szkoły i nie wiele talentu, z wyjątkiem pp. Ander i Beck. Balet lepszy. Pani Taglioni go podnosi swemi osobistemi zasługami. Panna Ricci obiecuje mu coraz więcéj, i to co dziś, już jest niepospolitem.

O teatrach na przedmieściu trudno coś powiedzieć więcéj, jak to, że żyją farsami, za które jednak publiczność dobrze płaci, i na które z przyjemnością patrzy.

Czas mamy zimny lecz pogodny. Dziś trochę pochmurno i deszcz ciepły kropi. Śniegu prawieśmy jeszcze nie widzieli.

Berlin w listopadzie.

Opisywać wystawę dzieł sztuki dla publiczności, która jéj nie widziała, jest to, zdaniem mojém niemal to samo, co rozprawiać przed niewidomym o kolorach. W każdym razie przedsięwzięcie podobne ma więcéj powabu i korzyści dla piszącego, niż dla czytelnika, którego ciekawość obudza, ale nie jest w stanie jéj zaspokoić. Takiém przynajmniéj było dotąd moje doświadczenie, ilekroć zdarzyło mi się czytać opisy wystaw, mianowicie wystaw dzieł sztuki. Dzieło muzyczne trzeba było słyszeć, obraz lub statuę widzieć, aby

czytać z zajęciem, co estetyk lub krytyk o nich rozprawia. Najpiękniejszy opis, najtrafniejszy sąd, nie zastąpią wrażenia i wyobrażenia, których się doznaje i nabywa przez własne zetknięcie i obeznanie się z opisanym przedmiotem. Prosty jego szkic lub rysunek dopomoże opisowi więcéj, niż tysiąc najdrobniejszych i najlepiéj użytych słów. Potrzebie téj przypisywać należy, że dziś mamy tyle czasopismów i dzieł illustrowanych. Czytająca publiczność ogląda ryciny; najpiękniejszy opis służy jéj tylko albo za ich objaśnienie, albo pomija się po największéj części nieczytany.

Z arcydziełami dawnych mistrzów, rozrzuconemi po publicznych galeryach Europy, oglądanemi przez każdego podróżnika, rozpowszechnianemi przez kopie i sztychy do najodleglejszych zakątków cywilizowanego świata, rzecz się ma wcale inaczéj. Estetyk może rozwodzić się szczegółowo w opisie, rozbiorze, krytyce, nad którymkolwiek znakomitszym utworem; znajdzie z pewnością znaczną liczbę takich osób, które przynajmniéj w pamięci utwór opisany mieć będą przed sobą. Opis taki zdolnym będzie, i pamięć ich ożywić, i wyobraźnią na nowo zająć i estetyczne uczucie pobudzić do tém głębszego rozważania zasad, warunków i tajemnic sztuki. Natomiast opisywanie choćby najdokładniejsze dzieł sztuki nowych, po raz pierwszy na widok publiczny wystawionych, dalekim czytelnikom nieznanych, nie sprawi na nich ani podobnego skutku, ani przyniesie samemu piszącemu pożądanego z pracy swéj zadowolenia.

Wzgląd ten wstrzymuje mię od szczegółowego opisywania i oceniania dzieł sztuki znajdujących się na wystawie berlińskiéj. Zamiar ten już z samych materyalnych przyczyn trudnyby był do wykonania Parę tysięcy wystawionych przedmiotów nie da się w szczupłych granicach miesięcznéj kroniki opisać i ocenić. Nie czynią tego nawet miejscowi krytycy wystawy. Pytają się bowiem oni naprzód, tak samo jak ja, czy wszystko opisywać i oceniać warto? Wypada mi zatem ograniczyć się do skreślenia ogólnéj fizyonomii wystawy, podnosząc w niéj te szczególnie rysy, w których mniéj więcéj rozpoznać można charakter, stopień wy-

kształcenia i obecne dążności sztuki malarskiéj w Berlinie.

Nadmieniłem już był w poprzednich listach, i czytelnik miał sam sposobność poznać z przedstawionéj przezemnie zaciętéj walki pomiędzy tutejszą krytyką a malarstwem, że sztuka ta nie stoi tu dotąd na takim stopniu udoskonalenia, aby mogła niedbać o chwilowy sąd publiczny we względzie rzeczywistéj wartości większéj części dzieł swoich. Wystawa tegoroczna zawiera blisko 1700 numerów, z których dwie trzecie części przypadają na obrazy, jedna trzecia na dzieła rzeźbiarskie, sztychy, rysunki, i małą liczbę innych przedmiotów sztuki. Gdyby z ilości sądzić przyszło o wartości, toby tegoroczna wystawa przewyższała nią wszystkie poprzednie, przewyższając je liczbowo o paręset numerów. Lecz najprzód liczba ta jest zupełnie przypadkową. Tutejsza wystawa obrazów urządzająca się co dwa lata przez królewską akademią sztuk pięknych, nie jest wyłącznie berlińską ani pruską, ani nawet niemiecką; przyjmują się na nią obrazy i dzieła sztuki wszystkich krajów. Stósownie do wziętego w niéj udziału przez artystów zagranicznych, niemieckich, francuzkich, belgijskich, na których nigdy nie zbywa, ilość numerów katalogu powiększa się lub zmniejsza. Powtóre, krytyka tutejsza zdaje się mieć racyą, gdy akademią posądza, że tego roku mniéj była trudną w wyborze obrazów przypuszczonych na wystawę, jak w latach poprzednich. Rzeczywiście na wystawie 1854 r., która 1500 numerów zawierała, nie było tyle dzieł tak miernéj wartości, jak na tegorocznéj. Akademia chciała zaimponować liczbą, przewidując z zapowiedzianych przed czasem dzieł, że nie będzie miała tą razą nadzwyczajnych rzeczy do pokazania publiczności.

Tak było istotnie. Każda z poprzednich wystaw miała kilka, parę, jeden przynajmniéj obraz niepospolitéj wartości, przed którym gromadziła się całemi godzinami publiczność, nie mogąc nasycić się i poetycznością przedstawionego przedmiotu i pięknością kompozycyi i wytwornością wykończenia. Takim np. obrazem na przeszłéj wystawie byli „Muzykanci słowiańscy,“ pędzla belgijskiego malarza *Gallaita*. Obraz ten znajduje się w Berlinie, w prywatnéj galeryi kupca Ravénégo, który

go nabył za 6000 talarów. Na tegoroczném wystawie nie było żadnego podobnego obrazu. Dopiéro przy końcu wystawiono obraz tutejszego malarza Gustawa *Richtera*, przedstawiający „Chrystusa wskrzeszającego córkę Jaira“. Obraz ten uratował honor artystów berlińskich, szarpany może zbyt złośliwie i nie zawsze słusznie przez miejscowych krytyków. Zawdzięczając mistrzowi, artyści wyprawili mu solenną fetę, ale przez to dali niejako racyą krytyce, która ich samych wzbraniała się uznać za podobnych mistrzów. Obraz kupił król za 3000 talarów, albo raczéj zamówił go za tę sumę u artysty, widziawszy poprzednio jego szkicę.

Lubo skutkiem przypuszczenia na wystawę berlińską obrazów artystów zagranicznych, nie możnaby właściwie wyciągać z niéj wniosku o stanie sztuki malarskiéj w Prusiech, mianowicie w Berlinie samym; to jednak z powodu, że liczba obrazów nadesłanych z zagranicy jest tą razą bardzo mała, nie oddalimy się od prawdy, jeżeli właśnie tegoroczną wystawę uważać będziemy za wyraz wykształcenia malarskiego w kraju, a w szczególności w jego stolicy. Większa bowiem część obrazów wyszła z pracowni malarzów w Berlinie zamieszkałych, znaczna liczba z pracowni malarzów dysseldorfskich. Inne miasta niemieckie, jako Drezno i Monachium, nie zbyt wielki wzięły udział, zawsze większy niż w latach poprzednich. Z Wiednia zaś żaden obraz nie nadszedł. Z paryzkich malarzów nadesłali prace swoje *Comte* i *Couturier*, z belgijskich *Genisson*, *Kannemant*, *de Noter*, *Koekkoek* i dwóch lub trzech innych. Obraz Comta był najznakomitszym pomiędzy nadesłanemi z zagranicy, i uważano go słusznie za jednę z największych ozdób wystawy. Wystawia on Karola IX króla francuskiego w chwili tajemnéj narady, w któréj Katarzyna de Medicis, książęta Anjou i Nevers, kanclerz Biragin, Albert de Gondy i inni starają się go skłonić do przyzwolenia na rzeź w nocy ś. Bartłomieja. Obraz jest własnością p. Fallou w Berlinie. Także Albert de *Meuron*, malarz neufchatelski, przysłał obraz znakomitej wartości, przedstawiający myśliwych alpejskich, spoczywających na szczycie skał po zabiciu parę dzikich kóz. Również i *Winterhaltera*, mieszkającego stale w Paryżu, policzyć należy do malarzów zagranicznych. Dwa obrazy jego

pędzla znajdowały się na wystawie. Pierwszym był prześlicznie wykonany obraz księżniczki pruskiéj Ludwiki, teraźniejszéj W. księżnéj Badeńskiéj, wielkości naturalnéj; drugim portret dziecka, własność pułkownika pruskiego Boyena w Berlinie. Pomiędzy zagranicznemi malarzami nie mogę pominąć dwóch artystek, które już na poprzednich wystawach zwróciły były przez prace swoje powszechną na siebie uwagę. Pierwszą z nich jest pani *Jerrichau* z domu *Baumann*, rodem z Warszawy, obecnie zamieszkała w Kopenhadze. Obraz jéj „Modlitwa domowa," przedstawiający ojca i matkę w świątecznym stroju wieśniaków duńskich, siedzących za stołem, którym córka, siedząca naprzeciw, równie świątecznie ubrana, czyta z biblii, zachwycał publiczność pięknością kompozycyi, uczuciem religijném rozlaném na twarzach modlących się osób, i rzadką harmonią kolorów. Drugą artystką jest pani Emma *Gaggiotti* zamężna za anglikiem Richards, rodem z Ankony, przebywająca czasowo w Berlinie. Na przeszłéj wystawie podziwiano jéj talent i pędzel w charakterystycznym portrecie Aleksandra Humboldta, na obecnéj własny jéj portret czyli obraz naturalnéj wielkości. Artystka jest bardzo piękną osobą. Obraz ten jest własnością Księcia Pruskiego.

Z wyłączeniem tych kilku malarzów zagranicznych, całe wielkie grono należy do Niemiec, w szczególności do Prus. Między nimi znajduje się wielu znakomitego imienia, jako to: Achenbach, Becker, Begas syn, Bleibtreu,Edward Hildebrandt, Huebner, Kaulbach, Kalkreuth, Krueger, Magnus, Mueller, Menzel, Edward Meyerheim, Otto, Pape, Richter,, Schrader, Steffek i inni. Niemasz jednak tą razą między nimi imion znanéj reputacyi w Niemczech: Lessinga, Teodora Hildebrandta, Knausa, Schirmera z Karlsruh, Martersteiga, Calama, Tichmanda. Z nowych malarzy zwrócił na siebie uwagę Rudolf *Henneberg* z Brunszwiku, znajdujący się obecnie w Paryżu. Obraz jego „Dzikie myśliwstwo", wedle ballady Buergera: „Dziki myśliwy", uderzył bujnością fantazyi, śmiałością rysunku, energią pędzla. Obraz jest własnością p. Kleinfeldera w Paryżu. Nie wiem czy do Polaków czy do Niemców policzyć kilku malarzy polskiego imienia, którzy nie liczą się wpra-

wdzie do znakomitości, ale każdy z nich ma pewne zalety. August *Kaselowski*, zamieszkały w Berlinie, wystawił trzy obrazy: „Chrystusa na górze Oliwnéj“, „ś. Jan i N. Panna,“ „Miłość macierzyńska;“ Marcin *Louidowski*, także z Berlina: dwa popiersia w formie medalionów; Maksymilian Antoni *Pietrowski*, nauczyciel przy królewskiéj akademii sztuk pięknych w Królewcu, przysłał obraz pełen wyrazu „Ecce homo;“ Oskar *Wiśniewski* z Berlina, wystawił dwa obrazy: „Przejażdżka konna w polu,“ „Dzieci na cmentarzu,“ i jednę akwarellę; Jan *Tysiewicz*, z Paryża, przysłał obraz Gruzynki. Tego znając bliżéj z obrazu ś. Magdaleny, obwożonego przed wielu laty po stolicach europejskich przez jakiegoś oryginalnego szlachcica galicyjskiego, liczę do Polaków.

Co do liczby i do wartości obrazów znajdujących się na wystawie, oddziały landszaftów i portretów pierwsze zajmowały miejsce. Po nich szedł oddział obrazów i obrazków rodzajowych, między któremi znaczna liczba była nader pięknych. Oddział obrazów ściśle historycznych był mało liczny, a w nim zaledwie parę obrazów wyższéj wartości. Najskromniejszym zaś ze wszystkich był oddział obrazów religijnych i malowanych wedle treści pisma świętego; wszakże i w niém znajdowało się parę dzieł niepospolitéj wartości.

Rzuciwszy powierzchownem okiem na tę ogromną liczbę różnego rodzaju i wykończenia obrazów, trudno od razu poznać, w jakiéj stronie, w jakiéj szkole Niemiec ten i ów obraz powstał. Przed niewielu jeszcze laty można było za pierwszem spojrzeniem różnicy téj dostrzedz, i na pewne wyrzec, nie znając malarza: to obraz dysseldorfskiéj, to monachijskiéj szkoły. Bo o tych dwóch szkołach w Niemczech istotnie można tylko było mówić. Drezdeńska nigdy się do właściwéj szkoły nie podniosła, i znacznego wpływu na rozwój malarstwa w Niemczech nie miała. O berlińskiéj zaś szkole nigdy mowy nie było i nawet dziś niemasz. W akademii sztuk pięknych nigdy nie było tak wielkiego mistrza aby się około niego było mogło zebrać i wykształcić w pewnym kierunku większe grono uczniów i naśladowców. Każdy z znakomitszych tutejszych malarzów za swoim zwykle szedł popędem, to temu to owemu hołdując kierunkowi, czasem wszystkim razem. Malował

w swojéj pracowni własne kompozycye, przeznaczone na sprzedaż, lub wykonywał dzieła zamówione jakiéjbądź treści. O stworzeniu szkoły żaden z nich nie pomyślał. *Magnus* np., najsłynniejszy portrecista berliński, żadnego znakomitszego ucznia nie wykształcił. *Begas*, również znamienity portrecista, który jednak malował i landszafty i obrazy religijne, zamówione do kościołów, wykształcił tylko syna swego, który może ojca przewyższyć. *Cornelius*, powołany z Monachium, przybył tu, urządził i otworzył wielką pracownię, ale nie długo bawiąc, opuścił Berlin i mieszka we Włoszech, nie mając podobno myśli powrotu. *Kaulbach*, malując od kilku lat freski w nowém muzeum, posługuje się w pracy téj po największéj części swymi dawniejszymi uczniami; latem pracuje w Berlinie, na zimę wraca do ulubionego Monachium. Akademia wysyła uczniów swych, którzy w ubieganiu się o stypendyum odnieśli zwycięstwo, za granicę, do Belgii, do Francyi, do Włoch. Tym sposobem zbiegają się maniery większéj części szkół europejskich w Berlinie, i można ich słabsze lub wyraźniejsze naśladownictwo widzieć na każdéj tutejszéj wystawie. Czas wreszcie sam zbliżył różne szkoły malarskie do siebie. Szkoła monachijska porzuciła przesadzoną surowość i powagę swojéj maniery; szkołla dysseldorfska odstąpiła od swéj miodowéj sentymentaeności i nad miarę wygładzonéj techniki. Zaczyna przeważać pewna realność jak w kompozycyi tak w harminii kolorów, co tylko z korzyścią być może dla sztuk. Ale tu strzedz się trzeba, aby kolor nie pozostał surowym materyalnym kolorem, jak to można było uważać na mnóstwie portretów i landszaftów tegorocznéj wystawy, lecz aby, sztucznie ożywiony, surowość materyi stracił, i był tylko tem czem być powinien, to jest, środkiem do tém mocniejszego wydania naturalnéj prawdy przedmiotu.

Przechodzę do pobieżnego zastanowienia się nad pojedynczemi oddziałami i do wymienienia znakomitszych z każdego obrazów i nazwisk ich twórców. Zacznę od oddziału obrazów religijnych i biblijnych.

Wszystkie dotychczasowe usiłowania protestanckich malarzy w Prusiech, aby się zdobyć na wielkie dzieło pędzla treści religijnéj, były nadaremne. Dążność reli-

gijna obecnego rządu, budowanie kościołów i kaplic, nagrody przeznaczane na ten cel przez wewnętrzną misyą, kierowanie umysłów młodszych artystów przez akademią sztuk pięknych ku rzeczom religijnym, wszystko to nic nie pomogło. Cokolwiek w tym względzie z nowszych utworów widzieć można w tutejszych kościołach, rzadko jest czém więcéj, jak mierném naśladowaniem mistrzów średniowiecznych; a co się z obrazów religijnych na tegorocznéj wystawie znajdowało, to zasługiwało, mówiąc w ogóle, zaledwie na poważną uwagę patrzącego. Najlepszém dziełem tego oddziału był obraz ołtarzowy Andrzeja *Muellera* z Dysseldorfu, przedstawiający Madonnę z dzieciątkiem Jezus siedzącą na tronie, po prawéj stronie klęczy ś. Agnieszka z fundatorką obrazu, po lewéj ś. Urszula. Obraz przeznaczony do kościoła w Lank pod Dysseldorfem. Artysta należy do liczby malarzów, którzy ozdobili freskami kościół ś. Apolinarego w majętności hr. Fürstenberga, Remagen nad Renem. Policzyć tu muszę kartony do okna kościoła dominikańskiego w Krakowie, wykonane przez Juliusza *Huebnera* z Drezna, a zamówione przez fundatorkę kaplicy w tymże kościele. Kompozycya to bardzo poważna, pełna siły i życia, a charakterowi malarstwa na szkle całkiem odpowiednia. O obrazie religijnym *Pietrowskiego* wspomniałem wyżéj; resztę opuszczam. Między dziełami treści biblijnéj, pierwsze zajmuje miejsce wymieniony już także wyżéj obraz *Richtera*, Chrystus wskrzeszający córkę Jaira. Osoby są naturalnéj wielkości. Postać córki jest cudownie piękna. Widać budzące się życie w martwém jeszcze ciele, które bez opierania się rąk dźwiga się wyższą mocą z leżącéj postawy, a z pod odmykającéj się widomie powieki źrenica pełna blasku spogląda utopiona w wskrzeszającego. Postać Chrystusa piękna, szlachetna, ale ma w sobie coś z wyrazu zadowolonego z siebie magnetyzera. Postacie innych osób trafnie pomyślane i wykonane. Zresztą malarze tutejsi zdają się mieć nieprzezwyciężony wstręt od czytania biblii i szukania w niéj nowych dla sztuki przedmiotów. Adam i Ewa, Agara i Izmael, Herodias z głową ś. Jana — przedmioty tylekroć i przez najsławniejszych mistrzów malowane — muszą naturalnie być na każdéj wystawie. Krytyka słusznie się dziwiła, że

nie było Judyty z głową Holofernesa, aby zadosyć uczynić ogólnemu życzeniu publiczności.

W oddziale obrazów ściśle historycznych najznakomitszym był obraz paryskiego malarza Comta, o którym wyżéj wspomniałem. Większa część tego rodzaju obrazów przedstawiała wypadki bez historycznego znaczenia. Całą zaletą ich było, że były dobrze malowane. Tak Juliusz *Huebner* z Drezna wystawił dwa wielkie historyczne obrazy, do których treść wziął z życia Fryderyka W. i cesarza niemieckiego Karola V. Ale jaką treść? Obu przedstawił w ostatnich chwilach zgonu· Pierwszego, kiedy parę dni przed śmiercią kazał się, siedząc w krześle, wytoczyć na taras przed pałacem Sanssouci, i tam, otoczony ulubionemi swemi charcikami, zwróciwszy schorzałe blade oblicze i martwe oko ku zachodzącemu słońcu, miał rzec: „Wkrótce zbliżę się ja ku tobie.“ Drugiego, to jest Karola V., kiedy w klasztorze ś. Justa siedzi w otwartym korytarzu na krześle z brewiarzem i różańcem w ręku, w głębokich myślach zatopiony, a obok niego przy krześle siedzą dwa koczkodany czyli małpeczki, a na poręczy krzesła siedzi gadająca papuga — ulubieńce jego, otrzymane w darze od królowéj portugalskiéj — a u stóp jego kwatera z tulipanami, które także bardzo lubił, a tuż przed korytarzem ogród z widokiem na zbudowaną przez niego fontannę i góry lesiste w oddaleniu. Oba obrazy pełne są pretensyi. Każdy szczegół wybornie odrobiony: charty, małpy, papugi jak żywe. Ale w tych zapasłych, strupiałych twarzach osób ani śladu dawnego ducha, którym mocarze ci przenikali czasy swoje. Szkoda było pędzla artysty na obrazy podobnéj treści.

Wcale inne wrażenie sprawiał na patrzących obraz Adolfa *Menzla*, członka akademii, do którego treść także była wzięta z historyi Fryderyka W. Treścią była krytyczna chwila dla króla i wojska podczas nagłéj i niespodziewanéj napaści na obóz królewski, o świcie d. 14 października 1758 r., czyli bitwa pod Hochkirch. Artysta umiał i w kompozycyą i w koloryt wlać całą okropność położenia. Okropność téż jest właściwym przymiotem tego obrazu. Król kupił go za 5000 tal. Tenże Adolf Menzel, który prawie całkiem poświęcił się ilustrowaniu historyi Fryderyka W. swemi obraza-

mi, miał na wystawie drugi historyczny obraz, przedstawiający Fryderyka wielkiego w chwili odbierania hołdu od stanów szląskich 1741 r. Obraz ten, przeznaczony do galeryi domu posiedzeń tychże stanów w Wrocławiu, nie przynosi mistrzowi wielkiego zaszczytu Nie ma w nim żadnéj powagi, ani w osobie młodego wówczas króla ani otaczającéj go wówczas świty. Jest to rzeczywiście tylko historyczna illustracya wzmiankowanego aktu.

Między historycznemi malarzami zaszczytne także zajmuje miejsce Juliusz *Schrader*, członek senatu tutejszéj akademii. Z pięciu obrazów jego znajdujących się na wystawie, najwięcej zajmował oznaczony w katalogu napisem: „Milton dyktuje córkom swoim Raj utracony." Wiadomo, że Milton tworząc poemat ten utracił wzrok. Ludzie niewidomi mają coś niezgrabnego, niezdarnego i niepewnego w ruchach ciała i rysach twarzy. Sztuka zależała na tém, aby wszystko to, co może mieć w sobie niepięknego, brak oczu w głowie, usunąć, i rysom twarzy i całéj postawie ciała nadać wyraz natchnionego wieszcza. To się artyście zupełnie powiodło, i obraz czyni na patrzącym jak najprzyjemniejsze wrażenie. Inny historyczny obraz Schradera miał za przedmiot: Pożegnanie Karola I. króla angielskiego w ostatnich chwilach zgonu z dziećmi swemi. Pomiędzy malarzami historycznymi w Dysseldorfie godni wspomnienia: *Bleibtreu*, który wystawił dwa obrazy: Bitwę pod Crefeld 1758 r. i część bitwy pod Waterloo, w któréj był ranny książę Oranii, późniejszy król holenderski Wilhelm III; *Camphausen*, który wymalował parę wojskowych scen; i *Huenten*, malarze scen tegoż rodzaju. Wielką liczbę innych opuszczam. Wilhelm *Kaulbach* z Monachium nie miał na wystawie żadnego olejnego obrazu; przysłał tylko kartony kompozycyj swoich do Szekspira, zdumiewającéj fantazyi w oddawaniu charakterów.

W oddziale landszaftowym, najliczniejszym na tegorocznéj wystawie, muszę poprzestać na kilku uwagach i wyliczeniu znaczniejszych imion. W landszafcie widać wyraźny postęp. Zdejmowanie widoków natury odznacza się większą rozmaitością i więcéj malowniczym charakterem. Upodobanie w przedstawianiu rażących efektów ustąpiło miejsca lepszemu smakowi. W rodza-

ju tym odznacza się szczególnie szkoła dysseldorfska. Trzyma ona się po największéj części północnéj, niemieckiéj i skandynawskiéj natury, i nader troskliwie obrabia wszystkie szczegóły widoków. Malarze berlińscy lubią najwięcéj przebywać w Alpach i pod południowém niebem. Imiona znakomitszych malarzy landszaftowych są: *Achenbach*, *Hildebrandt*, *Pape*, *Graeb*, *Kalkreuth*, *Schirmer*, M. *Schmidt*, i wielu innych.

W oddziale rodzajowym równie bardzo licznie na tegorocznéj wystawie reprezentowanym, panowała większa jeszcze rozmaitość niż w landszafcie. Cywilizowane frakowe i kapeluszowe towarzystwo nasze mało dostarcza malarzom odpowiedniego estetycznemu smakowi materyału. Większa część artystów rodzajowych zwróciła się zatem do klas niższych, mianowicie do ludu, znajdując w domowych stosunkach i całém zatrudnieniu jego więcéj poezyi, w ubiorze więcéj malowniczości. W tym kierunku najwyżéj stanął *Meyerheim* z Bremy, profesor i członek tutejszéj akademii. Obrazki jego zdjęte z familijnego życia wiejskiego tak są prawdziwe, naturalne, serdeczne, że się od nich oderwać nie można. Jego śladem poszedł *Meyer*, także z Bremy, i stanął prawie obok niego. Liczba artystów rodzajowych jak wszędzie tak i tutaj jest nader wielka. Nie każdy jednak jest z natury tak poetycznie usposobiony, aby w bliskości siebie i w własnym kraju znajdował gotowy materyał do zajmujących obrazków; mniema zatem, że go znajdzie pod obcém niebem, więc tam spieszy. Każda wystawa zawiera z tego powodu znaczną ilość obrazków rodzajowych to z Tyrolu, to z Szwajcaryi a mianowicie z Włoch. Między tutejszymi malarzami rodzajowymi pierwsze na tegoroczuéj wystawie zajął miejsce Herman *Kretschmer*, obok niego *Jordan* z Dysseldorfu. Obrazów treści mytologicznéj mało co było na wystawie.

O oddziale portretów, to wcale już nie mówię. Jesț to pasya Berlińczyków kazać się portretować, i jeżeli można, wywiesić na wystawie. Każdy malarz portretów ma w țym osobisty interes, chcąc się polecić lubiącej próżność tę publiczności. Akademia była w wyborze takich pędzlowanych fizyonomij bardzo mało surową, mniemam, że więcéj z litości dla kieszeni malarzy, niż

z szacunku dla jéj sztuki. Najznakomitsze na wystawie portrety były: *Richtera*, tego samego, o którym wyżéj mówiłem, *Magnusa*, *Kruegera*, *Winterthalera*, *Lentzego*, *Kretschmera*, młodego *Begasa*, *Heydena*, który także malował obraz historyczny na pamiątkę 400letniéj rocznicy założenia uniwersytetu greifswaldzkiego, i innych.

Na tém kończę szkic o malarstwie. Pozostaje mi skreślenie stanu sztuki rzeźbiarskiéj w Berlinie, która także licznie i bardzo poważnie reprezentowaną była na wystawie. Dopełnię tego w następnym liście. Zresztą wystawa skończyła się z dniem 16. b. m.

Paryż w listopadzie.

„Ciemno wszędzie głucho wszędzie,
„Co to będzie, co to będzie!“

Tajemniczy ten chórał miesza się mimo woli w uchu polaka z posępnym głosem wielkiego dzwonu *Notre-Dame de Paris*, który stolicy święto umarłych zwiastuje. Na trzysta sześćdziesiąt pięć dni roku, jedyny to dzień w którym Paryżanie jak Ateńczycy nie znający melancholii, bawią się w zamyślenie — a jeżeli nie myślą na seryo o innym świecie i o drogich cieniach co ich tam poprzedziły, to przynajmniéj udają, że dla nich zapomnieli na chwilę o bursie i *kommandycie*.

Dzień zaduszny jest rzeczywiście jedynym dniem, który się różni od innych w Paryżu, jedynym, w którym słychać dzwony, a nie słychać hałaśnej kapeli — słychać jęk cierpiących, a nie słychać śmiechu szczęśliwych wybrańców jednéj chwili — słychać modlitwę szeptaną na grobie, a nie słychać odurzającéj wrzawą gonitwy za dobytkiem, za którym milion ludzi ubiega się tu bez wytchnienia, popychając się, dręcząc, raniąc, i zabijając wzajemnie, jak owa czerń na kartonie Corneliusa roztrącana kopytami rumaka unoszącego na wychudłym grzbiecie największą plagę ludzkości, która wtedy *zarazą*, a dziś *chęcią używania* się zowie. Święto umarłych jest tu jedynym dniem odpoczynku, rodzajem zawieszenia broni, w ciągu którego ustaje zażarta

walka o kawałek chleba, a wstrzymanie interesów dozwala człowiekowi obejrzéć się w koło siebie i zastanowić nad tém, że nie wszystko tutaj się kończy.

Ledwie zawita ten dzień blady, otulony zawsze czarnym płaszczem żałoby, co swym cieniem powłóczy ulice i twarze, a cały Paryż podzielony na trzy kolumny, na trzy różne rozchodzi się drogi, wiodące do trzech wielkich cmętarzy: *Père-Lachaise*, *Montmartre* i *Mont-Parnasse*. Ubrani czarno, wszyscy idą piechotą; a że droga wiedzie ciągle pod górę, więc każden tą fizyczną przyczyną jakby żalem złamany, stąpa zwolna, pochylony, niosąc w ręku złoty wieniec z nieśmiertelników, lub ze srebrnych Chrisanthemów uwitą girlandę, godło czystości mające spocząć na grobie dziewicy.

Wnet ciche miasto umarłych, wezbrane czarną rzeszą co płynie a płynie w jego bramy, zmienia się w dziwne zbiegowisko, które najwłaściwiéj można porównać do mrowiska, bo jak ono, pełne ruchu, a milczące.

Mianowicie malowniczy cmentarz *Père-Lachaise* niezmiernie jest w tym dniu zajmujący.— Grobowce niesławne ukryte w cieniu płaczących wierzb i cyprysowych szpalerów, obstępuje rodzina i przyjaciele — pomniki na których błyszczą świetne imiona, otacza tłum wielbicieli. Literaci gromadzą się około bronzowego popiersia Balzaka, którego twarz pełna wyrazu, nikomu przejść mimo obojętnie nie dozwala. Malarze, z których świetnego grona właśnie znikły dwie gwiazdy (Chasseriau i Delaroche) grupują się przy pomniku sławnego Géricault, przedstawionego z paletą w ręku i w zadumanéj postawie, jakby rozmyślał nad nowém podobném arcydziełem jak „Huzar“ lub „Rozbicie Meduzy“ które w płaskorzeźbie spód pomnika zdobi. — Muzycy podsłuchują harmonijnéj skargi cieniów Belliniego i Chopina — aktorowie podają sobie dłonie na grobie Talmy i Moliera, któremu długo wzbranianą bramę do poświęconéj zagrody otworzył nareszcie pamiętny wierszyk Chapella, niegdyś wysoko ceniony na dworze Ludwika XIV:

„*Puisqu'á Paris on dénie*
„*La terre après le trépas*,
„*A ceux qui pendant leur vie*
„*Ont joué la comédie*,

„Pourquoi ne jette-t-on pas
„Les bigots à la voirie?
„Ils sont dans le même cas“.

Patryoci składają wieńce na grobie Masseny, Sucheta, Neya, Goberta — finansiści podziwiają pomnik księżnéj Demidow, który kosztował 120,000 fr. Młodzi małżonkowie z grobu Abeillarda i Heloizy pragną wydrzéć tajemnicę wiecznéj miłości. Patrząc na tyle głów pochylonych nad grobami, wydaje ci się, że swary i zawiści musiały ucichnąć w sercach tych ludzi, że myśl o nieskończoności musiała się w nich obudzić mimowolnie, a wiara że te groby są raczéj drzwiami prowadzącemi w inne światy, musiała ukoić choć na chwilę palącą żądzę życia.

Obraz jaki przedstawia cmętarz paryzki w dzień Zaduszny, tak dobrze naśladuje prawdziwy smutek, tak bardzo zbliża się wyrazem do rzeczywistego bólu, iż byłby to widok prawdziwie budujący, gdyby go nie zakłócały przybywające co chwila karawany z całym swym komedyanckim orszakiem i śmieszną wystawą, która jak balowe dekoracye najmuje się tu po cenach stałych i płaci z góry.

W Paryżu śmierć jak każda dama, ma swoich *furniserów*, którzy ją ubierają wedle mody: jak téj kapeluszy, koronek, jedwabiów, pachnideł i t. d. tak tamtéj kupcy dostarczają całunów ze srebrnemi frandzlami, haftowanych na kirze herbów, koni wystrojonych w kapy i pióra, służby w bogatéj liberyi, osłon przetykanych srebrnemi łzami, srebrnych kadzielnic, gotyckich lichtarzy i t. d. Kompanie tak zwane *des pompes funèbres* przedadzą ci wszystko, nawet mowę pogrzebową, jeżeliś jéj nie miał czasu napisać — wedle tego ile masz pieniędzy, zakupujesz mniéj lub więcéj żalu.

Jeżeli zmarły może dobrze zapłacić, przedsiębiorcy dają mu ośmiu ludzi do eskorty: tak zwanego *Ordonatora*, poważną osobę w czarnym fraku, krótkich spodniach, jedwabnych pończochach i srebrnym łańcuchu na szyi, woźnicę w stósowanym kapeluszu i sześciu adjutantów wystrojonych w srebrne akselbanty, których lud zowie *les croque-morts*, dla tego, że żyją z łapowego jakie im się ze sakiewki nieboszczyka okroi. Czar-

ni ci posługacze śmierci, stanowią zupełnie odrębną kastę w ludzkiej rodzinie, nie klassyfikują oni ludzi ani wedle urodzenia, ani wedle stanu, ani wedle zasługi, żywi nieobchodzą ich bynajmniéj — społeczność dla nich dzieli się tylko na dwie kategorye: na *dobrych* i *złych nieboszczyków*.

Dobry nieboszczyk jest ten, który daje 50 fr. na wino i smaczny obiad w dodatku. — *Zły* jest ten, który nie wyznaczył żadnego kubana, i wyniósł się z tego świata niegrzecznie, to jest, nie uiściwszy się z długu ostatniemu człowiekowi, który doń na téj ziemi ręce wyciągnął.

Karawanowy woźnica, człowiek odbierający najwięcéj ukłonów w Paryżu, bo nikt jego wozu nie minie niezdjąwszy kapelusza — zasługuje ze wszech miar na ten szacunek powszechny: żaden wyrzut sumienia niechmurzy jego rumianego oblicza — zazwyczaj bywa on dobréj tuszy, a zawsze spokojny jak przeznaczenie, którego wóz prowadzi.

Bogacze, prócz powyższéj eskorty, najmują jeszcze dla członków swéj rodziny od administracyi *des pompes funèbres*, płaczków, którzy w komedyi pogrzebu odgrywają rolę tragiczną. Te żyjące elegie, których obowiązkiem naśladować wszystkie objawy rozpaczy, są tem samem, czem owe biedaki co za franka przedstawiają po tutejszych teatrach hrabiów i grandów składających orszak bohatera dramatu. — Zwykle odgrywają oni swoje role wybornie — płaczą tak serdecznie, łkają tak głośno, że francuzi, którzy umieją oceniać przymioty aktorskie, nie mogąc dać brawa, żywe okazują im współczucie, a rozchodząc się powtarzają na wszystkie tony: oto pogrzeb co się zowie! Nie brakowało niczego: były i krzyki rozpaczy, i łzy, i jęki, i mowy, i kwiaty — w istocie przyznać należy, że to *administracya* pierwszego rzędu. *C' était magnifique!*

Jak każdy obyczaj, tak i obyczaj najętych płaczków wypłynął z ducha narodowego. Naród, który nie umie się smucić, który nie ma w swoim języku nawet wyrazu na tęsknotę, a jednak ma artystyczne pojęcie żalu i żałoby, czyż mógł się obejść bez najętych płaczków? Bez nich pogrzeb byłby nie tylko nie poważny, ale nawet nieprzyzwoity. Przyzna to każdy cudzoziemiec, jeże-

li przypadkiem wmięszał się kiedy w orszak idący za trumną. Najswobodniejsza rozmowa toczy się tam bez przerwy, i dwuznaczniki, żarty, trywialne spostrzeżenia krążą jak na weselu; idąc za trumną ten i ów załatwia swoje interesa, ten rozprawia o polityce, ten o kursie papierów na giełdzie, ten układa zamęście wdowy, ten obrachowuje korzyści, ów straty jakie mu przyniósł skon człowieka którego odprowadza do grobu. Wielu jest takich co łączą się z pogrzebową processyą, dlatego żeby jechać za darmo w jednéj z czarnych karet wlokących się za karawanem. Inni (takich jest najwięcéj) przybywają do domu nieboszczyka żeby dostać parę rękawiczek które tam wedle przyjętego zwyczaju gratis rozdają gościom, a dostawszy takowe, ruszają daléj, upatrując we drzwiach drugiéj zasłony, za którą drugą parę dostać można.

Wyjąwszy poważnego ubóstwem i osamotnieniem karawanu biednych, który wydziedziczone dzieci fortuny do wspólnego wywozi dołu, a za którym zwykle nikt nie idzie, pogrzeb w Paryżu jest widowiskiem jak każde inne: jak skoczkom w Hipodromie, baletnicom w Operze, tak i trumnie przypatrują się tu przez lornetkę, admirują dekoracye i obliczają ile zań zapłacono, bo wiadomo każdemu, że ze wszystkich szaleństw jakie tu sobie człowiek pozwolić może jeżeli ma pieniądze, najwięcéj kosztuje głupstwo finalne: suty pogrzeb. —

Powyższe względy moralne, oburzające zdzierstwo trudniących się pogrzebami towarzystw, jak również ważny wzgląd fizyczny na zdrowie mieszkańców wielkich miast otoczonych do koła cmętarzami, był powodem, że kilka poważnych głosów ozwało się tu w ostatnich czasach za przywróceniem ciałopalenia. Przytaczano mnóstwo faktów wykazujących szkodliwość i szkaradę zwyczaju grzebania trupów w ziemi. Myśl zastąpienia trumny urną została bardzo dobrze przyjętą, i pokazało się, że nie jest nową we Francyi.

Jeszcze w VII roku Rzeczypospolitéj, założyciel cmętarza Montmartre podał municypalności Paryża wraz z planem cmętarza, projekt reformy pogrzebów. Dokument ten zatwierdzony przez Dyrektoryat istnieje dotąd w archiwach miejskich.

Obywatel Cambry proponuje, żeby na górze Mortmar-

tre założyć *Pole spoczynku* mające cztery bramy i cztery oddziały poświęcone czterem porom wieku człowieka: dzieciństwu, młodości, dojrzałości i starości. Nie potępiając grzebania trupów, p. Cambry dopomina się tylko przywrócenia zwyczaju palenia ciał dla biednych. „Zostawmy, mówi, każdemu wolność działania w tym względzie — ale niech będzie dozwolony wybór: niech rozsądny i ubogi ma skromną urnę, w którą by mógł schować drogie popioły — a próżny bogacz niech sobie buduje pomniki, które dadzą chleb rzemieślnikom i artystom. Wtedy przynajmniéj ten co zechce swe zwłoki powierzać ziemi, będzie je musiał tak schować, żeby nie tylko wyziewami nie zatruwały powietrza, ale naznaczone pomnikiem, przyczyniły się do ozdoby *pola spoczynku.*

Daléj założyciel cmentarza Montmartre, wchodzi w szczegóły wykonania projektu ciałopalenia. Proponuje budynek w kształcie piramidy, mający 28 metrów podstawy, na której ognisko miało być urządzone w sposób zapobiegający mięszaniu się popiołów. W tych piramidach palenie ciał odbywałoby się w obec rodziny lub znajomych zmarłego, którzyby przy tym akcie chcieli być przytomni, oraz w obec lekarza potrzebnego na przypadek pozornéj śmierci czyli letargu, z którego dotknięcie płomienia cuci natychmiast.

Na powyższy projekt obywatela Cambry, rada municypalna Sekwany roku VIII Rzeczypospolitéj następnym odpowiedziała wyrokiem:

„Zważywszy, że w starożytności istniał zwyczaj palenia ciał, że ten zwyczaj ustał tylko skutkiem przemiany pojęć religijnych, że przywrócenie go jest ze wszechmiar korzystne,

„Komissarz Dyrektoryatu wykonawczego postanawia:

„Każde indywiduum zmarłe, którego środki materyalne nie dozwolą pochować wedle dekretu z dnia 28 *frimaire* tegoż roku, będzie odwożone na stos publiczny i na nim palone.

„Krewni życzący sobie zabrać popioły zmarłego, mogą być obecni przy paleniu ciała. Popioły zebrane starannie, oddawane będą za pokwitowaniem żądającemu.

„Na *Polu spoczynku* Montmartre będzie skład urn sprzedających się po cenie stałéj: półtora franka.“

Mimo poparcia rządu i ponętnéj taniości jaką miało za sobą, rozporządzenie palenia ciał zostało odrzucone przez opinię publiczną; *autodafe* zachowano tylko w klasycznych tragedyach, a z projektu obywatela Cambry przyjęto tylko plan cmętarza, który dzisiaj na szczycie góry Montmartre zielenieje.

Czemu naród francuzki tak skory wtedy do wszelkich innowacyj, naród, który z bezprzykładną śmiałością cały istniejący porządek wywrócił, nie przyjął tego projektu — trudno zgadnąć. Rzecz dziwna: odrzucono go w czasie kiedy przyjmowano wszystko byle nowe — a dziś w czasie konserwatyzmu, opinia publiczna za nim się oświadczyła.

Pierwszy artykuł w tym przedmiocie, piora pana Bonneau, sprawił wielkie wrażenie — wywołał cały szereg innych artykułów popierających i rozwijających myśl przywrócenia pogrzebów starożytnych. Przeciwnicy trzy tylko wynaleźli argumenta na zbicie korzyści ciałopalenia: jedni protestowali dla tego, że ten obyczaj bierze swój początek w uczuciu nieczystem, w zemście Sylli który pierwszy pod pozorem uczczenia, zniszczył ogniem ciało Mariusza — drudzy nie zezwalają na autodafe, nie wiedząc jakby się potem przedstawili na sądzie ostatecznym — innym nakoniec (romantykom) chodzi o to, że po takim pogrzebie żaden duch już na ziemię nie powróci.

Ten ostatni zarzut zdaje się właśnie przemawiać za urną. Bo pytam, po co ten kto raz umarł ma powracać? Dawniéj cienie miały jeszcze do tego powód jakiś: zadanie rozbudzania wyobraźni poetów i fantastycznych naśladowców Anny Radcliffe. Ale niestety, ten powód już ustał, bo minęły czasy kiedy literatura trupia miała swoich wielbicieli, kiedy ścinano bohaterów zachowując sobie prawo przylepienia im głowy opłatkiem w następującym rozdziale. A szkoda, wielka szkoda, że wyszły z mody powieści zaczynające się naprzykład tak:

„Noc była czarna — wiatr lodowaty, cała natura w rozpaczy... drzewa oświecone drżącym blaskiem księżyca wydawały się jak olbrzymy załamujące ręce... Zegar zamkowy wybił północ — i nic słychać nie było prócz śpiesznych kroków spóźnionego wędrowca i ża-

łośnego wycia psa niepokojonego łoskotem bram kołatanych burzą....

„W téj posępnéj godzinie, pan zamku miotany wyrzutami sumienia, nadaremnie wzywał snu wijąc się na samotném łożu... w tem — drzwi się otworzyły i... widmo blade, z roztarganym włosem, posągowym wzrokiem, stanęło naprzeciw alkowy wyciągając ku zdrajcy kościaną rękę!“

Któż nie przyzna, że warto było wrócić z tamtego świata, żeby podobne natchnąć powieści — ale dziś kiedy ich nikt nie pisze i nikt nie słucha, kiedy zimna rzeczywistość rządzi światem, po cóżby umarli powracać mieli? Cóżby zastali w domu po téj nieobecności którą każdy za wieczystą uważa? Nic, prócz dowodów niestałości ludzkiego serca i słabości głowy ludzkiéj.

Przypuśćmy naprzykład, że mąż jaki korzystając z otrzymanego urlopu powraca z tamtego świata i wchodzi do swego domu jako duch niewidzialny. Jeszcze rok od śmierci jego nieupłynął, jeszcze kamień nie poczerniał na jego grobie, a już własnego domu nie pozna. Sypialnia mimo żałoby, jakieś weselsze przybrała barwy— wdowa jakby panna na wydaniu musi dbać o pozory i skarbić względy ludzkie; gdzie spojrzysz, zmiana... znajomą szarą kołdrę zastąpiła koronkowa osłona podszyta różowo; stare machonie zmieniono na nowe palisandry — we fotelu przy kominku siedzi twój przyjaciel, a jejmość w twojem zwierciadle opatruje bacznie czy żal nie zostawił śladów na gładkiem czole.. W salonie jakby nigdy nic, bawią się wesoło twoje dzieci. Twego psa wiernego, dla tego że wył z tęskno- ty, uwiązano w podwórzu... Biedny cieniu, gdyby ci się zachciało na chwilę zostać człowiekiem, jużbyś tu do niczego nie trafił. Suknie twoje rozdano pomiędzy ubogich kuzynków, śpilkę dyamentową oprawiono w pierścionek, płaszcz pocięto dla pani na kacabajki, zegarek darowano doktorowi, który cię nie zdołał zatrzymać na tym padole płaczu... A twój portret... gdzie portret? Czy chcesz biedny cieniu śledzić jego wędrówkę? Zwykła to historya serca ludzkiego:

Przez sześć miesięcy wisiał w sypialni wdowy.... nieutulona w żalu lubiła przypatrywać mu się — cierpienie ma swoje gorzkie rozkosze...

W pół roku przeniesiono go do salonu; jako malowidło historyczne wszedł w poczet przodków.

Po skończonéj żałobie portret nie wiedzieć z jakiego powodu stał się niedyskretny... oczy jego zdawały się ścigać wdowę po wszystkich zakątkach salonu... wyniesiono go więc do pokoju dzieci. Tam był dość długo — ale jeżeliś przybył w parę lat po śmierci, to i tam go już nie zastaniesz, i chyba od następcy swego dowiesz się co się z nim stało.

Biedny cieniu, czyż warto było wracać?

Na szczęście, Opatrzność przewidziała to wszystko— i tym co raz przestąpili próg wieczności już go przestąpić na powrót nie wolno. Wszystko powraca na téj ziemi: niewierni przyjaciele i niewierne kochanki powracają za pierwszym uśmiechem fortuny — róże po zimie, wesołość po smutku — słońce po burzy — wszystko, wszystko powraca prócz tych, których Bóg do siebie powołał.

Palić więc można bez obawy nasze ciała, bo rola materyi skończona w chwili w któréj swą rolę rozpoczyna dusza — a drogie formy trudno lepiéj uczcić jak przemieniając je w czystą garsteczkę popiołu.

Tu mnie pewnie zapytasz, czy zostałem *Croque-morem*, że tylko o umarłych gadam. Nie — ale piszę w południe przy świecy, więc podobny obrót myśli łatwo sobie wytłómaczysz. Z resztą nic się nie dzieje: w teatrach, w księgarniach, w dziennikach, w przeglądach, bezprzykładne pustki. Oczekujemy śniegu i mrozu, który ma podobno ożywić stolicę. — W chwili obecnéj gęstą mgłą otoczonéj, mogę ci tylko powtórzyć od czegom zaczął:

„*Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,*
„*Co to będzie, co to będzie!*“

Londyn w listopadzie.

Listopad jest najmnięj powabnym miesiącem w Anglii i wszystko w nim przybiera na się postać obumierającą, posępną. Łany, na których przez lato kwitły

różne zboża, leżą odłogiem lub poorane tu, i owdzie z zasiewem oziminy, która jeszcze nie weszła; tam koniczyna z pod ściernia lub niezebrane jeszcze ogrodowiny, strzępiaste kapusty i brukiew. Zywe płoty, któremi cała Anglia jest porozgradzana, stanowiące wielką po wsiach ozdobę, tracą w tym miesiącu swą zieleń, kwiaty i wonność, a wiatr pomiata po drogach suchym ich liściem. W lasach, parkach i sadach — jakby na cześć miana tego miesiąca — liść poopadał, a drzewa z obnażonemi gałęźmi podobne do mioteł. Na jednych jeszcze dębach liść się trzyma, jakby swą siłą pasować się chciał z zimą, lecz i on już wszystek zwiędły, zżółkły; tylko laur jak zawsze tak i w téj porze się zieleni, jakby na to, aby nigdy nie brakło czém uwieńczać nieśmiertelnéj skroni. Na tem tle powiędłéj przyrody, na schyłku roku odbijają się ponuro ciemną swą zielonością jakby na przypomnienie lata, wzniosłe sosny, rzadkie w Anglii świerki, posępne cyprysy i wijący się bluszcz po budowlach, rozwalinach. Niebo również mało sprzyja tu w listopadzie. Grube mgły jesienne ociemniają przedmioty, ścieśniają widnokrąk dla oka. Trwają przechodzące deszcze z wiatrami zachodnemi; lecz choć i deszcz nie pada, niebo nie bywa czyste, pogodne; powietrze pełne wilgoci. Rzadko się słońce z poza wilgotnych chmur przedziera, a jeśli zaświeci to na chwilę. Przytem krótkość dnia a długość nocy obłóczą w posępność całą przyrodę, zasępiając nawet umysły mieszkańców téj wyspy. Czuł to głęboko śpiewak „Pór Roku“ Thomson i widocznie miał listopad na myśli, kiedy w swym opisie „Jesieni“ wykrzyknął:

He comes! he comes! in every breeze the power of philosophic melancholy comes!

(Nadchodzi, nadchodzi, z każdym wiatru wiewem filozoficznéj posępności siła!)

Wyrażając się temi słowy, poeta chciał wskazać skutki jakie pora listopadowa sprawiać zwykła na umysły, naprowadzał na przyczynę, dla czego w tym miesiącu więcéj niżeli w innych popełnia się samobójstw między jego ziomkami. Jest też starodawna pieśń toż samo o listopadzie opiewająca, iż w nim najwięcéj się Anglików wiesza i strzela.

Tyle na wstęp do listopada. Ten miesiąc prócz tego

zajmuje ważne miejsce w historyi angielskiéj. Dzień 5 listopada szczególnie pamiętnym jest z wielkich wypadków. Naprzód jest on rocznicą wielkiego spisku prochowego *(Gunpowder plot)* w r. 1605, kiedy podłożeniem prochu pod parlament chciano go z wszystkimi jego członkami i królem w powietrze wysadzić. Powtóre jest on rocznicą wylądowania Wilhelma III księcia Oranii, małżonka Maryi, starszéj córki Jakóba II, na brzegi angielskie, a który w skutek rewolucyi r. 1688 powołany został przeważnym głosem protestantów na tron po teściu swym Jakóbie II. Nie pierwéj się jednak na tronie ustalił, aż po stoczeniu krwawéj z nim bitwy nad rzeką Boyną w Irlandyi, gdzie 15,000 wojska katolickiego poległo. Pod królem Wilhelmem III ustalił się protestantyzm w kraju. Po bitwie pod Aghrim roku 1691, która równie nieszczęśliwie jak pierwsza dla króla Jakóba wypadła, zmuszony on był ze stronnikami swymi ratować się ucieczką do Francyi, gdzie w dziesięć lat potem umarł. Potomkowie nieszczęśliwéj dynastyi Stuartów nazywani w dziejach angielskich pretendentami — z których jeden miał późniéj księżniczkę Maryą Klementynę Sobieską za żonę, nie zdołali odzyskać utraconego tronu, i cała ich linia wygasła na księciu York, który umarł kardynałem w Rzymie.

Potrzecie, dzień 5 listopada pamiętnym stał się za naszych czasów przez stoczenie sławnéj bitwy pod Inkermanem w Krymie. Wtóra jéj rocznica obchodzona była przez wielką paradę w Londynie, a późniéj ucztami w wielu kołach wojskowych, przez tych, którzy przed dwoma laty byli uczestnikami tego krwawego boju. Lecz o tém jako rzeczy dzisiejszéj i znanéj niema co mówić dłużéj.

Przeciwnie o spisku prochowym, jako ważnym wypadku historycznym, a mniéj może wiadomym dla wielu, niech powiem tu kilka słów więcéj. Jest on już z tego względu ważnym i ciekawym, iż tak wraził się w pamięć u pospolitego ludu w Anglii, że od 250 lat do dziś dnia rocznica odkrycia tego spisku bywa obchodzoną każdego roku w dniu 5 listopada, i to w sposób dość oryginalny, z duchem narodu zgodny. Początek i powód do spisku był takowy: Za wstąpieniem na tron Jakóba I. syna owéj Maryi Stuart, któréj tra-

giczny koniec jest znany, katolicy w Anglii spodziewali się że mniéj pod jego berłem będą prześladowani, niżeli za rządów królowéj Elżbiety; lecz mocno się w tem zawiedli, bo król będąc wychowany w surowéj szkole prezbiteryanizmu szkockiego zamiast zmniejszenia powiększył jeszcze ich ucisk. Przywiedzeni do rozpaczy, szukali sposobności jakby się krzywdy swej zemścić. Jeden z pomiędzy nich, Robert Catesby, znakomity obywatel pochodzący z starożytnéj i znanéj familii w kraju, wpadł na nieszczęśliwą myśl, aby budynek parlamentu wraz z całem zgromadzeniem i królem na pierwszéj sesyi wysadzić w powietrze. Zwierzył się on z swéj myśli innym i znalazł wielu wspólników, bo różnica wyznań była oraz różnicą stronnictw politycznych. Aby dokonać swego rozpaczliwego zamysłu, spiskowi zajęli na imię Percy wspólnika swego, dom stykający się z budynkiem parlamentu Z tego domu przebiwszy mur na trzy łokcie grubości, dostali się na sklepienie, pod którém był wielki skład węgli kamiennych. Odkrycie to wielce ich zmartwiło, lecz wkrótce dowiedziawszy się, że cały skład węgli, miał być sprzedany, a piwnica wypuszczona w najem przez licytacyą najwięcéj dającemu, ucieszyli się znowu, bo właśnie tego im potrzeba było Zakupili więc na siebie piwnicę i nawet z resztą niesprzedanych węgli, aby zostały na miejscu. Następnie sprowadzili skrycie z Holandyi 36 baryłek prochu i złożyli go tam również przysypawszy węglami i narzuciwszy chróstem i wiórami dla niepoznania. Poczém nie zamykali drzwi, nie broniąc wejścia nikomu, aby widziano, że nie było tam nic niebezpiecznego. W przekonaniu, że wszystko im się uda, poczęli układać dalsze projekta, ile że otwarcie parlamentu było bliskie, a w ten fatalny dzień miało wszystko od razu być dokonane. Naprzód rachowali na to z pewnością, że król z królową i najstarszym swym synem Henrykiem przybędą na otwarcie izb parlamentowych — a więc że zginą. Drugi ich syn dla młodości niemógł być z niemi razem w parlamencie — więc Percy przeznaczony był abo go porwać i zabić. Księżniczka Elżbieta, która także była jeszcze dzieckiem, bawiła pod ten czas na prowincyi w domu lorda Harrington —

więc niejaki Everard Digby miał przywieść ją do Londynu i ogłosić królową.

Do spisku straszliwego należało, ile późniéj ze śledztwa dojść można było, dwadzieścia osób, a przez półtora roku zostawał on w największej tajemnicy. Bez litości i względu na kogokolwiek i na własne nawet spiskowych bezpieczeństwo, uknuty przez nich zamach, byłby podobno przyszedł do skutku — jeśli nie w całości, to w znacznéj części — gdyby uczucie przyjaźni nie było uchowało kraj od takiéj zgrozy. Jeden ze spiskowych Sir Henry Percy pragnął uratować życie Lorda Mounteagle, przyjaciela i towarzysza swego od młodości, który był także katolikiem. Na dziesięć dni przed zebraniem się parlamentu, lord Mounteagle, który już był przybył do miasta, otrzymał list bezimienny, przyniesiony mu przez nieznaną osobę, która po oddaniu go natychmiast znikła. List ten przytaczam jako dokument historyczny:

„Milordzie, nie bądź na otwarciu parlamentu, gdyż Bóg i ludzie zgodzili się na ukaranie zepsucia naszych czasów. Niechciej ważyć lekce tego zawiadomienia, lecz wróć na prowincyę i spokojnie tam czekaj na to co się stanie. Chociaż nie widać żadnych oznak najmniejszego ruchu, jednakże upewniam, że straszny to będzie cios, jaki dotknie parlament; a nikt nawet nie pozna, zkąd nań przyjdzie. Nie pogardzaj tą radą, ona na pogardę nie zasługuje: może ci wyjść na dobre, nigdy na złe. Spal list — ze spaleniem wszelkie niebezpieczeństwo zniknie."

Lord Mounteagle wszelako niespalił listu. Tajemnicza treść jego nieco go zastanowiła; lecz sądząc, że może na postrach i wystawienie go na śmiech, był pisany, nieprzywięzywał do niego żadnej wagi, — pokazał go atoli lordowi Salisbury, sekretarzowi stanu. Ten także nieprzywiązywał do niego żadnego znaczenia, przedłożył go wszakże królowi, na radzie, kiedy ten w parę dni wrócił do stolicy. Lecz i tu nic niezdecydowano, oprócz tego, że list wskazywał na grożącą jakąś klęskę i nie był na żart pisany. Pośród powątpiewania i trwogi obecnych na radzie, król Jakób I przeniknął znaczenie tego złowróżbnego pisma. Dał się słyszeć ze zdaniem, że jeśli grożące niebezpieczeństwo miało być tak nagłe, nie

mogło to być inne, chyba za pomocą prochu. Uznano zatém, że trzeba wszystkie zakątki i sklepienia parlamentu zrewidować. Hr. Suffolk, wielki szambelan, otrzymał polecenie, aby to zrobił: co też przyjął na siebie, ale odłożył ten przegląd umyślnie aż na ostatni wieczór poprzedzający otwarcie parlamentu, to jest 5 listopada. Przejrzawszy całą budowlę, udał się na końcu pod sklepienie piwnicy, gdzie znalazł kupę drzewa, gałęzi i trzasek ułożonych na węglach łężących tuż pod Izbą lordów. Lecz co gorsza, znalazł tam osobę w płaszczu i w butach, z latarnią w ręku, zajętą przyrządzaniem różnych sprzętów do zbrodniczej i straszliwej eksplozyi, która miała wybuchnąć dnia następnego. Zrewidowano tego człowieka i znaleziono przy nim lonty i inne palne materyały. Człowiekiem tym był Gwidon Vaux — albo jak go teraz lud zowie: *Guy Fawkes.* Cały zamiar związkowych w ten sposób odkryty został, a zamach zgubny odwrócony. Guy Fawkes, stawiony przed sąd, nie mając nadziei przebaczenia, nie zapierał się; lecz z miną nieokazującą trwogi rzekł, że byłby najszczęśliwszym, gdyby swych sędziów i z nimi razem siebie mógł w powietrze wysadzić. Przed Radą stanu zachował tęż samą nieustraszoność i wzgardę, że nic nie można było od niego dowiedzieć się; żałował tylko że nie udało mu się zamysłu dokonać. Dopiero kiedy go zaprowadzono do Tower i miano go brać na tortury, odwaga go opuściła — przyznał się do winy i wydał wszystkich wspólników spisku.

Catesby, Percy i inni spiskowi, posłyszawszy o ujęciu Guy Fawkesa, ratowali się ucieczką z miasta do hrabstwa Warwick, gdzie Digby ufając zupełnie w udanie się spisku, uzbroił się z swymi stronnikami. Lecz trwoga padła na cały kraj; gdziekolwiek się obrócili, tam znaleźli sobie niechętnych i siłę zbrojną. Przypierani zewsząd i niewidząc sposobu dłuższego utrzymania się, zawarło się ich 80 w jednym domu, z postanowieniem bronienia się do ostatniego lub sprzedania drogo swego życia. Przypadkiem iskra padła na proch, który suszono, a ten zapalił się i niemal cały dom rozwalił. Wielu ze spiskowych było ranionych, a ci co ocaleli, otwarłszy drzwi, chcieli się przebić przez tłum ludu otaczającego to ostatnie ich schronienie. Większą ich część lud

tozjuszony posiekał na sztuki; a Catesby, Percy i Winrer stanąwszy we trzech plecami do siebie, odpierali jak długo mogli natarczywość przeciwników, dopóki dwaj pierwsi niepadli od ran, a Winter dostał się żywcem w ręce. Drudzy, co przy życiu pozostali, przed sąd stawieni, i podług stopnia winy, jedni padli pod katowskim toporem, między nimi Garnet i Oldcorn, jezuici; drugich mniéj winnych król ułaskawił.

Działo się to przed półtrzecia set laty. Teraz opowiem jak pamiątkę tego wypadku w duchu dzisiejszego wieku obchodzą. Lalkę mającą przedstawiać Guy Fawkesa, ubierają w odzież w jakiéj go złapano, z dodatkami rozumie się, jakie wyobraźnia ubierającym go nastręcza i dają mu jaką szkaradnę maskę. Skoro zmrok nadejdzie wsadziwszy go na osła, oprowadzają przy pochodniach po ulicach — oraz z latarnią i z jego bótami, w których był znaleziony w piwnicy — puszczając szmermele i race dla jaskrawszego oświetlenia całej tej procesyi. Obszedłszy miasto zwraca się tłum na jaki otwarty plac lub rynek, gdzie gorejący stos drzewa na ten cel rozniecony, i tam po różnych przemowach i drwinach, pośród szyderstw, hałasu i śmiechu, wrzucają Guy Fawkesa w płomienie. Ale niedość na tem. Lud ma zawsze takich co przeciw niemu grzeszą, co obrażają opinię powszechną, działają przeciw duchowi wieku, a których tłum nienawidzi. Również jak na Guy Fawkesa, biorą lalki z maską podobną do takiej znienawidzonej osoby i w tym samym pochodzie co z Guy Fawkesem, oprowadzają po ulicach z szyderstwem, a potem na spalenie *in effigie* na stos gorejący wrzucają. Nienawiść religijna była dawniej powodem, że najczęściéj na osobach hierarchii kościoła katolickiego tę pomstę wywierano, gdyż spisek prochowy był przez katolików zrobiony, a przynajmniéj ówczesne sądy im go przypisywały; lecz przy większem rozszerzeniu się tolerancyi, zwłaszcza w ostatnich latach, rzadziej się to zdarza. Cała zemsta atoli tego roku zwrócona była na Puzeistów. Biskup Oxfordzki, protegujący ich, wraz z pewnym księdzem Cameron w puzeickim swym stroju, paradowali obok Guy Fawkesa we własnej jego dyecezyi. Lud nieogranicza się w tym dniu na własnych ofiarach, lecz częstokroć i na obcych zemstę swą wywiera. W miasteczku Farnham,

procesya składała się tego roku z ogromnego wozu, na nim szatan, trzymający przed sobą Guy Fawkesa i amerykanina p. Brooks, okrutnego właściciela murzynów i obrońcę niewoli w Stanach Zjednoczonych. Wóz ten napełniony mnóstwem najszkaradniejszych masek w najdzikszych ubiorach, przebywszy całe miasto z bandą muzykantów, zajechał na rynek, gdzie płonął wysoki słup smołą oblany. Na nim Lucyper Guy Fawkesa i owego Brooksa pana licznych murzynów na słupie powiesił. Między maskami znajdowała się lalka wyobrażająca murzynkę z dzieckiem murzyńskiem na ręku, której Lucyper podał bizun do ćwiczenia nim wiszącego Brooksa. Czego też ta czarna niewolnica nie zaniechała. Takie karykatury lud angielski robi z tych co ściągają na siebie jego nienawiść, takie sprawia im *charivari*.

Nienawiść do systemu niewoli uprawnionego w Ameryce, objawia się tu silniej jeszcze na wiadomość o wyborze Buchanana na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przypominają tu sobie sympatye Amerykanów dla Rosyi i wyszukują podobieństwa między niewolą murzynów i poddaństwem chłopów. Przed kilku laty jeszcze, krążyła anegdota o rozmowie pewnego znakomitego amerykanina z cesarzem Mikołajem. P. Wheaton znany pisarz, dziś już nieżyjący, będąc w Peterhofie, zwyczajem swego narodu zaczął się rozszerzać przed cesarzem nad zaletami rządu republikańskiego. Cesarz Mikołaj słuchał go długo w milczeniu i nakoniec mu przerwał, mówiąc: „Prawda, p. Wheaton: zgadzam się zupełnie na to coś powiedział. Bo też w istocie nie masz jak dwie prawdziwe demokracye w ucywilizowanym świecie — jedna moich biednych mużyków, druga waszych murzynów.“

Cesarz miał podobno na myśli owe gminy rosyjskie, o których baron Haxthausen Europie ponabijał głowę, a o jakich czytam w pewnem pisemku, świeżo tu w Londynie wyszłem, te ciekawe słowa i przestrogę:

„Stan socyalny w Moskwie — mówi autor — jest zupełnie przeciwny pojęciom o oświacie mieszkańców Europy. Jako wzór gminy moskiewskiej, chwalce jej przedstawiają gminę Kozaków uralskich, gdzie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi żyje komunistycznie. Nikt z liczby tych 25 tysięcy nie ma własności gruntowéj, co rok ro-

bią nowe podziały ziemi do uprawy i brzegów rzeki do połowu ryb.

„Wszystkie gminy moskiewskie tak są urządzone; nikt nieuprawia tejże ziemi długie lata; ciągłe są zmiany, ponieważ tam podział ziemi jest nie podług stanu majątkowego gospodarza, lecz podług ilości dzieci jego i ogólnie ilości osób rodziny.

„Pozornie jest to dobrém; bo każde nowonarodzone dziecię odbiera na swoją część kawałek gruntu; ale niepewność utrzymania tego gruntu (bo ze śmiercią dziecka lub kogokolwiek z członków rodziny grunt jego odbierają) sprawia, że nikt nie troszczy się o ulepszenie onego.

„Lecz rzecz najważniejsza jest: że ten brak uczucia własności gruntowéj, przywiązanie się tylko do odzieży, do bydląt, jednèm słowem do rzeczy łatwo przemijających, wpływa w najgorszy sposób na stan moralny mieszkańców, bo stąd nieuszanowanie cudzej własności; stąd przywiązanie się większe do osób, jak do prawa, stąd niewola i ciemnota, zabójstwo osobistości człowieka.“

Szkoci zbierają do niejakiego już czasu składkę na wzniesienie pomnika dla Wallaca, sławnego bohatyra szkockiego za dawnych wojen z Anglią. Uwiecznił go poeta wieśniak Robert Burns w swym wzniosłym wierszu:

Scots, wha hae wi Wallace bled, itd.

który z dorobioną muzyką oryginalną szkocką został teraz wielką narodową pieśnią Szkotów. Przy najuroczystszych narodowych obrzędach można ją słyszeć śpiewaną z zapałem do nieopisania. Niedawno było w mieście Falkirk poświęcenie instytutu sztuk pięknych. Lord adwokat szkocki whig, i wysoki urzędnik kraju, dopełniając tej uroczystości, zwróciwszy mowę swą pełną narodowych uczuć na Wallaca, wyrzekł, jakiby najstosowniejszy był pomnik dla bohatyra Szkocyi. Nie aby jaśniał on ozdobami dłuta lub sztuki snycerskiej — nie aby w nim podziwiano wysilenie sztuki architektonicznej; lecz aby jako najwłaściwszy symbol bohatyra i walecznych jego czynów, obrano bryłę granitu, szorstką, nieociosaną, tak ogromną jaką siła machin dziś podważyć zdoła, — i aby tę bryłę olbrzymią w całem nieokrzesaniu i pierwotnej postaci, wtłoczono na najwyższy szczyt Abbeycraigu, gdzieby przetrwała walkę z burzą-

mi nieba — jak Wallace, którego ma być symbolem, pośród przeciwności swego wieku stał niewzruszony, surowy, dzielny, groźny. Myśl to nowa, a pomnik taki świadczyć będzie jak mury Cyklopów, że na tej ziemi mieszkali olbrzymy zwani Anglikami.

Warszawa w listopadzie.

Zrobię wam niespodziankę. Sądzicie zapewne, że zacznę wam od razu prawić o pani Ristori, któréj pobyt w naszém mieście był po prawdzie najważniejszym *ewenementem* ubiegającego miesiąca. Otóż właśnie tak nie będzie. Panią Ristori odkładam na potem, a zacznę od czego innego.

Kilka dość charakterystycznych wypadków, kilka ploteczek zajmują obecnie Warszawę. — Opowiem wam je po szczególe.

Słyszeliście zapewne o owem dziwnem małżeństwie mieszkańca Warszawy p. S* z panną W*, a możeście nawet pisali parę słów o tem, boć to było w kilku gazetach niemieckich i angielskich. Ja przyznam się wam szczerze, że chociaż przeglądam dzienniki, a mianowicie wasz, który z powszechności i powagi swojéj wygląda na ojca polskich gazet, nie mam jednak czasu czytać je tak dokładnie, abym wszystko, co się w nich znajduje wiedział. Wolę więc opowiedzieć wam to, com słyszał o tym wypadku, jeżeli zaś będzie to tylko powtórzeniem, daję wam najzupełniejszą swobodę wykreślenia tego com napisał.

Owóż przed rokiem czy dwoma latami bawiła podobno w Warszawie niejaka pana W*. Tak wieść przynajmniéj niesie, bo ja się wam przyznam, żem jej nigdzie nie spotkał ani o jej pobycie nie wiedziałem nawet, a dziwném mi się to wydaje, bo Warszawa pod względem komerażów i ploteczek zakrawa na małe miasto; wszyscy tu wiedzą o wszystkiem, więc osoba takiego położenia towarzyskiego jak panna W*, o któréj wieść niesie, że jest córką naturalną księżny M* D** i hr. W* nie mogłaby się tak dalece ukryć, zwłaszcza że

podług tegoż samego podania dość długi czas bawiła w Warszawie.

Ta panna ładna, młoda, bogata i książęcego rodu, spotkała gdzieś na przechadzce podobno w ogrodzie saskim niejakiego pana S* nauczyciela rysunków podobno starozakonnego. Pan S* podobno sierota, urodził się w bardzo ubogim stanie, i karjerę swą, jeżeli udzielanie lekcyj rysunków można nazwać karjerą, winien był dobroczynności dwóch lub trzech bankierów warszawskich tegoż co i on wyznania, którzy uznawszy w nim zdolności, oddali go do gimnazyum, potem do szkoły sztuk pięknych i ciągle jeszcze rozciągali nad nim swoją opiekę.

Ale pan S* który podobno jako rysownik był bardzo miernym obdarzony talentem, otrzymał za to od matki natury w darze, piękną postawę, twarz bardzo wyrazistą, ogniste oczy i mocny zarost, słowem wszystkie zalety téj prawdziwie męzkiéj piękności, która najbardziéj przemawia do wyobraźni płci pięknéj. — Więc podobnoż i panna W* zająwszy się powierzchownością pana S*, zażądała aby jej był przedstawionym, i postanowiła brać od niego lekcye rysunków. A lekcye poszły tak dobrze, że w kilka miesięcy panna W* otrzymała z Paryża rozkaz wyjechania z Warszawy, i ze łzami a rozpaczą opuściła nasze miasto, przyrzekając panu S*, że wkrótce usłyszy o niéj. I rzeczywiście usłyszał, bo w niespełna pół roku dostaje on list z Paryża, by czém prędzéj przyjeżdżał żenić się z córką księżny M**, posiadaczką milionów, i *dwoma lewemi bokami* spokrewnioną z panującym domem.

W liście tym wyrażonem było, że panna W* długo walczyć musiała przeciw woli ojca i matki, aż nareszcie łzy jej, rozpacz i przekonywające dowody prawdziwéj miłości, która już zdrowiu zagrażała, przełamały opór rodzicielski, i szczęśliwemu panu S* pozostaje już tylko wsiąść na koléj żelazną, dążyć najszybszemi sznelcugami, a przybywszy na miejsce pocałować w rękę tatę i mamę, i poprowadzić do ołtarza narzeczoną, piękną jak słońce a bogatą jak Kalifornia.

Nastała wielka radość w Izraelu — Pan S* z listem w kieszeni pobiegł do swoich opiekunów i pokazał im czarno na białem los jaki go spotyka, a trudno było

odmówić świadectwu własnych oczu. Zebrano więc czemprędzéj składkę, zakupiono wyprawę, żeby szczęśliwy Józef Warszawski nie powstydził się na dworze Faraonów, i pan S* wyprawił się w drogę.

W kilka tygodni gruchnęło po Warszawie, a opiekunowie pana S* w nieokreślonéj radości z tak świetnéj koligacyi, najbardziéj się przyczynili do rozszerzenia téj wieści, że podróżnik szczęśliwie przybył do Paryża, że tam kazano mu niezwłocznie przejść na wiarę katolicką, że arcybiskup dopełnił na nim obrządku chrztu św., że niebawem hrabiankę W* poprowadzi do ołtarza, że jako podarunek ślubny, oprócz wiadomych milionów uzyskał patent na hrabiego, i ma nawet przyrzeczoną książęcą godność, że wszystkie salony paryzkie ubiegają się o zaszczyt posiadania choć na chwilę znakomitego Warszawianina, że nareszcie wyjeżdża z żoną do Londynu, a potem mają zamiar odbyć podróż po Europie. Pokazywano nawet, jak wam to już wypominałem, wyciągi z gazet angielskich i niemieckich, gdzie wyraźnie, wielkiemi literami stało o tych ważnych wypadkach.

Przez kilka tygodni zdarzenie to był głównym przedmiotem rozmowy we wszystkich towarzystwach, jedni ręczyli za autentyczność podania, drudzy pokręcali głową z niedowierzaniem, ale najgłośniéj odzywali się o tém krewni i opiekunowie zacni zaimprowizowanego hrabiego, którzy własnoręcznemi jego aktami popierali prawdę słów swoich.

Tym czasem rzecz się jakoś wyświeciła powoli.

Otrzymuję w téj chwili wiadomość, że panna W* była podobno garderobianą hrabiny B**, którą ta pani z Podola do Warszawy przywiozła, że rzeczywiście poznała się z panem S* i przyrzekli sobie dozgonną miłość, że potem w skutek ukartowanego planu, panna W* dostawszy jakąś zapomogę od hrabiny B*, która pragnęła jéj los zapewnić, pojechała do Paryża, a pan S* zmyśliwszy list powyżéj przytoczony, udał się z nim do swoich opiekunów, żeby tym sposobem uzyskać od nich zapomogę, a otrzymawszy to czego żądał, pojechał w saméj istocie do Paryża, gdzie rzeczywiście odbył się ślub dwojga kochanków, którzy sobie tak przemyślnie zapewnili utrzymanie. — I za tego podania

prawdę nie ręczę, chociaż prawdopodobniejsze od tamtego; zresztą czas wyświeci, ktora z postaci w tym nowym balecie *„Księżna i Szewcowa“* jest rzeczywistą.

W tych dniach odbył się w Warszawie dziwny ślub w cerkwi prawosławnéj.

Oblubieniec jest synem jednego z wyższych oficerów armii Rosyjskiéj, zajmującego znakomite stanowisko w stolicy cesarstwa, oblubienica zaś córką bogatego obywatela ze Stanów Zjednoczonych.

Poznali się we Włoszech.

Ona przyjechała tam z ojcem dla zwiedzenia najpiękniejszych pomników stałego lądu i spotkała się z *nim* podobno we Florencyi. Znajomość szybko się zabrała. *On* słynął z tryumfów nad płcią piękną, któremi jak błyszczącym szlakiem oznaczył drogę swoją po Europie, utrzymywano, że niema kobiety, którąby potrafiła się mu oprzeć. Rzeczywiście jest to młody człowiek ujmujących rysów twarzy, z zadziwiającą jak na swój wiek znajomością świata i serca kobiet, obdarzony temi wszystkiemi przymiotami, które zapewniają powodzenia tego rodzaju, trudniejsze do osiągnięcia niżby się zdawało. Bo niech tam co chcą mówią powieściopisarze, ród Lowelasów coraz bardziéj maleje i uszczupla się.

Młoda i piękna amerykanka była nader ponętną pokusą, podróżowano więc razem i zamieniono nawet obietnice małżeństwa. Trzęsienie ziemi, które podczas pobytu ich wydarzyło się w Nicei, a które więcéj jeszcze zbliżyło dwoje narzeczonych, spowodowało przyspieszenie spełnienia tych obietnic.

Ślub więc odbył się w kościele katolickim, niepamiętam już w którem włoskiem mieście, a ponieważ we Włoszech trudno szukać cerkwi prawosławnéj, odłożono na późniéj dokompletowanie tego obrządku podług przepisów kościoła wschodniego, przysięga bowiem katolicka jedną tylko stronę obowiązywała.

Dla urządzenia tego wszystkiego i zawiadomienia swojéj rodziny, pan *** w kilka miesięcy po ślubie opuścił młodą małżonkę udając się jak twierdził do Rosyi.

Ale jakaż była rozpacz i przerażenie młodéj Amerykanki, kiedy w kilka tygodni po jego odjeździe otrzymuje wiadomość, że niewierny stara się o rękę młodéj współrodaczki, córki znakomitego dygnitarza, i że już

podobno od niéj i od rodziców jéj przyrzeczenie otrzymał.

Udano się do dyplomatycznych stosunków.

Najwyższym rozkazem pan *** ściągniętym został do Warszawy, gdzie również młoda jego małżonka otrzymała rozkaz przybycia, i zaślubiny podług obrządku prawosławnego odbyły się przed kilku dniami w tutejszéj cerkwi.

W czasie obrządku ślubnego państwo młodzi ani razu nie spojrzeli na siebie.

Po wyjściu z cerkwi rozłączyli się natychmiast.

Podobno nowo-zaślubiona podała obecnie prożbę do tronu o zerwanie małżeństwa, które musiało się wprawdzie odbyć dla ocalenia jej honoru, ale które w żadnym razie nie może połączyć we wspólnem pożyciu dwoje serc rozdzielonych tak śmiertelną obrazą.

A teraz myślicie może żem już wyczerpał cały zapas moich nowinek brukowych? Otóż macie jeszcze jedną tylko w zupełnie odmiennym rodzaju:

W pewnéj wsi w gubernii radomskiéj wydarzył się w tych dniach straszliwy wypadek.

Rządca znacznych dóbr w tamtych stronach znany był z surowości z jaką postępował z włościanami podległymi jego władzy.

Chłopi go niecierpieli i burzyli się ciągle, a chłopstwo w tych okolicach bardzo zuchwałe.

Niewiem już za jaką winę, rządca kazał wyliczyć jednemu z chłopów 50 batów, co było nadużyciem, prawo bowiem niedozwala tak srogiego obchodzenia się.

Chłop znalazł doradzcę jakiegoś Protazego z „*Łobzowian*,“ i podjudzony przez niego udał się na skargę do naczelnika powiatu.

Urzędnik ów żyjący z rządzcą w przyjaznych stosunkach, postanowił zatrzeć tę sprawę, i uspokoiwszy chłopa, dał mu list do rządcy, zapewniając że skoro się z tym listem uda, zostanie wynagrodzonym za swoją krzywdę, i że tym sposobem nie będzie już miał powodu czynić dalszych w téj mierze poszukiwań.

Ale rzeczy zupełnie inny wzięły obrót.

Chłop powracając z listem, dla nabrania lepszego rezonu wstąpił do karczmy, i tam rozpowiedziawszy gromadzie, że ma pismo od urzędu do pana, i że go pan

musi przeprosić, zalał sobie porządnie pałkę, a namówiony przez drugich, radych temu jak nazywali, upokorzeniu rządcy, przyrzekł ostro się stawić i nie dać się zbyć lada czem.

Tak rozzuchwalony i ledwie trzymając się, na nogach, poszedł do dworu dla oddania listu.

Skoro go rządca zobaczył, rozgniewany już jego miną zuchwałą, w tém większy wpadł gniew, widząc, że nie zdejmuje przed nim czapki.

— A wiesz ty chamie do kogo mówisz? — zawołał strącając mu czapkę z głowy.

— Co mnie Pan będziesz potrącał — odkrzyknął chłop zuchwale — ja byłem w urzędzie, i tam kazano, żebyś Pan mnie wynagrodził za moją krzywdę, i dano mi nawet pismo, żebyś Pan wiedział o tem, bo teraz inne nastają czasy, i nie wolno wam już będzie krzywdzić biedny lud.

Ale rządca ani chciał wziąć pisma do ręki, tylko zaraz na dziedzińcu kazał dworskim drugi raz rozciągnąć chłopa za zuchwalstwo i wyliczyć mu znowu pięćdziesiąt batów.

Ale chłop już się nie podniósł z ziemi; czy tego powtórzenia chłosty nie mógł wytrzymać, czy też go zabiła apopleksya skutkiem nadużycia wódki, niewiadomo.

Gromada dowiedziawszy się o tem, zebrała się w te tropy na naradę, i postanowiono, żeby natychmiast wszyscy z całéj wsi, z czem kto ma, z siekierami, widłami, łopatami, kosami, udali się do dworu dla dopełnienia zemsty na rządcy.

Ten ostatni uprzedzony o tym buncie, nie chciał uciekać chociaż mógł, ale zatarasowawszy drzwi od dworu, uzbroił w strzelby służących, a sam trzymając w ręku dubeltówkę i położywszy przy sobie dwa pistolety, krzyknął na chłopów z okna żeby nieważyli się zbliżać, bo jeżeli się natychmiast nie oddalą, każe strzelać do nich.

Ale chłopstwo nie zważając na to, sunęło się naprzód, huknęły dwa strzały z dubeltówki i dwóch chłopów śmiertelnie rannych padło na ziemię.

Tymczasem inni wyłamali drzwi i pomimo gwałtownego oporu rządcy, który jeszcze z pistoletu jednego z nich

ranił, porwali go, związali i zaczęli radzić pomiędzy sobą jakąby karę nań wymierzyć.

Uradzono żeby go rozćwiertować na kawałki.

Wyrok ten spełnionym został natychmiast, tak że urzędnicy, którzy nazajutrz przyjechali tam na śledztwo, nie znaleźli ani śladu ciała tego nieszczęśliwego.

Chłopstwo rozsiekało je w najdrobniejsze kawałki i rozniosło po polu.

Kiedy drzwi wyłamywano, służący uciekli tylną furtką.

Winowajcy są już w ręku sprawiedliwości, zapewnie bardzo surowo ukaranemi zostaną, bo tu idzie o przykład, który może stać się zgubnym; w każdym jednak razie powinno to być srogą nauką i dla drugiéj strony.

Już tylko jeden mały wypadek, ale zaręczam że ostatni.

Pewien młody obywatel wiejski, bywał u bogatéj panny w sąsiedztwie w zamiarach matrymonialnych.

Panna ta miała ojczyma który się opiekował jéj majątkiem.

Bardzo to było dlań wygodnie i nie myślał tak prędko zdawać rachunków.

Widząc jednak że ta sprawa zaczyna się na dobre kojarzyć, i że młody sąsiad nie odstraszony zimnem jego przyjęciem, coraz częściéj powtarza odwiedziny, a przytem panna zaczyna się ku niemu przychylać, postanowił jak twierdził dać mu małą nauczkę.

Pewnego więc razu gdy tamten przyjechał jak zwykle w godzinach poobiednich, ów opiekun zaprosił go do swojego pokoju, gdzie czekało kilku chłopów i ekonom z batogiem, i tam odbyła się egzekucya w całem bolącem znaczeniu tego wyrazu.

Nazajutrz skrzywdzony przysłał sekundantów.

Ale ojczym odmówił pojedynku, twierdząc, że ze shańbionym człowiekiem nie może mieć sprawy honorowéj.

Tymczasem któż był sprawcą téj hańby?

Podobno odbył się sąd honorowy na którym postanowiono że pojedynek może mieć miejsce, i że ci panowie będą się strzelać o 10 kroków.

Możeby lepiéj było żeby panowie obywatele postąpili sobie jak to już miało miejsce w dwóch podobnych

wypadkach na Wołyniu i w Królestwie. W obu tych wypadkach sąd honorowy zawyrokował, że taka obraza przeciwna wszelkim prawidłom honoru niemoże dotknąć tego który stał się jéj ofiarą i postanowili wykluczyć ze swojego towarzystwa obrażających. Takie postąpienie całego obywatelstwa zaciera zupełnie krzywdę, a zarazem najsroższą jest karą dla tych, którzy zapominają o wszelkich obowiązkach jakie ludzie ucywilizowani winni są jedni drugim.

Wszystkie te opowiadania tyle mi zajęły miejsca, że niewiem jak już pomieszczę taką wielkość jak panią Ristori na tym kawałku jaki mi pozostaje jeszcze.

Ale cóż bo i o niéj pisać, gazety nasze tak się nad nią ciągle rozszerzały, że musicie być już zmęczeni tem ciągłem powtarzaniem jednego.

Dyrekcya zapłaciła jéj za siedm przedstawień 35000 złp.—

Handlarze biletów porobili majątki; pod tym względem spekulacya odbywała się na wielką skalę.

Pani Ristori rozmaitszą jest od Racheli, silniéj od niéj wyraża namiętność, ale niedorównywa artystce francuzkiéj w uplastycznieniu postaci i prawdziwie starożytnych posągowych pozach, które były zawsze tryumfem téj ostatniéj.

Z sześciu ról w których pani Ristori występowała w Warszawie, dwie role Maryi Stuart i Mirry najwięcéj uczyniły wrażenia.

W téj ostatniéj zwłaszcza, prawdziwego cudu dokazuje, bo ci którzy jéj nie widzieli, nie zdołają pojąć, jakie ona życie wyprowadza z téj postaci, która będzie martwą dla każdego co nie widział wielkiej artystki.

Z Warszawy wyjechała do Pestu, ztamtąd zdaje się do Włoch.

Na przyszły rok ma podobno wrócić, i znów kilka dni zabawić w przejeździe do Petersburga, gdzie jak słyszałem, jest zaangażowaną na 11 miesięcy a każdy miesiąc ma jéj przynieść 20000 r. sr.!!

Pię z Tolomejów tłumaczą już na naszą scenę, i Maria Stuart ma być także podobno tu przedstawioną.

Godna pochwały odwaga artystki która występować będzie w tych dwóch rolach, przynajmniéj ja to uważam za wielkie poświęcenie.

Byleby tylko nie chciała naśladować p. Ristori, bo byłaby śmieszną: żeby grać tak jak pani Ristori trzeba mieć chyba jéj talent.

Innych nowin teatralnych mało, wkrótce dają „*Chatkę w Lesie*" Syrokomli, także zapowiadają nam „*Skąpca*" komedyę oryginalną Drzewieckiego. Winiarski także coś napisał.

Gazeta Codzienna chciała się przemienić w tygodnik, nie udało się jéj to; teraz podobno hr. Przeździecki się odsuwa, a redaktorowie dotychczasowi chcą sami daléj to pismo prowadzić. Dobrze to wszystko, ale zkąd wezmą to czego - Montekukulli tak koniecznie żądał do prowadzenia wojny, a wydawanie pisma codziennego u nas jest prawdziwą wojną.

Szkoda by jednak była, żeby konsens miał zaginąć, daj Boże żeby to jakoś dało się jeszcze nadłatać — Mamy w tych czasach zapowiedzianych kilka koncertów. Molduano daje przedstawienia magiczne, dwie menażerye ogłosiły swoje przybycie, roboty około oświecenia miasta gazem ciągle postępują, powietrze mroźne ale pogodne, stan zdrowia w mieście zadawalniający i..... godzina 4ta po północy — więc trzeba iść spać.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Wiadomo że w Warszawie zabrano się do ogłaszania lepszych poetycznych utworów w bardzo tanich przedrukach myśl dobra, ale dopóki da się zastósować do nieżyjących już pisarzy, gdyby zaś żyjących miano przedrukowywać, z groźbą dla autorów, że jeżeli na to niezezwolą, to i bez pytania przedruk się zrobi — w takim razie byłoby to naruszenie własności choćby upstrzone godłem: *pro publico bono*. Pogłoska krąży że w ten sposób odzywał się już któryś księgarz Warszawski; jeżeliby to prawda była, a nastało panowanie piratery i drukarskiéj, natenczas nam służyłoby prawo odwetu, i przedrukowywanoby się wzajemnie, odnawiając gorszącą historyję kontrfasonów belgijskich.

W ciągu tego miesiąca ukazała się nowa książka z drukarni Budweisera: *Samuel Zborowski* i *Jadwiga żona Jagiełły* Trajedye dwie po trzy akty każda. —

Są to utwory na tle historycznem osnute, a pisane wierszem białym, z chórami na podobieństwo greckiéj trajedyi. Damy o nich obszerny rozbiór.

W téj chwili prassy nasze zajmuje się drukiem kilku ważniejszych ksiąg, między innemi drugim tomem wydanéj *Fizyologii* Dra Majera.

Wydawnictwo katolickie nieustaje w swojéj czynności. Wspominaliśmy o Hymnach kościelnych X. Hołowińskiego mających wyjść niebawem; teraz możemy donieść iż drukują się już tegoż autora: *Kazania Niedzielne*, Świąteczne i Przygodne oraz Allokucye.

Niewiast Ewangelicznych X. Ventury w przekładzie X. Goliana wychodzi zeszyt 5ty pod tytułem: Dziewczka wskrzeszona czyli śmierć sprawiedliwych; z Nowym Rokiem mają

wyjść na widok publiczny oryginalne kazania X. Goliana.

Zapowiadany od dawna przekład Fabioli wyszedł już w Wydawnictwie Dzieł Katolickich; tytuł książki następujący: *Fabiola* powieść z czasów prześladowania Chrześcian w r. 302, napisana w języku angielskim p. kardynała Wisemana, a tłumaczona przez C. M. — Tłumacz czy tłumaczka ofiarowała korzyść z téj książki na zakład wychowania zaniedbanych chłopców w Krakowie. — Grube to i starannie wydane dzieło, przedaje się tylko po 8 złp. — któréj to taniości ten jest właściwie powód — że jak czytamy w przedmowie hr. A. P. ofiarował ponieść koszta druku byle tak pożyteczne dzieło stało się przystępnem dla większéj liczby. Dowiadujemy się również, że w innym polskim przekładzie powieść ta drukuje się już w Wiedniu. — Ten tu wygra czyje tłumaczenie będzie lepsze, i książka tańszą. —

Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego pr. W. Wielogłowskiego wyjdą w trzecim illustrowaném wydaniu. —Widać że dziełko to trafiło do smaku publiczności, kiedy w kilku miesiącach doczekało się trzeciego wydania.

Lwów. Szajnochy obszerne dzieło *Jadwiga i Jagiełło* skończyło się z trzecim świeżo wydanym tomem. Jestto owoc wieloletnich poszukiwań, szczegółów historycznych spojonych z wielką starannością w pewną całość potocznego opowiadania.

Drugi Tom *Słownika Lindego* także opuścił prassę, i jest nowym dowodem sumiennéj i gorliwéj pracy wydawców.

— Julian Alex. Kamiński pisarz i archiwista Zakł. Ossol. wydał: *Przegląd Materyałów* do monografii i historyi rodzin Kamieńskich i Kamińskich. —

W przedmowie do tego spisu wszystkich Kamieńskich i Kamińskich powiada autor że zamyśla wydawać *Pantheon narodowy*.

Wiedeń. Słynny w świecie naukowym Oryentalista Hammer Purgstall wydał świeżo *Historyę Chanów Krymskich* z tureckich źródeł napisaną (*Geschichte der Chane der Krim Wien 1856.*) Lubo to jest tylko dopełnienie obszernéj jego Historyi Państwa Tureckiego, jednakowoż znajdują się ciekawe szczegóły o Tatarach których historycy nasi tak mało znają, chociaż stosunki między Krymem a Rzeczpospolitą trwały przez tyle wieków. — Między innemi piękny jest ustęp o Krimgeraju ostatnim z wielkich Chanów — jak wiadomo sprzyjając on Polszcze, najechał był rossyjskie prowincye i zniszczył je mieczem i ogniem, lecz po miesięcznéj wyprawie wrócił do siebie, gdzie pomimo ostrzeżeń Aarona Totta został otruty przez greckiego lekarza Siropulo — a tak dzielny sprzymierzeniec konfederacyi usunięty został. W chwili kiedy czuł zbliżający się koniec, kazał przygrywać muzyce i tak skonał z konającemi dźwiękami instrumentu. Ten sam Krimgéraj wystawił tę sławną fontannę w Bakczyseraju którą podziwiali podróżni i poeci· Hammer jednak zbija podanie jakoby to było ku uczczeniu pamięci jakiejś Maryi Potockiéj albowiem miejscowi o tem nic nie wiedzą i fontannę tę nazywają *Selzebil*: co znaczy Rajskie źródło. —

— Professor Uniwersytetu Lwowskiego Dr. Ferdinand Bischoff wydrukowal tam dzieło: *Oesterreichische Stadtrechte und*

Privilegien. Austryjackie prawa miejskie i przywileje z dodatkami literackiemi i uwagami. — Są to zebrane (dość niedostatecznie) przywileje znaczniejszych miast Monarchii Austryackiéj w co weszły także przywileje Krakowa, Krosna, Mościsk, Sanoka, Tarnowa, Tarnopola, a nawet Wilna. Co do naszych miast przywileje te są najwięcéj czerpane z Dodatku przy Gazecie Lwowskiéj. — Niema tu żadnych uwag krytycznych, bo gdyby były zapewne niedowiedzielibyśmy się w jakim stosunku do całości zostają przywileje Piastowskie i Jagiellońskie.

Warszawa. Druga serya obrazów sztuki średniowiecznéj, wydała dotąd 10 zeszytów. miesięcznych, jak zawsze pięknie wykonane rysunki zabytków ważnych pod względem historycznym, i osobliwych, pod względem sztuki. Mieszczą się w nich następujące przedmioty. Infuła, i pierścień pasterski Ś. Stanisława. — Kielich ś. Jadwigi, w skarbcu Katedry Krakowskiéj. Tarcza ze zwycięztwem Leszka Czarnego nad Jadźwingami, w zbrojowni Królewskiéj w Dreznie. — Zbroja Jana Sobieskiego w zbrojowni królewskiéj w Dreznie. — Czaszka Ryxy królowéj Polskiéj z grobowca w katedrze Kolońskiéj. — Łyżka i trzonki od noża, od grabek, błogosławionéj Kingi czyli Kunegundy księżnéj Krakowskiéj, w klasztorze Klaryssek w Starym Sączu. — Kufel szklanny i flasza Zygmunta Augusta. — Krzesło z XVI wieku, w Bractwie Miłosierdzia w Krakowie. — Grobowiec Kazimierza Jagielończyka widziany z przyczołka i z boku. — Grobowiec Piotra Bnina w Wrocławku. — Zygmunt August król Polski. — Katarzyna Austryaczka trzecia żona Zygmunta Augusta. — Obrazek Matki Boskiéj po królowéj Maryi Ludwice. — Klejnoty Polskie z XVI wieku. — Relikwiarz Łęczycki. — Laska sądowa miasta Kurzelowa. — Chrzcielnica w kościele ś. Krzyża w Bodzentynie. Chrzcielnica w kościele ś. Jana w Toruniu. —

— *Opis Cmentarza Powązkowskiego* wydawany przez Wójcickiego ukazał się w IXtym zeszycie IIgo tomu, który zawiera żywoty: Szymona Bielskiego pijara — Xiędza Pomorzkanta — Ignacego Zaborowskiego i Teodora Wagi (pijara) — Stefana i Kaspra Bemów — Karola Korwella. — A. I. Zubelewicza prof. Stanisława Lissowskiego — J. Grendyszyńskiego — F. Bentkowskiego — Adryana Krzyżanowskiego—F. Pancera — A. Gołońskiego — Ludwiki z Szopenów Jędrzejewiczowéj — L. A. Dmuszewskiego. — Dołączonych jest 6 rycin, jako to: Karta tytułowa do drugiego tomu — pomnik grobowy X. Dembka — Ambona na cmętarzu — Grobowiec Adryana Krzyżanowskiego. Grobowiec Zygmunta Korzeniowskiego — Pomnik dla Malczewskiego autora Maryi. — W zbiorze tym natrafić można na wiele nowych szczegółów z życia ludzi znakomitszych i grających pewną rolę, ale też i takich niebrak żywotów które niewiedzieć za co figurują w tym drukowanym Westminsterze.

— Listopadowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj, mieści następujące artykuły: O Bolesławie Chrobrym nowe świadectwo współczesne przez J. Papłońskiego. Wiadomość o pismach Stanisława Kaczkowskiego przez E.. S.. Przegląd literatury francuzkiéj. Pamiętniki przez Sabinę z G. G. (dokończenie). O telegrafii elektrycznéj przez S. E... Kronika

zagraniczna. Romeo i Julia przekład z Szekspira przez J. Paszkowskiego. Ruskie piosnki ludowe: Trzy kukułki, Dwie zorze, przez T. Lenartowicza. Kronika literacka. Dziejopisowie krajowi III Jana Dymitra Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego. Krótki pamiętnik rzeczy polskich, od Zygmunta Augusta zmarłego r. 1572 w miesiącu lipcu, do roku 1590. Przełożył z łacińskiego i życiorysem autora poprzedził Władysław Syrokomla przez Juliana Bartoszewicza. Przegląd muzykalny przez M. K. Przechadzki po Wilnie i jego okolicach przez Jana ze Śliwina (Adama Kirkora). Rozmaitości: Najdawniejszy cmentarz pod Warszawą przez Aleksandra Wejnerta. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od J. Ł.

— Karol Drzewiecki znany autor dramatów: *Kontrakty* i *Wiśniowiecki*, napisał komedyę *Skąpiec*. Ma to być oryginalnie polski a nie Molierowski charakter.

— Merzbach księgarz warszawski wydał swoim nakładem *Budowa* nieba czyli Astronomia popularna figurami objaśniona podług A. Smitha a w przekładzie T. Dziekońskiego. Dziełko to starannie wydane, ułożone jest sposobem katechizmowym.

— Księgarz Nowolecki zajmuje się wydawaniem dzieł kilku nowych autorek; między innemi jego staraniem wyszła powieść Waleryi Morzkowskiéj: *Nowy Gladyator*; teraz wyjdzie p. Scisłowskiéj *Wspomnienia* z przejażdżki po kraju w 2 tomaah. U niego wyjdą Leona Kunickiego: *Nad-Bużne* powiastki i obrazki w 3 tomach.

— Panna Józefa Szmigielska zaczęła wydawać w Warszawie pismo *Zabawy przyjemne i pożyteczne* poświęcone dla młodego wieku, którego wyszło 3 zeszyty. Znajdują się tu artykuły saméj redaktorki panny Szmigielskiéj, Julii Janiszewskiéj, Maryi Ilnickiéj, Pauliny Wilkońskiéj, Deotymy, Bożenny i innych pseudo i anonimów. Niektóre kawałki są dość zajmująco napisane i zastósowane do potrzeb i pojęcia młodego wieku. Jednakże gdyby kto uważał na wstępny wiersz pod tytułem *Zorza*, mógłby się zrazić cokolwiek szumném zaczęciem:

„Śpią w głębokiéj nocy dawne pokolenia,
„Śpią — w czasów pomroce — lecz nie śpi ich duch,
„On czuwa i widzi mimo ciał uśpienia
„Następców swych dzieła i wiekowy ruch."

Jakżeż inaczéj umiał przemówić do dzieci stary nasz Krasicki w swoich bajkach!

— Znany rysownik Fajans wydał Kalendarz na rok 1857 złożony z dwóch chromolitografowanych tablic. Rysnnek układu Gersona następujący: z jednéj strony pod cieniem rozłożystej lipy, na któréj zawieszony obrazek Naj. Panny, zasiedli Mikołaj Réj, Jan Kochanowski z Urszulką i Sobestyan Klonowicz. Po bokach stósowny rozwija się krajobraz: za Rejem knieja i jelenie, za Klonowiczem gród jakiś nad Wisłą po któréj tratwy z flisakami płyną, przy boku wierny pies. Ornamentacya z narzędzi rolniczych, przyborów wojskowych, pieśniaczych i pisarskich zakończa widok od dołu. Po drugiéj stronie Kalendarza, w niszach gotyckiego porządku stoją: po lewéj sędziwy Brudzewski, po prawéj Kopernik, łączy te niższe arkada takiegoż stylu. na jednym jéj boku na podstopiu pomnik Warszawski Kopernika miniaturowych kształtów, na drugim próżna kroksztyna, mająca wymo-

wnie świadczyć, żeby nie łacno było, obok tego pomnika, postawić drugi, równie wielkiéj dla narodu chluby męża.

— Alojzy Misierowicz wydał nowy zeszyt *Przeglądu Augustowskiego* złożony z 6 widoków zdjętych z natury, jako to: Śluzę Augustowską — Klasztor pokamedulski w Wigrach — Alexotę nad Niemnem — pomnik Czarnieckiego w Tykocinie — Kolegium po pijarskie w Szczuczynie — Studzienicę, miejsce pobożnych pielgrzymek. — Litografie te mają nieustępować w niczem zagranicznym. — Tenże rysownik przygotowuje nowe Album malownicze gub. Radomskiéj. —

— W litografii p. Pecq ma wyjść *Album Lubelskie* podług rysunków zdolnego artysty pana Lorne Lublinianina. Składać się ono będzie z ośmiu zeszytów, każdy zaś zeszyt obejmie cztery ryciny wraz z ćwiartką textu wiadomości historycznych. Sam Lublin dostarczyć ma dwadzieścia widoków kościołów, gmachów i ruin. Z okolic będą widoki Kazimierza, Krasnegostawu, Krypecy, Radecznicy, Puław, Rozanki itd.

Wilno. Syrokomli poemat: *Stare Wrota* które opiewają przygodę z życia Xiędza Skargi już krążą w publiczności i podobają się znawcom więcéj niż inne jego gawędy.— Kraszewski dał rysunek starych wrot, które rytowane na drzewie ozdabiają tę książeczkę-

— Glücksberg ogłasza dwa nowe dzieła Marcinkowskiego, piszącego dawniéj pod pseudonimem Gryfa, a teraz Nowosielskiego. Pierwsze jest: *Lud Ukraiński*, drugie: *Pisma krytyczno-filozoficzne.* Lud ukraiński mieścić będzie w dwóch tomach następujące przedmioty: Misteryozofia Słowiańska —Bajki ukraińskie — Bajki słowiańskie u Herodota i Lucyana — Zagadki, Zamawiania, przysłowia, zabobony, sekreta lekarskie i t. d.

— X. Lipiński napisał: *Życie Ś. Jadwigi* uważane z pięciu stanowisk Chrześciańskiéj niewiasty jako i dziewicy, żony, matki, pani domu i wdowy. Namby się zdawało że lepiejby z jednego stanowiska napisać, a mającego dobre źródło, to jest: autentyzm legendy drukowane u Stencla, a tchnące prostotą ewanieliczną owych wieków, lub z żywota Jadwigi napisanego pr. kanonika Gerlicha. — Tenże X. Lipiński przedrukował *Książeczkę do nabożeństwa* świętéj Jadwigi.

— Włodzimierz Budzyński wydał w dwóch tomach] *Niemcy i Szwajcaryę.* Adam Pług zbiór wierszy: *Kłosy* z rodziméj niwy.

Poznań. Znany pisarz w agronomicznych przedmiotach Włodzimierz Wolniewicz wydał pisemko *O gospodarstwie majątkowem* czyli o stosunkach majątkowych W. X. Poznańskiego. Główną przyczyną upadku majątków szlacheckich i przejścia ich w obce ręce przypisuje życiu nad skalę i brakowi moralnéj spójni czyli solidarności w obywatelstwie

— Księgarz Merzbach ogłosił pismo zeszytowe: *Światowid.* które ma upowszechniać postęp naukowy. Będą to pojedyncze rozprawki o świeżych wynalazkach i odkryciach. — Pierwszy zeszyt już wyszedł i zawiera rzecz: *O wynalazku balonów* z 23 drzeworytami.

— Żupański wydał broszurę: Wyciąg z Geografii Polskiéj p. Teodora Wagę w r. 1767 skreślonéj i ogłoszonéj. — U niego także wyszedł w powtórnem po-

prawném wydaniu: List Żelazny traj. Małeckiego. —

Petersburg. Niestrudzony wydawca dzieł literatury naszéj B. M. Wolff, świeżo puścił w świat nową edycyą *Wiesława* Brodzińskiego w wielkiéj ósemce, przepysznie drukowaną i ozdobną drzeworytami wykonanymi podług rysunków L. Starzyńskiego, M. Fredry i J. Kossaka. Oprócz karty tytułowej, dwadzieścia siedem drzeworytów ozdabia tekst. Poemat ten, ma być pierwszym z rzędu licznych illustrowanych edycyj naszych poetów, które B. M. Wolff przygotował.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.